

A black and white close-up portrait of a woman with long, dark, wavy hair. Her hair is slightly messy and falls over her face, partially obscuring her eyes. She has a serious, somewhat somber expression. The lighting is dramatic, with strong highlights and deep shadows, creating a moody atmosphere. The background is dark and indistinct.

ROSY CANALE EMANUELA ZUCCALÀ

PRYWATNA WOJNA ROSY

SAMOTNA KOBIETA
KONTRA KALABRYJSKĄ MAFIĄ
PRAWDZIWA HISTORIA

Rosy Canale
Emanuela Zuccalà

PRYWATNA WOJNA ROSY

Przekład
Aleksandra Bozowska

bernardinum

2014

Dla Micol, Angela i Lidii.

Z całą moją miłością

Rosy Canale

Dla mojego ojca Michele'a,

członka pierwszej Antymafijnej

Komisji Parlamentarnej (1969-1976)

Emanuela Zuccalà

PROLOG

ROSY

Obudziłam się w białym pokoju.

Wszystko było białe.

Lekko przechylając głowę, próbowałam spojrzeć na swoje ciało. Moje ciało również było białe. Być może przykrywało je prześcieradło.

Pomyślałam – no tak, nie żyję. Ale w głębi siebie, w głębi tego, co ze mnie zostało, nie odczuwałam ani życia, ani śmierci.

Wszystko było białe.

A ja czułam, że ta biel mnie pożera, że rozpuszczam się w bezkolorze, którego jestem zanikającym odcieniem.

Nie byłam w stanie dostrzec zarysu łóżka, komódki, gwoździa na ścianie, okna.

Wszystko było białe.

Jeden obraz zakłóca tę absolutną biel. Nie pytaj mnie, czy to jawa, czy sen.

To mój ojciec, który wchodzi do pokoju, odwraca się w moim kierunku, patrzy na mnie, upada na podłogę.

Człowiek w mundurze chwyta go za ramiona, podnosi, wyprowadza.

Jak za białą mgłą. Twarz mojego ojca wydała mi się taka sama jak dawno temu, jak w dniu, który już wymazałam z pamięci – miałam piętnaście lat, uciekłam z domu, wskoczyłam do pociągu jadącego do Rzymu. Mój ojciec przyjechał, żeby mnie zabrać do domu. Stał tam, z moim wujkiem, na stacji metra Colli Albani, i z daleka machał do mnie ręką.

Przepraszam, nie mogę powstrzymać płaczu.

Nie pytaj mnie o nic więcej. Nic więcej nie pamiętam.

TERESA

A więc postanowiłam, że na pogrzeb ubierzemy się wszyscy na biało.

Członkom mojej rodziny powiedziałam: musimy pokonać zło. Zło zaślepia.

Biel jest czystością. Niewinnością. Głęboki ból zostaje w nas na zawsze, ale my musimy umieć przekształcać go w nadzieję i wybaczenie.

Przyjechaliśmy do kościoła ubrani na biało, aby zło się skończyło.

Mój syn Francesco był niewinny. Mój brat Sebastiano był niewinny.

Wszyscy wiemy, że to była rzeź niewinnych. Dotknęła wielu osób. Tak jak zabili mojego syna, mogli zabić dzieci którejkolwiek matki.

W Duisburgu padło sześciu niewinnych ludzi. Słuszne jest wołanie: „Dość!”, i tak samo słuszne jest, żebyśmy my, kobiety, znalazły siłę, aby powstrzymać zło.

Biel dała nam nadzieję. Pomogła nam stworzyć atmosferę przebaczenia w naszej społeczności.

Napisano, że jakoby powstrzymałam wendetę, że moja biała koszulka była przesłaniem skierowanym do kogoś konkretnego.

To nieprawda.

Biel nie była niczym innym, jak tylko zaprzeczeniem nienawiści.

Gdybyśmy nadal czynili zło i karmili nienawiść, zniszczylibyśmy się sami jako pierwsi.

ANTONIA

Proszę wejść, pokażę pani pokój Marca.

Słucham? Podoba się pani tiulowa lamówka tej białej narzuty?

Proszę sobie wyobrazić, że jest częścią posagu, tego na użytek codzienny.

Tego ranka, kiedy mój syn wyjechał do Niemiec, zmieniłam mu pościel – poszwę na kołdrę, powłokę materaca.

Nie lubię koloru białego, ale ta narzuta znalazła się wśród tkanin, które moja matka zostawiła mi w posagu. Proszę sobie wyobrazić, że nigdy nie kładłam jej na moim łóżku, nie podobała mi się.

Tamtego sierpniowego ranka położyłam ją na łóżku Marca. Tak się złożyło.

Kilka dni temu wyprałam ją pierwszy raz, po latach, i położyłam znów na łóżku małżeńskim, gdzie mój syn bawił się z bratankami, a ja śmiałam się i mówiłam mu: „Dla mnie ty też jesteś dzieckiem”.

I tak, niezamierzenie, przybrałam w biel łóżko mojego syna na krótko, zanim

został zabity.

Ta biel jest jak jego czysta dusza, jak ten mnich, który ukazał mi się trzy dni przed rzezią we śnie, w którym ktoś chciał zabić trzech niewinnych ludzi, a ja biegłam, biegłam...

Ta biel jest jak niewinność Marca. Bo mój syn był niewinnym chłopcem. I będę to powtarzać, póki starczy mi życia.



Część pierwsza

WSZYSTKO BYŁO BIAŁE

I

BOŻE NARODZENIE W DOMU RODZINY DE STEFANO

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam zabitego człowieka, miałam piętnaście lat. Albo może szesnaście. Nie pamiętam roku. Mógł być 1988.

Pod moim domem znajdował się warsztat samochodowy. Pracował w nim pewien chłopak.

Któregoś letniego popołudnia leżę wyciągnięta na łóżku w moim pokoju, nagle słyszę hałas, jakby opuszczano mocnym szarpnięciem kratę. Jakby rytmicznie uderzano w obsuwającą się blachę.

Tratatatatatatata.

Ciotka Santa, sąsiadka, krzyczy na schodach: *U 'mma zzaru, u 'mmazzaru!*

Zabili go.

W domu panuje zamieszanie. Moja matka otwiera drzwi. Wchodzi ciotka Santa i wybucha płaczem.

Podchodzimy do okna. Przy wejściu do warsztatu leży ciało chłopaka odwrócone na bok, w pozycji płodowej, w kałuży krwi, która rozplywa się w zwolnionym tempie.

Moja matka dłońmi zasłania usta, oczy ma pełne łez. Nic nie mówi. Wszyscy sąsiedzi podeszli do okien, aby popatrzeć na ten nowy akt widowiska, które miasto oferuje nam od jakiegoś czasu całkiem za darmo.

Nadjeżdżają samochody, policjanci w mundurach. Jakiś człowiek rzuca się na zwłoki i mruży coś, czego nie słyszę. Może krzyczy.

Na środku sceny pojawia się trumna, kilka osób chwyta zmarłego za ubranie i wrzuca go do środka, jak worek. Trumna się oddala.

Kobieta z pierwszego piętra wylewa z balkonu wiadro wody na kałużę krwi. Ale ta woda nie ma mocy niczego zmyć, wręcz przeciwnie, rozrzedza krew, wzburza ją w fioletowawy potok, który plugawi ulicę.

Nadjeżdżają strażacy, aby rozproszyć ten straszliwy widok.

Myślę tylko o krwi, wsiąkającej w ziemię wokół mojego domu, o tragicznym strumieniu, który na swoich falach przenosi ślady człowieka. Jego życie.

Miałam piętnaście lat. Albo może szesnaście. Reggio Calabria to był Dzikie Zachód. Żyliśmy obok śmierci. W każdej chwili czuliśmy na karku ponury podmuch, którego nie potrafiliśmy nazwać. Toczyła się właśnie druga wojna klanów.

Gdy chodziłam po ulicach, widywałam białe prześcieradła zakrywające trupy, blade dłonie i buty wystające spod całunów, przypominające, że tam pod spodem leży człowiek. Kolejny zabity.

„Bądźcie uważni, miejcie oczy otwarte, patrzcie, gdzie stawiacie kroki” – powtarzała nam moja matka z obsesyjnym uporem. Zawsze znajdowała jakiś dobry powód, żeby zatrzymać w domu mnie i mojego brata, a kiedy wychodziliśmy, obowiązywał nas bezwzględny nakaz powrotu o zmierzchu.

Ale w owym czasie 'ndrangheta rzetelnie wykonywała swoją brudną robotę. Jeżeli chodziło jej o ciebie, killer patrzył ci prosto w twarz i celował z pistoletu tylko w ciebie, nawet jeśli znajdowałeś się na placu wśród dwóch tysięcy osób. Rzadko się myliła. A dwa tysiące otaczających ciebie ludzi nic nie widziało i nic nie słyszało.

Dzisiaj 'ndrangheta jest inna. W 2007 roku w Duisburgu strzelano do całej grupy, tak jak się strzela do dzików na polowaniu w Aspromonte.

Druga wojna klanów w Reggio Calabria była konfliktem rozwiązywanym z wielką precyzją, walką między rodzinami, powolną, rytmiczną destrukcją – ty mnie, a ja ciebie; dwoje z moich i dwoje z twoich. Matematyczne obliczenia bez skazy.

Latem 1991 roku Reggio przeliczało swoich zabitych: ponad sześćuset w ciągu sześciu lat. Ziemia zamieniona w ludzką rzeźnię.

Wendeta nad Cieśniną oraz seria uprowadzeń w rejonie Locride przypominały Włochom o istnieniu mafii kalabryjskiej, postrzeganej nadal jako biedna i niewyrafinowana siostra mafii sycylijskiej. Kraj usłyszał pierwszy raz słowo 'ndrangheta latem 1955 roku, kiedy rząd wysłał z Triestu do Reggio Carmela Marzano – „żelaznego komendanta” – który miał zrobić czystkę wśród przestępców, uważanych za epigonów zbójników, a więc należących do rasy na wymarcie. Marzano łudził się, że w ciągu zaledwie pięćdziesięciu siedmiu dni udało mu się wypłenić klany, dokonawszy dwustu sześćdziesięciu jeden aresztowań i oczyściwszy

szeregi policji ze skorumpowanych funkcjonariuszy.

Państwo odśpiewało hymn zwycięstwa. Nic nie zrozumiało z 'ndranghety.

Aby zrozumieć, jak mocno klany są wrosnięte w społeczeństwo i mentalność kalabryjską, wystarczyłoby zastanowić się głęboko nad słowami Corrada Alvaro¹, wielkiego pisarza i intelektualisty z San Luca, który właśnie tamtej jesieni 1955 roku zauważał w *Corriere della Sera*: „W wyniku panującego wśród nas pomieszania pojęć, takich jak sprawiedliwość i niesprawiedliwość, błąd i prawo, legalność i nielegalność, z powodu rzeczywistych i rzekomych nadużyć tych, którzy w jakiś sposób byli u władzy, nie uważano za niewygodne pokazywanie się w towarzystwie członków 'ndranghety”.

I tak pod koniec lat pięćdziesiątych mafia kalabryjska popada w zapomnienie narodowe i może kwitnąć bez przeszkód. Bogaci się dzięki przemytowi papierosów, wyłudzeniom, wykorzystywaniu przetargów państwowych, uprowadzeniom. Aż do wybuchu pierwszej wojny 'ndranghety w latach siedemdziesiątych, tego fizjologicznego starcia między starym a nowym, które prędzej czy później dotyka każdy system. To niemożliwy dialog między pokoleniem ojców chrzestnych, takich jak Antonio Macri – człowiek staroświecki, przeciwny porwaniom i handlowi narkotykami, a wyłaniającymi się klanami z Piana di Gioia Tauro, z San Luca i Plati, rodziną De Stefano z Reggio.

Macri zostaje zabity w 1975 roku. Jego delfin Mico Tripodo kończy tak samo rok później w przychodni więzienia Poggioreale w Neapolu, uśmiercony przez killerów, którzy działają w zмовie z Nową Camorrrą Zorganizowaną Raffaella Cutolo.

Pierwsza wojna klanów pozostawia na polu bitwy dziewięćdziesięciu trzech zabitych w roku 1975, stu jeden w 1976. Zostaje przerwana, a później, w roku 1977, wznowiona zasadzką na *capobastone* Giorgia De Stefano, trafionego w plecy pośród świerków Aspromonte. Berło po nim przejmuje jego brat Paolo i następuje zawieszenie broni. Ale nie potrwa ono długo.

Urodziłam się w 1972 roku. Miałam trzynaście lat, kiedy wybuchła druga wojna 'ndranghety.

Pierwszy akt tego dramatu wystawiony zostaje 11 października 1985 roku przed siedzibą towarzystwa ubezpieczeniowego Italia Assicurazioni w Villa San Giovanni.

Antonino Imerti, zwany *Nano feroce*², stary znajomy mojej rodziny, unika wybuchu bomby w samochodzie-pułapce, który ma wyeliminować właśnie jego, a tymczasem zabija trzech jego ochroniarzy. Wtedy właśnie po raz pierwszy w Kalabrii zostaje użyta zdalnie sterowana bomba.

Mówi się, że boss z Fiumary di Muro stał się zbyt arogancki, że jego utopijne wizje o ekspansji zaczęły drażnić rodzinę De Stefano z Reggio, z którą Imerti był powiązany. Nadszedł moment, by położyć łapy na przetargach publicznych, począwszy od planowanego mostu nad Cieśniną. Gruba sprawa. Nie ma tu miejsca dla tych, którzy odstępują od reguł i wcześniej ustalonych ról.

Ale Imertiemu udaje się przeżyć, a dwa dni później czterech płatnych morderców zabija Paola De Stefano, absolutnego monarchę w Reggio. Zasadzka ma miejsce pod jego własnym domem w dzielnicy Archi, aby jasno pokazać, że rywale są zdolni przeniknąć do samego serca cytadeli króla.

Wybuchą otwarta wojna o kontrolę nad miastem. Wrogie rodziny walczą nawet o chodniki, jak w przypadku corso³ Garibaldiego, gdzie handlarze z prawej strony płacą haracz jednemu stronnictwu, a ci z lewej przeciwnej frakcji.

Mapa ma wyraźne kontury – strefa północna Archi-Pentimele, zwana Bronxem Reggio, pozostaje w królestwie rodziny De Stefano, sprzymierzonej z rodzinami Tegano, Latella z Pellaro, Barreca, Paviglianiti, Zito. Do grupy należy także rodzina Libri, która zarządza innym kawałkiem strefy północnej – bliżej centrum, w San Giovannello i w Eremo della Consolazione. Przemieścmy się wyżej, w kierunku Ospedali Riuniti – rządzi tam wroga rodzina Condello, satelita Imertich, wraz z rodzinami Saraceno, Fontana, Rosmini. Serraino to władcy wyższej strefy południowej, czyli dzielnicy Arangea, za lotniskiem. Południowa strefa wybrzeża jest natomiast terytorium rodziny Labate, która trzyma z klanem De Stefano.

Wychowałam się na południu, przy viale Calabria. Wówczas te trzy kilometry, które łączą groblę rzeki Calopinace ze strefą południową, w kierunku lotniska, były tylko stertą ziemi i kamieni. Tutaj rozciąga się królestwo rodziny Labate, od zawsze przezywanej *Ti mangiu*⁴ – niezbyt wyrafinowana metafora, pokazująca, jak bardzo się ich obawiano. Wiele razy słyszałam, jak mówiono: „*Cca non si movi fogghia*⁵, jeśli Labate sobie tego nie życzą”.

Mieszkałam z rodziną w lokalu na czwartym piętrze, między centralną a dolną częścią dzielnicy Sbarre. Mam jeszcze przed oczami niekończące się ogrody, które ustąpiły później miejsca alei i nowym budynkom.

Mój ojciec Angelo jest kolejarem, synem kolejarza; dziadek Giovanni był antyfaszystą, podczas dwudziestolecia międzywojennego nie chciał się podporządkować i zesłano go na odludzie. Babcia Rosa została sama z dziewięciorgiem dzieci, najmłodsze miało trzy lata. Od państwa dostała dwa mieszkania w dzielnicy kolejarzy, zwanej także dzielnicą Ceci, w centralnej części Sbarre. W miejscu tym skoncentrowały się bunty w 1970 i 1971 roku, czyli powstania w Reggio w sprawie przeniesienia stolicy regionu kalabryjskiego do Catanzaro, i moja babcia znalazła się wbrew woli w samym centrum historii.

Mój ojciec i moi wujowie uczestniczyli w protestach, jak wszyscy mieszkańcy Reggio, którzy wtedy to miasto kochali. Mój ojciec Angelo był jednym z tych, którzy ciskali kamieniami: w dwutomowej książce *Buio a Reggio*⁶ jest zdjęcie, na którym go widać – bardzo młodego, wśród powstańców.

Ja noszę imię po babci Rosie. Gdy patrzyłam na jej zdjęcia z młodości, zawsze wydawało mi się, że się w nich przeglądam, tak bardzo byłyśmy do siebie podobne. Nazywano ją *faccia i paradisu*⁷, ale wewnątrz kryła niespotykaną determinację. W rodzinie do legendy przeszedł epizod, kiedy jako siedemnastolatka chwyciła strzelbę ojca i po wsiach Nicotery, gdzie się wychowała, strzelała do pasterza, który ją uporczywie nękał. Kiedy dorosła i została żoną i matką, to ona zarządzała domem. To ona wydzielała porcje przy stole w czasie czarnego głodu.

W latach osiemdziesiątych Reggio wydawało się jeszcze miastem slumsów. Minęły dziesięciolecia od trzęsienia ziemi z 1908 roku, ale tym, żeby rzucić je znów na kolana, zajęły się inne zjawiska naturalne. Piętnastego października 1951 roku wylała rzeka Ancinale i górne dorzecze Petrace, rozpętując apokalipsę na południu Kalabrii: ponad siedemdziesiąt ofiar, cztery tysiące pięćset osób bez dachu nad głową, prawie tysiąc siedemset domów zmiecionych przez furję wody. W 1953 roku, znów w październiku, kolejna katastrofalna powódź: w prowincji Reggio było ponad sto ofiar, tysiąc dwieście zostało bez dachu nad głową. Śmierci te nie wywołały sensacji, ani też nie wzbudziły zaciekawienia badaczy zjawisk społecznych. Moje miasto, tak

jak cała Kalabria, było odległym miejscem, którym nie trzeba się przejmować.

Trzydzieści lat później Reggio trwało odarte ze swej starożytnej, już tylko mitologicznej urody. Gabriele D'Annunzio⁸ nazwał tutejszy nadmorski deptak „najpiękniejszym kilometrem Włoch”, z kamienicami w stylu liberty, panoramą Sycylii i wspaniałymi latarniami z kutego żelaza, które w pewnym momencie gmina postanowiła sprzedać urzędowi miejskiemu w Nicei, żeby na tym zarobić.

Moje miasto zostało okryte architektoniczną hańbą: barakowiska przetrwały od czasów trzęsienia ziemi z początku stulecia, dławilo nas budownicze bezprawie i wszechobecne śmieci.

Reggio takie już zostało, niemal pozbawione zmysłu piękna i pogrążone w bagnie bylejakości. Niewykończone domy, z widocznymi gołymi ceglami i koślawymi drutami wystającymi z cementowych słupów, tworzą krajobraz, do którego się ze smutkiem przyzwyczailiśmy, może nawet przywiązaliśmy. I wiemy, że wewnątrz wielu z tych szkieletów pyszną się marmury, połączone krany, drzwi z orzechowca i wanny z hydromasażem.

Kiedy byłam dziewczyną, o zachodzie słońca spontanicznie nastawała godzina policyjna. Po strzelaninie, w której ktoś ginął, spodziewano się reakcji rywalizujących ze sobą rodzin. Zamykaliśmy się więc wszyscy w domu.

Któregoś wieczora, gdy jedliśmy kolację na świeżym powietrzu na balkonie u mojej ciotki, zobaczyliśmy nagle wysoki płomień, po którym nastąpił ogłuszający wybuch. To sklep z owocami i warzywami wyleciał w powietrze. Napiliśmy się wody z cukrem, żeby dodać sobie animuszu i wróciliśmy do domu, skręcając w inne niż zwykle uliczki, żeby tylko nie natknąć się na policję, straż pożarną i uliczne korki.

Byłam przyzwyczajona do tego systemu. To była rutyna. Żyliśmy w samym sercu zniszczenia, w rytmicznym i ponurym napięciu. Budziliśmy się rano z tkwiącym w naszych głowach pytaniem – ilu dziś zabijają?

Pierwsze strony gazet wyglądały jak szachownice nekrologów. Zdjęcia zabitych, wydobywane z dowodów osobistych, na których spojrzenia gasną w nieruchomym wyrazie twarzy, były otoczone ramką zawsze takich samych słów. Patrzyliśmy, szukaliśmy kogoś, kogo znamy. Czasem znajdowaliśmy.

Tak nam właśnie kazali dorastać i tak żyć: państwo włoskie i panowie

'ndranghetisti. Kazali nam istnieć tak, jakbyśmy byli donicami z terakoty zmuszonymi do podróży w towarzystwie wielu donic z żelaza. My też toczyliśmy wojnę, nie chwytając za strzelby. Ogarnął nas popłoch, prawdziwy strach i niemoc. Odczuwaliśmy zmęczenie faktem, że zostaliśmy wessani do teatru, po którego scenie nikt z nas nie chciałby nigdy stąpać, ale ktoś umieścił nas w środku tego dramatu, jak statystów w scenach pozbawionych wszelkiej ludzkiej logiki.

Czuliśmy się jak dzieci gorszego włoskiego genu.

Tymczasem tak zwany *Dekret z Reggio* z maja 1989 roku, obowiązujący do tej pory, przeznaczał sześćset miliardów starych lirów na stworzenie infrastruktury i miejsc pracy na terytorium objętym przemocą. Dwudziestego siódmego sierpnia 1989 roku w Bocale został zabity Lodovico Ligato, były prezes Ferrovie dello Stato⁹. A w gminie Villa San Giovanni rozegrał się ostatni, mrozący krew w żyłach, rozdział mafijnego konfliktu – zabójstwo sędziego z Campo Calabro, Antonina Scopellitiego, sędziego Prokuratury Generalnej w Sądzie Kasacyjnym. Dziewiątego sierpnia 1991 roku Scopelliti był na wakacjach i przygotowywał oddalenie odwołań złożonych przez sycylijskich bossów skazanych w wielkim procesie przeciw cosa nostrze w Palermo. Zdaje się, że w tym przypadku 'ndrangheta kalabryjska była zbrojnym ramieniem mafii sycylijskiej, która w zamian starała się doprowadzić do podpisania zawieszenia broni między rodzinami z Reggio.

Wiele rzeczy opowiadano na temat dynamiki mafijnego pokoju, istniały nawet napuszone wersje, mówiące o autorytatywnej ingerencji z zewnątrz. Jedna z wersji głosi wręcz, że aby położyć kres drugiej wojnie 'ndranghety przyjechał wpływowy rozjemca ze Stanów Zjednoczonych. Inna wersja opowiada o bossie z cosa nostry Totò Riinie, który przekroczył Cieśninę Mesyńską w habitcie zakonnika, aby rozwiązać problem. Wersja najbardziej wiarygodna wskazuje natomiast na Antonia Nirtę *il Diplomatico*, historycznego ojca chrzestnego z San Luca, jako orędownika rozejmu i poręczyciela za rodzinę De Stefano.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o San Luca.

Konflikt pozostawił pole walki umazane krwią, ale pozbawione zwycięzców i pokonanych, a chodziło o pokój z wygody. Aby móc poprowadzić nowy, owocny biznes narkotykowy, konieczne było wygaszenie reflektorów. Koniec z trupami.

Praca została wstrzymana przez masakry, trzeba było podjąć ją czym prędzej na nowo.

Klany rozdzieliły między siebie strefy wpływów według nowych schematów. Kilka lat później, podczas wielkiej operacji Olimpia, Dyrekcja Antymafijna z Reggio napisała, że miasto zostało powierzone dwóm grupom po pięćdziesiąt procent: Condello, Serraino i Rosmini z jednej strony; De Stefano i Libri z drugiej. Utworzona została „komisja prowincjonalna” z przedstawicielami obszaru tyrreńskiego, pasa wewnętrznego, strefy jońskiej i miasta Reggio.

Na jakiś czas krew przestała brudzić moje miasto.

Skruszeni opowiadają, że podczas mediacji pomiędzy dwiema armiami fundamentalną rolę odegrał inny *capobastone*¹⁰ z San Luca, Antonio Pelle, zwany *Gambazza* – postać, która dziś, po krętych ścieżkach wytyczonych przez przeznaczenie, w końcu stanęła na mojej drodze.

Tak. Przeznaczenie jest dziwne. Prawie groteskowe, jeśli chodzi o zbiegi okoliczności, którymi ciska ci w twarz.

Byłam studentką uniwersytetu w Pizie i moje powroty do Reggio na Boże Narodzenie były podróżami nadziei. Studiowałam na wydziale języków i literatury obcej, między Placem Cudów a Piazza dei Cavalieri, gdzie wznosiła się surowo „La Normale”¹¹, nieprzenikniona twierdza elitarniej kultury. Miałam kuzyna, który studiował w Pizie. Moje losy uniwersyteckie były oczywiście podporządkowane jego obecności w mieście, mój ojciec inaczej by się na to nie zgodził.

Jak wszyscy przyjezdni studenci, w większości południowcy, koło 20 grudnia wsiadałam do *Freccia del Sud*, pociągu linii Turyn–Palermo, do wagonu drugiej klasy bez rezerwacji miejsc, i rozpoczynałam podróż do Kalabrii. Siedziałam na swojej walizce, wciskając kolana między inne dwadzieścia osób stojących w przejściu między toaletami a korytarzem. Powietrze było obrzydliwą mieszanką oddechu, potu, moczu, zastałego dymu papierosów.

Kiedy zapadał zmrok, przesuwające się pode mną szyny zaczynały intensywnie pulsować, wybijając synkopowany rytm wokół mojego ciała.

W korytarzu ktoś klął, bo ktoś go potrącił łokciem, albo dlatego, że ktoś próbował pokonać tę masę ludzką, deptając po głowach i kończynach. Ja słuchałam muzyki

z walkmana na kasety, dopóki głos Madonny nie zmieniał się w baryton, gdy baterie mnie opuszczały. Wówczas opierałam głowę o rozchwianą ścianę pociągu i starałam się odpocząć.

W sercu nocy, kiedy wreszcie krzepła zawieszona cisza, lubiłam słuchać gwizdu zawiadowcy stacji, który zezwalał na przejazd, i czuć jak pociąg nabiera prędkości. Kochałam myśl o tym, że moje ciało przemieszcza się przez odmienne krajobrazy, kiedy ja nie poruszam przy tym ani jednym mięśniem.

O świcie byliśmy już daleko na Południu – na stacji, która symbolicznie wyznaczała granicę geograficzną i emocjonalną. Na stacji tej pukanie w mikrofon anonsowało głos, który z wyraźnym kalabryjskim akcentem budził nas wszystkich z otępienia niespokojnej nocy: *'Ibbo Pizzo! Stazioni i Vibbo Pizzooooo!* Otóż to, w Vibbo Pizzo Kalabria witała mnie ponownie swoim śpiewem głosów na przydechu, przypominając, że przekroczyłam próg innego wymiaru.

Koło Bagnary pociąg skręcał i nagle pojawiał się ostro zarysowany czubek włoskiego buta i krawędź Sycylii. To było moje Reggio, w tej chwili wydawało mi się olśniewające. Podniecenie neutralizowało moje zmęczenie długą podróżą w tym bydlęcym wagonie.

Nadjeżdżałam, aby znów przejąć we władanie moje miasto.

Na dworcu czekała na mnie moja przyjaciółka Luisa. Wysoka, jasnowłosa, efektowna. Luisa była wcieleniem *femme fatale*. Mężczyźni z wątłym poczuciem wartości chcieliby mieć ją u swego boku jak trofeum, którym chwalić się można podczas uroczystych okazji. Dzieliłam z nią chleb i sen, gdy w wieku osiemnastu lat wierzyłam jeszcze, że cztery koła, dziesięć tysięcy lirów w kieszeni i światła dyskoteki wystarczą, aby podbić świat. Ale świat, ten prawdziwy, był odległy o lata świetlne od Reggio Calabria – miasta, które nie sięgało wzrokiem poza własne granice.

Z Luisą spędzałyśmy wieczory, krążąc samochodem, paląc papierosy, słuchając przejmującego głosu Mii Martini¹² i opowiadając sobie o tym, co zdarzyło się nam w dniach rozłąki.

W czasie jednego z tych wieczorów flirtowałam w pewnym lokalu z chłopakiem o słodkich oczach. Palił cygaro, dodawało mu to męskości. Nigdy wcześniej nie

widziałam go w mieście; ani jego, ani jego trzech przyjaciół: Nina, Antonia i Giuseppe. Wystarczyło nam kilka minut, żeby się zapoznać.

Ten wieczór był magiczny, od tej pory chłopak o słodkich oczach nie tracił żadnej okazji, żeby się ze mną zobaczyć. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu w lokalach i dyskotekach, jedząc ciepłe rogaliki o świcie.

Był bardzo zżyty ze swoim przyjacielem Giuseppe, przyjeżdżali i odjeżdżali tym samym samochodem i wydawało się, że żyją w symbiozie bardziej niż braterskiej.

Słodkooki używał uprzejmych słów, miał eleganckie i ujmujące maniery, jego pełne skrępowania zainteresowanie moją osobą było oczywiste. Ja się świetnie bawiłam i o niczym nie myślałam. W restauracji, w dyskotece, w barze – ja i Luisa byłyśmy zawsze mile widzianymi gośćmi dla tych rycerzy, którzy traktowali nas ze staroświecką elegancją. Słodkooki mówił mi o sobie, o swojej pracy, o tym, jak spędza dni, podczas gdy za jego plecami Giuseppe robił sympatyczne miny, żartując sobie z niego bezlitośnie.

Chłopcy pili szampana, ja, przy mojej nietolerancji alkoholu, wybierałam tylko sok brzoskwiniowy. Przy każdej kolejce zamawialiśmy jedną butelkę szampana i sok dla mnie – pod koniec wieczoru mój brzuch był jak bulgoczący staw.

Czasem jeździliśmy moim samochodem, wówczas ja prowadziłam, a Giuseppe siadał koło mnie.

Pewnego wieczoru ja i Słodkooki znaleźliśmy się sami, bez załogi. Następnego dnia zostałam przedstawiona grupie. Zwłaszcza Giuseppe traktował mnie z nieoczekiwaną serdecznością. To on był przywódcą towarzystwa, znał mnóstwo osób, wszyscy mu się kłaniali. On decydował, do którego miejsca się szło, i kiedy się z niego wychodziło.

Pewnego wieczoru zorganizował rozgrywki karciane w swoim domu, jak to się zwykło robić w okresie bożonarodzeniowym. Podobno mieszkał w willi i było tam wystarczająco dużo miejsca, żeby wszystkich pomieścić. Ja i Luisa byłyśmy naturalnie zaproszone.

Stawiłyśmy się na spotkaniu przy Piazza De Nava. Słodkooki promieniał.

Chłopcy wsiedli do samochodu pożyczonego od mojego brata, do mechanicznej pokraki – forda escorta (diesel 1600) z magnetofonem, który prawowity właściciel

traktował jak wynalazek techniki ostatniej generacji.

Pokrążyliśmy po mieście, a później ruszyliśmy do domu Giuseppe. Z pasa biegnącego tuż nad portem skierowaliśmy się na północ Reggio i przejechaliśmy przez Pentimele, obok hali sportowej. Budynek stojące wzdłuż ulicy miały niedokończone fasady, ale balkony były udekorowane bożonarodzeniowymi światłami w tysiącu kolorach. Nie było wśród nich dwóch takich samych – parada dzwoneczków, świętych mikołajów, reniferów z saniami i zwykłych kolorowych żarówek.

Giuseppe pokazywał mi drogę. Słodkooki siedział obok mnie – po raz pierwszy.

Dojechaliśmy na trasę *provinciale*¹³ i skręciliśmy w kierunku morza. Po mojej prawej stronie prześwitywała willa otoczona wysokimi murami, zasłaniającymi ją od strony ulicy.

Zaparkowałam, zgasłam silnik i zaczęłam wyciągać radio, żeby odruchowo schować je pod maskę, jak zawsze. Z tylnego siedzenia usłyszałam, jak Giuseppe mówi: „Możesz zostawić je podłączone”. „Żartujesz?”, zaśmiałam się. „Tylko tego by jeszcze brakowało, żeby ukradli radio mojemu bratu. Wiesz, co ja bym później miała?”.

A on poważnym tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam: „Możesz zostawić otwarty samochód i kluczyki w stacyjce, tutaj nikt niczego nie dotknie”. Wysiadł, a ja nadal próbowałam wyciągnąć sprzęt. Perspektywa znoszenia wrzasków mojego brata w wypadku ewentualnej kradzieży nie pozwalała mi tej sprawy zlekceważyć.

Słodkooki zbeształ mnie zaniepokojony: „Obraziłaś go, w ogóle nie myślisz o tym, co mówisz. Czy ty nie rozumiesz, kim jest Giuseppe?”.

Patrzyłam na niego oszołomiona. Mężczyzna kierował do mnie mocne słowa, których nie rozumiałam.

Weszliśmy do willi. Przy wejściu, wysoko po lewej stronie, sześć czarno-białych monitorów transmitowało obraz otoczenia budynku. Obejrzałam się na Słodkookiego: „W tym domu mają po jednym telewizorze na głowę?”. On jakby skamieniał, ja nadal się śmiałam. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że ekrany były częścią prywatnego systemu nadzoru.

Salon był ogromny i kipiał od przepychu. Każdy przedmiot był stylowy, wyeksponowany w miejscu, gdzie najlepiej wyglądał. Czekali na nas inni chłopcy, których nigdy wcześniej nie widziałam.

Popatrzyłam na Luisę. Ona popatrzyła na mnie.

Byliśmy w Archi, w domu Paola De Stefano, *capo dei capi*¹⁴, zamordowanego w 1985 roku.

Giuseppe był jego synem.

Podczas gdy mężczyźni odkorkowywali butelki szampana, tak jakby odpakowywali cukierki, stojąc w kręgu, wznosili toast za życie, za Boże Narodzenie, ale przede wszystkim za rozejm w wojnie klanów, który pozwolił im znów wychylić nosy z domów, ja i Luisa zapadałyśmy się w kwaśną miękkość zielonej kanapy. I śmiałyśmy się nerwowo.

W rzeczywistości byliśmy zdezorientowane i nieporadnie szukałyśmy sposobu, byle jakiego, żeby nie dać tego po sobie poznać. Tę straszliwą wojnę wszyscy przeżyliśmy tak, jak oni – z innej perspektywy, ale jednakowo boleśnie. Byliśmy poddani reżimowi okrutnego niepokoju, który przeniknął do naszych domów, do codziennej pracy, do naszych nocnych myśli, zanieczyszczając każdą przestrzeń zastałym smrodem przerażenia.

Pozwolono im na to. Wszyscy na to pozwoliliśmy. Wszyscy milczeliśmy. Być może dlatego, że byliśmy sami.

Co mogli zrobić uczciwi ludzie z Reggio Calabria, aby odzyskać swoje miasto? Uzbroid się? Uciec się do tego samego, skażonego języka?

Poszukując jakiegokolwiek zajęcia, które pozwoliłoby nam zacząć myśleć o czymś innym, ja i Luisa zaczęłyśmy bezmyślnie obliczać wartość domowego wyposażenia, przeliczając je na ludzkie życia. Ona mi mówiła: „Widzisz tę kanapę? Jeśli ją wyciśniesz, wypłynie krew, kosztowała przynajmniej pięciu zabitych. A żyrandol? Popatrz na niego. Przynajmniej dziesięciu zabitych”.

Ogarniała mnie wściekłość. Odczuwam ją nadal po dwudziestu latach, kiedy myślę o tamtym wieczorze. A tymczasem Słodkooki, stojąc koło stołu, uśmiechał się do mnie z triumfalnym wyrazem twarzy, jakby chciał mi powiedzieć: „Widzisz, gdzie cię przyprowadziłem?”.

Pragnęłam uciec jak najdalej, ale nie chciałam, żeby zauważyli moje zdegustowanie i pełen bólu dystans.

Obok Giuseppe stała cały czas dziewczyna – najmłodsza z czterech sióstr, najbardziej z nich lodowata, zupełnie wyjątkowa. Znałyśmy się od małego, jak wszyscy rówieśnicy w mieście, ze wspólnych imprez i spacerów – z życiowych spotkań pozbawionych treści. Ona już wybrała swoje przeznaczenie i podążała za nim z uporem zakochanej kobiety. Pragnęła tylko jego – Peppe, który zgodnie z zasadami 'ndranghety miał poślubić pewną młodą dziewczynę z San Luca. Takie wówczas krążyły głosy. Ale jej udało się naruszyć wzniosłe umowy i zamazać obietnice wyryte w kamieniu, żeby tylko mieć go dla siebie – sytuacja wyjątkowa, niemal wywrotowa dla wielkiego rodu 'ndrine. Prawdziwa miłość, która umiała pokonać nawet aranżowane małżeństwo, dzięki któremu miało się zawiązać nowe przymierze.

'Ndrangheta wiele traciła ze swego feudalnego dziedzictwa, utkanego z kodeksów i nienaruszalnych rodowych rytuałów, kawałek po kawałku. Następową biologiczną metamorfoza, nadejście nowych pokoleń kładło kres niektórym ceremoniałom, lub raczej wybierało ze zbioru ojcowskich praw te, które dało się przełożyć na nowoczesne strategie kryminalne, pozostałe były jedynie obciążeniem. I jasne było, że Giuseppe De Stefano cieszył się na tyle ważną pozycją, żeby samemu wymyślać nowe reguły, łącznie z tą pozwalającą mu na niezależny wybór kobiety, którą poprowadzi do ołtarza. Jego władza nie wymagała żadnych układów.

I tak oto wielka miłość tej dziewczyny stała się dla niego wielkim krzyżem.

Nie wybiera się mężczyzny, którego się pokocha, tak jak nie możemy wybrać miejsca, w którym się rodzimy, ani nazwiska, jakie nosimy. Dzieje się to po prostu i nie może być niczyją winą. Ale pokochać mężczyznę o niewygodnym nazwisku jest rozdzierające. Będziesz wyczekiwać, wstrzymując oddech, aż ktoś zapuka do drzwi i ci go odbierze, a każda spędzona z nim chwila może być tą ostatnią. Wydasz na świat dzieci, zdrowych nosicieli tego nazwiska i tej historii, dzieci, które naznaczone zostaną na zawsze jako mafijni spadkobiercy. A ty sama skończysz jak niewolnica czasu zawieszona między jednym więziennym widzeniem a drugim, przez szybę wstawioną na mocy ustawy 41 bis¹⁵, po której twoje pieszczoty mogą się tylko ześlizgiwać, a te pięćdziesiąt dziewięć minut pełne wypranych słów wyda ci się

nieskończonością, ponieważ trwać będą w twoim umyśle przez kolejne trzydzieści dni, jak automatyczna sekretarka, która powtarza na okrągło te same słowa, zanim odezwie się prawdziwy głos. Będziesz spać sama w łóżku pozbawionym namiętności i uczuć, pod ciężarem tysiąca myśli, które będą wędrować po twojej poduszce jak armia jadowitych mrówek.

Gardzę zabójcą, ale nie osądzam kobiety, która kocha i która zawsze znajdzie powód, aby iść przed siebie. Bez względu na to, czy to prawdziwa miłość, czy choroba.

Poznałam wiele kobiet będących w związku z mężczyznami ze świata przestępczości zorganizowanej. Myśląc o ich miłości, zastanawiam się, jakie bogactwo i jaka władza mogłyby kiedykolwiek zrównoważyć czas poszarpanego życia, spędzonego na czekaniu i na wychowywaniu dzieci, które teraz są już sierotami. Gubiąc powoli ślady mężczyzny, którego się kocha, wśród tylu podsłuchanych, odczytanych, poronionych słów.

Często dziewczęta nie są świadome tych straszliwych komplikacji lub po prostu wolą ich nie zauważać, uwiedzione i pochwycone przez środowisko wszechmocy oraz łatwych i obfitych pieniędzy. Więzienie i samotność mającą tylko czasami jak dalekie widma. Są to jednak rzeczywiste etapy wytyczonego szlaku – nieuniknionego przeznaczenia.

Zastanawiam się też, czy miłość kobiety ma tyle siły, żeby odkupić złowrogi i krwawy wybór mężczyzny, czy też zbrodnia to wrodzone powołanie, którego nie sposób odrzucić. Nawet jeśli się patrzy prosto w oczy własnej żonie i dzieciom.

Giuseppe De Stefano został pozbawiony władzy rodzicielskiej jeszcze przed aresztowaniem. Było to zarządzenie bez precedensu we włoskim systemie sprawiedliwości, wydane przez sąd dla nieletnich w Reggio Calabria, który w październiku 2008 roku pisał o nim: „Zbyt długi okres życia w ukryciu pozbawił jego dzieci niezbędnej figury ojca i roli, jaką jest on powołany odgrywać w zrównoważonym kształtowaniu ich charakteru”. Poza tym istniało ryzyko, zdaniem sędziów, że tego typu rodzic „sprawi, że dzieci staną się niewolnikami logiki zachowania i władzy mafijnej”. Był to policzek wymierzony przez sprawiedliwość *'ndrinom*¹⁶, które na prokreacji, także podczas życia w ukryciu, opierają ciągłość

swojego dominium.

Decyzji tej nie podzielała jednak żona, ona wytrwała u jego boku aż do samego końca. Była razem z nim i dwojgiem dzieci w dniu jego aresztowania, 10 grudnia 2008 roku, w mieszkaniu w dzielnicy Pietrastorta w Reggio. De Stefano miał trzydzieści dziewięć lat i ukrywał się od 2003 roku, skazany za handel narkotykami, przynależność do grupy przestępczej o charakterze mafijnym i zabójstwo.

Wiele razy wyobrażałam sobie, że z nim rozmawiam, ja i on na wzgórzu Fortino di Pentimele, które wznosi się nad Reggio – twarzą w twarz, jesteśmy sami, nieuzbrojeni, bez podsłuchów i świadków, na środku ogromnej polany, przed nami Sycylia na wyciągnięcie ręki, a za plecami nasze miasto – paradoksalnie wspólne tło dla naszych historii z dwóch przeciwległych biegunów. Wyobrażam sobie, jak spoglądam mu w oczy, już bez masek i osłon, i pytam: „Dlaczego? Po co cały ten ból, od którego ty sam nie zdołałeś się uchronić?”.

Przemoc pozostawiła bruzdy od swoich szponów na naszym ciele. Nasze dusze są przykurczone od kopnięć i pięści tych, którzy chcieli nam rozkazywać. Ale czyżby ten, kto uderzył pięścią, zapomniał już o moich ustach pełnych krwi tamtej wiosennej nocy? Czy moje jęki rozplynęły się w nurtach Cieśniny, czy też rozbrzmiewają jeszcze w jego uszach jak ponura pieśń pogrzebowa?

Nie mogę, nie chcę w to uwierzyć – czy naprawdę staliśmy się tak nieludscy?

Kto wie, czy De Stefano pamięta ostatnie słowa, jakie wypowiedział Giuseppe Spinella, zanim na jego oczach osunął się na ziemię. Trzydziestoletni przyjaciel zmarł 2 września 1994 roku w kanale pod via Lia, za dzielnicą Archi. Kolejny chłopak, którego znałam, wyeliminowany podczas próby siły. Spinella wszedł do dyskoteki uzbrojony w pistolet, wystrzelił w powietrze, ludzie rzucili się w panice na podłogę. Władcy terytorium nie mogli pozwolić, żeby ktoś się zachowywał jak pan i władca w ich własnym domu.

Kto wie, czy De Stefano pamięta jęki przyjaciela, który na klęczkach odliczał ostatnie chwile, zanim nie dobił go strzał w głowę. Jakie to wykroczenie mogło stanowić równowartość życia młodego przyjaciela i ojca?

Gdyby tylko zechciał, Giuseppe De Stefano mógłby zapisać nową stronę historii Reggio Calabria. Postanowił jednak nadal plamić krwią dziennik naszego życia.

I ja też musiałam ją przelać.

Aż do chwili aresztowania uznawany był za absolutnego władcę 'ndranghety nad Cieśniną. W 2010 roku w protokołach śledztwa *Meta*¹⁷, prowadzonego przez Antymafijną Dyрекcję Śledczą w Reggio, jeden ze skruszonych, Roberto Moio, opisuje go jako najbardziej wpływową postać w mieście, stojącą na „bardzo wysokim stopniu w hierarchii 'ndranghety, niezależną od wuja Orazio", który był z kolei zbyt uzależniony od innych rodzin. Ale nie Giuseppe, on woli działać sam, bo wie, że żaden inny klan nie dorównuje jego władzy. Jest jedynym autentycznym spadkobiercą ojca Paola i jego dynastii.

Dwudziestego kwietnia 2011 roku w więzieniu w Tolmezzo, gdzie jest przetrzymywany zgodnie z ustawą *41 bis*, były boss z Archi prosi, aby wysłuchali go prokurator Giuseppe Lombardo i ówczesny szef prokuratury w Reggio, Giuseppe Pignatone. Jest to końcowa faza dochodzenia *Meta*, którego za daniem była rekonstrukcja hierarchii 'ndranghety i przeświecenie nowych struktur przestępczych w Reggio w ostatnim dwudziestoleciu.

Przed sędziami De Stefano wypiera się swojej przynależności: „Ja z 'ndranghetą nie miałem nigdy nic wspólnego i nikt" – mówi – „nikt nigdy nie podszedł do mnie, żeby zapytać, czy chcę należeć do 'ndranghety, czy nie".

Podobna przemowa, aż nazbyt klarowna w obronnym zaprzeczeniu, nigdy nie padłaby z ust ojca chrzestnego dawnego pokolenia. Taki był jego brat Carmine, aresztowany w 2001 roku w dzielnicy sypialnej w Arghilla, północnej części Reggio, gdzie stoją domy komunalne i mieszkają Cyganie. Nadjeżdża policja, otwiera drzwi, mężczyzna staje w wejściu nieuzbrojony, jak przystoi prawdziwemu *capo*¹⁸. Pytają go: „Czy pan jest Carmine De Stefano?". On odpowiada: „Tak, jestem synem świętej pamięci Paola", i wyciąga ręce, żeby mogli mu założyć kajdanki. Nie ucieka, nie dodaje zbędnych słów, nie pyta. Człowiek honoru do samego końca. Opowiadał mi to ktoś, kto był tam w chwili aresztowania i uczestniczył w tej filmowej scenie w stylu *Ojca chrzestnego*. Godnej mężczyzn stojących ponad czasem i ponad rzeczywistością, którzy chcą zmienić bieg historii.

Giuseppe De Stefano nagle naprawdę zmienia historię Reggio Calabria, gwałtownie zaprzecza swojej wszechwładzy, mówi, że skruszeni bredzą, gdy

twierdzą, że podczas pobytu w więzieniu został rzekomo awansowany na stanowisko *crimine* w organizacji. *Crimine* razem z *contabile* przyjmują rozkazy wyłącznie od *capo bastone*, najważniejszego władcy terytorium. *Contabile* inwestuje pieniądze i wypłaca pensje członkom, *crimine* zarządza tak zwaną grupą ogniową i brudzi sobie ręce, planując zbrodnie korzystne dla dobrobytu lub bezpieczeństwa *'ndriny*, czyli rodziny przestępczej.

Ale on temu zaprzecza. Oczyszcza całą trzydziestoletnią sagę swojej rodziny, począwszy od legendarnej triady braci honoru, noszących przezwisko brzmiące jak homerycki epitet – *Arcoti*, pochodzące od nazwy zarządzanej przez nich dzielnicy Archi: Giovanni De Stefano, zabity w 1974 roku przez oddział komandosów rywala Mica Tripodo w *Roof Garden*, barze na deptaku nadmorskim w Reggio, Giorgio De Stefano, zabity w 1977 roku w zasadzce w Aspromonte, Paolo De Stefano, ojciec Giuseppe, zabity w 1985 roku przed własnym domem.

„Płacę wysoką cenę”, mówi jeszcze do prokuratora Lombardo. „Dziś pragnąłbym tylko dużo, bardzo dużo pogody ducha i prawowitości dla moich dzieci, bo ja jej już mieć nie mogę”. Schować się w cieniu, oto czego by chciał. Albo zniknąć, teraz, kiedy wszystko zdaje się być skończone: „Nie ma w tym żadnej manii wielkości”, podkreśla. „Bo jeśli chodzi o manię wielkości, to my... Moja rodzina wie lepiej niż inni, co to znaczy cierpienie spowodowane nazwiskiem, wielkością, historią”.

Ale jakie to nazwisko, jaka wielkość, jaka historia?

„A kto dowodzi w Reggio?”, pyta go prokurator.

„*Dottore*, kto dowodzi w Reggio?”, otrząsa się nagle De Stefano. „Co za pytania mi pan zadaje, *dottore* Lombardo? Ja mam to panu powiedzieć? To pan mi może powiedzieć...”

„Pytam pana i ma pan prawo nie odpowiadać”.

„Poraził mnie pan tym pytaniem, *dottore*... Kto dowodzi w Reggio... Piękne pytanie mi pan zadał...”

¹ Corrado Alvaro (1895-1956), włoski pisarz i dziennikarz, w latach trzydziestych XX wieku występował przeciw faszyzmowi, przez co musiał opuścić Włochy, do których powrócił dopiero po zakończeniu II wojny światowej. Jako jeden z pierwszych pisarzy zaczął pisać o kalabryjskiej mafii (przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

² Okrutny karzeł (wł.).

³ Corso (wł.) – główna ulica w mieście, aleja.

⁴ Zjem cię (dial. kalabr.).

5 Tu nawet liść nie zadrży (dial. kalabr.).

6 *Ciemność w Reggio* (wł.).

7 Rajska twarz.

8 Gabriele D'Annunzio (1863-1938) – jeden z największych pisarzy i poetów włoskich, uważany często za prekursora włoskiego faszyzmu, był dowódcą oddziałów ochotniczych, które zajęły miasto Rijekę. Po sojuszu Włoch z III Rzeszą odszedł od Mussoliniego. Jego najsłynniejsza powieść to *Triumf śmierci*.

9 Koleje Państwowe.

10 *Capobastone* – głowa lokalnej rodziny mafijnej w Kalabрії.

11 „La Normale” – jedna z najbardziej prestiżowych włoskich uczelni, założona w Pizie przez Napoleona w 1810 roku.

12 Mia Martini – (1947-1995) włoska piosenkarka, tragicznie zmarła w Rzymie, popularna przez prawie cztery dziesięciolecia, znana z niezwyklej wrażliwości, wywarła ogromny wpływ na współczesną muzykę włoską.

13 Provinciale – droga regionalna.

14 *Capo dei capi* (wł.) – dosł. szef szefów: szef mafii, najwyżej stojący przywódca mafijny.

15 Ustawa wprowadzająca ostry reżim więzienny dla członków mafii.

16 *'Ndrina* (dial. kalabr.) – rodzina; podstawowa jednostka mafii kalabryjskiej będącej siecią powiązanych ze sobą rodzin.

17 Z wł. „meta”, nazwa jednego z procesów śledczych dotyczących przestępczości mafijnej.

18 *Capo* (wł.) – szef, przywódca.

II KATEDRA

Urodziłam się pewnego majowego dnia w Reggio Calabria, w miejscu mojego przeznaczenia, gdzie miałam dorastać tak jak moja matka, moje babki, ciotki i wszystkie inne kobiety z mojej rodziny. Być może było zapisane, że tam też miałam umrzeć.

Moja matka Lidia miała trzydzieści sześć lat – późny poród jak na kobietę z Południa na początku lat siedemdziesiątych. Jej młodsze siostry i kuzynki były mężatkami i matkami już od jakiegoś czasu, ale ona początkowo wybrała drogę modlitwy i medytacji.

Lidia urodziła się w Fiumarze di Muro, wiejskim miasteczku niezbyt oddalonym od Villa San Giovanni, portowej osady, gdzie wsiada się na pokład promu płynącego w kierunku Sycylii. Przedostatnia z siedmiorga dzieci, trzecia z trzech sióstr, była najbardziej związana z rodziną. Kobieta wątła, drobnej budowy, o bardzo długich włosach, które spływały splecione w warkocze wzdłuż jej bioder. Posłuszna, pełna szacunku i pracowita. Mawiano o niej: *Bucca avi e parola no¹*.

Lidiuzza dorastała powściągliwa – różaniec w dłoni, szerokie spódnice w kwiaty i buty na obcasie *fler* przywiezione w prezencie przez mojego dziadka z podróży na Północ. Miała szczere oczy i spojrzenie kogoś, kto został wychowany do zaufania – Bogu, braciom, ojcu. Zawsze był w to zamieszany jakiś mężczyzna. Ktoś, kto by ją prowadził, kontrolował, upoważniał.

Lidia modliła się, haftowała, a w letnie popołudnia spacerowała z kuzynkami aż do tabernakulum Świętej Mateńki naprzeciw miasteczkowej poczty. Jeszcze teraz do jej najdroższych zdjęć należą te, na których jako dziewczyna uśmiecha się, oparta o murek ogrodzenia, i trzyma w dłoni kwiaty lawendy i różyczki, które przynosiła do kościoła w porze nabożeństwa. Jej życie toczyło się między klasztorem sióstr a ostatnim pokojem po lewej stronie za salonem z kamienną posadzką w dużym domu przy via Tobruk. Aż spotkała mojego ojca.

Jej matka, babka Maria, wychowywana była przez bezdzietną ciotkę. Kiedyś był

taki zwyczaj, że jeśli w rodzinie była bezpłodna siostra, jedno z siostrzeńców czy bratanków mieszkało razem z nią. Adopcja w obrębie tej samej rodziny, bez papierów, bez sądów, wzmacniała więzy rodzinne.

I zdarzyło się, że pewna ciotka zabrała do siebie Marię i zamieszkały w Bovalino nad morzem, tuż pod San Luca. I dorosła na wzgórzach Aspromonte. Tam nauczyła się modlić, haftować i gotować – jak wszystkie kobiety z okolicy.

Moja babcia dobrze знаła sanktuarium w Polsi. Była tak oddana Matce Boskiej Górskiej, że nie przepuszczała żadnej okazji, aby Ją przyzywać i składać Jej dziękczynienie. Kazała mi siadać na schodach między dwoma wejściami, gdzie powietrze jest chłodniejsze i opowiadała mi, jak co roku, odkąd pamięta, w pierwszych dniach września wyruszała pieszo w nocy, z chlebem zawiązanym w chustkę, do „Pięknej Panienci” z kumą z San Luca, która ją bierzmowała. Od dziecka Maria miała za zadanie trzymać w dłoni pochodnię, która nie była niczym innym jak gałęzią drzewka cytrynowego z ciasno przywiązaną na czubku szmatką z juty, nasączoną smołą. Wujek szedł u jej boku, ale to ona prowadziła grupę, ostrzegała przed dużymi kamieniami, chłodnymi strumykami i korzeniami. *Dda puzza l'aiu ancora nto nasu²*, mówiła mi. Zdawało jej się, że czuje jeszcze w nozdrzach uderzający zapach spalonej smoły.

Znała ścieżkę wśród skał jak własny dom i śmiejąc się, wyznawała mi przyciszonym głosem, że nawet z zawiązanymi oczami odnalazłaby właściwą drogę do Polsi. Ta ścieżka rozpościerała się najpierw w niej, a dopiero później w lasach Aspromonte.

Opisywała płynący przez gęstą czerń dębów strumień pochodni, które poruszały się jak wibrujące świetliki. Śpiewy i modlitwy intonowane przez kobiety podczas drogi w lekkim poblasku księżyca. Wiele z nich składało śluby, że dojdą aż do sanktuarium boso, a później podejną do ołtarza na kolanach, płacząc i modląc się. Niektóre sunęły nawet po podłodze językiem od wejścia do kościoła aż do gabloty, która osłania Najświętszą Matkę.

Była pierwsza połowa dwudziestego wieku.

Dom Marii miał troje dużych drzwi wychodzących na ulicę. Środkowym wejściem przechodziło się do domowego korytarza, natomiast z lewej strony

kamienne schody o wysokich i nieregularnych stopniach prowadziły na niższe piętra, które były odrębnymi galaktykami. Pokonując pierwszą rampę, napotykało się okno bez szyb i okiennic, zakryte tylko kratą z zardzewiałego żelaza, przy którym wyobrażałam sobie zawsze, że znajduję się w prawdziwym zamku. Dostępu do składu ziaren pilnowały ciemne i kruche drewniane drzwi, pożarte przez korniki i upływające lata, na których wisieli święci Kosma i Damian oraz Matka Boska Karmelitańska. Wysoko, jako ochrona, dominował święty Michał Archanioł.

Było to wejście do komnaty sekretów, Maria trzymała tam nasiona, stare meble, skrzynie wypchane ubraniami, a później beczki, równo ustawione po prawej stronie. Ściany nosiły na sobie ślady czasu, podczas gdy z dachu opadały w szeregu wieńce pomidorków jak naszyjniki z cynobrowych pereł, dodające barw zimie. Przez inkrustowaną szybę spiżarni dostrzegałam skorupy fig, które moja babcia nawlekała na pałeczki z trzciny rzecznej – suszyła je latem na lnianych prześcieradłach rozpostartych na starych sieciach, nakrywszy je białym tiulem, aby nie zjadły ich muchy.

Schodząc po schodach, cieszyłam się już zapachem tej nieprzebranej przestrzeni, która miała posmak moszczu, drewna i starości. Tam nawet kurz miał swój smak i wartość.

Na coraz niższych stopniach prowadzących do kurnika stały worki pełne pszenicy i twardej żółtej kukurydzy. Maria brała po trochu z każdego worka i mieszała wszystko w dużym, brzydko pachnącym wiadrze, w którym leżały resztki jedzenia z bieżącego dnia i szykowała posiłek dla zwierząt. „Dzień dobry paniom”, ze śmiechem witała wysiadujące kury, siedzące równo na drewnianych piętach jak w pociesznej ptasiej kamienicy. Umierałam ze strachu, że mnie podziobią, ale moja babcia brała mnie za rękę i prowadziła za sobą, a ja zbierałam jajka, które układałyśmy później w głębokim koszyku wyłożonym liśćmi jak miękką poduszczką. Zbierałyśmy ich zawsze bardzo dużo, a w drodze powrotnej Maria chciała, żebym to ja niosła cenny łup, ona zaś trzymała mnie za rękę.

Ten dom był katedrą. Każdy kąt, tam gdzie to tylko było możliwe, ustrojony był świętymi i Maryjami.

W jadalni, która wychodziła na piazza di Fiumara, dwa ogromne obrazy ze świętą

Łucją i Matką Boską Bolesną wisiały nad kredensami. Obrazy niepokojące, w posępnych barwach, które doskonale oddawały męczeństwo jednej i cierpienie drugiej. Dominowały nad pokojem jak skrzydła ołtarza w miejscu kultu, nadając wnętrzu atmosferę absolutnej surowości.

Nizej, zawieszony na maszynie do szycia i pokryty przezroczystą torebką, wisiał kalendarz z ojcem Pio, a w nim zdanie, które towarzyszyło mi przez całe życie: „Kiedy się kocha, poświęcenie nie istnieje”. W niedzielne popołudnia, gdy siedziałam przed ogniem pachnącym skórką pomarańczową, na tym zdaniu uczyłam się czytać, rozpoznawać samogłoski i spółgłoski. Sens słów dotarł później. Kiedy zostałam matką.

Obok kalendarza zakonnika – Matka Boska odcinająca się od niebieściutkiego tła nieba. Tło kłóciło się z przypalonym i nasyconym brązem figurki, jej oblicze było ciemne, wyraz twarzy kamienny. W porównaniu z łaską i łagodnością, jakie wyrażały przedstawienia Maryi Panny, do których byłam przyzwyczajona, ta była tak grubiańska, że wydawała mi się wręcz brzydka. I zastanawiałam się, czy Matka Boska może być brzydka.

Repertuar świętych obrazków w tym domu był tak różnorodny, że z biegiem czasu zdobyłam w tej kwestii wiedzę akademicką. W pokoju Lidii była nawet Matka Boska z Loreto, wizerunek Maryi Panny rozświetlony przez Rafaela w szesnastym wieku, prawdziwa perełka dla pasjonatów. Ale spośród nich żadna nie wydawała mi się tak szorstka jak brązowa Matka Boska, która kaleczyła niebieskie niebo. Była to słynna Matka Boska Górską w – delikatnie mówiąc – potwornej reprodukcji z tego okresu.

A jednak to ona była Piękną Panią, obok której wyrosła Maria. Świętą Matką, która popychała ją nocą do lasu z kawałkiem chleba nasączonym oliwą w chusteczce zawiązanej u boku. Kiedy opowiadała mi o marszu, o kościółku wbitym w stromą dolinę, o śpiewach i tarantelach³ świętujących ludzi, umiałam sobie pięknie wyobrazić wszystko, oprócz tej Matki Boskiej, której nadal się bałam.

Któregoś dnia znalazłam w szufladzie mniejszą ikonę Matki Boskiej z Polsi. Miała bardziej ludzkie oblicze, ale była pokryta zbyt dużą ilością złota, była tak nim obwieszona, że nie byłam w stanie wyczuć jej ciała, tak jakby głowa wystawała

z bezkształtnej i krzykliwej bryły naszyjników i biżuterii. Zaniepokoiła mnie jeszcze bardziej. Pobiegłam do babci i zapytałam ją: „Dlaczego ta Matka Boska jest bogata, dlaczego ma to całe złoto na sobie? Co Matce Boskiej po złocie?”. Ona mi odpowiedziała: *Beni meu, a Maronna non voli ricchizzi, voli i preghieri. I ricchizzi su dda terra, i preghieri su ddu cielu*⁴. Mówiła mi, że to była wola ludzi, że obwieszali ją darami, aby podkreślić Jej wielkość – gest, który służył bardziej im samym, niż Matce Boskiej, ponieważ w niebie bogactwo jest pojęciem nieznanym.

Maria chodziła do kościoła co rano o wschodzie słońca, odmawiała różaniec o zachodzie i nie było kęsa, który podniosłaby do ust, nie podziękowawszy przedtem Bogu Ojcu. Jeden z jej braci był kapłanem, powód do chluby dla wszystkich krewnych. Nigdy nie słyszałam, żeby wymawiali jego imię. Dla wszystkich był tylko „wujkiem księdzem”, duchownym, i nikim więcej. Wybór wiary wyniósł go na byt wyższy niż ludzki, był stróżem przymierza między dalekim niebem a całą ziemską rodziną. To on złączył moich rodziców w sakramencie małżeństwa w kaplicy Sakramentów w katedrze w Reggio Calabria.

Moja babcia była kochana w miasteczku, jej ogród warzywny rodził zbiory, a jej dłonie cudownie je mnożyły, tak jak kurze jajka. Była wodą i chlebem dla wszystkich, punktem odniesienia dla najsłabszych, o których troszczyła się z wielką miłością. To było jej głównym powołaniem. Często od sióstr zakonnych przejmowała pod opiekę posagi osieroconych dziewcząt i szukała owym pannom mężów. Mój dziadek szemrał, ale ona zawsze znajdowała sposób, żeby go udobruchać: „Nino, kilogram mąki *a nui non ndi cambia nenti*⁵, ale dla biednej mamy *i famigghia 'nci faci a iurnata*⁶”. Kilogram mąki może zmienić twój dzień.

W sierpniu, w czasie procesji Matki Boskiej Karmelitańskiej, figura była stawiana na chwilę przy furtce Marii. Ona się kłaniała, krzyżowała dłonie na piersi, aby później skierować je ku niebu, przyzywając opiekę Maryi Panny dla swoich dzieci, dla wnucząt i dla wszystkich dobrych ludzi.

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałam, jak ktoś wymawia słowo 'ndrangheta. Prawdopodobnie byłam w brzuchu matki. Miasteczko, w którym mieszkała nie było znane tylko z tego, że urodził się w nim piosenkarz Mino Reitano⁷, który zresztą był kuzynem Lidii i temu wspólnemu miejscu ich dzieciństwa

dedykował piosenkę *Gente di Fiumara*. Tutaj urodził się również Antonino Imerti zwany *Nano feroce*, opisywany przez czarne kroniki jako bezlitosny i bystry strateg świata przestępczego. Był jednym z uczniów mojej matki na katechezie. „Czego ty nauczyłaś tego chłopaczka?“, śmialiśmy się ja i mój brat. A Lidia, niewinna i skupiona na wyblakłych wspomnieniach, przekonuje do dzisiaj: „To był dobry chłopiec, jego rodzina to przyzwoici ludzie”.

Antonino Imerti odziedziczył berło po don Ciccio i don Rocco Furcich, wielkich starcach z Fiumary. Mówi się, że w jego ślubie z nauczycielką ze szkoły podstawowej uczestniczyli mafiosi z Palermo i Katanii, nie mówiąc o kilku przedstawicielach kamorry. Żeniąc się z kobietą, która nosiła nazwisko Condello, Imerti przypieczętował porozumienie z kolejnym słynnym klanem.

Nano stał w centrum pajęczyny mafijnej z odgałęzieniami nawet w Kanadzie, ale w wyniku pokoju mafijnego z 1991 roku w Reggio stracił swoją pierwszoplanową rolę w chaotycznej rywalizacji między ówczesnymi *'ndrinami*. Po drugiej nieudanej próbie zamachu, który miał go wyeliminować, 7 lipca 1986 roku dostał kulkę w prawą nogę i zniknął na długie lata. Aresztowano go razem z jego szwagrem, Pasquale Condello, w marcu 1993 roku w pobliżu Fiumary, niedaleko jego własnego domu. Nazwisko Imerti pojawiało się w dochodzeniach dotyczących zabójstw sędziego Antonia Scopellitiego i Lodovica Ligato. Jego żona Giuseppa Condello została aresztowana już w grudniu 1990 roku, a później skazana za przynależność do grupy mafijnej – jeden z rzadkich przypadków figury kobiecej z wiodącą rolą wewnątrz *'ndranghety*.

Tymczasem ukrywający się *Nano feroce* złożył w sądzie przysięgłych w Reggio trzydziestostronicowy memoriał, spisany odręcznie na kartkach w kratkę, w którym deklarował: „Nie jestem mafiosem, ani buntownikiem, ani antyspołecznikiem. Jeśli popełniłem jakieś błędy, zrobiłem to w młodości”.

Moja matka Lidia wie, zawsze wiedziała. Jak wszyscy. Ale nie może tego zaakceptować. Odrzuca myśl o kryminalnej działalności osób, które najpierw widziała jako ludzi, a później jako władców ludzi. Wyczytuję to w jej spojrzeniu, w twarzy, która smutnieje za każdym razem, kiedy o tym rozmawiamy. Ona odsuwa myśli o tej rzece dusz umazanej krwią, często niewinną, która na jej oczach

przelewała się, brudna, przez kamieniste drogi jej ukochanego miasteczka.

Lidię zawsze bolało, kiedy słyszała, jak mówi się o Fiumarze jako o kolebce przestępczości. Ona, intensywnie żyjąca tym miejscem, budująca swoje marzenia, otoczona prostymi przedmiotami i nawykami, wypełniająca czas tym, co małego i cennego Fiumara mogła zaoferować – mikroświat naturalnych relacji, wzajemną gościnność, wiarę i miłość. Trudne, a właściwie prawie niemożliwe było pogodzenie się z faktem, że tak przytłaczające zło mogło pochodzić od osób, z którymi dzieliła swoją codzienność.

Oto dlaczego Lidia wszystkich z czarno-białej epoki wspomina z miłością, w której każdy zostaje unieśmiertelniony jako „przyzwoity człowiek”. To wygodna fotografia, jedyna, jaką moja matka pragnie zachować w pamięci. Ponieważ nie boli.

W Fiumarze don Ciccio Furci był osobą szanowaną. Znaną i uznaną. Wiadomo było, że prowadzi szemrane interesy, ale były to wyłącznie jego sprawy. W miasteczku niektórzy trzymali się blisko niego, inni pozdrawiali go z należytej odległości.

W pewnym momencie zdarzyło się, że brat babci Marii, wujek Nino, ożenił się z siostrą don Ciccio – ciotką Concettiną, kobietą drobną i wielce cnotliwą. Z domu nazywała się Furci, ale wujek Nino nie pozwolił nikomu w tym przeszkodzić i ślub się odbył. I tak moja matka dorastała razem ze swoimi kuzynkami, wnuczkami *du capu*⁸, traktowanymi z wielką czcią w miasteczku.

Zdarzało się nieraz, że kiedy Lidia szła do sióstr zakonnych, don Ciccio siedział przed domem, zajmując z tłumem mężczyzn opartych plecami o mur obydwa chodniki na swego rodzaju miasteczkowym biwaku, pełnym pogaduszek i papierosów. Moja matka musiałaby przejść przez ulicę, przepychając się między mężczyznami różnego wieku i przynależności. To nie było przyzwoite. Zwłaszcza dla dziewczyny z jej figurą – smukłą, ale o obfitym biuście, zatrzymującym na sobie męskie spojrzenia przez zbyt długi czas. I tak Lidia, *bucca avi e parola no*, przestała się kłaniać bossowi i zaczęła chodzić inną trasą, mimo iż droga do oratorium w ten sposób się wydłużała. Don Ciccio zauważył to i pewnego dnia podszedł do niej.

„*Commarella*, czy masz jakiś żal, że się nie witasz?” Lidia śmiała mu odpowiedzieć: „Oczywiście! To nieobyczajne, żeby – widząc przechodzącą kobietę –

ci mężczyźni nie mieli na tyle przyzwoitości, aby się usunąć na bok i ją przepuścić. Czy mam ich może prosić o pozwolenie, żeby przejść ulicą mojego miasteczka, *compare*? Wy przykładacie tyle uwagi do moich kuzynek, waszych wnuczek, może *ieu non meritu u stessu rispettu*⁹. Dziwię się, gdyż znany jest pan jako *n'omu di rispettu*"¹⁰.

Don Ciccio wydał się zdziwiony, nigdy nie spodziewałby się takiej śmiałości po tej dziewczynie, która zawsze wydawała mu się delikatna i lękliwa. Usłyszawszy, jak wyciąga nawet argument szacunku wobec kobiet w rodzinie, zaczął ją przeproszać, na co moja matka, oburzona i zdenerwowana, odwróciła się i odeszła.

Wieczorem, opowiedziawszy to zdarzenie mojej babci, Lidia usłyszała upomnienie: porządna kobieta nie może prowadzić pewnych rozmów. Mój dziadek natomiast odciągnął ją na bok: *Facisti bonu*¹¹, powiedział jej. „Jeśli brak im szacunku, to ty ich poustawiaj, *sia chi sunnu re o malandrini*"¹².

Od tamtej pory kiedy tylko don Ciccio Furci widział, że na górcie przy ratuszu pojawia się Lidia ze swoją torbą z haftami, gestem nakazywał wszystkim mężczyznom przesunąć się na przecznicy. Później podnosił się z krzesła i kłaniał, zdejmując czapkę. Moja matka przez jakiś czas jeszcze wybierała inną drogę, jakby po to, żeby pokazać mu, że zawsze istnieje droga alternatywna, którą można wybrać w życiu. Przechodziła, patrzyła don Ciccio prosto w oczy z wdzięcznie zarysowanym uśmiechem, jednak nadal mu się nie kłaniała.

Także Fiumara, jak San Luca, poznała znaczenie słowa wendeta. W latach osiemdziesiątych klan *Nano feroce* przeciwstawiał się rodzinie Zito, która, w odróżnieniu od secesjonisty Imertiego, pozostała wierna rodzinie De Stefano z Reggio.

Ja byłam wtedy mała, ale pamiętam serię zabójstw, jedno z nich miało miejsce podczas uroczystości Matki Boskiej Karmelitańskiej w drugi poniedziałek sierpnia. Po miasteczku krążyły głosy, że za plecami człowieka, który miał być ofiarą stała inna osoba, która na widok pistoletu zamieniła się w słup soli. Killer spojrzeniem dał jej znak, żeby się przesunęła, i strzelił w ustalony cel. Robota zimna i czysta.

Pamiętam zwęglone i rozkładające się ciało młodego człowieka z Fiumary znalezione na terenach wiejskich w pobliżu miasteczka Villa San Giovanni, robotnika

zastrelonego na placu i jeszcze jednego mężczyznę zaledwie kilka metrów od ratusza, lokalnego piekarza zabitego w Villa z dubeltówki. W marcu 1990 roku przyszła kolej na wiceburmistrza Modesta Creę, który padł pod ostrzałem płatnych zabójców, a krótko po nim zginął radny gminy Vincenzo Reitano. Proboszcz postanowił zawiesić uroczystości z okazji święta patrona z powodu żałoby, ale także w proteście. Przerazenie zasiadało do stołu z mieszkańcami Fiumary, a ból sypiał w ich łóżkach. Nie można było już dłużej tak żyć.

Za każdym razem, gdy kogoś zabijano, moja babcia Maria zamykała okiennice i nie otwierała ich przez całe dni. Wszyscy w miasteczku tak robili. Jej dom wychodził na piazza¹³ Municipio i właśnie naprzeciwko stał kościół Matki Boskiej Karmelitańskiej, gdzie bito w dzwony żałobne w godzinach pogrzebów, podczas gdy milczący orszak przechodził przez szczelnie zamknięte i puste miasteczko. Brałam wiklinowe krzesło, wchodziłam na nie i przez pęknięcie w okiennicach obserwowałam stojące wokół budynki; w mojej dziecięcej wyobraźni domki ożywały, a okna były ich oczami, które w tym momencie były zamknięte. Nie rozumiałam, co się dzieje, ale sekwencja zakratowanych spojrzeń kazała mi wierzyć, że nawet domy nie chciały uczestniczyć w tym straszliwym bólu.

Nie mogliśmy włączać telewizji. Mówiło się szeptem – z szacunku dla zmarłego. Ja i mój brat siedzieliśmy przed kominkiem i mogliśmy tylko wymieniać się kartami, nie było nam wolno wychodzić na ulicę.

Ten mrok, na który skazywaliśmy dom, to była nasza żałoba, ale nie tylko. Zamknięte okiennice oznaczały przede wszystkim: „My nie mamy nic wspólnego z tym zabójstwem. Kultura przemocy nie jest naszym udziałem. I w ten sposób protestujemy”. Milczące potępienie, metaforyczne zamknięcie każdego wejścia do własnego domu i do własnej duszy przed wiatrem przerażenia.

Wiceburmistrz Modesto Crea był człowiekiem uprzejmym. Pamiętam doskonale jego twarz: uspokajającą, otwartą, a kiedy się uśmiechał, jego oczy zwięzały się w dwie cienkie kreski. Był niski, miał szpakowate włosy. Mieszkał naprzeciwko mojej babci i jako dziewczynka byłam przekonana, że to nasz krewny – z powodu wielkiej miłości, jaką obdarzała go nasza rodzina.

Modesto męczył się przez całe życie. Jego matka Domenica cierpiała na

zaburzenia psychiczne, a ludzie o złych językach wskazywali przyczynę tej choroby w pięści wymierzonej jej w głowę przez męża. Potrafiła godzinami błądzić po miasteczku, w dzień i w nocy. Czasem ktoś ją spotykał zagubioną na ulicach Campo Calabro i zawsze to syn Modesto biegł, żeby ją odebrać.

Trudne było życie wiceburmistrza z Socjalistycznej Partii Włoskiej. W trudnej rodzinie. W trudnym miasteczku.

Moja babcia wściekała się na jego matkę, wypominając jej katusze sprowadzone na Modesta: *U fa muriri a stu figghiolu*¹⁴, a ta odpowiadała: „Teraz tak zrobię, że umrze... *Atimi acqua, Mariuzza...*”, Domenica prosiła o wodę, bo gadała do siebie bez przerwy i wysychały jej usta.

Pojął za żonę bardzo ładną dziewczynę, wnuczkę *Papy*¹⁵, tak był przezywany człowieczek, który rozwoził mleko w Fiumarze. Ludzie uczciwi i pokorni. W rzeczywistości nazywał się Zito, a jeden z jego synów rozpoczął karierę w świecie przestępczym, zdobywając rangę wicebossa ustępującego jedynie dziekanowi 'ndranghety z Fiumary – don Rocco Furciemiu.

Ale wiceburmistrz nie miał związków ze światem przestępczym, nie łączyły go z nim żadne interesy. Został zabity w ramach zemsty poprzecznej, która miała trafić w rodzinę Zito.

Babcia Maria płakała za każdym razem, kiedy wymawiała jego imię. Niebieskie oczy osadzone głęboko na twarzy spalonej słońcem stawały się nagle czerwone jak ogień, a ja myślałam, że płacze krwią.

W nocy 27 marca 1990 roku babcia Maria była w domu, w swojej katedrze na zakręcie drogi, która z Fiumary prowadzi do San Roberto. Usłyszała strzały tuż za drzwiami. Wiele strzałów, kara boska. Padały na zewnątrz, ale rozbrzmiewały wewnątrz. Zasadzka miała miejsce pięć metrów od niej i ta stara samotna kobieta sądziła, że ktoś opróżnia magazynek w jej domu.

Leżała w łóżku, podciągnęła kolana do piersi i ścisnęła dłońmi głowę, zawierając się Pięknej Paniencie, przekonana, że nadszedł koniec: *Vergine Santa, ndi stannu 'mmazzandu nta casa... Oh mammicedda bella*¹⁶.

Kiedy znów nastała cisza, wstała, przeszła przez korytarz w kierunku jadalni i otworzyła pierwsze drzwi wejściowe, wychodzące na schody, które prowadziły do

pomieszczeń z ziarnami. Zeszła jeden stopień i stanęła obok drugich drzwi, tych, które prowadziły na ulicę. W bramie po prawej stronie były dwie dziury i kawałek drewna – można było go wsuwać, żeby je zasłonić. Wstrzymując oddech, Maria przesunęła drążek i zbliżyła oczy do otworów. Nikłe światło latarni na rogu odkrywało martwe ciało jej drogiego Modesta. Nie rozpoznała go.

Nie zdała sobie sprawy, a może postanowiła nie zdawać sobie sprawy w tamtej chwili. Ona – sama w domu, z trupem jednej z jej najdroższych osób w odległości paru metrów na odizolowanej i ciemnej ulicy.

Chwyciła za telefon i zadzwoniła do syna Pina. Mój wujek usłyszał, że jest poruszona jak nigdy dotąd, starał się ją uspokoić, mówił, że może to były grzmoty albo ciężarówka, która na zakręcie zgubiła towar. Chciał do niej przyjechać, ale Maria zabroniła mu się ruszać z domu, to nie był dobry moment na podróż. Wkrótce przyjechała policja. I wszystko stało się jasne.

Moja babcia znieruchomiała jak posąg z wosku. Przesiedziała całą noc w jadalni na fotelu, który należał niegdyś do mojego dziadka. Następnego ranka przyjechał mój wujek i zabrał ją do siebie. Na zawsze.

Niesprawiedliwa śmierć Modesta wstrząsnęła nią jak rozszalałe trzęsienie ziemi, które ma taką moc, że każe odrzucić własną ziemię i własne korzenie, które nagle cię zdradziły. A ona głęboko kochała ten świat, swoje odwieczne kumoszki, chleb w białych ściereczkach, ogródek, kościół.

Powiedziała mojemu wujkowi, że chce odejść: *Chista è na terra amara e maledetta figghiu*¹⁷, gdzie płacą także niewinni. Zamknij wszystko i jedźmy stąd. *Imunindi*¹⁸.

Przeprowadziła się do Reggio, do cioci Ciccilli, „noblistki” za domowej roboty *stomatico*, ciasteczko z migdałami typowe dla Reggio. Do Fiumary wracała od czasu do czasu w ciągu lata. Pojechała tam także na krótko przed śmiercią, ponieważ właśnie w tym miejscu chciała zgasnąć, wśród swoich nietkniętych i przestarzałych przedmiotów i swoich Matek Bożych, w katedrze, która widziała, jak się starzeje, a później, pewnej nocy na początku wiosny, została obrażona i naruszona.

Wiele osób na ulicy zastanawiało się, w ciągu dni bezpośrednio po jej wyjeździe, co się stało z *signura Mariuzza*. To był dla niej najbardziej wymowny sposób

potępienia podłego gestu przeciw niewinnemu. Wychowała Modesta jak syna, ale postąpiłaby tak samo wobec masakry każdego innego dziecka Bożego.

Dla Kalabryjczyka 'ndrangheta to coś, co jest wyryte w ciele, wkręcone aż po wnętrzności. Nawet jeśli nie należy się do 'ndrine i jest się uczciwym człowiekiem. Większość Kalabryjczyków nie akceptuje przestępstwa, a przede wszystkim nie chce mieć z nim nic wspólnego. W żadnym sensie. Ale Kalabryjczycy są zdrowymi nosicielami nieuczciwości, ponieważ wielu z nich, zanim zostanie przestępcami, żyje w rozpaczy.

Do niedawna słowo 'ndrangheta w naszych stronach było zakazane. Niewymawialne. Kto był jej częścią, wyrzekał się jej; kto był poza nią, bardzo się pilnował, żeby o niej nie wspominać. Ale każdy z nas nosi w sobie truciznę i antidotum. Zna prawdę i nie wie nic. Kłania się wszystkim, a nie rozpoznaje nikogo. To nie zawsze jest równoznaczne ze współudziałem czy patrzeniem przez palce, istnieje pewna delikatna równowaga, dzięki której wiadomo, że poruszać się można jedynie po pewnym marginesie.

Wychylenie się nie jest w Kalabrii tylko niewygodne, jest też niebezpieczne. A więc upodabniasz się w końcu do reszty, jeśli wszyscy zamykają okna, ty też je zamykasz. Robisz to z szacunku, ponieważ wiesz, że musisz to zrobić.

Ci, którzy się wyłamują z chóru, płacą wysoką cenę na tej ziemi, i ja sama jestem tego przykładem. Powiedzieć „nie leży mi to” można i trzeba, moja babcia to zrobiła w najszlachetniejszy dla siebie sposób. Wyjść na plac i krzyczeć przeciw 'ndranghecie, nie przeciw 'ndranghecie ogólnie, ale wołając imiona i nazwiska, to inna historia. Jeśli bowiem każdy Kalabryjczyk dorasta z pojęciem 'ndranghety wpłątym we wnętrzności, to nosi w sobie również bardziej upartą narośl – pewność, że w większości przypadków państwa włoskiego w ogóle to nie obchodzi.

I tak po każdym zabójstwie dokonanym w Fiumarze moja babcia zamykała okna, dzwoniła do mojej matki, trochę rozmawiały przez telefon. Później mówiła, że chce porozmawiać ze mną i moim bratem. Rozumiałam natychmiast, że coś się zdarzyło, że w tym tygodniu nie pojedziemy jej odwiedzić. I przychodziły mi na myśl domy z zamkniętymi oczami. *Bella d'a nonna, chioviu, a strada non è bona*¹⁹, mówiła mi, zrzucając winę na deszcz. W rzeczywistości jednak obawiała się, że możemy się

natknąć na strzelaninę na wąskiej i pełnej zakrętów drodze, z której nie ma możliwości ucieczki. A więc pomijaliśmy niedzielne odwiedziny, ale któregoś tygodnia całą czwórką wsiedliśmy do błękitnego forda ghia, który pokonywał ostre zakręty Campo Calabro w kierunku Fiumary di Muro. Maria trochę klęła, ale później była szczęśliwa, że nas widzi.

Prowadziła mnie do dużego salonu i dawała lukrowane migdały, które chowała specjalnie dla mnie.

Kiedy wracaliśmy wieczorem, nasz samochód zmieniał się w ciężarówkę z warzywami – babcia zasypywała nas siatkami, wkładając do środka wszystko to, co oferował jej ogródek. W taki sposób nas kochała.

Mój ojciec robił manewr przy via Tobruk, a kiedy się oddalaliśmy, ona stała na ulicy i machała do nas ręką. Patrzyłam, jak robi się coraz mniejsza, malutka. Później wchodziła prędko do domu, wbiegała na górę i wyglądała przez okno, w ciemności, z uporem śledząc nas wzrokiem aż do dużego zakrętu. Odwracałam się na tylnym siedzeniu, ale dostrzegałam tylko mały punkcik w słabo oświetlonym oknie.

Tym punkcikiem była moja babcia. Wieczny obraz kobiety owiniętej w fartuch, z tą samą co zawsze chusteczką na głowie. Obraz kobiet z San Luca. Kobiet kalabryjskich, które nas zrodziły.

1 Mówi mało, ale we właściwym momencie (dial. kalabr.).

2 Mam nadal w nozdrzach ten smród (dial. kalabr.).

3 Tarantela (wł. *tarantella*) – włoski taniec ludowy, utrzymany w bardzo szybkim tempie (przyp. red.).

4 Matka Boska nie chce bogactw, chce modlitw. Bogactwa są ziemskie, a modlitwy niebiańskie (dial. kalabr.).

5 Nam nic nie zmienia (dial. kalabr.).

6 Biednej rodzinie może odmienić dzień (dial. kalabr.).

7 Mino Reitano (1944-2009) – włoski piosenkarz i aktor, śpiewał głównie pieśni o miłości i o smutnym włoskim Południu.

8 Z wnuczkami szefa, przywódcy (dial. kalabr.).

9 Nie zasługuję na taki sam szacunek? (dial. kalabr.).

10 Człowiek szacunku (dial. kalabr.).

11 Dobrze zrobiłaś (dial. kalabr.).

12 Wszystko jedno, czy to królowie, czy włóczędzy (dial. kalabr.).

13 Piazza (wł.) – plac.

14 Umrze przez ciebie! (dial. kalabr.).

15 Papieża (wł.).

16 Panno Najświętsza, zabiją mnie we własnym domu, o śliczna mateńko! (dial. kalabr.).

17 To ziemia gorzka i przeklęta, synu (dial. kalabr.).

18 Natychmiast (dial. kalabr.).

19 Pada, droga nie jest przejezdna (dial. kalabr.).

III MICOL

Mieć dwadzieścia dwa lata, córeczkę do wychowania i tłum bigotów dookoła, dzięki którym czujesz się nie na miejscu i przegrana – to warunki, które mogą cię zniszczyć. Odłóż na bok marzenia, zakasaj rękawy, szukaj mniejszego zła, za którym możesz podążać, aby nie stracić zdobytego z trudem strzępka tożsamości.

W moich umęczonych dniach źle wynagradzanej działalności muzycznej pojawił się lokal. Mój lokal. Lokal kieszonkowej kobiety z darem śpiewu i pewnością, że kiedy dorośnie, będzie żyć z muzyki. Nie zauważyłam, że tak naprawdę już dorosłam, zestarzałam się prędko w miejscach, które kradną czas, kiedy żyje się zbyt mocno lub zbyt słabo.

Ten błogosławiony pub przy via¹ Tripepi rzeczywiście uratował mi życie. Wiele lat później mi je odbierze, ale wtedy jeszcze nie mogłam znać epilogu tej historii. I nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie pojawiła się ta cuchnąca i fantastyczna suterena, w której mogłam uwolnić swój głos, zaspokoić pragnienie otaczających mnie ludzi i chęć bycia sobą, poza wszelkimi pustymi konwencjami.

Byłam *dancing queen* o włosach koloru czerwonych marlboro, nosiłam rozmiar trzydzieści osiem, paliłam trzydzieści pięć papierosów dziennie, zakładałam nieodzowny trzynastocentymetrowy obcas do obcisłych dżinsów. To była moja ukochana Rosy, młoda kobieta, która potrafiła być taka, jaka być pragnęła, żywa i szczerą w każdej myśli i każdym słowie. Była ogniem i intensywnie płonąła.

Nie miałam nic wspólnego z tym miastem, z tymi ludźmi, z tymi ideami, które na zmianę sprawiały, że śmiałam się i bladłam. Nie pasowałam do stylu życia prowincjonalnego miasteczka spoglądającego na Cieśninę, gdzie tym, co liczyło się najbardziej, było ładne ubranie. I nic nie szkodzi jeśli ten, kto je nosił, miał brudne majtki.

Poeta Nicola Giunta² uchwycił duszę mieszkańców Reggio, którzy rzeczywiście nie uznali nigdy jego wielkości, bo obnażał zbyt wiele ich przywar: *Chistu è u paisi*

*aundi si perdi tuttu, pisał. Aundi i fissa sunnu megghiu i tia. U paisi i m'incrisciu e mi 'ndi futtu ed ogni cosa esti fissaria*³.

W okresie godziny policyjnej i codziennych rzezi uczęszczałam do liceum. Nie zdałam w trzeciej klasie. Było to ostatnie z serii wydarzeń, które w domu były odczytywane jako niewybaczalny brak umiaru. Za każdym razem, kiedy dostawałam w szkole uwagę, wujostwo zwoływało szczyt, aby prawić mi morały na temat wstydu i zastanawiać się wspólnie jak działać, aby raz na zawsze naprostować tę niespokojną Rosy.

Moi rodzice byli przeciętnymi Kalabryjczykami, przeciętnie zazdrosny ojciec, mentalność przeciętnie zamknięta, każde działanie dyktowane lękiem przed cudzym osądem. I rodziną, która próbuje zawsze i na zawsze mieszać się do twojej przyszłości, także kiedy jesteś już dorosłą kobietą. Wrodzony brak zdolności do cieszenia się życiem, smakowania jego odcieni, odczytywania go. Intymna, płaczliwa świadomość, że istnienie to tylko poświęcenie i opór.

Ja nie. Ja byłam z innego świata.

Mój ojciec Angelo wyrósł w Reggio w dzielnicy Sbarre, która na początku lat siedemdziesiątych ogłosiła się samowładczą *Republiką Sbarre Centrali*⁴, w cierpkim rozłamie od Republiki Włoskiej. Była to rewolucja w Reggio Calabria, trwająca od lipca 1970 do lutego 1971 roku, jednego z najbardziej masowych i dramatycznych powstań ludowych w Europie po drugiej wojnie światowej, stłumione przez armię i czołgi.

Protestowano przeciw rządowi w Rzymie, który już wtedy zadrwił sobie z Kalabrii i mieszkańców Reggio, przenosząc stolicę regionu z Reggio do Catanzaro. Państwo włoskie zaangażowało się na naszym terytorium w budowę przemysłu, który dałby pracę ponad dwudziestu tysiącom ludzi. Jawne oszustwo – to był *pakiet Kolumba*, fałszywy i przewrotny.

Mój ojciec zaczął pracować, gdy miał trzynaście lat. On i jego starszy brat, wujek Ciccio, robili za chłopców na posyłki. Gdy miał osiemnaście lat, wygrał konkurs na kolei i został maszynistą, kiedy jeszcze przierzucano węgiel ręcznie. Wyjechał do Turynu w latach, gdy nie wynajmowano domów południowcom, nawet tym, którzy mogli się poszczycić stałym miejscem pracy. Mój dziadek Giovanni, również

maszynista, dzwonił do niego raz w tygodniu z oddziału w Reggio, aby dowiedzieć się, jak się ma i przekazać mu pozdrowienia od wszystkich.

Angelo harował jak wół, nie pozwalając sobie nigdy na żadne kaprysy. Powierzał pieniądze babci Rosie, która opiekowała się dziewięciorgiem dzieci. Mógłby uczynić coś dla siebie, ale musiał myśleć o rodzinie; nigdy nie zrobił dyplomu, ale pozwolił zrobić dyplomy braciom i siostram, którzy zostali profesorami, artystami, farmaceutami. Niektórzy z nich śladowo okazali mu wdzięczność. Ku radości moich dziadków, przez swój wkład finansowy zapewnił także posag siostram.

Mój ojciec był idealistą. Walecznym, zdolnym politykiem. I tak po kilku latach został wciągnięty na szczyty związku zawodowego kolejarzy. W tym czasie wygrał inne konkursy wewnętrzne, i mając trzydzieści trzy lata, został najmłodszym we Włoszech szefem magazynu – z pensją w wysokości stu dwudziestu ośmiu tysięcy lirów; w latach sześćdziesiątych to był zarobek godny szacunku.

Właśnie w tym okresie poznał Franca, zwanego Cillo – profesora języka francuskiego, bardzo sympatycznego i tak jak on pasjonującego się polityką i związkami zawodowymi. Obaj byli socjalistami, obaj żyli utopią i cierpieli na słowotok. Intelktualista przywiązał się bardzo do Angelina, człowieka pracy. Pewnego popołudnia zaprosił go na kawę do swojego eleganckiego mieszkania w centrum Reggio Calabria.

Mój ojciec punktualnie nacisnął dzwonek do drzwi, trzymając w ręku tackę ciasteczek z cukierni *Antica Pasticceria Primavera* przy corso Garibaldi, tej samej, w której dziadek Giovanni w każdą niedzielę kupował *cannoli*⁵ z kandyzowaną skórką pomarańczową dla babci Rosy. Przyjaciel ugościł go w salonie z kanapami z jedwabnego aksamitu i koronkowymi zasłonami. Gdy tak dyskutowali – jak zwykle o polityce – młoda smukła kobieta o bujnym biuście weszła z tacą, aby podać kawę. Cillo powiedział: „Angelo, przedstawiam ci moją siostrę Lidie”.

Tak właśnie poznali się moi rodzice, jak to było w zwyczaju w tamtych czasach. Wymienili spojrzenia. Spodobali się sobie. I zaczęli się spotykać.

Lidia mieszkała w Fiumarze z moimi dziadkami i naturalnie nie wolno jej było wyjeżdżać z miasteczka, ani wychodzić bez towarzystwa. Angelo odwiedzał ją, kiedy tylko mógł, a podczas nielicznych spacerów poprzedzających ślub była z nimi zawsze

jakaś kuzynka, ciotka czy inna straż przyboczna, która czuwała nad kręgosłupem moralnym narzeczonych.

W San Luca okres narzeczeństwa przebiega nadal w ten sposób.

Po roku zdecydowali, że nadszedł moment, aby się pobrać i mój ojciec zjawił się u rodziców Lidii, żeby poprosić o jej rękę. Odbyła się prawdziwa pielgrzymka całej rodziny Canale, która przybyła do Fiumary, żeby poznać rodziców narzeczonej. Babcia Rosa przywiozła przyszłej synowej swój cenny pierścionek z granatów w darze powitalnym, natomiast mój ojciec podarował jej diamentowy pierścionek. Pierścionki, których nigdy nie widziałam na palcach mojej matki, relikwie, które należy trzymać w szufladzie w wyniku tej archaicznej i lękliwej mentalności, według której ze szczęściem, urodą i miłością nie należy się obnosić, ale przechowywać je w sekretnych zakamarkach.

Był rok 1967. Data istotna także dla historii 'ndranghety z powodu dwóch bezprecedensowych wydarzeń.

Pewien mediolański wydawca opublikował memoriał Serafina Castagna, byłego *picciotto*⁶, przechrzczonego przez gazety na „potwora z Presinaci”; dwanaście lat wcześniej w rejonie Vibonese zmasakrował on kobietę i czterech mężczyzn, którzy ściągnęli go na drogę przestępczą i wprowadzili do honorowego towarzystwa. Nie chcąc dalej być killerem na zawołanie, trzydziestoczteroletni wyrobnik Serafino musiał przelać kolejną krew. Jedną z ofiar był jego ojciec.

Jego książka *Tu devi uccidere*⁷ jest pierwszym wewnętrznym świadectwem na temat praw, rytuałów i języka mafii kalabryjskiej, między innymi obowiązku noszenia zawsze przy sobie *la zaccagna*⁸ do obrony przed wrogami, posłuszeństwa towarzystwu „zimnemu jak lód, gorącemu jak ogień i delikatnemu jak jedwab”; inwokacja do *Oso*, *Mastrosso* i *Carcagnosso*, mitologicznych piętnastowiecznych rycerzy przybyłych z Hiszpanii, którzy na wyspie Favignana rozdzielili się i poszli w różne strony, tworząc trzy organizacje: cosa nostrą na Sycylii, kamorrę w Kampanii i 'ndranghetę w Kalabrii; przysięga wierności na obraz Michała Archaniola uzbrojonego w miecz i wagę. Tego samego Michała, którego później, w 2007 roku, w Duisburgu, znaleziono nadpalonego w portfelu ofiary obchodzącej tego dnia osiemnaste urodziny.

Rok 1967 to także rok rzezi w Locri. 23 czerwca, wczesnie rano, wybucha bomba na rynku. Giną trzy osoby, a wśród nich *mamma santissima*⁹, Domenico Cordi, kolejne dwie są ranne. To preludium do wendety między klanami Cordi i Cataldo, które rywalizują o przemyt papierosów. Prawdopodobnie to wtedy pierwszy raz mój lud słyszy, jak wymawia się słowo wendeta i czyta o jej straszliwych skutkach w gazetach.

Wendeta.

Zawsze zadawałam sobie pytanie, co do diabła ma wspólnego z nami ten termin o tak odległym pochodzeniu. U starożytnych Germanów była autentyczną instytucją prawną, pozwalającą człowiekowi samemu zemścić się za szkodę poniesioną przez własny klan. Nie fatygując państwa, ani społeczeństwa. Prywatna zemsta podniesiona do rangi systemu.

W tym przypadku, wśród odpowiedzialnych za rzeź w Locri był także boss z San Luca, Antonio Nirta, oskarżony o bycie jednym ze zleceniodawców. Został uniewinniony – jak wszyscy pozostali.

O uprowadzeniach natomiast, które tak wzbogaciły *'ndrine* w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jeszcze się nie mówiło. Drugiego lipca 1963 roku porwany został Ercole Versace, przedsiębiorca z Reggio, ale do 1969 roku kalabryjska mafia dokonała jeszcze tylko jednego uprowadzenia. Dokonywała przymiarek.

Moi rodzice pobrali się w okrutnym upale 31 lipca 1968 roku w Reggio. Pół Fiumary di Muro zjechało z tej okazji do miasta. Wystąpił Mino Reitano, który rozпалиł nastrój gości, śpiewając utwór *Avevo un cuore che t'amava tanto*, zawierający wers, zdaje się, odzwierciedlający zrezygnowanie ówczesnego społeczeństwa: *Mi han detto che si vive di speranza*¹⁰... Jeszcze dziś mój ojciec dedykuje Lidii tę piosenkę.

Przed restauracją czekały fanki Reitano, a obecność gwiazdy dodawała świętu prostych ludzi aury wielkiej – jak na owe czasy – uroczystości.

Moja matka spędziła noc poślubną na liczeniu pieniędzy. Tradycją było dawanie młodej parze kopert z pieniędzmi z dołączonymi życzeniami. Zwykło się również ścielić w zbiorowym rytuale pierwsze łoża, siostry i kuzynki układały z kwiatów

i płatków róży serce, do którego goście wsuwali banknoty.

Nowożeńcy wyruszyli samochodem w podróż poślubną: Wenecja, Rzym, Lugano... To były wówczas najbardziej ekscytujące cele podróży. A Lidia pierwszy raz poruszała się bez obstawy ojca i braci, ostatnia z siedmiorga dzieci opuściła dom.

W roku 1989 nie zdałam w trzeciej klasie liceum. Tragedia. Dla moich rodziców zostałam bezapelacyjnie skazana przez trybunał życia, nie tylko przez trybunał szkolny.

Chciałam śpiewać. Nic innego mnie nie obchodziło.

Kiedy pytano mojego brata, „Kim zostaniesz, jak będziesz duży?“, on bez wahania mówił: „Lekarzem“. I rzeczywiście został farmaceutą, jest przecież potomkiem lekarzy i profesorów. Później pytano mnie. Gdy byłam małą dziewczynką, odpowiadałam: „Będę dziennikarką, bo chcę objechać świat“. Ale kiedy zaczęłam uczęszczać do kościoła, wszystko się zmieniło.

Była to parafia blisko domu, Madonna del Soccorso. Miałam wielu przyjaciół, razem żyliśmy wartościami chrześcijańskimi w sposób autentyczny, w komunii i solidarności, bez formalizmu cechującego wiele zmęczonych form pobożności. Był tam chór kościelny – dobrze śpiewałam, stawałam zawsze w pierwszym rzędzie. Podczas mszy niedzielnej podawano mi mikrofon i stawałam się solistką.

W roku 1989 Kalabrię nękały rozmaite zabójstwa. To, które najbardziej nami wstrząsnęło, miało miejsce w lutym. Dziesięcioletnia dziewczynka, Marcella Tassone, została zabita w Laureana di Borrello w pobliżu starej rzeźni. Była w samochodzie ze swoim bratem Alfonsem, właściwym celem killera. Zabito i jego, i ją strzałem w kark i kolejnymi sześcioma prosto w twarz. Żeby ich oszpecić. Ale wstrząsnęło nami nie tylko okrucieństwo tej śmierci. Gazety zauważyły, że w Kalabrii nie podniósł się żaden głos oburzenia i protestu. Milczały partie, związki zawodowe, stowarzyszenia antymafijne.

Niewiele dni później zaginął dwudziestodwuletni Andrea Cortellezzi z Tradate w Varesotto, syn przedsiębiorcy budowlanego; jakiś czas później do rodziny dotarła koperta wysłana z Locri, zawierająca odcięte ucho zakładnika. Nigdy nie został on odnaleziony ani żywy, ani martwy. Wrócił natomiast do domu w Pawii Cesare Casella. Miał osiemnaście lat, kiedy został porwany w styczniu 1988 roku i ukryty

w skalnych labiryntach Aspromonte. Latem 1989 roku jego matka Angela odważyła się rzucić wyzwanie 'ndranghecie, drobna kobieta przeciwstawiająca się gigantom. Przewano ją natychmiast *madre coraggio*¹¹. Jeździła po całej Locride, próbując uczulić ludzi na męczeństwo, jakie znosił jej syn. Nawet przykuła się łańcuchem. Państwo w odpowiedzi nasiliło poszukiwania, a w styczniu kolejnego roku Cesare został uwolniony. Jego uprowadzenie było najdłuższe – trwało siedemset czterdzieści trzy dni – spośród dwustu siedmiu przeprowadzonych przez 'ndriny do 1991 roku, roku pokoju mafijnego, kiedy to stało się jasne, że bardziej zyskowne i dyskretne będzie zajęcie się przemytem narkotyków.

Szacuje się, że mafia zajmująca się uprowadzeniami w Aspromonte zainkasowała dwieście miliardów lirów z okupów. Wystarczająco dużo, żeby zaniechać tej praktyki, wyciszyć medialny i dochodzeniowy skandal i przez jakiś czas nie pozwolić o sobie mówić. Z tego samego powodu 20 marca 1989 roku 'ndrangheta zabiła przy via Marconi w Locri właściciela salonu samochodowego, Vincenza Grasso, zwanego *Cecé*. Ośmielił się zbuntować przeciw nałożeniu haraczu. Chciał zgłosić na policję siedem lat gróźb i wyłudzeń, którym ulegał. Bohatera uciszono – kolejne zabójstwo, które pozostało bez winnych.

Zmęczyłam się dorastając. Rubryki kryminalne dudniły, czasem blisko, czasem daleko i mgliście, ale nikt z nas nie był w stanie odpowiednio skorelować tych faktów z najbardziej intymnym charakterem naszej ziemi i z jej przeznaczeniem. Słuchało się i czytało. Wzdrygaliśmy się, ale później mijał dzień za dniem, jakby te wydarzenia naprawdę nas nie dotyczyły.

To była nasza forma przetrwania. Byliśmy w centrum historii, ale robiliśmy wszystko, żeby migrować na jej marginesy, stając się niewidzialni.

Nie cierpiałam tego środowiska. Duszącego więzienia, przypominającego labirynt, które oprócz mojej rodziny obejmowało parafię i na koniec całe miasto. Za każdym razem, kiedy przekraczałam granicę, łudziłam się, że jestem wolna, ale natychmiast uderzałam w kolejne ogrodzenie, i znów następne, w przeciągającej się walce bez napięcia, której końca nie było mi dane zobaczyć.

W moim więzieniu robiłam co mogłam, aby strząsnąć z siebie smutne obowiązki i przyzwyczajenia grzecznej dziewczynki. Szalałam na punkcie muzyki, tańca, brałam

skuter i jeździłam do dyskoteki w Taorminie z moją przyjaciółką Simoną. Nie brałam narkotyków, nie piłam alkoholu i nie interesowali mnie chłopcy. Chciałam tylko wyskakać moją energię, opanowując parkiet aż do zamknięcia dyskoteki.

W pewnym momencie zmieniałam towarzystwo i zdecydowałam, że kiedy dorosnę, zostanę piosenkarką. Czy lepiej – gwiazdą popu. Dla moich rodziców istniały tylko dwa przymiotniki, którymi można mnie było opisać, w zależności od tego, co akurat było wygodniejsze – szalona albo dziwka. Ja natomiast byłam jedynie chora na muzykę Madonny, Beatlesów i Queen. Moja matka była w szoku, kiedy odkryła, że Freddie Mercury jest homoseksualistą: „Słuchasz zboczeńców!”.

A później, jak wszystkie włoskie nastolatki mojego pokolenia, byłam rozszalałą fanką Duran Duran. Kiedy przyjechali do Włoch w 1986 roku, aby wziąć udział w programie telewizyjnym *Fantastico*, prowadzonym przez Pippa Baudo¹², uprosiłam mojego ojca, żeby wybłagał od swojego zaprzyjaźnionego ministra zaproszenie do audycji. Otrzymaliśmy dwie akredytacje, ale mój ojciec zmienił zdanie i powiedział, że mnie tam nie zawiezie. Samotny wyjazd nie był nawet brany pod uwagę.

To był rok zabójstwa Domenica Condello, brata *capobastone* Pasquale zwanego *u Supremu* i szwagra *Nano feroce*; wojna klanów uderzała w rodzinę rywalizującą z rodziną De Stefano, trzydzieści dni po brutalnej śmierci bossa Paola. To obsesja 'ndranghety na punkcie powtarzalności dat, rocznic, świąt kościelnych. Ponieważ obraży, przede wszystkim te przesiąknięte krwią, wspomina się z większą wyrazistością, kiedy nie dzieją się w przypadkowe dni. Pogański i okrutny wariant trzeciego przykazania: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”.

Któregoś wrześniego dnia uciekłam z domu. Ojciec mnie pobił. W moich pasjach widział tylko brud, nie umiał rozszyfrować mojej odmienności, dla niego to był jedynie obłęd, oderwanie od rzeczywistości.

Być może rzeczywiście traciłam zmysły. Kiedy jesteś słaby i słyszysz powtarzany wciąż ten sam osąd, dzień po dniu, kończy się to jak w tragedii greckiej. Rozpoznajesz się w zjawie, którą chór za twoimi plecami próbuje do ciebie przykleić dręczącą litanią.

Tamtego wieczora mam na sobie żółtą koszulę mojego brata i płócienne buty; moją torbę jest koszyczek obiadowy, taki jak te, które nosi się do przedszkola.

W kieszeni mam dziesięć tysięcy lirów i darmowy bilet na pociąg dzięki temu, że jestem córką kolejarza. Moja matka śledzi mnie spojrzeniem przez okno. Czuję je na sobie, odwracam się, widzę ją. Chciałabym jej powiedzieć: „Widzisz tę twarz? Będziesz za nią płakać”. Zamiast tego skręcam w inną ulicę, idę na dworzec, wskakuję do pociągu jadącego do Rzymu i znikam.

Potrzebuję świeżego powietrza. Zawsze istnieje wyjście z wąskiego więzienia – jeśli tylko chcesz je znaleźć.

Dojeżdżam do stolicy o świcie i nie wiem, dokąd pójść. Muszę zadzwonić do Simony, dziewczyny, którą poznałam na koncercie Duran Duran w Rzymie w 1987 roku, wówczas udało mi się zmusić mojego ojca, żeby mnie odwiózł. A Simona została moją korespondencyjną przyjaciółką, jak to było w zwyczaju w tamtych latach, nie było wtedy telefonów komórkowych, a co dopiero Facebooka. Czekam, aż nastanie dzień i dzwonię do niej do domu, ale jej nie ma, włóczę się po mieście, dochodzę do schodów przed Santa Maria Maggiore i zaczynam śpiewać, ustawiam przed sobą koszyczek, żeby zbierać monety.

Przejeżdża chłopak na skuterze *Si*, parkuje przede mną. Ja dalej śpiewam, a on na mnie patrzy i się śmieje. Mnie też chce się śmiać. Na imię ma Simone i jest kilka lat starszy ode mnie, mieszka na Collina Fleming z ojcem, który jest pilotem *Alitalii*, więc na co dzień mieszka sam. Kiedy tak mkniemy na skuterze, Rzym należy do nas, a ja po raz pierwszy poruszam się w przestrzeni, w której tak wygodnie jest się zanurzać. Myślę o moim ojcu, gdyby wiedział, że śpię u nieznajomego, kto wie, co by sobie pomyślał. Natomiast ja i Simone spędzamy nocę na opowiadaniu sobie naszych krótkich jeszcze życiorysów i oglądaniu filmów Carla Verdone. On mnie nigdy nie dotknął, to mężczyzna, przez którego czułam się w moim życiu najbardziej szanowana.

Później namierzam Simone i idę do niej. Tymczasem znajduje ją również mój ojciec, jej adres widnieje na listach, które mi przysyłała, a on w nich szperał. Znajduje także jej numer telefonu i dzwoni. Matka Simony go zapewnia: „Rosy ma się dobrze, jest u nas, zostawcie ją na trochę w spokoju”. A on czeka.

Miesiąc później przyjeżdża, żeby mnie odebrać, ponieważ czas wrócić do szkoły. Spotkanie jest wyznaczone na przystanku metra Colli Albani. Przyjeżdża z moim

wujkiem, mnie odprowadza matka Simony, która mówi: „Odwagi, musisz wrócić do domu”.

Mój ojciec stoi w oddali i nieoczekiwanie uśmiecha się do mnie.

Widzę z daleka, jak macha ręką na powitanie. Ten sam obraz, co w szpitalu, wiele lat później, całe życie później... Osuwa się z twarzą ukrytą w dłoniach, w białym i zamglonym pokoju, obok stoi karabinier, który go podtrzymuje i wyprowadza z pokoju...

Po powrocie do Reggio poświęcam się mojemu zespołowi muzycznemu. Trochę też szkole. Nadrabiam stracony czas, robię trzy lata w jeden rok, przechodzę do szkoły wyższej i robię dyplom w wieku siedemnastu lat. Ale prawdziwą radość daje mi mój zespół i słodkie złudzenie wolności. W formacji mieliśmy bas, gitarę, perkusję, wokale i klawisze, robiliśmy próby na poddaszu bez ścian, otulając perkusję poduszkami, żeby nie ogłuszyła sąsiedztwa.

Pierwszy koncert odbył się w bibliotece w Reggio, zorganizowany był przeze mnie. Nazywaliśmy się *Tiddly Wings* – pijane skrzydła. Jak moje skrzydła pijane myślą o odległych miejscach.

Pierwszą piosenką, jakiej się nauczyłam i którą zaśpiewałam przed publicznością, była *The Logical Song* zespołu Supertramp. Zaczęłam marzyć o Ameryce, patrząc na okładkę tego albumu – *Breakfast in America* – z ubraną na żółto kobietą, która podnosi do nieba kelnerską tacę, jakby to była pochodnia Statui Wolności i *skyline* Manhattanu za jej plecami.

To był okres *True Blue* Madonny, ale graliśmy też *Message in a Bottle* zespołu Police. Byliśmy pionierami w Reggio Calabria. Na tamten pierwszy koncert przyszli wszyscy mieszkańcy Reggio, którzy obracali się w środowisku muzycznym. To było wydarzenie rewolucyjne, niemal Woodstock nad Cieśniną. I tam poznaję Dina, syna najlepszego przyjaciela mojego ojca i utalentowanego perkusistę. Postanawiamy być razem.

Tamtego lata szukam angażu na festynach w całym regionie, płacą mi pięćdziesiąt tysięcy lirów za zaśpiewanie trzech piosenek, a ja obwożę mój wściekły głos po miasteczkowych festynach, na ciężarówkach, śpiewam na badziewnych weselach. Z tej niespodziewanej perspektywy Kalabria wydaje mi się cudowna. Prowadzę także

programy radiowe dla lokalnych rozgłośni. W tym okresie moja historia z Dinem dociera do ostatniego przystanku. Jego matka miała aspiracje, żeby zeswatać go z którąś z dobrze urodzonych dziewcząt niepaskudzących ust szminką koloru jagodowego, którą ona z obrzydzeniem nazywała „czernidłem”.

Dzięki *Radio Studio 1 Broadcasting* udaje mi się bywać na wydarzeniach artystycznych. Przeprowadzam tam wywiady z piosenkarzami i innymi różnymi postaciami, ale przede wszystkim próbuję poznać kogoś, kto pomoże mi przebić się w muzyce. Pozostaje jeden nadrzędny cel – znaleźć kontakty, żeby zacząć śpiewać na serio.

Moi rodzice namawiają mnie, żebym zapisała się na Uniwersytet Mesiński, na wydział języków obcych. Ja pragnęłam uczęszczać do *Dams* w Bolonii, szkoły muzyki, sztuki i show-biznesu, ale w końcu godzę się na pomysł studiowania języków świata. Nie toleruję już tej zmory, która unosi się w moim domu, tych wszystkich „nie mamy pieniędzy” i „nie ma takiej możliwości”, odmawiających mi wszystkiego. Przecież nie mieliśmy się źle, ale dla moich rodziców normalnymi warunkami życia był ciągły stan zagrożenia, a jeśli coś się posiadało, lepiej było to ukryć. Kiedy wiele lat później dzięki mojej pracy mogłam sobie pozwolić na parę kozaków za tysiąc pięćset euro, moja matka karciała mnie, oburzona, że wcale o nie nie dbam, najchętniej splunęłaby na nie, wypolerowała i odstawiła na zawsze do szafy.

Relikwie. Piękne przedmioty należy obezwładnić, aby przetrwały na wieki. Używać ich i cieszyć się nimi to tyle samo, co zniszczyć je albo zgubić.

Ja urodziłam się inna. Muszę żyć wszystkim. Nie był to banalny bunt nastolatki. Italo Falcomatà, burmistrz wspierający wiosnę *Reggio* w latach dziewięćdziesiątych, myśliciel, którego imieniem jest dziś nazwany miejski deptak nad morzem, był moim profesorem. I mówił mi: „Ty się nie urodziłaś dla tego miejsca, Rosy. Musisz stąd odejść. Tutaj będziesz zawsze osądzana”. Tak jak wtedy, kiedy farbowałam włosy na wściekłą czerwień i na ulicy ktoś mnie za nie pociągnął, żeby sprawdzić, czy to nie peruka. W Reggio wszyscy mnie znali, chociaż nie nosiłam markowych ubrań i nie byłam zaręczona z żadnym wielkim panem.

Natomiast jedna z moich najbliższych przyjaciółek straszliwie pragnęła związać się z chłopakiem, który rzeczywiście był wielkim panem, z chłopakiem o krótkich

czarnych włosach, podwójnym podbródku zlewającym się w całość z torsem, z uśmiezkim zarysowanym na twarzy. Był stałym gościem *Maharaja*, dyskoteki niezwykle popularnej w Reggio w latach dziewięćdziesiątych, z kryształowymi żyrandolami opadającymi z sufitu obitego tkaninami jak w namiocie szlachetnego beduina. Gdy stało się po prawej stronie baru, można było z łatwością obserwować cały lokal, i tam właśnie ustawiał się zawsze młodzieniec w rozpiętej kurteczce, z lewą dłonią w kieszeni, w drugiej trzymał pełny kieliszek. Jeśli ktoś się do niego odzywał, czasem nadal patrzył przed siebie, skoncentrowany, z wyrazem twarzy człowieka, który ma ważniejsze sprawy na głowie.

Był szanowany, otoczony wianuszkiem dziewcząt, wszystkie prawyły mu pochlebstwa i flirtowały z nim, przepychały się łokciami, żeby mieć dostęp do jego dworu. Był ujmująco sympatyczny, zajmował tylną część baru, nie ruszając się ze swojego nadzorczego stanowiska. Żartował i tańczył. Czasem przepraszał i odchodził. Myśleliśmy, że wychodzi kupić papierosy.

Jednego z tych wieczorów w *Maharaja* siedziałam znudzona na niskim fotelu. Poszłam tam tylko dlatego, że uległam naleganiom przyjaciółki, kompletnie zadurzonej w tym chłopaku. Musiałam ją wspierać. Ale on zauważył mnie, siedzącą na osobności, i podszedł: „Napijiesz się czegoś?”. „Dziękuję, soku brzoskwiniowego, bez lodu”.

Zaśmiał się: „Nawet bez lodu! Nie dolejemy chociaż kropelki dżinu, rumu, *prosecco*¹³?”.

„Dziękuję, nie piję alkoholu”.

Podając mi szklaneczkę, powiedział z ojcowską czułością, która nie przystawała do jego młodego wieku: *Si na brava figliola*¹⁴. Zdradzał pragnienie czystości, prostoty. Interpretował mój sok brzoskwiniowy bez lodu i bez dolewki jako coś naturalnie dobrego, obcego światu, któremu czuł się bezpowrotnie oddany.

Nino Fiume nie był byle kim. Nino Fiume był killerem rodziny De Stefano. Przyznał się do podwójnego zabójstwa popełnionego w styczniu 1991 roku. I w pierwszej chwili także do spowodowania śmierci Giuseppe Spinello, aby potem się z tego wycofać, przypisując materialną odpowiedzialność za zbrodnię Mario Audino, *capo* z San Giovanniello, który tego nie mógł ani potwierdzić, ani zdementować,

ponieważ w tym czasie sam został wyeliminowany.

Fiume stał się jednym z najbardziej wiarygodnych skruszonych 'ndranghety. Według sędziów z Reggio Calabria dzięki jego rewelacjom nastąpił przełom w dochodzeniu *Meta*, które ujawniło kulisy drugiej wojny mafijnej, supremację rodziny De Stefano, wewnętrzną hierarchię świata przestępczego nad Cieśniną.

Nino Fiume tańczył z nami w *Maharaja*, stawiał nam drinki, mrugał do dziewczyn. W pewnym momencie wychodził, zabijał kogoś i wracał tańczyć.

A przecież miał wybór, nie nosił ważnego nazwiska, był tylko przyjacielem Giuseppe De Stefano i narzeczonym jego siostry Giorgii. Ale być może, tak jak inni, oddał się życiu przestępczemu, bo nie osiągał żadnej satysfakcji z rzeczywistości, która zbyt wiele mu nie oferowała. W tym równoległym świecie stał się wreszcie kimś, a prestiż, na jaki sobie zapracował, odzwierciedlał się także w świecie rzeczywistym, naszym, w świecie zwykłych, uczciwych ludzi. Nie posiadając żadnego talentu, przestał być anonimowy, wypracował sobie pożądany status człowieka szacunku.

W jego oczach było coś, co mnie nigdy nie przekonywało. Może bystrość. Dziwny blask, jaki niektóre osoby zdradzają w źrenicach, sugerujący, że przebywają z nami fizycznie, ale w rzeczywistości znajdują się gdzie indziej, jakby obserwowały z góry, z nieokreślonego punktu w kosmosie, nas wszystkich i siebie samych. Logiczna i świadoma alienacja, która być może staje się jedyną drogą ucieczki i pozwala nie zwariować.

Nino Fiume zdecydował się na wstąpienie do konsorcjum przestępczego i postępując według tego samego planu zszedł ze sceny. Był zabójcą, jak nam sam powiedział, ale w swoich długich rozmowach ze śledczymi pominął wyjaśnienia, dlaczego zdecydował się poddać i przejść na przeciwną stronę. A przede wszystkim zastanawiam się, na czyją właściwie stronę przeszedł? Na stronę sprawiedliwości, czy tylko na swoją własną stronę, stronę najzwyklejszego przetrwania?

Trzydziestego stycznia 2009 roku skruszony Nino Fiume powierza prokuratorowi Giuseppe Lombardo ręcznie spisane świadectwo, natychmiast włączone do akt dochodzenia *Meta*. Dwadzieścia osiem stron, na których podaje imiona i nazwiska, sankcjonując raz na zawsze monarchię absolutną rodziny De Stefano nad naszym

miastem: „Zbliżyłem się jeszcze bardziej do braci Carmine i Giuseppe De Stefano po śmierci ojca (czyli w 1985 roku) i przez ponad miesiąc nocowałem w ich domu. Ale w tamtych czasach nie ja jeden bywałem w tym domu, bywało tam wielu młodych ludzi z przyzwoitych rodzin w Reggio. Młodych, którzy później poszli innymi ścieżkami, innymi drogami, niektórzy wyjechali za granicę, niektórzy skończyli studia i przenieśli się do innego miasta, niektórzy powoli, dzień po dniu, oddalali się od nich, nie pokazując się więcej, aż do zakończenia wojny mafijnej. Ja tam natomiast zostałem”.

Nino przytacza także decyzję *capi*, „żeby spalić ziemię wokół osób, które wiedziały o sprawach, mogących podważyć nienaruszalność i władzę klanu”. Istniała czarna księga, na której stronach De Stefano zapisywali imiona skazanych na śmierć i nie pojawiali się tam tylko ci, którzy popełnili jakieś wykroczenia, czy na których nie można już było polegać. Nino Fiume mówi także o policjantach i agentach penitencjarnych. I kończy swoje pismo dwuznacznym ostrzeżeniem, które brzmi jak hymn do niezdobytej twierdzy ’ndranghety: „Rzeczywiste fakty mają zawsze większą wagę niż te, o których się opowiada, a niektórzy *’ndranghetisti* wspomniani w tych notatkach stoją czasem niżej od nowych członków mafii, którzy stopniowo się kształcą, a tymczasem toczy się walka, aby tę ich formację powstrzymać”.

Zawsze będzie przybywać nowych członków, chcących wyrugować starych. I zbrodnia nie będzie miała nigdy końca.

Jedyną wskazówką, jaką podaje nam co do powodów swojego skruszenia, jest znalezienie się na makabrycznym rozdrożu: „Lepiej w więzieniu, niż pod ziemią”. Nino wycofuje się, kiedy rozumie, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Odwraca się plecami, woli być pochowany żywcem w celi, niż paść z cudzych rąk. Ale zdaje się zapominać, że na tę celę zasłużył.

Ja odchodziłam wtedy daleko. Daleko od *Maharaja*, od przyjaciółki zakochanej w killerze, od tych dzielnych chłopców, którzy zabijali między jednym koktajlem a drugim.

Na uniwersytecie mesyńskim nie czułam się dobrze. Nie znosiłam codziennej przeprawy promowej, a jeszcze bardziej tego profesora, który obiecywał mi znakomite stopnie, jeśli tylko zacznę pobierać prywatne lekcje w jego domu.

Wyobrażam sobie, że chodziło mu o łóżko. I tak oto udało mi się przekonać rodziców, żeby przenieśli mnie na uniwersytet w Pizie.

Poprzedniego roku zarejestrowano czterdziestu czterech zabitych w Reggio Calabria. Rok 1988 zliczył ich pięćdziesięciu pięciu.

Odchodzę, aby doświadczyć nowego, samodzielnego życia. Mój bunt, prawdę mówiąc, właśnie na tym polegał – zdobyć własną przestrzeń, własne przedmioty, postępując według zasad ustanowionych tylko przeze mnie. A Piza to naprawdę inna planeta. Ale ja chcę więcej. Teraz, kiedy uciekłam z więzienia-Reggio, nikt mnie już nie zatrzyma.

Zdobywam stypendium na studia w Nowym Jorku. Ameryka. Wzdychałam do niej, spoglądając na okładkę albumu Supertramp. Wydawała mi się wtedy tak nieosiągalna, a tymczasem jestem tutaj, w samolocie lecącym na lotnisko JFK. Moi rodzice protestują i nie dają mi ani jednego lira. Wyjeżdżam i zostaję w Nowym Jorku przez dziewięć miesięcy. Sama.

Jest rok 1991. Rząd włoski wreszcie otrząsa się i ustanawia Antymafijną Dyрекcję Śledczą i Antymafijną Dyрекcję Krajową. W Kalabrii nadal płynie krew, nie tylko w Reggio.

Trzeciego maja 1991 roku czytam, skamieniała, o czterech mężczyznach, którzy na ulicach miasteczka Taurianova bawią się, strzelając do odciętej głowy. Podrzucają ją w górę, strzelają. Śmieją się. To głowa Giuseppe Grimaldiego, sklepikarza, dopiero co zabitego razem z trzema innymi mężczyznami. To wendeta z Taurianovy, kolejna wendeta, *'ndrina* rodziny Neri przeciwko wszystkim. Trzydziestu dwóch zabitych od 1989 do 1991 roku. Mniej niż w Reggio, ale bardziej widowiskowo, kinowo. Jak Rocco Zagari, który wyzionął ducha u fryzjera, z twarzą jeszcze namydloną pianą, przygwożdżony do fotela kilkoma strzałami z pistoletu.

Dziesiątego lipca zostaje zabity w Reggio baron Antonio Carlo Cordopatri, który nie chciał oddać klanowi Mammolitic hektarów swoich gajów oliwnych w Oppido Mamertina. Pewnego wieczoru dwudziestodwuletni killer usuwa go nieopodal jego kamienicy przy via D'Annunzio. Siostra barona Teresa Cordopatri, o ile pamiętam, była pierwszą kalabryjską kobietą, która nie bała się zeznawać w sądzie przeciw jednej z najbardziej okrutnych rodzin w rejonie Reggio, klanowi Mammolitic

z Castellace di Oppido Mamertina, specjalistów od wyłudzeń i uprowadzeń. Tych od *capobastone* don Saro, zwanego *Playboyem z Castellace*, jednego z nielicznych skruszonych bossów kalabryjskich. Historyczny sprzymierzeniec rodziny De Stefano w latach dziewięćdziesiątych był prawdziwą gwiazdą 'ndranghety, ustępując jedynie Giuseppe Piromallemu Juniorowi, władcy portu w Gioia Tauro. Temu, u którego w 1999 roku w chwili aresztowania i konfiskaty dziesięciu milionów euro znaleziono w pokoju ołtarzyk poświęcony Matce Boskiej z Polski. Taki jak ten, który miała moja babcia w swoim domu w Fiumarze.

Ale rok 1991 jest naznaczony przede wszystkim zabójstwem (9 sierpnia) sędziego Antonia Scopellitiego. Pokojem między 'ndrinami w Reggio. Ugodą z mafią sycylijską. Ogólnie mówiąc, kamień milowy w historii 'ndranghety. A także w mojej historii.

W Nowym Jorku pracowałam w pizzerii, która nazywała się *O Vesuvio*, w Little Italy na Manhattanie, dzielnicy pełnej ślicznych niskich budynków i restauracyjek rozstawionych wzdłuż ulic. Miałam niewiele pieniędzy. Nocowałam w brudnych i hałaśliwych schroniskach i starałam się je polubić. Nadal nie piłam alkoholu i zachowywałam się jak grzeczna dziewczynka, byłam zbyt skoncentrowana na swoich projektach, na budowaniu swojej tożsamości, nareszcie upoważniona do tego, żeby myśleć o sobie jak o nie-Kalabryjce.

W pizzerii w Little Italy był *Ciro*, syn neapolitańczyków, ale urodzony w Nowym Jorku. Umierałam ze śmiechu, kiedy mówił w ścisłym dialekcie neapolitańskim nieudolnie mieszając go z amerykańskim slangiem. Kiedy kończyłam podawanie do stolików, wieczorami siadałam przy pianinie ustawionym naprzeciwko toalet i grałam klasyczne włoskie piosenki. Czasami zarabiałam więcej z napiwków, niż z dniówki. Antonio, właściciel, mówił mi: *Che voce ca tieni guagliona! Siente a me, canta ca fai cchiu' sordi!*¹⁵. *Ciro* natomiast gapił się na mnie nieprzytomnie, błagając, żebym została: *Please don't go, stay here*.

Ale ja musiałam wracać. Mój plan był taki: wrócić na krótko do Pizy, zabrać ubrania i trochę pieniędzy od moich rodziców, po czym znów rzucić się na podbój Manhattanu. Czekał na mnie przecież *Ciro*, który dałby mi pracę, i kto wie co jeszcze. Nowy Jork błyszczał wtedy na serio, ciągle miałam wrażenie, że zaraz przytrafi mi się

coś wyjątkowego, co w mgnieniu oka zmieni moje przeznaczenie. Może i nic się nie działo, ale to wrażenie cały czas we mnie płonęło i utrzymywało mnie w stanie euforii, nieznanym mi zupełnie w stęchłym Reggio. Aż do momentu, gdy podczas podróży powrotnej los nie spletał mi figla stulecia.

Przyjechałam spóźniona i przegapiłam lot. Ubłagałam kierownika, żeby wsadził mnie do innego samolotu lecącego do Włoch: „Błagam pana, mój ojciec umiera, muszę do niego pędzić”. Poskutkowało i znalazłam się w samolocie lecącym do Rzymu, i to w klasie biznesowej, bo w ekonomicznej nie było miejsca.

Koło mnie siedział mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni, niezwykle fascynujący. Ja byłam weteranką dnia spędzonego na posadzce lotniska JFK, bez grosza przy duszy, przystrojona koronkami, siateczkami, kokardami na głowie, dokładnie jak Madonna pod koniec lat osiemdziesiątych. A jednak spodobałam się temu dystyngowanemu panu.

Rozmawiamy o wielu sprawach podczas nocnego lotu nad Oceanem Atlantyckim. Śmiejemy się. On jest weterynarzem w Rzymie, ale pochodzi z Reggio Calabria. Co za zbieg okoliczności. Jest ode mnie dwadzieścia lat starszy. Był żonaty i rozwiedziony, drugi raz żonaty – owdowiał. Bardzo intrygujące.

Lądujemy w Rzymie i żegnamy się. Zapominamy wymienić się numerami telefonów i adresami. On wie tylko gdzie studiuje.

W Pizie odnajduję przyjaciółki, bo – ze względu na swoje niewielkie zasoby finansowe – muszę z kimś dzielić mieszkanie. Moja współlokatorka na imię ma Ornella, to zniewalająca dziewczyna z Agrigento, z silnym akcentem, która nazywa mnie *commare*¹⁶. Któregoś dnia mówi mi: „*Commare*, moim zdaniem ktoś nas śledzi”. „Co ty wygadujesz, Ornello?”.

Miała rację. Mężczyzna z samolotu przysłał prywatnego detektywa, żeby mnie odnalazł.

Któregoś popołudnia dzwoni domofon, podchodzę do okna i widzę weterynarza w jaskrawym porsche, z wielkim bukietem kwiatów ułożonym na tylnym siedzeniu. „Przyjechałem cię porwać”. To mój Richard Gere z filmu *Pretty Woman*, a ja jestem jego Julią Roberts.

Wkładam do torby dwie sukienki i odjeżdżamy. Panuje wielka wesołość i w

tamtej chwili, w samochodzie, on wydaje mi się jeszcze piękniejszy. Ma zielone oczy, szpakowate włosy, szczupłą sylwetkę, mięsiste usta. Zawozi mnie do swojego domu niedaleko Montepulciano. Dom wygląda jak pałac w Wersalu. Jestem tak zażenowana wobec całego tego blichtru, że wybucham płaczem. Czuję się mała, nieodpowiednia. Może zbyt szczęśliwa.

Nie jestem przyzwyczajona do bycia szczęśliwą.

Willa ma stare inkrustowane, złożone drzwi. Osiemnaście pokoi z łazienką. Jest hydromasaż, okrągła wanna. A jego sypialnia to pole marsowe.

Kochamy się. On ma czterdzieści lat, a ja dwadzieścia i jestem na dodatek mocno niezdarna w sprawach seksu.

Jest rok 1993. Rok pierwszego sprawozdania parlamentarnego na temat związków między mafią a polityką. Rok brutalnego zabójstwa ojca chrzestnego z Taurianovy Peppe Zappiego, tego, który w 1969 roku przewodniczył osławionemu szczytowi w Montalto, niedaleko sanktuarium w Polsi, zebrało się tam wówczas stu pięćdziesięciu *'ndranghetistów*, dzięki czemu po raz pierwszy przekonano się, jak bardzo Matka Boska Górską drogą jest klanom.

Również w 1993 roku, 22 lipca, porwany został w Bovalino fotograf Lollò Cartisano; dziwne porwanie, które nadal ma swoje ciemne strony. Rodzina zapłaciła okup, ale Cartisano nigdy nie został uwolniony. Dzięki anonimowemu listowi skruszonego strażnika więziennego jego zwłoki odnaleziono dziesięć lat później w Pietra Cappa, w Aspromonte, przy drodze, która z San Luca wznosi się do Polsi.

W 1993 roku jestem wreszcie zakochana. Mój mężczyzna często przyjeżdża do Pizy i zabiera mnie na romantyczne wyprawy po Toskanii. Odpręża mnie. Łagodzi moje napięcie pełne adrenaliny. I to jest dokładnie to, czego potrzebuję – ktoś, kto się mną zajmuje, daje mi pewność siebie, podaje mi do jedzenia ryby, podczas gdy ja sama mogę sobie pozwolić jedynie na paluszki rybne na obiad i kolację albo na stołówkę uniwersytecką, tysiąc pięćset lirów za posiłek, a wliczam w to również jabłko i pół litra mleka, którymi okraszam kolację.

Było bardzo trudno. Pracowałam gdzie popadło – nocami w szpitalu jako asystentka, barmanka, kelnerka. Przez jakiś czas przygotowywałam kawę w sali bilardowej. Miałam na wszystko odliczone pieniądze, żyłam w ciągłym poczuciu

zawieszenia, które mnie zżerało, więc w przypadku tego mężczyzny powiedziałam sobie: do diabła, takie jest życie, trzeba chwycić to, co nadchodzi. I odsunęłam od siebie słaby, ale uporczywy głos, który ostrzegał mnie, że to naprawdę nie jest mężczyzna dla mnie.

Mówił mi zawsze: „Ty będziesz matką moich dzieci”. Zachodzę w ciążę właśnie wtedy, kiedy mam się bronić i akurat w tym momencie, kiedy moje podejrzenia i cienie zaczynają gęstnieć; przeszłość tego człowieka jest pokręcona, wyczuwam w nim coś mętnego. Mam zamiar powiedzieć mu, że nie chcę go więcej widzieć, ale test ciążowy daje wynik pozytywny. A ja mam dopiero dwadzieścia jeden lat.

Skończyć z tym... Dokonać aborcji... Myślałam o tym, przyznaję. Ale tylko przez chwilę, i myśl tę pośpiesznie unicestwiłam. Nie tylko z powodu mojego katolickiego wychowania. Zdałam sobie sprawę, że tego dziecka naprawdę chcę. Problem w tym, że nie chciałam tego mężczyzny.

Był lipiec i toskańska wieś falowała kwitnącymi słonecznikami. Przechodziłam wśród pól, upijając się ich żółcią i mówiąc sobie: „Teraz wrócę do domu i wszystko się ułoży. Wszystko będzie dobrze”.

On mnie przypierał: „Chcesz ślubu? Tego właśnie chcesz? A więc cię poślubię, ty to zorganizuj tak, jak ci się podoba”. Trzeba to jeszcze było ogłosić moim rodzicom.

Moja matka podeszła do wieści o ślubie z mieszanką radości i podejrzliwości. „Poczekaj przynajmniej do wiosny”, wspomniała. „Na wiosnę będziesz już babcią”, ucięłam krótko. Proszę, najważniejsze ogłoszenie dotyczące mojej ciąży przyszło mi ot tak, bez wysiłku.

I wybuchł skandal. Ślub naprawczy należało przygotować w pośpiechu, zanim brzuch stanie się widoczny. On przyjechał do Reggio, żeby przedstawić się moim rodzicom dwa wieczory przed uroczystością, ale o tym zadecydowałam ja. Kiedy rozstałam się z Dinem, przyrzekłam mojej matce, że gdybym miała kiedykolwiek wyjść za mąż, ona pozna mojego mężczyznę dopiero przed ołtarzem, żeby nie miała czasu na gadanie.

Pobraliśmy się w Reggio 24 października 1993 roku w kościele ewangelicko-baptystycznym przy corso Garibaldi, ponieważ on był rozwiedziony i nie mógł wziąć ślubu katolickiego, a dla mojej rodziny nie do pomyślenia był ślub w urzędzie. Nie

mówiłam nikomu o jego rozwodzie, to byłoby jak cios sztyletem dla moich krewnych. Powiedziałam, że jest wyznania ewangelickiego, zamykając w ten sposób dyskusję.

Tego popołudnia wielu członków rodziny odmówiło wejścia do kościoła niekatolickiego. Kolejny raz Rosy siała zgorszenie. Wszystko wydawało mi się surrealistyczne. Chórzyści nie przestawali śpiewać „alleluja, alleluja!”, poruszając rękoma na prawo i lewo, a ja byłam tak nerwowa, że wybuchłam śmiechem. Myślałam o mojej matce, o twarzach nielicznych krewnych za moimi plecami. Nie mogłam przestać się śmiać i chowałam twarz w bukietcie z kwiatuszków spływających jak kaskada, którego wcześniej nienawidziłam, ale w tym momencie okazał się opatrnościowy. Czułam się jak łobuziara, świadoma tego, że zostanie upomniana, ale nie byłam w stanie przerwać tej niedozwolonej zabawy.

Odwróciłam się. Moja matka siedziała w pierwszym rzędzie w błyszczącej zielonej sukience, starała się spopielić mnie wzrokiem, szepcząc do mnie: „Jesteś niepoważna, jesteś niepoważna”. Jej słowa odbijały mi się od pleców. Bawiłam się do szaleństwa.

Oto powróciłam do mojego więzienia. I w tym nagłym przyływie świadomości mogłam się jedynie śmiać.

Pojechaliśmy zamieszkać w jego pałacu w Montepulciano, a ja w tym czasie zdołałam się obronić. Ale on czuł do mnie coraz większy wstręt, nie odzywał się już do mnie, a kiedy to robił, to tylko po to, żeby mi grozić, że mnie zostawi. Nie wydawał mi się już zdolny do uczuć, w każdym razie nie wobec mnie. A cięża była trudna, cierpiałam na anoreksję i bez przerwy wymiotowałam, także po upływie pierwszych trzech miesięcy.

Później powiedziałam sobie, co ja w ogóle robię? Wróciłam do Reggio i wynajęłam mieszkanie obok rodziców. Znów sama. Sama z tą dziewczynką w brzuchu, która w ogóle nie chciała się urodzić, choć termin porodu już dawno minął.

Któregoś wieczora poczułam, że duszę się pod tym nieruchomym brzuchem, w obecności męża, który właśnie przyjechał do Reggio na narodziny swojej córki. Tak więc wyszłam, była już jedenasta i w lokalu z karaoke zaśpiewałam piosenkę *Time After Time* Cindy Lauper. Żeby się wyzwolić. Prezenterem był mój znajomy,

który powtarzał do mikrofonu: „Naprzód, maleńka, czas się urodzić”, a do mnie mówił: „Poczekaj, aż włączymy muzykę dyskotekową, zobaczysz, że po dwóch uderzeniach basów dziewczynka się obudzi”.

I tak się stało. Łomoczące nuty, przesadnie głośne, wywołały trzęsienie ziemi w moim ciele – dziewczynka obróciła się do góry nogami. Po powrocie do domu nastąpił pierwszy skurcz. Po dwudziestu minutach drugi. Miałam bóle aż do świtu, ale siedziałam cicho, żeby nikt się przy mnie nie kręcił. O siódmej rano skurcze przychodziły w dwuminutowych odstępach. Weszłam do pokoju męża i powiedziałam mu: „Jeśli chcesz mnie odwieźć na poród, to dobrze, w przeciwnym razie zadzwonię po rodzinę”.

Przyjechałam do szpitala z ośmiocentymetrowym rozwarciem. On, zachowując się zupełnie nie na miejscu – jak angielski lord, co jakiś czas pojawiał się przy mnie i mówił: „Oddychaj!”. Chciałabym mieć czarodziejską różdżkę, żeby w jednej chwili zniknął.

Po trzech parciach urodziłam. Był 12 marca 1994 roku.

Micol urodziła się w Reggio Calabria o pierwszej piętnaście w dzień. Była cudowna. Moja córka. Moje życie.

Nie byłam już sama. Jakie to miało znaczenie, że mój mąż nie jest we mnie zakochany? On chciał mieć syna, zapewnić sobie ciągłość genetyczną, ale bez obowiązku bycia ojcem. Któregoś dnia wyjechał. Zniknął. Od czasu do czasu dzwonił z nienacką, żeby dowiedzieć się, jak się czuje Micol. Później nagle znów się pojawił: „Zabieram was do Rzymu”. Musiałam znów spróbować, musiałam to zrobić dla mojej córki. Ale nic już nie mogło funkcjonować między nami dwojgiem.

Cierpiałam na depresję poporodową; niewiele wcześniej byłam w Chelsea, w Nowym Jorku i oglądałam drapacze chmur w New Jersey, które nocą rozpalają Hudson River, a teraz leżałam na brzydkiej kanapie i karmiłam mlekiem noworodka, obok mężczyzny, który każdym gestem i każdym słowem wstrzykiwał we mnie swoją pogardę.

Moje życie było skończone.

Moja matka natomiast odżyła, to ona czuła się matką dziewczynki, bez przerwy przyjeżdżała do nas do Rzymu. I musiała zabierać głos w każdej sprawie. Co trzy dni

groziła mi, że zaprowadzi mnie do sądu, żeby odebrać mi małą: „Nie jesteś godna, żeby być matką, oto dlaczego cię zostawił, bo ty nic, tylko byś wychodziła, on był zbyt poważny dla ciebie”. I słowa, słowa, słowa. Upokorzenia.

Z czasem Lidia przyznała mi rację co do tego mężczyzny.

Po zaledwie jednym wspólnie przeżytych roku rozstaliśmy się. Błędem było to, że go poślubiłam, ofiarowałam się na ołtarzu dobrego imienia rodziny, godząc się na ślub naprawczy, aby moich krewnych nie wytykano przeze mnie palcami na ulicy. Ale przynajmniej z jednego powodu suknia ślubna okazała się praktyczna – nosiłam ją jak jakaś diwa, kiedy usypiałam moją córeczkę, improwizując przedstawienia na łóżku i śpiewając jej *Like a Virgin* Madonny.

Micol była światłem. Micol była jedyną kobietą, która zmieniła pod każdym względem moje życie. Z nią nie było już samotności ani porzucenia, ani poczucia nieadekwatności. Wyrosłyśmy razem, ja i Micol.

I oto znów jesteśmy w Reggio, gdzie zaczęłam grać i śpiewać. Choroba na muzykę była nieuleczalna i okazało się, że nadal jestem w tym dobra. W pewnym momencie musiałam sobie zdać sprawę, że nie można wiecznie żyć ze stu tysiącami lirów za wieczór na czarno, kiedy ma się córkę, która wymaga ode mnie odpowiedzialności i solidnych planów na przyszłość. Szukałam więc drogi.

Znalazłam. Tą drogą była via Tripepi, w centrum miasta. Ulica, przy której stanął mój lokal.

¹ Via (wł.) – ulica.

² Nicola Giunta (1895-1968) – pisarz i poeta tworzący w dialekcie kalabryjskim.

³ Miasto, gdzie wszystko przepada, gdzie i głupcy są od ciebie lepsi, gdzie władzę sprawują „nudzę się” i „nie obchodzi mnie to”, a każda sprawa uznawana jest za głupstwo.

⁴ Sharre Centrali – dzielnica Reggio Calabria, która w roku 1970 w ramach buntu przeciw władzom została okrzyknięta przez mieszkańców republiką.

⁵ Typowe sycylijskie ciastka nadsiewane białym serem ricotta.

⁶ Żołnierz mafii.

⁷ *Ty musisz zabijać*.

⁸ Nóż.

⁹ Jeden z wyższych stopni w obrębie mafii.

¹⁰ Powiedziano mi, że żyje się nadzieją (dial. kalabr.).

¹¹ Matka Courage (matka odwaga).

¹² Pippo Baudo – (ur. 1936) znany włoski dziennikarz i konferansjer, od początku kariery cieszący się popularnością, prowadzący wiele ważnych uroczystości publicznych.

¹³ Prosecco (wł.) – włoskie białe wino musujące, często dolewane do drinków i koktajli.

¹⁴ Porządna z ciebie dziewczyna (dial. kalabr.).

¹⁵ Co też ty masz za głos, dziewczyno! Słuchaj, co ci mówię, śpiewaj, bo tak zarobisz więcej pieniędzy! (dial.

kalabr.).

16 *Commare, compare* (wł.) – termin oznaczający osobę powiązaną nie przez więzy krwi ani małżeństwo, ale przez chrzest – typowe dla południowych Włoch.

IV

PISTOLET NA STOLE

La Vecchia Cantina była obskurną piwnicą *open space* o kilka kroków od Teatru Miejskiego, miała posadzkę z białej majoliki i ladę na samym środku, nieudolnie wciśniętą między cztery filary. Drewniane stoły i ławy wyglądały jak letnie place piknikowe w lasach w Gambarie, w Aspromonte. Lokal był tak brzydki, że wzbudzał czułość.

Śpiewałam tam kilkakrotnie z Lenzem Malacarne, niezapomnianym przyjacielem; krążyliśmy po lokalach z klawiaturą i sprzętem audio na plecach, aby zebrać osiemdziesiąt tysięcy lirów za wieczorny show, który zatytułowałam *La signora canta...¹*, inspirując się kawałkiem Billie Holliday *Lady Sings the Blues*.

Od wynagrodzenia odpisywano nam koszty, co oznacza, że za każdym razem pojawiał się jakiś dobry powód, żeby odebrać nam dziesięć tysięcy lirów, aż któregoś dnia zaproponowali mi stanowisko dyrektora artystycznego lokalu. Nie było prawie czym kierować, to ja musiałabym opłacać klientów, żeby zmusić ich do zejścia po tych zmurszałych schodach, do picia piwa w ręcznie mytych matowych szklankach, przy muzyce, która wychodziła pourywana z rozpadających się głośników.

Był koniec 1996 roku, Micol miała dwa latka.

W lipcu poprzedniego roku operacja *Olimpia* Antymafijnej Dyrekcji Śledczej w Reggio rzuciła światło na najnowszą historię 'ndranghety, historię zabitych w pierwszej i drugiej wojnie klanów. Historię, która parzyła nas boleśnie podczas niekończącego się okresu godziny policyjnej i niepokoju. Dwadzieścia pięć lat wydarzeń, w których centrum stała organizacja niebędąca magmą rywalizujących ze sobą klanów, ale systemem władzy na szczycie, nazywającym siebie wręcz *Cosa Nuova²*, aby zaznaczyć rozbrat z rolniczo-pasterską przeszłością.

Operacja *Olimpia* odkrywała związki między 'ndranghetą, odłamami masonerii i faszystowskimi wywrotowcami, nie licząc macek kalabryjskich frakcji poza Włochami, a definiowała ją jako „dewastującą i złożoną rzeczywistość kryminalną, wyrafinowany i futurystyczny model organizacyjny”. Rzekomo na jej wierzchołku

znajdowało się dwudziestu czterech *capi*, istniała nawet podgrupa trzydziestu trzech *wybranych*, tak zwana *Santa* – prywatny klub *'ndranghetistów* zdecydowanych przenikać w szeregi masonerii, by zawierać płodne przymierza z policjantami, politykami, sędziami.

Wiosną 1997 roku weszłam w spółkę z ludźmi z *Vecchia Cantina*, nabywając udziały w lokalu. Nie miałam pojęcia o tym, jak się prowadzi pub, czułam się za to absolutnie pewna w kwestii porządku i dyscypliny dzięki mamie Lidii, która wychowała mnie i mojego brata jak dwoje żołnierzyków. Wiedziałam, że ta okazja zawodowa będzie źródłem utrzymania dla mojej córki, której chciałam zapewnić przynajmniej przyzwoite życie.

Mój ojciec pomógł mi spłacić część udziałów, piętnaście milionów lirów, a to zsumowało się z i tak już długą listą rozmaitych form poczucia winy wobec mojej rodziny, po rozpadzie mojego małżeństwa, i przełożyło na niezłomną wolę udowodnienia im, że umiem stanąć na wysokości zadania. Tak, mogłam sobie poradzić. A raczej musiałam.

Kiedy przekazano mi klucz do lokalu, zdawało mi się, że obracam w dłoniach klejnot. Nigdy przedtem nie posiadałam tak wielkiej rzeczy, o której mogłabym powiedzieć, że należy do mnie. Lokal trzeba było całkowicie oczyścić i przeprojektować, ale sama myśl o wyzwaniu, jakim było przywrócenie go do życia, kompletnie mnie elektryzowała.

Rozejrzałam się wokół siebie. Zderzenie z rzeczywistością było straszliwe. Mocne światło pokazywało bez osłonek wszystkie niedoskonałości piwnicy. Schodząc po schodach, wdychając woń wilgoci, zadawałam sobie pytanie, czy wejście na ten pokład to mądry wybór. Włączyłam więc muzykę i podkreśliłam głośność tak, że nawet mnie ogłuszała, chociaż byłam przyzwyczajona do decybeli ponad normę. Nuty zaczęły nabierać prawie stałego kształtu w pustym salonie i powoli wypełniły każdą jego wnękę, przyczepiając się jedna po drugiej do ścian, które wchłaniały je, jakby były spragnione piękna i melodii.

Przyćmiłam światło. Posadzka z błyszczącej majoliki nadal męczyła oczy, ale rozglądając się dookoła, w półcieniu, wśród białych ścian i gołych cegieł zaczęłam wreszcie wyobrazać sobie coś innego. Tak. To było preludium ważnej historii.

Zaczęłam śpiewać podczas regularnych spotkań, przyjaciele słuchali nas całą grupą, a pocztą pantoflową rozeszła się po mieście wiadomość, że lokal ma nowego właściciela.

Nadszedł czas sezonowego zamknięcia. Był czerwiec 1998 roku. Micol miała cztery lata. A ja właśnie wymierzyłam cały lokal.

Spędziłam lato na bieleniu ścian i zbieraniu mebli po ulicach i z piwnic znajomych. Ściany zaczęły wchłaniać muzykę, moje piosenki, mój głos, i prędko nabrały cech, które wyrysowałam w mojej głowie. Po tygodniu harówki, zużyciu ton papieru ściernego i impregnatu w kolorze orzecha włoskiego przywróciłam życie także ladzie. Wydawała się wręcz piękna.

Zawieszono u wylotu schodów sztuczne drzewko cytrynowe rozkładało gałęzie na suficie, witając gości w wiejskim świecie, który rozpoczął wyścig z czasem. W rogu sali kazałam wybudować drewniany domek z prawdziwymi dachówkami. Posadzka zmieniła się w postarzaną terakotę, a nad każdym stolikiem wisiała lampa i talerzyk typowy dla wiejskich domów.

Wreszcie przestrzeń, którą zaprojektowałam, rozpościerała się przede mną – rzeczywista. Przypominała mi izbę z nasionami u babci Marii w Fiumarze di Muro, pełna rzeczy naturalnych i co do centymetra przepełniona życiem.

Nazwałam moją kanapkarnię *Lo Spaventapasseri*³. Kiedy mieszkałam na wsi w Toskanii, lubiłam rano otwierać okno i witać się ze strachem na wróble, który wychylał się, ciekawski, z pola jęczmienia. Odczuwałam czułą pobłażliwość wobec człowieka przedstawiającego siebie samego w sposób tak dziecinny, broniąc się przed naturą, która z kolei nie zwraca na niego uwagi.

Vecchia Cantina w sobotę wieczorem miała wpływy w wysokości pięciuset tysięcy lirów. *Lo Spaventapasseri* dwa miesiące po otwarciu zarabiał pięć milionów. Pod oszołomionym spojrzeniem mojej rodziny.

Mój ojciec jest mężczyzną. On też mnie zdradził. Tysiącrotnie mnie upokorzył i tysiąc razy zabił. Ale jako jedyny został u mojego boku. Kiedy sprawy już się posypały, nie zawahał się pobrać swojej odprawy, aby spłacić długi lokalu. Pieniądze te miały mu służyć na starość, chciał ją przeżyć pogodnie razem z moją matką i pieskami. Tymczasem także dla niego nadeszły smutne chwile.

Nie wiem, czy wtedy obowiązek ojcowski przeważał nad miłością. Ale on wykonał ten gest. A ja, chcąc być wsparciem dla swoich rodziców, okazałam się dla nich ciężarem.

Ale tego, kto oferuje ci pomoc, nie można powstrzymać przed wygłoszeniem osądu. Nawet jeśli jest twoim ojcem. Ten, kto ci pomaga, rości sobie prawo weta wobec twojego życia i twoich wyborów, dawnych i tych, które mają nadejść; każe ci chodzić po linii zawieszanej pomiędzy tym, kim jesteś i co robisz, a tym, czego chcieliby od ciebie inni. Za każdym razem, gdy widziałam mojego ojca, pojawiała się poczucie winy. Byłam mu wdzięczna, a jednocześnie wściekła, że zawsze traktował mnie jak kobietę w spódnicy. Interesy to nie sprawy dla kobiet pod niektórymi przekłętymi szerokościami geograficznymi. Jak to możliwe, że ty, kobieta kieszonkowa, jesteś w stanie zmierzyć się z wyzwaniem zawodowym, kiedy dla ciebie zapisana jest przyszłość nauczycielki?

Rodzisz się i dorastasz, ucząc się, modląc i haftując. Kiedy nadchodzi moment – i oby nie nadszedł zbyt późno, inaczej nie jest dobrze – zaręczasz się z grzecznym chłopcem, który cieszy się stałym miejscem pracy, najlepiej w urzędzie państwowym. Wychodzisz za niego, masz z nim dzieci, nadajesz im imiona po jego albo twoim ojcu. W niedzielę będziesz jeść klopsiki w sosie u teściowej, która odcedzając *tortiglioni*, będzie rozprawiać o twojej umiejętności zmieniania pieluszek. Twój mąż będzie udawał, że nie słucha, śledząc wyniki meczów w telewizji, a w dziewięćdziesiątej minucie będziesz już w domu swojej matki, która też chce zobaczyć wnuki. Rzeczy niedozwolone: papierosy, spódnice nad kolano, wyjścia z przyjaciółkami, zwłaszcza jeśli są singielkami i farbują włosy na odcień między blondem a ostrą miedzią.

Tak działo się we wszystkich rodzinach, także w tych, które uważały się za nowoczesne i wysoko lokowane społecznie. Bzdury. Jediną różnicą między jednym domem a drugim był kształt makaronu – w niektórych środowiskach, wiadomo, *tortiglioni* są uważane za mało sztywne.

Zawsze pilnowałam się, żeby nie wyruszyć tą wyznaczoną mi już drogą, nie byłam do niej stworzona. I za to też zostałam ukarana. Ukarana osądem mojej rodziny i zacnej społeczności Reggio, ludzi, którzy chodzili pod rączkę z mafiosami, nawet

się tym szczyjąc, a później używali moralnego bata na młodą samotną matkę z rudymi włosami, w butach na trzynastocentymetrowym obcasie.

Ludzie z mojego miasta są w większości stworzeni właśnie w ten sposób, specjalizują się w szukaniu dróg na skróty, we wszystkim. Aby żyć, aby dotrzeć, aby wziąć ślub, aby zapłacić rachunek, aby wyrobić dowód osobisty. Nigdy nie zrozumiałam, co tak naprawdę się liczy dla moich ziomków. Słyszałam próżne wypowiedzi, które zdierały ze mnie skórę i rozrywały duszę: mówiło się o *bella gente*⁴. Postaciach, wśród których znaleźć można było potomków najlepszych mafijnych rodzin. Lub dzieci znanych specjalistów, które nie robiły nic oprócz wciągania kokainy, wlewania w siebie alkoholu i rozdawania miłosnych uniesień wszystkim wokół, czy to mężczyznom, czy kobietom.

Dla Reggio to oni byli *bella gente*. Natomiast młodzi, którzy uczyli się po nocach, bo w dzień pomagali ojcom w warsztatach na peryferiach, a kiedy wychodzili do lokali w centrum, mieli tylko dziesięć tysięcy lirów w kieszeni to byli przegrani. Ludzie przezroczyści.

Ale teraz ja miałam swój lokal *Lo Spaventapasseri*. Określałam go mianem *agropub*, ponieważ miał klimat rustykalny. Podawano piwo, focacce, kanapki i całą gamę smażonych przekąsek, od kuleczek mozzarelli, przez nadziewane oliwki *all'ascolana*, po smażone kwiaty cukinii. Wymyśliłam sobie kanapkę wypchaną parówkami, frytkami i keczapem, która nazywała się *crucco*. Sprzedawałam ich co wieczór czterysta, po trzy tysiące lirów za sztukę. Kanapki z parówką serwowanej w ten sposób nigdy wcześniej nie widziano w Reggio Calabria.

Lo Spaventapasseri wzbijał się do lotu. Pozwalałam grać na żywo zespołom z miasta, w niedzielę było karaoke, a w piątki wieczorem tańce latynoamerykańskie, które w owych czasach były bardzo modne. Punktualnie o północy przyciemnialiśmy światła i włączaliśmy magnetofon. W kilka minut przesuwaliśmy stoły i nauczycielka tańca ustawiała się na niskiej scenie, a klienci na sali naśladowali ją, falując. Jeszcze dziś czasem do mnie piszą z podziękowaniem pary, które zakochały się w sobie w *Spaventapasseri* i zapamiętają go na zawsze, ponieważ było to miejsce ich pierwszego pocałunku, a dziś są małżeństwem i szczęśliwymi rodzicami. W tym miejscu krążyła miłość.

Tak właśnie zaczęłam wzbudzać zawiść wśród pewnych osób. Nie wiedząc o tym, zaburzałam pewną równowagę.

Rozpisano przetarg na zarządzanie stołówką w liceum klasycznym. Wygrywał go zawsze pewien pan, którego znałam tylko z widzenia, wiedziałam jednak, że w szkole panowało niezadowolenie, komitet rodzicielski zebrał nawet podpisy, żeby zmienić firmę dostarczającą żywność. Tymczasem pan brał ponad dwadzieścia tysięcy lirów za posiłek. Do przetargu publicznego przystępowali nieliczni, a ceny innych konkurentów przegrywały już na papierze – były tak wysokie, że przy nich dwadzieścia tysięcy lirów wydawało się najlepszą ofertą.

Ja wysłałam na przetarg propozycję ośmiu tysięcy lirów. To była właściwa kwota. Ale dlaczego, do diabła, na tej ziemi musiało być zawsze nie tak, jak trzeba? Moje obliczenia były uczciwe: cztery tysiące lirów pokrywało koszty, pozostałe cztery tysiące wędrowały do mnie.

Nigdy nic wcześniej nie wygrałam, nawet w zdrapkę. Ale tym razem mi się udało i ów pan posłał mi wiadomość, że odebrałam jego dzieciom strawę. On i jego brat mieli różne lokale w Reggio, w samym centrum i pełne ludzi, które z pewnością zarabiały o wiele więcej niż *Spaventapasseri*.

Na krótko przed podpisaniem umowy ze stołówką ktoś do mnie dzwoni. Mówi: „Uważaj, bo bierzesz się za sprawy, których nie wolno ci dotykać. Zaczekaj. Stoją za tym ludzie ze strefy północnej”.

I ja czekam.

Mija kilka dni, ale jeśli od razu nie podpiszę, wycofają wezwanie. Idę do dyrektorki, rozmawiamy całkowicie poufnie. „*Dottoressa* Canale, proszę, niech pani nie rezygnuje”, błaga.

Podpisałam w tej samej chwili, ale nie chcę problemów. Zdaję sobie nagle sprawę, że przy swojej małości staję się wielka, a to nie będzie mile widziane przez tych, którzy w tym miejscu, pełnym idiotów i *compari*, chcą mieć wszystko.

Jest już rok 1999. Micol ma pięć lat.

Lo Spaventapasseri zdobywał popularność w Reggio, ponieważ miał duszę i pomysły, był prosty i świeży, i nie był kopia niczego. Na papierze konkurencja była niewielka, w rzeczywistości liczne lokale usytuowane w centrum tworzyły podziały

i wywoływały wycieńczającą wojnę biedaków.

Jeden z nich należał do brata tego pana od stołówki, który naraz zaczyna podstawiać mi nogę. Ja organizuję taniec latynoamerykański w piątki i on też; ja proponuję karaoke w niedzielę i on też; ja każę płacić za wstęp siedem tysięcy lirów, a on trzy tysiące. Klienci się dzielą, tracę gości.

Pewnego czwartku wieczorem wchodzi do lokalu dwóch mężczyzn. „Jest ktoś, kto chce z panią rozmawiać”.

Proszę, wreszcie przyszli.

„Kiedy chcecie”, odpowiadam.

„Teraz. Musi pani iść z nami”.

Mój ojciec jest w kuchni z ludźmi z obsługi, nie chcę, żeby widział, jak wychodzę z dwoma nieznanymi. Zaglądam, mówię mu: „Idę kupić papierosy” i oddalam się.

Moja twarz się zmieniła. Przeszywa mnie tysiąc impulsów nerwowych, ale na zewnątrz nic nie widać. Wysilek samokontroli spowalnia moje funkcje życiowe. Mówię powoli, skanduję każdą sylabę. Jestem tak lodowata, że nie czuję, jak krąży we mnie krew. Ale nie mogę zrobić nic innego, jak tylko wsiąść do ich starego modelu fiata uno i usadowić się na wpół zapadłym i wyłożonym płótnami tylnym siedzeniu.

„Czy mogę wiedzieć, dokąd jedziemy?”, pytam. Odpowiada mi typ siedzący za kierownicą: „Proszę się nie martwić, to niedaleko”. Akurat to nie odległość mnie martwiła w tamtej chwili.

Kiedy tylko wyjechaliśmy z miasta, drugi typ prosi, żebym się pochyliła. Chcą, żebym stała się niewidzialna i nie patrzyła na drogę. Zginam się na siedzeniu, on mnie nakrywa jednym z płócien, zsypuje się z niego trochę ziemi, która wpada mi między włosy, rzęsy i do ust.

Samochód skręca w prawo, po podskokach poznaję, że jedziemy po bitej drodze. Zwalniamy. Jesteśmy na miejscu. Przejechaliśmy trasę w jakieś dwadzieścia minut. Podnoszę się, wyglądam na zewnątrz. Głęboka wieś. Idziemy kawałek ścieżką, jest ciemno. Oto dom. Wchodzimy.

W skromnym i pustym przedpokoju, rozjaśnionym jedynie przygasającą lampą, widzę krzesła, plastikowy stół, siedzącego człowieka, pistolet na stole.

To tam zatrzymuję wzrok – na wyłożonym czarnym i błyszczącym pistolecie, mającym od samego początku narzucić ton dyskusji, która nastąpi.

Wstrzymuję oddech. Powtarzam sobie: „Rosy, bądź spokojna, nic nie może się stać, a poza tym ktoś na pewno widział, jak wychodzisz z lokalu z tymi bandziorami...”

Zawsze myślałam pozytywnie. Aż do końca. Myślałam, że najgorsze, co może mi się przytrafić, to pistolet wymierzony w twarz, żeby mnie uciszyć. Wiadomo było, że ci ludzie są okrutni, ale kobieta z córeczką, kobieta pracująca...

W każdym razie teraz jestem tutaj. Twarzą w twarz z nieznanym, który próbuje mnie poniżyć swoim pysznym i wrogim spojrzeniem, i swoim pistoleciskiem, leżącym na białym plastikowym stole.

Moje „dobry wieczór” działa na niego jak detonator. *Muccusa!*⁵, wybucha. „Co ty sobie myślałaś? Że przyjedziesz do Reggio i zmienisz historię? Kim ty jesteś?”. Mieli już gotowe kanistry z benzyną: „Teraz wszystko spalimy!”.

Nie krzyczy, ale głos ma wysoki, rytmiczny. Nazywa mnie smarkulą, grozi, że podpali mój lokal. A ja, niema, wytrzymuję jego spojrzenie.

Przerywa, przygląda mi się. „Skończył pan?”, pytam.

On znów atakuje: „Tu są ludzie, którzy zaczęli pracować wiele lat przed tobą, a teraz ta przyjeżdża i staje do wyścigu... *U capisci chi non è possibili, chi non va beni?*”⁶

„Kiedy pan skończy, ja też bym chciała coś powiedzieć”, przerywam mu stanowczo. Ten mężczyzna z błyszczącym pistoletem pod nosem mnie upokarza. Traktuje mnie dokładnie w ten sam sposób, w jaki nienawidzę być traktowana – jak kobietę w spódniczce, niezdolną i niepotrzebną babkę. Jego słowa pełne pogardy wywołują we mnie wściekłość.

To nie jest odwaga. Mam przed sobą faceta, który próbuje narzucić mi swoją filozofię, używając do tego jedynej argumentacji – lufy pistoletu, być może nawet naładowanego. Ale ja jestem uzbrojona w konieczność pracy, wychowania mojego dziecka, jestem więc silniejsza. Jego myśli mnie nie interesują i nie powinnam nawet się fatygować, żeby mu zaprzeczać, ale nie pozwalam mu przywłaszczać sobie prawa do decydowania, czy Micol będzie mogła mieć nową parę butów, czy nie. I w tym

tkwi dla mnie sedno sprawy.

„Obraził mnie pan na wszelkie możliwe sposoby”, atakuję. „Ja nawet nie wiem, kim pan jest, ale nigdy nie pozwoliłam nikomu decydować za mnie, jak mam żyć. A poza tym z tego, co pan mówi, rozumiem, że nie widział pan na własne oczy tego, co dzieje się w mieście”.

On patrzy na mnie nadal nieporuszenie, z przechyloną na bok głową, i słucha mnie z uwagą. Oczy nie wychodzą mu już z orbit – jak wcześniej.

„Jestem matką małej dziewczynki, którą wychowuję sama, i ja, szanowny panie, czy w południe w stołówce, czy wieczorem w lokalu, muszę pracować. Jeśli ktoś tutaj odbiera komuś chleb od ust, to z pewnością nie ja”. I wyjaśniam mu niepoprawne zachowanie panów z konkurencyjnego lokalu. Po czym dodaję: „Jeśli poda mi pan dobry powód, żeby zrezygnować ze stołówki, mogę się nad tym zastanowić. Ale jeśli ma to być nakaz, mówię panu od razu, że tego nie zrobię. Powiem więcej, *nun vi scomodati chi ora scindu o locali*⁷, wezmę kanister benzyny i sama się podpale”.

Jeśli mój lokal ma wybuchnąć, to ja przypalę lont. Nikt inny.

Zmienia mu się wyraz twarzy. Uspokaja się. Teraz mówi powoli, przyciszonym głosem. „Ja o tych sprawach nie wiedziałem, proszę pani”. Jeszcze przed trzema minutami byłam smarkulą, teraz awansowałam do tytułu pani.

„Niech pan spojrzy”, ciągnę dalej. „Jeśli popełniłam błąd, jestem gotowa nawet przeprosić i zrobić krok do tyłu, ale zrezygnuję ze stołówki tylko pod warunkiem, że te osoby przestaną toczyć wojnę z moim lokalem. Jeśli mi pan zagwarantuje, że będę dalej pracować, oddam im stołówkę”.

A on: „*Vardate, v'ai a dire na cosa*⁸. Nie jest pani mężczyzną, ale mówi pani jak prawdziwy mężczyzna”. Prawdziwy wielki komplement. Klasyczny język 'ndranghety.

Jestem nadal lodowata, ale gęsta gruda adrenaliny ciśnie mnie w gardle. Tak, zdecydowanie nie byłam stworzona dla tej ziemi.

Ten facet był gwarantem panów od stołówki, chronił ich, poświęcał się dla nich. I przywoływał mnie do porządku. Wiem, kim był, ale nie podam jego nazwiska, ci ludzie są nadal wpływowi. Trochę później widziałam w gazecie jego zdjęcia, był niebezpiecznym poszukiwanym, ukrywającym się utytułowanym bossem. Kilka lat

później został aresztowany.

Często myślałam o tym, dlaczego tamtego wieczoru wsiadłam do samochodu z tymi dwoma mężczyznami. Ale należało zmierzyć się z sytuacją i szybko znaleźć rozwiązanie. Zrobiłabym to ponownie. Dziś nawet mniej bym się bała, ponieważ nie sądzę, żebym jeszcze była dla kogoś celem. Wyszłam ze wszystkich kręgów biznesowych. I zapłaciłam za to najwyższą cenę.

Moje zaangażowanie przeciw kulturze prze mocy jest ostatnim etapem głębokiej wewnętrznej wędrówki, prowadzącej mnie do miejsc i domów, do których nie wyobrażałam sobie, że mogę mieć dostęp. Jestem nikim, ale dziś coś reprezentuję, coś, co próbowałam zbudować z kobietami z San Luca.

W San Luca znają mnie wszyscy, także ci, którzy udają, że nie wiedzą kim jestem. Zrozumieli, że nie stanowią zagrożenia dla ich interesów i uszanowali dramat, który przeżyłam. Były też osoby w San Luca, które mi mówiły: „*Dottoressa*, was tutaj nikt nie tknie”. Mieszkańcy San Luca słyszeli, jak wypowiadam się na rzecz osób uczciwych i próbuję poprawić jakość życia w miasteczku. Ówczesny prefekt Reggio Calabria, Francesco Musolino, mówił mi, że mam obstawę medialną, uwagę skierowaną na siebie. A pewni ludzie nauczyli się, że krzyk nigdy nie jest korzystny.

Tego wieczoru doszliśmy do porozumienia, ja i boss. Oni nie będą mi już wytaczać wojny, a ja zrezygnuję ze stołówki.

Kiedy wysiadłam z cuchnącego fiata uno i weszłam do *Spaventapasseri*, ogarnęła mnie panika. Nie byłam w stanie mówić, ręce drżały mi tak mocno, że nie potrafiłam nawet zapalić sobie papierosa.

Nikt tego nie zauważył. I nikomu nie powiedziałam, gdzie byłam, ani z kim.

Następnego wieczoru, w piątek, miała się odbyć próba ogniowa porozumienia osiągniętego w domku pośród pól, z pistoletem na stole jako gwarantem umowy. Podczas gdy ja przygotowuję swój cotygodniowy wieczór latynoamerykański, dwaj panowie w swoim lokalu robią to samo, jakby nic się nie stało. Znów zostaję w na pół pustym pubie.

Jestem wściekła.

Pod koniec wieczoru siedzę na moim taborecie. Czekam, aż przy ostatnim stoliku poproszą o rachunek, żeby zamknąć pub i zastanowić się, co robić. Krótco przed

pierwszą wchodzi tych dwóch mężczyzn, którzy zabrali mnie poprzedniego wieczoru. Witają się ze mną uprzejmie, dając mi znak, żebym odeszła na bok. I przekazują mi ostatnią decyzję ich *capo*: „Proszę pani, powiedział, że macie podpisać umowę ze stołówką. *Chisti su*⁹ *quaquaraqua*, a my, poważni chrześcijanie, nie możemy zobowiązywać się za *quaquaraqua*. *Iti e pigghiatevi a mensa*¹⁰, bo już wam nikt nie będzie przeszkadzał”.

Użyli dokładnie terminu Leonarda Sciasci¹¹ *quaquaraqua* – niewiadomoco – według sycylijskiego pisarza to najniższy stopień piramidy antropologicznej. Ci, „którzy powinni żyć jak kaczki w kałużach, bo ich życie nie ma większego sensu i większego wyrazu niż życie kaczek”.

Powiedzieli mi, że ich podopieczni byli żarłocznymi, nie dotrzymali umowy, i przekazali mi przeprosiny od bossa za to, że mnie niepokoił poprzedniego wieczoru. Postacie takie jak oni, z wyższego „poziomu”, zdawały sobie sprawę, że nie mogą już zaciągać zobowiązań w imieniu tych drugich. A więc w takiej sytuacji, kiedy wszystkie porozumienia dżentelmeńskie poszły z dymem, stołówka mogła być moja. Zwycięstwo o gorzko-słodkim i dwuznacznym smaku, bo chociaż wyczułam, że dokonała się sprawiedliwość, wiedziałam, że pochodziła ona ze złej strony.

To był mój chrzest bojowy z 'ndranghetą. Mój niezapomniany pierwszy raz.

Myślałam zawsze po amerykańsku – naiwnie. Mamy wolny rynek, kto da lepszą ofertę, ten pracuje. Tymczasem nie. Kalabria to nie Ameryka. Może to nawet nie Włochy.

Od tego pierwszego spotkania rozumiałam coś fascynującego i ponurego zarazem. Nawet w środowiskach przestępczych można rozróżniać ludzi, człowieczków i *quaquaraqua*. Boss, na swój sposób człowiek, zrozumiał, że mam problemy z własnym interesem i posłał mi wiadomość, że pozwala mi pracować. Kiedy zobaczył, że *quaquaraqua* nie zadowolają się robieniem pieniędzy we własnych pizzeriach, fast foodach i barach, i chcą jeść na dwóch biesiadach, jak to się u nas mówi, człowiek-boss przeszedł na moją stronę.

A więc biorę dla siebie stołówkę. Pracuję dobrze, zarabiam, nikt mi więcej nie przeszkadza. Tymczasem ci panowie toczą dalej ze mną swoją wieczorną wojnę, rozpuszczając plotki, próbując obrzucić moją pracę błotem.

W Reggio nie istniały zasady prawdziwego handlu, biznesu. Ci, którzy posiadali więcej lokali, chcieli sami pożerać całe danie, chwytając co się da w bezładzie ofert. Wiedziałam, że wielu z nich nabywa pięciolitrowe butle dzinu straszliwej jakości i wciska go później klientom w butelkach po markowym likierze. Ja się temu opierałam, ponieważ nigdy nie robiłam takich świństw. W najlepszych okresach stałam przy barze jako *bar-lady*. Uczestniczyłam w profesjonalnym kursie i przygotowywałam rewelacyjne koktajle, starając się nauczyć techniki *free-style*: podrzucałam butelki w górę, często spadały mi przy tym na podłogę, i z ludźmi z obsługi śmialiśmy się jak wariaci. Znałam na pamięć przepisy na wszystkie międzynarodowe koktajle, wliczając te najbardziej niezwykle, i gramaturę likieru, skład. Moją specjalnością był *Long Island Iced Tea – quattro bianchi*¹², napój, który spływa do gardła, jakby to była herbata, a kilka minut później nie pamiętasz nawet, jak się nazywasz.

Byłam w tym dobra. Bawiłam się świetnie. Traktowałam wszystkich klientów w ten sam sposób – i wszyscy płacili. Nawet wielogwiazdkowi mafiosi.

Haracz ode mnie wyciągali, i to jak. Ale nie przychodzili prosić o pieniądze. Prośli o przysługę, na przykład, żeby komuś dać pracę: „To chłopak w potrzebie”, powiedzieli mi *picciotti*¹³ jednej z najbardziej renomowanych rodzin, „ma bliskich w więzieniu”. W gruncie rzeczy nie sprawiało żadnej różnicy, czy opłacałam tego czy innego chłopaka jako bramkarza, przeciwnie, na początku myślałam naprawdę, że chłopak potrzebuje pracy. Tymczasem w ogóle się nie pojawiał, a ja musiałam wypłacać mu pensję. Któregoś wieczoru rozmawiałam z tymi, którzy mi go polecili: tak nie może być. Tym razem poszło gładko. Bramkarz już się nie pojawił, ja przestałam mu płacić, tamci nic nie powiedzieli. Ale zaczęli mnie badać. Przychodzili, obserwowali. Liczyli, ile osób wchodzi co wieczór, ile wydają pieniędzy.

Dzięki pieniądzom ze szkolnej stołówki zrewolucjonizowałam *Lo Spaventapasseri*. Mamy toczyć wojnę biedaków? Dzielić się co wieczór garstką klientów? A więc ja stworzę coś na wysokim poziomie, coś zainspirowanego nowojorskimi *lounge bar*¹⁴, paryskim *Buddha Bar*¹⁵, mediolańskim *Diana Garden*¹⁶. Lokal *minimal chic*, klimatyzowany i odrobinę designerski, podzielony na dwa piętra.

Na górze czarna podłoga z mozaiką Bisazza i biała lada w kształcie długiej fali miękko unoszącej się nad ziemią. Żyrandol Baxter z kryształów, czarne kanapy ze słomianymi wstawkami i ogromne poduszki, wielki ekran pokazujący na okrągło teledyski. Z zewnątrz przez witraż prześwitywała elegancka przestrzeń, uwypuklona przyćmionym oświetleniem.

Na niższym poziomie wewnątrz się zmieniało. Rozmieszczone dookoła lampy sączyły światło od dołu, małe orientalne kanapy z czarnego drewna wenge, z poduszkami w kolorze kości słoniowej i zasłonami z jasnej błyszczącej organzy tworzyły wrażenie haremu. Mozaikowa lada z awenturyonu i kryształu miała kolor miedzi – wielka błyszcząca szkatułka, która zdawała się dziurawić podłogę. Nad wszystkim górował *priv*¹⁷ z trzema żyrandolami jak księżycy w pełni na pustyni. Tam tańczyło się nad głowami zwykłych śmiertelników i było się jedynym królem w mieście.

To był *Malaluna*, mój lokal.

Życie nocne w Reggio Calabria to prawdziwy barometr społeczeństwa. W barach i dyskotekach wyczuwa się dynamikę, relacje, równowagę, wartości. Widać sprawy brudne i sprawy czyste. Zauważa się kochanków, tupeciki, skłonność do alkoholu u tych, którzy obnoszą się ze swoją wielkością. Widać, kto pije za dużo, kto udaje, że pije, żeby się nie skompromitować, kto ćpa naprawdę, a kto dla zabawy. A w tamtym okresie krążyło mnóstwo ko kainy.

Przez tę soczewkę Reggio miało kształt nieistotnej ludzkiej konglomeracji, z obsesją na punkcie wizerunku i obowiązku wszechobecności.

Kiedy w *Malalunie* wydawałam przyjęcie, wszyscy chcieli móc powiedzieć „byłem tam”. Wywęszyłam tę powszechną manię pierwszoplanowości i zaczęłam ograniczać liczbę wstępów, trzeba było wcześniej zarezerwować miejsce i zapisać się na listę, a telefon nie przestawał dzwonić. Ustaliłam także *dress code*: zakaz dzinsów i koszul na wierzchu. Wszyscy przybywali odstawieni jak dandysi.

Było to piękne środowisko, stworzone z niczego, zbudowane w otwartej czeluści, czeluści prowincjonalnej hipokryzji. A ten, kto obnosił się z lekko wyższym od innych poziomem życia, był czczony i głaskany jak Rockefeller. Wyglądać liczyło się o wiele bardziej, niż być. A *cumandari*¹⁸? Tak. Dla nich rozkazywanie było bez

wątpienia lepsze od chodzenia na kobiety.

Gdy czyta się relacje antymafijnej komisji parlamentarnej, sprawozdania policyjne, artykuły prasowe, widać, że wiele miejsc rywalizuje o berło „stolicy ’ndranghety”. San Luca, Platì, Gioia Tauro. Według byłego prokuratora republiki w Reggio Calabria, Giuseppe Pignatone, nie ma co do tego wątpliwości – stolicą ’ndranghety jest miasto nad Cieśniną. Kwestia umowna, w gruncie rzeczy. Jedno, co pewne to to, że Reggio zaludnia mnóstwo osób „chorych na ’ndrinę”: mężczyźni i kobiety dotkniętych syndromem, który każe im w niemalże maniackalnym napięciu obnosić się z władzą, szacunkiem, protekcją, pobłażliwością. Gdyby ’ndrangheta miała swój oficjalny statut założycielski, to właśnie byłyby jej wartości nośne.

Chorzy na ’ndrinę są tak liczni, że szybciej byłoby rozpoznać wśród nich rzadkie osobniki zdrowe. Nie znoszę uogólnień, kiedy mowa o mojej ziemi i moich ziomkach, jednak jestem pewna, że gdyby w spisie ludności zadano pytanie, „czy kiedykolwiek użyłeś wyrażenia: *czy nie wiesz cu sugnu ieu¹⁹?*”, dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Reggio zakreśliłoby odpowiedź „tak”.

Ale uwaga: chorzy na ’ndrinę często nie mają nic wspólnego z prawdziwą ’ndranghetą, są tylko uwiedzeni przez urok zła. Mierne osobniki rozpoznawalne dzięki koszulom rozpiętym aż do pępka, złotym łańcuchom na szyi i ogromnym pierścieniom na małym palcu. Mężczyźni-karykatury, w większości nieszkodliwi, czasem denerwujący.

Istnieje też inna kategoria, bardziej perfidna – profesjoniści – mężczyźni i kobiety „wyuczzeni”, którzy otworzyli drzwi swoich salonów pewnym nieuczciwym dostojnikom – z zauroczenia czy z oportunistycznego. „Lepsze” Reggio nigdy nie pogardziło kawą, aperitifem czy kolacją z przedstawicielami znanych rodzin przestępczych. Ale jeszcze bardziej żenujący jest fakt, że pokazywanie się w towarzystwie pewnych osób nie jest powodem do kompromitacji społecznej, przeciwnie, liczy się – jak dodatkowa gwiazdka, która otwiera na oścież nowe horyzonty.

Uśmiechnęłam się na dźwięk zdania, które ostatnio przeczytałam, przypisanego anonimowemu śledczemu: „Gdybym był gubernatorem Kalabrii, zniósłbym prawnie słowo *compare*”. *Compare* to ojciec chrzestny twojego dziecka, a *comare* to matka

chrzestna. Ale znaczenie tych terminów zmieniło się i poszerzyło, aż zaczęło oznaczać ogólnie bliskość, dobrowolnie nabyte pokrewieństwo, a więc przymykanie oka, wsparcie, współudział.

Tłumaczył to absolutnie jednoznacznie były radca regionalny Francesco Morelli, w tym czasie aresztowany. W 2005 roku, po zabójstwie wiceprezydenta Kalabryjskiej Rady Regionalnej Francesca Fortugno, Morelli przyjął następcę Mimma Cree, już wtedy podejrzanego o związki ze światem przestępczym, a później skazanego w pierwszej instancji za współpracę z mafią, aforyzmem, który w pewnych południowych rejonach jest filozofią życia: *U cumpari du cumpari è to cumpari. Compare twojego compare to twój compare* – nierozwiązywalna pajęczyna przyjaźni, wsparcia, jedności, także w robieniu świństw.

Chorzy na *'ndrinę* posiadają poza tym ceremonialny zbiór wyrazów i zwrotów o jednoznacznej dla nich wymowie, wskazujących absolutną podległość władzy: „Do dyspozycji”, *Non v'incaricati, ma vidu ieu*²⁰, „Nie ma problemu”, „Uznajcie to za zrobione”. *Pi l'amici...*²¹ Słowa, które nabierają pełnego znaczenia, kiedy zostają okraszone uściskami dłoni i kawą w barze.

Pamiętam brata pewnego ważnego ojca chrzestnego – za każdym razem, kiedy wchodził do baru w Reggio, robił wszystko, żeby tylko zapłacić za kawy przyjaciół. Tupał w podłogę prawą stopą, podnosił dłoń z wyciągniętym palcem wskazującym i wołał: *E' pagatu!*²².

O ile dla prawdziwej *'ndranghety* obsesja władzy wykracza daleko poza bogactwo, dla chorych na *'ndrinę* prostackie demonstrowanie władzy, której się nie posiada, to bezowocna próba potwierdzenia chwiejnej tożsamości. Poszukiwanie własnego miejsca w kalabryjskim wszechświecie, gdzie jedyne, co się rozprzestrzenia, to frustracja.

I w ten oto sposób, w cyrku rzekomo „lepszycy” i chorych na *'ndrinę* ludzi, Rosy Canale zmieniła się pewnego dnia w gwiazdę show-biznesu.

Częstowałam szampanem, płaciłam za kolacje, robiłam prezenty. Miałam coś w rodzaju dworu, ludzi, którzy przynosili mi nawet rano śniadanie do domu. Służących. Chodziłam po ulicach z ogonkiem wielbicieli, ponieważ mój lokal był najbardziej *trendy* i byłam *opinion leader*, tak o mnie mówiono. Poruszałam masy,

gdybym powiedziała: „Zróbmy przyjęcie w stajni”, ludzie przyszliby tańczyć szczęśliwi wśród bydła i łajna. Kreowałam tendencje, a *Malaluna* zyskał przewagę nad wszystkimi *quaquaraqua*. Inne lokale podupadały, za to ja organizowałam wysokiej klasy urodziny i przyjęcia.

W *Malalunie* krążyły narkotyki, a ja tego nie zauważałam. Aż pewnego wieczoru zobaczyłam, jak jakiś chłopak wkłada do rąk drugiemu kulki z aluminium. Z tyłu, ukradkiem. Kokaina.

Zawołałam go.

W moim lokalu mocno trzymałam ster, to ja ustalałam, co można i co należy robić. Krążyłam bez przerwy, także po toaletach, zainstalowałam system kamer. Wymagałam wychowania i ułożenia. Przez pierwsze dwa lata nie miałam ani jednej dyskusji z klientami, żadnej skargi. Wszystko było doskonałe, gładkie, łatwe.

W każdym razie przyłapuję tego faceta, jak przekazuje kuleczki swojemu *compare*. Zabieram go do kuchni, razem z bramkarzem, i mówię mu: „Co ty, do diabła, robisz? Co to za syf?”. On ma kolejnych sześć kulek w kieszeni, każę mu je oddać. Jest ze strefy południowej, może mieć niewiele ponad dwadzieścia lat, znam go i wiem, że ma problemy z uzależnieniem od narkotyków. „Nie pokazuj się więcej tutaj”, rozkazuję mu zdecydowanie, ale w gruncie rzeczy moim zwykłym matczynym tonem, od którego nigdy się nie uwolnię.

Biorę te sześć kulek, wkładam do czarnego worka na śmieci i biegnę do śmietników na rogu, żeby je tam z całą siłą cisnąć. Mam na sobie koszulkę z krótkim rękawkiem, ale nie jest mi zimno, chcę tylko uwolnić się od tego obrzydlistwa. Po powrocie do lokalu biegnę do kuchni, ludzie z obsługi patrzą na mnie w milczeniu, kiedy myję obsesyjnie ręce płynem do mycia naczyń.

Kilka wieczorów później przyłapuję kolejnego. I zdaję sobie sprawę, że to proces, którego nie da się kontrolować.

Otworzyłam nagle oczy. Kuleczki z aluminium przekazywało sobie mnóstwo ludzi, a w tym czasie rosła sprzedaż alkoholu. Kto używa kokainy, tłumy jej neurotyczne działanie alkoholem. Kiedy później nadchodzi *down*²³ i efekty substancji znikają, jesteś skończony. W *Malalunie* czasami widywałam, jak ludzie czołgali się do wyjścia. Mężczyźni i kobiety. I nagle dotarła do mnie przejrzysta prawda.

W toaletach byli ludzie, którzy wachali. Z największym impetem ćpały kobiety do trzydziestego roku życia, które narkotykami dodawały sobie animuszu. Śmietanka towarzyska Reggio Calabria była zakazana aż do szpiku kości, a ja nie chciałam, żeby mój lokal stał się centrum miejskiej sprzedaży narkotyków. Nie chciałam, żeby mówiono w mieście: „Widzisz Rosy Canale? Jeździ mini cooperem i nosi kozaki za tysiąc euro, bo sprzedaje kokainę”. Nie. Chciałam, żeby mówiono, że Rosy Canale ma piękny samochód i wyrafinowane ubrania, ponieważ ciężko pracuje i należy do uczciwej grupy. Zdrowej. Chciałam zachować swoją czystość. Dla mojej córki, dla mojej rodziny. Dla siebie samej.

Pewnego wieczoru przychodzą jacyś ludzie. Jednego z nich znam. W rzeczywistości są już klientami, ludźmi poznanymi przy żartach i tańcach w czasie pracy.

Przychodzi więc i mówi mi: „Hej, Rosy, *che cavolo succiduu?*²⁴ Wszystko w porządku, *commare!*”.

Commare do mnie? A kogo my niby razem trzymaliśmy do chrztu, ja i ty? Ja się na to nie zgadzam, na bycie *commare* dla tego *compare*. Ten ciągnie: „*Commarella*, wiem co się stało z tym chłopcem. Pozwól mu zarobić tych sto euro, bądź grzeczna”.

Nie rozumiem, kim jest ten facet, do jakiego należy kręgu. Myślę sobie, że to przyjaciel tego chłopaka, którego przepędziłam, przychodzi się za nim wstawić. „To poza dyskusją”, odpowiadam mu. „W moim lokalu nie chcę narkotyków”.

Zaledwie kilka wieczorów później przyłapuję tego samego chłopaka i krew mi napływa do mózgu. Powtarzam mu raz jeszcze: „Masz już tutaj więcej nie przychodzić”.

Znów wraca do mnie z wizytą ten drugi, obrońca. „A więc nie chcesz być grzeczna...” Tym razem przyszedł w towarzystwie dwóch mężczyzn. Nie ustępuję: „Właśnie dlatego, że jestem grzeczna, nie chcę świństw w moim lokalu”.

On mnie odsuwa, otwiera drzwi do kuchni, wchodzi i daje mi ręką znak, żebym szła za nim. Dwóch współpracowników kończy czyścić i zapęlniać lodówki. Spoglądam na nich, oni w jednej chwili rozumieją i znikają.

Mówię do faceta: „Chyba się nie zrozumieliśmy”. A on: „*Storticedda*, to ty nic nie rozumiesz. Oni i tak to będą dalej robić. Nie jesteś w stanie ich powstrzymać”.

Nalegam: „To jest mój dom. Na zewnątrz, na chodniku, możecie chodzić nawet ze strzykawkami wbitymi w ramię”, to zdanie pamiętam dokładnie, „ale tu w środku – nic”. A ten zrzuca maskę: „*Stai rompendo*²⁵, pakujesz się w sytuację, która nic dobrego ci nie przyniesie”.

Przerwa. On wyrokuje: „Każdy tutaj musi wykonywać swoją pracę”.

Byłam jedynie ponadprogramowym kłopotem dla ich działalności. Gdyby nie sprzedali narkotyków u mnie, zrobiliby to bez problemu gdzie indziej, ale nie o to chodziło, ja byłam nieposłuszna, nie pochyliłam głowy, nie uściśniłam dłoni, nie poszłam na kompromis. Byłam kobietą arogancką, a te dwa słowa zestawione ze sobą nie były często słyszane w tych stronach.

Mówię mu: „Wyjdźcie stąd, ty i twoi przyjaciele, a jeśli ktoś cię przysłał, to przekaż mu, że *dintra a me casa farò chiddu ca dico ieu, e non chiddu chi comandano l'altri*²⁶”.

„Ach, no to brawo!”, odpowiada. „Spodziewaj się gorzkich niespodzianek”.

Lato 2003 roku było zjawiskową porą roku. *Malaluna* płynął na pełnych żaglach, a inne lokale, którym z kolei szło nie najlepiej, powierzały mi organizację imprez, żebym odmieniła ich losy. Przygotowywałam dla nich wieczorki taneczne, przyprowadzałam klientów i osobiście zajmowałam się oprawą muzyczną. Imprezy zawsze odnosiły sukces, zbierałam ponad dwa tysiące osób na wieczór. Pracowałam dwadzieścia cztery godziny na dobę, byłam nie do zdarcia, a mój krąg wielbicieli był wciąż obecny. Łudziłam się, że wystarczy dobrze pracować, mieć dobre pomysły i je realizować, aby osiągnąć sukces w biznesie i potem go utrzymać. Ale jesienią 2003 roku zaczynają się straszliwe czasy.

Rosy Canale uwiera. Nie zapomnieli o mnie.

Któregoś wieczoru mój mini cooper jest zadrapany. Następnego – ma pocięte opony. Kolejnego – jest cały pokryty splunięciami i wyzwiskami zarysowanymi ostrzem noża.

Prawie każdego ranka, otwierając lokal, znajduję klej w zamku, zatrudniłam kowala, który pomaga mi się włamywać do środka w każdy boży dzień.

Napierają na mnie powoli, w stałym i nieprzerwanym rytmie, i wciąż napotykJają mój opór. Chcą, żebym się poddała, żebym w końcu zgodziła się na tę ich ofertę

milczącej współpracy, i po krótkim czasie zaczynają mnie destabilizować mentalnie, chcą mnie pozbawić kontaktu z rzeczywistością. Krok po kroku.

Zaczynają przestawiać mi samochód. Parkuję go w jednym miejscu, a kiedy wychodzę z lokalu późną nocą, nie znajduję go tam, gdzie go zostawiłam, tylko kilkaset metrów dalej. Nietknięty, zamknięty, bez śladów włamania. Mówią mi w ten sposób, że mogą wejść do mojego domu, kiedy chcą i zrobić tam to, co im się podoba.

Za pierwszym razem myślę, że samochód został skradziony. Znajduję go po godzinie na podjeździe, dwie przecznice za *Malaluną*. Jestem pewna, że zaparkowałam go gdzie indziej, ale wmawiam sobie, że się mylę. Jestem zmuszona przyznać, że mój umysł płata mi brzydkie figle. Moi współpracownicy mówią mi, że za dużo pracuję, że jestem na granicy wyczerpania nerwowego. Muszę odpocząć.

Kolejnego wieczoru powtarza się ten sam film, z prawie identycznymi sekwencjami. Ale ja nie mogę się pogodzić z myślą, że oszalałam. Kupuję mały cyfrowy aparat fotograficzny i każdego wieczora po zaparkowaniu robię zdjęcie mojemu mini cooperowi z jakimś szczegółem, który znajduję w pobliżu: wejściem do teatru, znakiem drogowym, szyldem. W zeszycie zapisuję datę, miejsce, kierunek pojazdu i wrzucony bieg: „Dzisiaj, 13 listopada o godzinie 18.07, zostawiłam samochód obok Teatru Miejskiego, na podjeździe. Po mojej prawej stronie stoi śmietnik, zostawiam wrzucony trzeci bieg. Podpisane: Rosy Canale”.

Tak, podpisuję się. Ktoś mógłby przywłaszczyć sobie zeszyt i napisać coś innego albo zmienić moje słowa. Nawet to mi przyszło do głowy.

To dziwne, zostawić wrzucony akurat trzeci bieg, prawda? A jednak to właśnie dzięki temu miałam pewność, że ktoś przestawiał auto wedle własnego upodobania. Ponieważ pewnego wieczoru, kiedy znalazłam samochód i chwyciłam za dźwignię zmiany biegów, zobaczyłam, że był wrzucony pierwszy bieg. Miałam dowód na to, że rzeczywistość ciągle istniała – przed moimi oczami. Nie była jedną z najlepszych, ale przynajmniej nie zwariowałam.

Kiedy ich demaskujesz, gra się kończy. I przechodzi się do czegoś innego.

Nową logiką ich działania było rzucanie mnie na kolana podczas ważnych wieczorów. Na zmianę zawsze ktoś z personelu rozchorowywał się w piątek, w sobotę albo podczas uroczystych przyjęć. Zostawałam nagle jedynie z dwoma

kelnerami i klientami, którzy skarżyli się na powolną obsługę. Albo przychodziło dwóch idiotów i zaczęli się tłuc między sobą, tylko po to, żeby mi stworzyć problemy. Wówczas szłam do bramkarza zapytać, dlaczego ich wpuścił, a ten odpowiadał: „To koniec mojej zmiany, nie mam obowiązku już pracować”.

Często zajmowałam się kasą i barem jednocześnie, żeby się nie poddać, byłam pobudzona, reagowałam nerwowo. Lokal nadal funkcjonował, ale zmieniała się atmosfera, a ja czułam się jak w pułapce. Później spalili mi samochód pod domem. Zostawili mi podejrziętą kurę zawieszoną przed *Malaluną*.

Miałam nóż na gardle i nie mówiłam o tym nikomu. Bałam się, że mi nie uwierzą i będą o tym rozpowiadać, nie chciałam, żeby do uszu moich prześladowców dotarł mój niepokój, moja kruchość. Nie byłam już w stanie schodzić na niższe piętro *Malaluny*, półmrok, głośna muzyka, fakt, że nie rozpoznawałam twarzy osób, sprawiały, że czułam się, jakbym się dusiła. Do dziś nie znoszę zamkniętych miejsc, rzadko wsiadam do windy, nie jeżdżę pociągiem. Ale zdarza mi się czuć niepewnie nawet na stadionach. Prawda jest taka, że nie jestem w stanie przebywać w miejscach, z których trudno znaleźć wyjście, muszę wiedzieć, że jest jakaś droga ucieczki i znać do niej dostęp.

W tym nieszczęśliwym okresie spędzałam całe wieczory przy drzwiach z bramkarzami. W ciszy, ze wzrokiem wbitym w monitor wyświetlający film, który znałam na pamięć. Nie byłam w stanie się stamtąd ruszyć.

Widzę teraz tę bezbronną i zagubioną Rosy, jakże daleką od dzisiejszej. Wzbudza we mnie czułość. Chciałabym pogłaskać ją po głowie i powiedzieć, że wszystko się ułoży, ale nie mogę. Ponieważ wiem, że już niedługo opadnie kurtyna. Może przewidywała to również ówczesna Rosy. Będąca kobietą oczekującą na katastrofę.

Zostały ze mnie skóra i kości, czterdzieści trzy kilo, z czego przynajmniej półtora kilo włosów, mówił mi mój lekarz. Paliałam strasznie dużo, budziłam się w środku nocy zdjeta strachem. Ale nie byłam w stanie tego strachu uzewnętrznić, gromadziłam go w sobie. Pożerał mnie.

Nie mogłam już oglądać filmów, czytać gazet, chodzić pieszo do miejsc, których nie znałam, ponieważ sama myśl, że znajdę się w nowym otoczeniu, paraliżowała mnie, byłam przerażona.

Malaluna gasł. Patrzyłam, jak to moje dziecko umiera mi w ramionach, nie znajdowałam siły, żeby zareagować i je uratować.

Poddawałam się.

Mojemu ojcu nic nie powiedziałam. Co innego mógłby zrobić, jeśli nie popaść ze mną w paranoję?

W tym okresie w Reggio obawiano się wznowienia wojny mafijnej. W grudniu 2003 roku został zabity człowiek, którego znałam – Mario Salvatore Audino, uważany za *capo* klanu z San Giovanniello sprzymierzonego z rodziną De Stefano: pięć strzałów ze śrutówki w głowę i tors, a na zakończenie ponury rytuał *coup de grace* prosto w kark. Kolejna zbrodnia, tego samego dnia, kazała myśleć o powrocie wewnętrznej wojny. Ale nic więcej się nie zdarzyło.

Tymczasem wyrok apelacyjny w procesie wynikłym z operacji *Olimpia 3* potwierdził tylko jeden z pięciu wyroków dożywocia wymierzonych w pierwszej instancji. Z pozostałych trzydziestu trzech oskarżonych, szesnastu zostało skazanych za udział w organizacji mafijnej, a siedemnastu uniewinniono.

W tym samym przeklętym 2003 roku antymafijna komisja parlamentarna przyznała, że z historycznego punktu widzenia 'ndrangheta była „niedoceniana, lekceważona i przez długi czas nie została odpowiednio zbadana i przeanalizowana”.

Lepiej późno, niż wcale.

Smutne pocieszenie dla moich ziomków, dla mojej ziemi. A dla mnie czas się już skończył.

Kilku wielokrotnych zabójców przychodziło na kieliszek do *Malaluny*. Pewnego wieczoru jeden z nich się rozgrzewa: *Ai a parlari cu patruni!*²⁷ „To ja, proszę, słucham pana”. Facet jest zmieszany. Byłam zawsze uprzejma i uśmiechnięta, także dla jawnych przestępców. To była praca.

Chciał się napić szampana w miejscu, gdzie nie podawałam napojów: „Ale dlaczego nie chcą mi tu przynieść butelki?”. Tłumaczę mu: „Ponieważ tu jest parkiet taneczny i nie podajemy likierów”. Już kiedyś się zdarzyło, że ktoś tańczył z pełnym kieliszkiem w dłoni i uderzył nim drugiego, co mało nie skończyło się ostrą bijatyką.

„Proszę pana, podam go panu osobiście, ale w innym miejscu”. Był oskarżony o jakieś dwadzieścia zabójstw, a krążył wolny i pił, i rządził się w moim lokalu.

Gdybym była mężczyzną, rzuciłby mi garść pieniędzy, obrzucił najokrutniejszym spojrzeniem i zażądał prawa do dalszego zamawiania napojów dla siebie i swoich przyjaciół, później odwróciłby się plecami, nawet nie dziękując. Wielu tak robiło w innych lokalach, ale nie w moim.

Tego samego wieczoru spotykają się w *Malalunie* przedstawiciele dwóch potężnych, rywalizujących ze sobą rodzin. Na niższym piętrze obrzucają się ponurymi i ciętymi spojrzeniami, które są preludium do ożywionej dyskusji. Nie przestając kłąć jedni przeciw drugim, przenoszą się na górę. Jest druga w nocy. Biegnę za tą dwudziestką mężczyzn.

Wreszcie wychodzą, a dwóch z nich zaczyna się okładać pięściami na opustoszałej ulicy. Inni ustawiają się dookoła, aby podziwiać widowisko. Wygląda to jak walka kogutów, okrutna i groteskowa zarazem.

„Powstrzymajcie ich, pozabijają się!”, wołam i rzucam się w środek bójki, próbując wyciągnąć jednego z nich za marynarkę. Nikt mi nie pomaga. Nikt nawet nie drgnie, żeby ich rozdzielić.

Nadchodzi mój bramkarz i odsuwa mnie na bok. Podchodzi ów wielokrotny zabójca od butelek. Mówi mi: „Trzymaj się z daleka, zostaw ich w spokoju, *chi iddi sanno chiddu ch'hanno a fare*²⁸”. Jeden z nich to obrzękła maska. Chce mi się wymiotować.

On staje na środku ulicy w nieprzemakalnym płaszczu i mówi, zwrócony do wszystkich z wyrazem twarzy generała: *Non mi si movi nuddu d'un mellesimo!*²⁹. Tak właśnie mówi – o tysięczną. Na pewno chodziło mu o milimetr. Wymyka mi się uśmiech, który siłą tłumię.

Jeśli bije się trzech mężczyzn, to to jest bijatyka, i jeśli przypadkiem przejeżdża akurat samochód policyjny, wszystkich zgarnia. Jeśli natomiast bije się dwóch, to mogą się pozabijać, jak im się podoba. Oto dlaczego nikt nie mógł się poruszyć „o tysięczną”.

Dwaj rywale niszczą się nawzajem. Jeden ma przewagę, zaczyna drugiego kopać po głowie, później rzuca nim o samochód, jakby był pustym workiem. Rozchodzą się, mężczyźni wokół mnie znikają jak za zaklęciem. Układają w samochodzie bardziej pokiereszowanego wojownika, umazanego krwią, z jednym okiem zupełnie rozbitym,

a ten wymiotuje na tylne siedzenie.

Wołam kelnera i każę mu przynieść lód.

„Brawo, Rosy, *fusti brava*³⁰”, mówi mi człowiek w nieprzemakalnym płaszczu. Jestem w szoku: „Ale dlaczego nie zawieziecie go do szpitala? Nie widzicie, w jakim jest stanie?”.

A ten: „Nie martw się, to silny chłop, jest przyzwyczajony”.

To były właśnie świństwa, jakie działały się w Reggio. Czasami załatwiali sprawy między sobą, nie angażując innych. Pod warunkiem, że nie była zaplątana w to kobieta, w tym przypadku wyruszała ekspedycja karna. Mieszkańcy Reggio dobrze wiedzieli, że niektóre kobiety były zakazane i rygorystycznie unikali zbliżania się do nich.

Ten natomiast, kto nie miał zamiaru się podporządkować, płacił wysoką cenę. Widziano, jak wylatuje w powietrze sklep, samochód, i wiedziano, że to kara dla tego, kto się nie podporządkowuje. Ale zwykle nie uderzali bezpośrednio w osobę. Niszczyli jej działalność, nie dotykając jej samej. Obracali w proch jej życie, nie brudząc sobie rąk.

A ja czekałam na swoją kolej.

Po miesiącach zastraszania, pewnego wieczoru nie dawałam już sobie rady i zadzwoniłam po karabinierów.

Szukał mnie jakiś facet. Nie wiedziałam czego dokładnie chce, ale nie byłam już w stanie uczestniczyć w dyskusjach, po których padały groźby. Był prawą ręką syna *capo*, jeszcze na wolności. Stał w wejściu i celował we mnie palcem, jakby chciał powiedzieć „Tak, chcę właśnie ciebie”. Udawałam, że go nie widzę, ale w pewnym momencie on zaczął krzyczeć: *Ai a parlari cu ttia!*³¹.

Bramkarz pobladł. Jakiś czas wcześniej zbyt często brał zwolnienia, przez trzy soboty z rzędu mówił, że się źle czuje dokładnie o dwudziestej pierwszej, pozostawiając mnie w totalnym chaosie. A teraz znajdował się w samym centrum autentycznej próby sił między młodym członkiem mafii, silnym dzięki swojej przynależności do panów miasta, a kobietą, która łudziła się, że jest jeszcze panią swojego lokalu.

„Zamknij drzwi”, rozkazuję bramkarzowi, i młodemu bandziorowi szyba trzaska

prosto w twarz, ale ten nie przestaje kląć.

Miałam tego wieczoru szatańskie oczy. Chętnie zepchnęłabym tego krzyżącego mężczyznę w czeluści piekła, w którym ja od dawna płonęłam. W duchu przeklinałam ich wszystkich, razem z ich splunięciami, podezrzanymi kurami, klejem, obelgami. Niech spłoną wszyscy w jednym wielkim ogniu.

Ale ten nie odpuszcza. Zaczyna uderzać otwartą dłonią w szklane drzwi, nadal krzyżąc: *Ai a parlari cu ttia!*

Wyskakuję zza lady, jestem przy drzwiach. Otwieram je, mój nos niemal dotyka jego nosa. „Czego ode mnie chcesz? Czego chcecie? Dość już! Znikaj albo zadzwonię po karabinierów!”.

On się uspokaja. „Zadzwoń po nich”, rzuca mi wyzwanie.

Biorę telefon i wybieram sto dwanaście, stoję naprzeciw niego.

Kto wie, co sobie pomyśleli. Że wygadałam jakieś nazwisko, zgłaszając popełnione nadużycia. Ja natomiast nigdy na nikogo nie doniosłam, ponieważ nie jestem bohaterką i nie mam aspiracji, żeby nią zostać. Podpisałabym w ten sposób swój wyrok śmierci. A Micol miała tylko dziewięć lat.

W rzeczywistości próbowałam sprzedać lokal, zakończyć definitywnie tę historię, ale oferowano mi śmieszne sumy, zupełnie poza rynkiem. *Compari dei compari* przyszli mi zaproponować sześćdziesiąt tysięcy euro, podczas gdy ja wydałam sto czterdzieści tysięcy na sam remont. A więc nie, powiedziałam sobie. A więc umrę tu w środku, pogrzebcie mnie, proszę bardzo.

Nie można wszystkiego tracić dla czyjegoś kaprysu. Nie można przekreślić w ten sposób ośmiu lat pracy i życia. Musi być jakieś wyjście.

Byłam przekonana, że wysadzą *Malalunę* w powietrze i byłam bardziej skłonna patrzeć, jak płonie, niż wyprzedać go hołocie, która zarobiłaby na moim poświęceniu.

Nie przyjąłabym tej jałmużny. Może popełniłam błąd. Gdybym cofnęła czas, przyjąłabym te sześćdziesiąt tysięcy euro razem z papkowatym smakiem porażki.

Byłam też niedojrzała, zbyt młoda. Łudziłam się, że gdzieś, kiedyś mogę odzyskać moją dawną siłę i entuzjazm. Kochałam *Malalunę* jak własne dziecko, a jednocześnie nienawidziłam za to, że uczynił mnie tak bezbronną i paranoiczną.

Wystarczyłoby mieć odwagę, żeby spróbować zacząć od nowa w innym miejscu,

posyłając do diabła to straszliwe miasto. Ja natomiast siedziałam na górze, w *wine barze*, i obserwowałam, jak moja teraźniejszość i przyszłość rozsypują się kawałek po kawałku. Najpierw stu klientów, później osiemdziesięciu, później pięćdziesięciu.

Aż zostajesz tylko ty. Wśród butelek, pustych stolików, zbyt rozległej przestrzeni, która w każdej wnęce odzwierciedla twoją chorobę.

I mówisz sobie – dobrze, to początek końca.

1 Lady śpiewa piosenki (wł.).

2 Nowa Sprawa (wł.).

3 Strach na wróble.

4 Piękni ludzie (wł.).

5 Smarkula! (dial. kalabr.).

6 Rozumiesz, że tak nie można, że to nie w porządku? (dial. kalabr.).

7 Nie fatygujcie się, zaraz wejdę do lokalu (dial. kalabr.).

8 Muszę pani coś powiedzieć (dial. kalabr.).

9 To tacy (dial. kalabr.).

10 Niech pani idzie i bierze stołówkę (dial. kalabr.).

11 Leonard Sciascia (1921-1989) – włoski pisarz i publicysta, jego powieści osadzone są w realiach sycylijskich. Podejmował tematykę mafijną, był czynnym politykiem.

12 *Quattro bianchi* (wł.) – drink z białych alkoholi (wódki, białego rumu, dżinu i Triple sec.)

13 Żołnierze.

14 Rodzaj eleganckiego lokalu ze spokojną muzyką w tle, serwującego wieczorne drinki.

15 Słynny paryski bar-restauracja, założony w 1996 roku.

16 Ekskluzywny klub nocny w Mediolanie.

17 Część lokalu wynajmowana na zamknięte prywatne przyjęcia.

18 Rozkazywanie (dial. kalabr.).

19 Kim ja jestem? (dial. kalabr.).

20 Proszę się nie fatygować, ja to załatwię (dial. kalabr.).

21 Dla przyjaciół (dial. kalabr.).

22 Zapłacone (dial. kalabr.).

23 Upadek, załamanie.

24 Co się, u diabła, dzieje? (dial. kalabr.).

25 Przeginasz (dial. kalabr.).

26 U siebie w domu będę robiła to, co ja mówię, a nie to, co mi każą robić inni (dial. kalabr.).

27 Muszę porozmawiać z właścicielem! (dial. kalabr.).

28 Oni wiedzą, co mają robić (dial. kalabr.).

29 Niech nikt mi się nie ruszy nawet o tysięczną! (dial. kalabr.).

30 Byłaś dzielna (dial. kalabr.).

31 Mam z tobą do pomówienia! (dial. kalabr.).

V

CIEPŁO MOJEJ KRWI

Z historycznego punktu widzenia mafia kalabryjska nie stanowi monolitu, jak mafia sycylijska. *'Ndrine* to grupy rodzinne połączone więzami krwi, które stanowią nierozzerwalne spoiwo. Każda z nich dominuje na własnym obszarze pochodzenia, skrupulatnie dzieląc się strefami wpływów z sąsiadującymi klanami. *Locale*, rodzaj jednostki koordynacji terytorialnej, czuwa nad wspólnym życiem rodzin i nad korzystnym rozwojem wspólnego handlu.

Zawsze myślano, że *'ndrangheta* nie ma centralnej *kopuły*¹ podobnej do *cosa nostra*, ani piramidalnej architektury z jednym tylko człowiekiem na szczycie. Nigdy nie było żadnego *capo dei capi*, o którym można by kręcić pośmiertne seriale, jak *corleonesi* Totò Riina i Bernardo Provenzano. Ale w 1991 roku pojawia się po raz pierwszy organizm zbliżony do takiej właśnie struktury mafii, ponieważ nagli potrzeba rozprawienia się z fatalną anarchią, wywołaną przez drugą wojnę *'ndranghety* i zorganizowania nadzoru nad zdecentralizowanymi interesami. Dokonuje się tego wprowadzając trzy wieże kontrolne, które trzymają straż nad trzema okręgami – strefą Cieśniny, strefą tyrręńską i obszarem Locride. Dwadzieścia lat później, między listopadem 2011 a marcem 2012 roku, dwa bezprecedensowe wyroki potwierdzają istnienie dwóch nadrzędnych organów kierowniczych: jednego w *mamie* Kalabrii, drugiego w Lombardii.

Wyłania się nieznane dotąd oblicze przestępczości kalabryjskiej.

Trybunał w Mediolanie wyrokiem sądu pierwszej instancji w procesie *Infinito*, który skazuje stu dziesięciu domniemanych członków *'ndranghety*, stanowi, że także Lombardia ma swoją *kopułę*, wrosniętą w tkankę przedsiębiorstw i instytucji, znaną jako „Prowincja”, która rozgałęzia się na piętnaście *locali* w Mediolanie i pobliskich gminach.

Proces *Infinito* zostawia za kratkami stu dziewiętnastu oskarżonych, z których jedynie ośmiu zostaje uniewinnionych przez sąd pierwszej instancji. Wśród skazanych, poza bossem z Pioltello Alessandrem Manno i *capo* jednej z *locali*

w Mediolanie Cosimem Barrancą, pojawiają się także osobistości polityczne z gmin lombardzkich. Kalabryjski świat przestępczy przeniknął nie tylko do sektora budownictwa, ale też bierze udział w inicjatywach wyborczych, aby mieć wpływ na lokalne władze. Od kilku lat Mediolan znany jest jako nowa stolica 'ndranghety.

Niewiele później, w marcu 2012 roku w Reggio Calabria kończy się pierwszy etap postępowania *Crimine*, które tak się ma do mojego miasta, jak wielki proces *cosa nostra* ma się do Palermo, a proces *Spartacus* do Caserty. W Reggio jest stu dwudziestu siedmiu oskarżonych; trzydziestu czterech zostaje uniewinnionych. Znow 'ndrangheta rysuje się jako *una e 'ndrina*: ciało rozczłonkowane na pięciu kontynentach, głowa mocno osadzona w Kalabrii. Głowa, która tym razem, według sędziów, nosi konkretne imię i nazwisko – Domenico Oppedisano, osiemdziesiąt jeden lat, z Rosarno, z okręgu tyrręńskiego. Rozpoczął działalność w stopniu *vangelo*² – kustosz liturgii, zrzeczeń i promocji. Rola pośrednia, która została mu powierzona w latach dziewięćdziesiątych przez rodzinę Nirta *la Maggiore*, historyczny klan z San Luca w Locride. W 2009 roku Oppedisano wdrapał się na szczyt, został bowiem podniesiony do rangi *capocrimine*³ podczas ślubu potomków dwóch innych bossów, Elisy Pelle i Giuseppe Barbaro. Oficjalna dekoracja odbyła się pierwszego września tego samego roku, w samo południe, w sanktuarium w Polsi podczas święta Matki Boskiej Górskiej. U jego boku stanęli Antonino Latella z okręgu centralnego i Bruno Gioffrè z okręgu jońskiego – triada tworząca *crimine*, organ rządowy trzech okręgów kalabryjskich i wszystkich *locali* we Włoszech i na świecie.

Oppedisano został skazany przez sąd pierwszej instancji na dziesięć lat i osiem miesięcy więzienia. Prokurator prosił o dwadzieścia.

To właśnie owo archaiczne, rodzinne powołanie 'ndranghety, w której więzy pokrewieństwa gwarantują absolutną wierność, chroni ją długo przed skruszonymi, którzy z kolei co chwilę wstrząsają mafią sycylijską i kamorrrą w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Być skruszonym członkiem 'ndranghety oznacza tyle, co wsadzić za kratki własnych ojców, braci, kuzynów. Oddać państwu włoskiemu własne ciało. Oto dlaczego z mniej więcej dziewięćset współpracowników wymiaru sprawiedliwości obecnych dziś we Włoszech tylko około stu pochodzi z kalabryjskiego świata przestępczego. I niewiele jest wśród nich

grubych ryb, 'ndrangheta została na przykład osierocona przez Riinę i Provanzano, ale osierocił ją również Tommaso Buscetta, pierwszy boss mafii sycylijskiej, który rozmawiał z sędziami. Nikt ze skruszonych 'ndranghety – od Nina Fiume po Roberta Moio, od Antonina Lo Giudice po Franca Pino i Filippa Barrecę – nie dostarczył tak wielu istotnych informacji co don Masino, który dogłębnie opowiedział sędziemu Giovanniemu Falcone o strukturze i mechanizmach wewnętrznych *cosa nostry*.

Nieprzypadkowo 'ndrangheta jest ulubioną mafią włoską południowoamerykańskich karteli narkotykowych, ponieważ, choćby tylko z punktu widzenia statystycznego, jest najbardziej nieprzemakalna, a więc godna zaufania.

Jej rodzinna forma rządów (*'ndrine* nadal działają jak autonomiczne komórki, chociaż zjednoczone), umacnia ją także wobec działań sądów. Po aresztowaniu jednego *capo* wybiera się następnego, i to natychmiast, ponieważ w rodzinie, która otrzymała cios, został już wychowany delfin bossa będący w dziewięćdziesięciu dziewięciu procent przypadków najstarszym synem. Bezwarunkowa gwarancja wierności.

W roku 2004 aresztowano wielu kalabryjskich ojców chrzestnych. Po długim okresie życia w ukryciu zostali wypędzeni ze swoich nor dzięki spektakularnym operacjom, z pewnością fundamentalnym dla walki z 'ndranghetą. Nie przeszkodziły jednak one w jej reaktywacji, wymyślaniu nowych strategii, mianowaniu nowych liderów, znalezieniu nowych sposobów bogacenia się, podczas gdy moja ziemia nadal trwała w starej, rozpaczliwie zacofanej kondycji.

Osiemnastego lutego 2004 roku przyszła kolej na siedemdziesięcioletniego Giuseppe Morabito z Africo, bardziej znanego jako *u Tiradrittu*. Zniknął w 1992 roku, wskazany jako regent kopuły prowincji i już skazany na trzydzieści lat więzienia. Jego losy mieszały się z mitem, mówiło się o nim, że jako jedyny na południu Włoch zawarł żelazne pakt bezpośrednio z kolumbijskimi królami narkotykowymi. Karabinierzy z Ros znaleźli go na obrzeżach Reggio, w Santa Venere. Morabito rzekomo zwrócił się do nich po wielkopańsku z oszczędnym komplementem: „Gdybyście wy mnie nie złapali, nikt by mnie nie złapał”.

Cztery dni później w kajdankach kończy Orazio De Stefano, ukrywający się od szesnastu lat, jedyny ocalały z czterech braci bohaterów drugiej wojny mafijnej

w Reggio, wujek Peppe De Stefano. Był żonaty z Antonietta, krewną Pasquale Tegano zwanego *Nocciolina*, innej gwiazdy mafii z Reggio, również pojmanego w tym dziwnym roku 2004, 6 sierpnia, po dziesięciu latach ukrywania się. Jego imię przewijało się we wszystkich dochodzeniach, dotyczących 'ndranghety, prowadzonych przez ostatnie dwadzieścia lat przez prokuraturę w Reggio.

Dwudziestego grudnia przychodzi kolej na Antonia Rosminiego, wówczas trzydziestoosmioletniego młodego rekruta jednej z rodzin, które rzuciły wyzwanie rodzinie De Stefano, już wcześniej skazanego na dożywocie za trzy zabójstwa popełnione w 1989 roku na członkach klanu Libri.

Czytałam w roztargnieniu rubrykę kryminalną w 2004 roku, sparaliżowana paranoicznym stanem, w jakim się znalazłam. Nie potrafiłam nawet otworzyć książki, nie mówiąc już o gazetach. Nie włączałam telewizora. Moje połączenia mózgowe były tak napięte z wysiłku, żeby nie zwariować, że nie byłam w stanie skoncentrować się na niczym innym poza sobą. Musiałam być nadal obecna dla siebie samej i zachować minimum przyzwoitości, które pozwoliłoby mi pracować, całować moją córkę, zamienić dwa słowa z klientami.

Tego piątkowego wieczoru zadzwoniłam po karabinierów, kiedy przy wejściu do *Malaluny* pojawił się wściekły chłopak krzyczący w dialekcie: „Muszę z tobą pomówić!”. Wojskowym powiedziałam jedynie, że jakiś wstawiony typek zaczął mi przeszkadzać. Nie podałam żadnych nazwisk i nic innego nie dodałam. W ciągu tych zaledwie kilku minut, które poświęciłam mundurowym, wielu ludzi z obsługi zniknęło, tak jak zresztą facet chcący ze mną pomówić.

Dzień później zdawało mi się, że znów nastał spokój i wszyscy stawili się w pracy. Nie było już kleju w zamku i znajdowałam samochód dokładnie tam, gdzie go wcześniej zaparkowałam. Nie wybuchła żadna bijatyka, nie przyjechała żadna niezamówiona dostawa, żadna nieobecność nie budziła podejrzeń. Wszystko było normalne, spokojne. Prawie owinięte w watę. Podejrzane.

W kolejną sobotę, 24 kwietnia, mamy imprezę w *Malalunie*. Wracamy do pracy jak za dawnych czasów. Ludzie, muzyka, magia nocy.

Wychodzę z lokalu koło czwartej rano, aby pokonać tę samą co zawsze drogę do domu, codzienna trasa, która mnie odpręża i zamienia moje zmęczenie w ciepłe

i przytulne odrętwienie, w nieruchomej nocnej ciszy Reggio Calabria.

O tej porze jestem jedyną żywą duszą na ulicy. Miasto należy do mnie.

Trasa jest zawsze ta sama – od lokalu przy via Tripepi jadę przez via Marina, skręcam do placu dworcowego, zatrzymuję się po drodze przy automacie z papierosami. Skręcam w przecznicę, później wjeżdżam znów na groblę Calopinace, żeby później skręcić w viale Calabria, i jestem w domu. Dziesięć minut, czas na wypalenie ostatniego papierosa bez głębokiego zaciągania, żeby mi dotrzymał towarzystwa najdłużej jak to możliwe.

Także i tej nocy skręcam w deptak nadmorski w kierunku południowym. We wstecznym lusterku pojawia się światło. Jest odległe. To światło motoru.

Droga jest opustoszała, jak zawsze.

Motor się zbliża. Ja zwalniam. Motor mnie nie wyprzedza. Śledzą mnie.

Nie, Rosy, dlaczego przychodzą ci do głowy takie bzdury? Dlaczego musisz być taką fatalistką i bać się zawsze najgorszego?

Nie, nie śledzą mnie.

Tak, śledzą mnie.

Zróbmy próbę, teraz skręcę w stronę dworca i zobaczymy, czy motor też skręci.

Światło jest stale widoczne w lusterku, niezbyt blisko. Ani bardzo daleko. Nie wiem. Ale jestem pewna, że o tej porze na ulicy nie ma żywej duszy. Tylko ja i motor.

Kieruję się ku dworcowi, do automatu z papierosami. Mam wzrok wbity w lusterko wsteczne.

Proszę, znów pojawia się motor. Dwóch mężczyzn na siodełku. Śledzą mnie.

Serce bije mi tak mocno, że zaczynam dyszeć, ale nie chcę stracić panowania nad sobą. Moja głowa jest procesorem, który w szaleńczym tempie przeszukuje dane w poszukiwaniu drogi ucieczki. To chwile trwające wieczność. Myśli gonią się między sobą zdyszane, gwałtowne, zmieszane.

Mogłabym uciec, ale dokąd?

Udaję, że ich nie zauważyłam. Chcą mnie tylko nastraszyć, to ich sprawdzona taktyka.

Wysiadam z samochodu, wkładam banknot do automatu, nie odrywając od niego

wzroku.

Trzęsą mi się ręce, trzęsie mi się także głowa wypełniona echem bicia mojego serca.

Myślę, wezmę papierosy, wsiądę do samochodu, objadę przecznicę i, zamiast wjeżdżać w viale Calabria, wrócę na corso i podjadę pod komendę policji. Zostawię samochód przed bramą i wpadnę do środka. Komenda policji jest oddalona zaledwie o dziesięć metrów.

Chwytam paczkę marlboro, wsiadam znów do samochodu.

Tak, jadę pod komendę policji. Boję się. Zapalam silnik, patrzę w lusterko. Motoru już nie ma.

Ale kiedy odjeżdżam, jego pomruk znów pojawia się w moich uszach. Głuche skwierczenie motocykli enduro. To zjawą, która sunie za moimi plecami i powoli się materializuje.

Czas moich myśli to czas nierzeczywisty. Już są koło mnie. Podjeżdżają na wysokość mojego samochodu. Odwracam się do okienka. I moje spojrzenie przepada w dwóch czarnych głębokich otworach. Pistolet dwulufowy.

To są dwaj mężczyźni. Mają kaski. Ale ja ich nie widzę. Widzę tylko otwory pistoletu, cała reszta jest dwuwymiarowym i mdłym tłem tej sceny.

Pistolet stuka w moje zamknięte okienko.

Ile może trwać najdłuższy ułamek sekundy, kiedy ma się pistolet skierowany prosto w twarz?

Mój ułamek sekundy jest powtarzalny i wycieńczający, daje czas tej bardziej czujnej części mojej osobowości, aby zrozumieć, że nadszedł koniec.

Dokładnie w tej chwili czuję, jak ulatnia się przyszłość. Istnieje tylko przeszłość, jak wezbrana rzeka, która wylewa i zatapia mi umysł. Czekam tylko, aż dwa czarne otwory ożywią się ogniem. Mam przed oczami twarz Micol, jej ciemne włosy ścięte na pazia.

Gubię się w tych otworach, błędzę w nich długo, połknięta przez gęste i ciemne pole magnetyczne.

Zabijają mnie.

Teraz strzelą.

Zabijają mnie.

Nie istnieje nic innego. Tylko wizja mojej śmierci, wymalowana rozszalałymi pociągnięciami pędzla przez niekończący się czas, utkany z grózb, przerażenia, okrutnej niewiedzy. Ale poza moją świadomością ciało mobilizuje się, by nie umrzeć.

Nagle hamuję. Oni jadą kilka metrów dalej. Nie spodziewali się tego. Skręcam i uderzam ich, jak kręgle, maską samochodu. Przewracają się na ziemię.

Ale ja nie jestem na tyle szybka, żeby znów wykręcić, wrócić na jezdnię i uciec daleko. Łąduję na samochodzie zaparkowanym po lewej stronie ulicy. Zatrzymuję się.

Trwa to całe wieki, ale jest to jedynie chwila i nie mam czasu, żeby zablokować drzwiczki.

Oni są już na nogach, jeden podchodzi, otwiera drzwi. Łapie mnie za włosy tuż nad karkiem. Wyciąga mnie z samochodu. Kolbą pistoletu wymierza mi pierwszy cios między nosem a ustami. Wybija mi wszystkie zęby. Górne i dolne.

Koniec transmisji.

Leżę na ziemi. Prawie nic nie czuję. Nie jestem już świadoma. Leżę na asfalcie skulona, na lewym boku. Oni mnie kopią. Unoszę się między bytem a nicością. Ból spada na mnie ze wszystkich stron, w rozkręconej karuzeli, i nic nie wskazuje na to, żeby miała się zatrzymać. Łamią mi prawą dłoń, prawe ramię, trzy żebra, kość udową.

Masakrują mnie. Wymierzają mi karę.

Wrażenie bólu jest niewytłumaczalne, mam tu na myśli prawdziwy ból fizyczny. To tak jakby moje kości połamały się, a został jedynie niepewny naskórek utrzymujący je wewnątrz ciała. Sterta łachmanów, które walczą, żeby się znów ułożyć w całość. I czuję ogień obejmujący mnie pełznącym płomieniem.

Być może śmierć patrzy na mnie, ale ja jej nie czuję, nie.

Wytrzymuję w słabej nadziei, że ten ból, który spada na mnie rozbity na tysiąc szpiczastych strzał, lecących z każdego kierunku, wcześniej czy później się skończy. Na chwilę albo na zawsze.

I zapada cisza.

Ktoś za mną krzyczy, może płacze, łzy lecą mi bezgłośnie, zacierając sylwetkę latarni i migający szyld salonu samochodowego. Może śnię.

Ogień mnie pochłania. Mięso puchnie i rozsadza skórę.

Śmierć może mieć twarz i imię. Można ją rozpoznać. Ale ciało reaguje na impuls nawet wtedy, kiedy zdaje się już poddawać przygnięciono biegiem zdarzeń.

Zaciskam w dłoniach szczelinę między pustką a bólem, między chłodem nocy a ciepłem mojej krwi. Moja krew mnie oblewa, ona jedyna dotrzymuje mi towarzystwa w tę czarną noc. Moja krew, która wypełnia przestrzeń, która nasącza ziemię, zabierając ze sobą mój ślad i brudząc nim ulicę. Błądząc w otchłani dręczona nieposkromionym odruchem, żeby się nie poddawać, przypominam sobie twarze tych, których nie chcę zostawić. Nie mam wcale ochoty odejść.

Mam na ustach, wśród krwi i kłującego proszku połamanych zębów, imię mojej córki. Moja dusza przywołuje ją bezgłośnie, pomieszana z oddechami, które wydają mi się ostatnie. Leżę na ziemi. Część ciała opuszcza mnie i powoli smakuję jego martwicę. Wtedy od strony karku coś zamyka mnie całą w jeden maleńki punkcik, który nagle gaśnie. A ja znikam.

Jeśli nadeszła moja chwila, chcę najpierw zobaczyć ją i tylko ją. Prawdziwą tragedią nie jest moja śmierć. Tragedią jest pozostawienie Micol samej na tej ziemi zabójców.

Kiedy rodziła się Micol, odeszły mi wody, a ona wyślizgnęła się na zewnątrz jak wąż, poruszając się zygzakiem. Głowa, ramię, a później drugie ramię. Czułam, jak dziewczynka przechodzi przeze mnie, a wraz z nią wypływa z mojego ciała rzeka gorącej wody, obfitej i lekkiej. Podczas gdy wydawałam dziecko na świat, odczuwałam wychodzące ze mnie ciepło niosące życie. Palący płyn, który w jednej chwili zmywał cierpienie wywołane porodem.

A teraz jestem tutaj, nieruchoma, a gorący płyn wypływa z moich ust na ulicę, mażąc ją płomieniami. To moja krew.

Moje usta pełne są drobnego piasku, zmielonych kamieni, które nie pozwalają mi oddychać. To moje połamane zęby.

Coś mnie przygniata, poruszając językiem wyczuwam piasek, a później ścianę ognia. To moja rozbita twarz.

Ciepło już nie jest ciepłem życia. Teraz spływa ze mnie grudkowaty płyn o zapachu końca.

I obudziłam się w tym białym pokoju.

Wszystko było białe.

Lekko przechylając głowę, próbowałam spojrzeć na swoje ciało. Moje ciało również było białe. Być może przykrywało je prześcieradło.

Pomyślałam – no tak, nie żyję. Ale w głębi siebie, w głębi tego, co ze mnie zostało, nie odczuwałam ani życia, ani śmierci.

Wszystko było białe.

A ja czułam się pożerana przez tę biel – jak rozpuszczona w bezkolorze, którego byłam zanikającym odcieniem.

Motocykl został na miejscu pobicia. Porzucili go tam, ponieważ moim szalonym manewrem zdołałam uszkodzić pojazd.

Ochroniarze z nocnego patrolu znaleźli mnie na ziemi w kałuży krwi. W mojej torebce, leżącej wciąż na siedzeniu pasażera, pozostały nietknięte telefon i dziewięć tysięcy euro gotówką, ostatni utarg z *Malaluny*.

Zadzwonili pod ostatni wybierany numer z mojej komórki, odebrał przyjaciel, wyjaśnili mu, co się stało, on powiadomił mojego brata.

Ja nie widziałam nic i nikogo.

Wylądowałam w szpitalu. W jednym z tych, które mi się przytrafiły, wszystkie takie same, w nadchodzących miesiącach.

Nic nie mówiłam, nie przeglądałam się w lustrze.

Potrzebowałam dwóch poważnych zabiegów chirurgicznych – na rozbitą szczękę i łuki zębowe.

Zawieziono mnie do Mediolanu, objęto programem terapii eksperymentalnej i zajęto się moją nogą, z której została miękka szmatka. Byłam też w Paryżu. Prawa noga była zmielona, kość udowa złamana w trzech miejscach. Przez osiem miesięcy przewożono mnie z jednej sali szpitalnej do drugiej.

Małymi krokami zaczęłam poruszać się przy chodziku, jak małe dziecko, które uczy się odkrywać świat. Ale nie miałam ani okruszka entuzjazmu i ciekawości małego dziecka.

Nikt z mojej rodziny nie zapytał mnie nigdy: kto, jak, dlaczego. A ja nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Pierwszy raz opowiedziałam moją historię kobietom z San Luca prawie cztery lata później.

Kiedy padasz ofiarą zwierzęcej furii, nie zadajesz sobie egzystencjalnych pytań. Nie pytasz się, czy bardziej szokujące jest przerażenie po otarciu się o śmierć, czy brutalne potraktowanie każdej części twojego ciała. W środku gromadzi się tylko nienawiść, ślepa wściekłość przekształcająca każdą twoją wiązkę nerwów w napięte struny, które nigdy nie pękają, nie przestają cię dręczyć od środka, odbierając ci sen noc po nocy.

Zniszczyli mi życie. Pozwolili mi przeżyć – może tylko przez przypadek.

Kto wie, ilu jeszcze osobom przypadło w udziale to, co mi zrobili. Ja wciąż tutaj jestem, inni nie. Jak Vincenzo Grasso zabity w Locri w 1989 roku. Jak Gianluca Congiusta, handlowiec zabity w Siderno w 2005 roku. Jak wszystkie inne ofiary 'ndranghety, które z prawem silniejszego nie miały nic wspólnego.

A wściekłość narasta, pozbawia cię tchu. Ponieważ nie rozumiesz. Zdarzyło się, jest faktem, ale tego nie akceptujesz. To nie mogło się zdarzyć akurat tobie.

Niszczysz moje życie za rzecz, która do mnie nie należy, za ziemię, która do mnie nigdy nie należała, dla logiki, która nie jest moja i nigdy moja nie będzie? Czy jesteś w stanie aż tak mnie zmiażdżyć? Wymierzasz mi tysiąc uderzeń, ponieważ nie byłam posłuszna, uśmiechnięta, nie przymykałam oka? Dlaczego musisz udowodnić za wszelką cenę, kto rządzi w tym złym mieście, kto ma rację i kto ma władzę nad życiem i śmiercią wszystkich jego mieszkańców?

Moja kara była przestrożą dla tych wszystkich, którzy tak, jak ja mieli ochotę powiedzieć „dosyć”.

Mogłam sobie wyobrazić, że tak to się skończy. Ale nie uważam, że byłam arogancka, po prostu nie chciałam w to uwierzyć. Przerabiałam ten epilog na rozmaite sposoby, aż w końcu postanowiłam udzielić sobie samej przebaczenia. Wielu innych rzeczy sobie nie wybaczyłam, tę tak.

W gruncie rzeczy to ja wygrałam, bo żeby zatkać mi usta, musieli mnie rozszarpać. Nigdy nie zdołaliby mnie pokonać na poziomie racjonalnym, ludzkim, etycznym. To nie jest moja porażka, to absolutne zwycięstwo – nie zdołali mnie kupić, ani sobie podporządkować, co zdołali z kolei wymusić na innych. Aby zadusić wyznawane przeze mnie wartości, musieli spróbować pozbyć się mnie na zawsze.

Nie wyjechali z zamiarem zabicia mnie, jestem tego pewna. I nie myśleli nawet

o tym, żeby mnie z taką brutalnością pobić, gdyby to robili z premedytacją, napadliby na mnie tuż przed lokalem, w bardziej ustronnym miejscu.

Chcieli tylko wyciągnąć pistolet dwa centymetry przed moimi oczami, zrozumiałabym wreszcie, że jestem przegrana i złamałabym się. Natomiast ja byłam tak pijana z wściekłości, że wykręciłam autem, powalając ich na ziemię jak dwóch nieporadnych i niedowierzających chłoptasiów.

Ograniczyliby się do niemego napadu, przystawiliby pistolet do okienka, wyprzedziliby mnie i prędko odjechali, jak to robili z innymi. Natomiast ja rzuciłam im wyzwanie i trwałam w uporze aż do końca. A oni zareagowali, tłukąc mnie, póki im starczyło tchu.

Mój lokal *Malaluna* został zamknięty dzień później, zajął się tym mój ojciec. Nigdy go nie sprzedaliśmy. Jest tam nadal, wynajęty. A ja całkowicie osamotniałam. Był ze mną tylko mój ojciec, moja matka, moja córka. Inni zniknęli.

Mój ojciec stał mi się bliski bardziej niż ktokolwiek inny. Obydwoje byliśmy krusi. To ja dodawałam mu otuchy, ale on dawał mi swoją obecność, jakby próbował mi powiedzieć: nie wiem, jak ci pomóc, ale jestem. Nie był w stanie odgadnąć moich potrzeb, był zdezorientowany. Ale był. Zawsze. Obok mnie.

Mnie już nie było na świecie. Jedyńm mostem łączącym mnie z rzeczywistością była Micol, tylko z nią hojnie dzieliłam się tą odrobiną życia, które przeze mnie przepływało.

Reggio Calabria zapomniało o Rosy Canale. Każdy obrał swój własny kierunek, niektórzy skorzystali z mojego nieszczęścia, aby uwolnić się od zaciągniętych wobec mnie zobowiązań. W mieście mam wielu dłużników, którzy dziś udają, że mnie nie znają.

Przyjaciele? Zostało tylko kilku: Seby, Vanni. Wiadomo, dlaczego. W niektórych kręgach bycie przyjacielem mafiosów jest prestiżem, powodem do chluby, wprowadza w obieg władzy i szacunku. A ja już definitywnie byłam cudzoziemką w swoim mieście.

Nigdy nie zgłosiłam tej napaści. Z tego powodu nie mogę napisać nic więcej o moich oprawcach. W Reggio wszyscy się domyślają, kto to. W niektórych kręgach wiedzą to na pewno.

Są takie krainy, gdzie stawanie przeciw tym, którzy złamali wobec ciebie prawo, jest równoznaczne z podpisaniem kary śmierci. W ostatnich latach coś się zmienia, także wrażliwość państwa, ale w 2004 roku bezużyteczność bohaterskich gestów budziła w Kalabrii wiele wątpliwości.

Dzisiaj o 'ndranghecie mówi się więcej, obszerniej, operacje policji i procesy zapewniły, że jest widoczna w mediach, a rzeź w Duisburgu w 2007 roku uczyniła z *'ndrine* bohaterki także na scenie międzynarodowej. Ale widzę, jak pewien rodzaj antymafijnych poglądów rozmywa się i staje sprawą modnych intelektualistów. Powstają kampanie uczulające na wyłudzenia, w których krzyczą ci w twarz: „Zadenuncjuj tego, kto prosi cię o haracz!”. W telewizji wszystko wydaje się łatwe. Ale w rzeczywistości, w głębi Kalabrii oderwanej od reszty świata, jeśli denuncjujesz, zostajesz sam. Kilka artykułów w gazecie, kilka reflektorów, a później prosto na dno zapomnienia. Wielu mieszkańców twojego miasta patrzy na ciebie podejrzliwie, jakbyś to ty był nikczemnikiem, zdrajcą. A ty jesteś ruchomym celem dla tych, którym odmówiłeś posłuszeństwa, na tej straconej ziemi. Gdzie często na *mafię* się umiera, ale z pewnej *antymafii* żyje się znakomicie.

Mafię sycylijską dziwnym trafem bardziej dostrzegamy tu, w Reggio. Sędziowie Giovanni Falcone i Paolo Borsellino byli dla wszystkich, bez wyjątku, bohaterami Włoch, których i my chcielibyśmy mieć u siebie. *Corleonesi* dokonywali tak straszliwych rzezi, wpadali w tak prostackie delirium wszechwładzy, że utrwalili sobie pozycję bezspornego antypaństwa.

W Kalabrii nie istniała taka czarno-biała rzeczywistość. W Kalabrii rozciągała się szara strefa, cisza, rozmyta granica między tym, co dozwolone, a tym, co nielegalne, między zajmowaniem się własnymi sprawami a współudziałem. Odwracanie głowy w drugą stronę było praktyką gorąco zalecaną na poziomie społecznym.

Dla mnie wszystko wywodzi się od jednego słowa i od jego deklinacji – człowieczeństwo. Prawo składa się z ludzi, 'ndrangheta składa się z ludzi – wrażliwość istnieje po obu stronach. Kiedy zgłasza się sprawę na policję, wszystko zależy od tego, kto weźmie do ręki twoje papiery i jak potraktuje twoje poczucie zagubienia. Myślę, że nie istnieje jednakowa sprawiedliwość dla wszystkich właśnie dlatego, że jest ona tworzona przez ludzi, którzy często zawodzą.

Nie miałam siły, żeby rzucać się w tryby maszyny sądowniczej, w zeznania, zbieranie dowodów. Nie chciałam znów oglądać niektórych twarzy w sali rozpraw, a zaraz po tym spotykać je na zewnątrz, znów na wolności, gotowe do wyrównania rachunków.

Przyznaję, nie wierzyłam w sprawiedliwość.

Pragnęłam tylko, żeby ludzie o mnie zapomnieli, żeby nikt nie myślał już o tym, że na świecie istnieje osoba o nazwisku Rosy Canale. Chciałam siebie unicestwić, zniknąć, łudziłam się, że nigdy się nie urodziłam.

Może to także jest umieranie. Tamtej nocy część mnie zgasła na zawsze, a była to najbardziej idealistyczna i najbardziej prawdziwa Rosy.

Nadal wierzę w nauki mojej matki, w te prądawne i czyste wartości, które mi przekazała z miłością i cierpliwością, chociaż zostały podeptane przez czas i ludzką pychę. Ale nie wierzę już w to społeczeństwo, w ten system polityczny, administracyjny, sądowniczy, rodzący osoby zdolne do niszczenia tego, co ludzkie. Osoby, które często pozostają bezkarne.

Po zakończeniu wegetacji między jednym szpitalem a drugim wybrałam życie w Rzymie, ponieważ tam mieszkał mój były mąż. Gdyby wrócili, żeby mnie zabić, pomyślałam, Micol miałyby w pobliżu swojego ojca. W moich snach Reggio było piekłem, którego ognie czekały jedynie, by spalić mnie żywcem.

Tak, byłam przekonana, że wrócę, żeby skończyć pracę wykonaną jedynie w trzech czwartych. „Biada tym, którzy są zapisani w cudzych sercach”, mawiała moja matka, a ja byłam zapisana w ich sercach niezmywalnym flamastrem. Jak oni w moim.

Nie byłam w stanie układać planów na przyszłość. Jaką przyszłość? Moje życie było tylko pośliską fotografią, chronioną przez szkło rozbite na tysiąc kawałków. A ja postrzegałam siebie jak śmiertelnie chorą, kogoś, kto wie, że jego dni są policzone i przetacza się powoli w nierzeczywisty wymiar pozbawiony smaku.

W pierwszym domu, w którym zamieszkałam w Rzymie, było wewnętrzne podwórze, moja matka rozwieszała tam pościel, a ja schodziłam i chowałam się wśród tych wilgotnych i białych fałd, musiałam złapać powietrza – jak więzień, ale bałam się, że ktoś podejdzie do okna i mnie zobaczy. Ta biel, ta czystość były magiczne

i czyniły mnie niewidzialną.

Jest piosenka Ivana Fossatiego⁴ z płyty *Macramé*, która mówi: *Come i topi, sento la mia ombra sui muri scivolare*⁵. Postrzegałam siebie właśnie w ten sposób.

Ślizgałam się jak cień, schowana nawet przed sobą samą.

W moim domu nie było luster.

Micol ciężko zniosła moją tragedię. Była taka mała. Ja i ona od zawsze byliśmy związane w sposób, który wykracza daleko poza role matki i córki. Wydaje nam się, że jesteśmy przedłużeniem siebie nawzajem, płynnie przechodzimy jedna w drugą, trudno nas rozdzielić.

Przez pięć miesięcy, podczas gdy ja krążyłam ze szpitala do szpitala, ona była z babcią Lidią. Powiedziano jej, że mama wyjechała i podczas podróży uległa wypadkowi. Micol wiedziała, że to niemożliwe, że jej matka nigdy by nie wyjechała bez pożegnania, pomyślała więc, że budują wokół niej złowrogi zamek kłamstw, że jej mama w rzeczywistości umarła i nikt nie ma na tyle odwagi, żeby jej to wyjawić.

Upewniała się co do tego dzień po dniu coraz bardziej, aż ktoś wpadł na pewien pomysł: można wysyłać jej esemesy z mojej komórki, żeby przynajmniej przywrócić dziewczynce nadzieję. „Zawsze o tobie myślę, jesteś w moim sercu. Niedługo wrócę”, pisali do niej. I małej rozpały się znów oczy, trzymała telefon zawsze przy sobie, nawet w nocy, w oczekiwaniu na wiadomość od swojej mamy.

Nie chciałam, żeby Micol widziała swoją mamę w tym stanie, to byłby dla niej straszliwy szok, miała zaledwie dziesięć lat. Ja byłam odpychającym potworem: maska podpierała mi twarz, gumowe taśmy wokół biustu utrzymywały mnie w odpowiednim ułożeniu, druty, które spinały łuk zębowy, wystawały mi z ust.

Nie mówiłam.

Pierwsze druty trzymałam w ustach przez czterdzieści pięć dni, później kolejne przez dwadzieścia dni, a usta mogły rozchyłać się zaledwie odrobinę. Odżywiałam się, sącząc płyn przez rurkę.

Wróciłam do domu, do Rzymu. Przeprowadzką zajęli się moi rodzice, a moja matka przywiozła Micol do stolicy, ja już tam byłam z moim ojcem. Podróż sekretna, niespodziewana: „Rosy, przygotuj się, jedziemy”.

To był pierwszy raz, kiedy pozwoliłam innym podejmować za mnie decyzje,

oddając się bezwiednie w ich ręce. Jedyne, co mogłam zrobić, to uderzać ręką, żeby odpowiadać na pytania: „tak” albo „nie”. Pytań było niewiele, bo wiedzieli, że ten dialog mnie męczy.

Druty z ust zostały wyjęte jeden po drugim. Puścił cały lewy górny łuk zębowy. Lekarze musieli wstawić go na miejsce, włożyć płytkę, poczekać, aż zwapnieje. Twarz była opuchnięta, lewe oko naderwane, ucho czarne.

Wiele miesięcy później chciałam się przejrzeć w lustrze. Nadszedł ten moment. Ukazała mi się nieznana, pokraczna kreatura, skrzyżowanie Człowieka Słonia i Dzwonnika z Notre Dame. Stałam naprzeciwko siebie samej, obcej, zasłaniając rącznikiem połowę twarzy – prawa strona była prawie normalna i to było to, co chciałam zobaczyć. Jedyne to przypominało mi Rosy.

I jeszcze to cięcie. Rana pod ustami była otwarta i posiniała, skóra nie została przecięta, ale zmiażdżona na papkę, został odcisk podobny do dymienicy, po upływie roku wciąż fioletowawy. Dziś ta szrama wygląda jak pieprzyk, może nawet ma w sobie trochę uroku.

Długo płakałam, zanim znów zobaczyłam Micol. Byłam targana bólem i radością, chciałam ją tylko objąć i poprosić o przebaczenie za czas, który jej odebrałam. Zostałam pokrzywdzona także w ten sposób, zabrali mi wszystko, także kawałek życia z moją córką.

Kiedy znów ją zobaczyłam, towarzyszyły jej osoby, które przygotowały ją do tego spotkania. Chudziutka, blada na twarzy, nosiła aparat na zębach. Wybuchłyśmy płaczem i śmiechem – obydwie miałyśmy w ustach aparat.

Musiałyśmy sobie opowiedzieć mnóstwo rzeczy, ale dałyśmy sobie tyle czasu, ile było trzeba. A pewnego dnia, wiele lat później, Micol poznała prawdę.

Nie chcę nikogo uczyć, jak się wychodzi z katatonii. Jak znów zapanować nad sobą po traumie, która oprócz kości rozerwała coś niezgłębionego, wsysając cię w nieuleczalne, pulsujące pęknięcie: twoje przycięte korzenie, twoja matka ziemia próbująca cię zabić. *Chista è na terra amara e maledetta*⁶, powiedziała moja babcia Maria, patrząc na zwłoki swojego ukochanego Modesta Crei. Zarówno dla mnie, jak i dla niej ziemia, która nas zrodziła, stała się macochą, zdrajczynią. Medeą niewahającą się poszatkować swoje dzieci.

Modliłam się. Wypatroszyłam siebie, przeglądając lata, chwile, spojrzenia, spotkania, słowa. Pamiętam wszystko. Od chwili, gdy ten facet przyszedł do *Malaluny* powiedzieć mi, żebym zostawiła w spokoju dilera, aż do nocy, kiedy skradziono mi życie. Prześledziłam na nowo każdy epizod, każde ostrzeżenie, zastanawiając się, dlaczego akurat tak odpowiedziałam i co by się stało, gdybym odpowiedziała inaczej.

Przeanalizowałam szczegółowo każde moje działanie i zachowanie, żeby zrozumieć, gdzie popełniłam błąd. Znalazłam odpowiedź.

Nigdy nie poddałam w wątpliwość mojego podstawowego wyboru, czyli braku zgody na uleganie kaprysom wszechwładców – jestem sobą i zostanę nią na zawsze – z połamanyymi czy zdrowymi kośćmi. Ale może powinnam była sprzedać lokal wcześniej, kiedy mój zły stan sięgał szczytu, lub poprosić o pomoc, porozmawiać o tym. Może powinnam była poradzić się jakiegoś bliskiego przyjaciela, adwokata, ale jeśli mój powiernik byłby także ich przyjacielem?

Mój grzech ma na imię lęk, nie arogancja. Powinnam była się oddalić wcześniej od tego miasta, ale nie byłam w stanie porzucić *Malaluny*. To był mój lokal, moje dzieło.

Jest tylko jedna rzecz, której naprawdę nie zrobiłabym po raz drugi, nie skręciłabym nagle na motor i nie zrzuciłabym tych dwóch bandytów na ziemię. Dla nich to była skrajna prowokacja, obelga. Jeśli to jednak zrobiłam, to znaczy, że jest to częścią mnie. W końcu nigdy się nie poddam. Mogą mnie rozwalić, podeptać, ale jeśli znów wstanę, będę jeszcze bardziej uparta niż wcześniej.

Znajoma kiedyś mi powiedziała: „Teraz jeździłabyś ferrari”. Jasne, ja też jestem o tym przekonana. Teraz byłabym panią *Malaluny*, nosiłabym trzynastocentymetrowe obcasy, miałabym orszak sług, mnóstwo stueurowych banknotów w kieszeni i brudne sumienie z powodu handlu prochami, które zabiły na moich oczach wielu przyjaciół z dzieciństwa: Massima, Luciana, Vittoria, Marca.

Ale nikt nie będzie o mnie pamiętał z powodu prowadzenia ferrari po ulicach Reggio Calabria. Będą o mnie pamiętać, jeśli uda mi się zostawić ważny ślad w sercu tych, którzy mnie kochają, i nie zdradzić tego, kim jestem.

Mój drugi dom w Rzymie był ciasny i ciemny, i mieszkałam w nim krótko.

Później zakwaterowałam się w miłym mieszkaniu z werandą. Wreszcie znalazłam to, w którym byłam najdłużej, małe, ale dobrze zaprojektowane. Przy wejściu wydzieliłam przestrzeń na komputer i tam spędzałam dużą część mojego czasu. Przed biurkiem okno otwierało się na wewnętrzną uliczkę z ciasno pobudowanymi domami. Było mi tam dobrze, byłam w stanie dojrzeć kawałek nieba i czułam się bezpieczna.

Musiałam pracować, żeby zarabiać i wypełniać czymś moje dni. Żeby nie zwariować. Znalazłam zatrudnienie w koszernej restauracji, gdzie zajmowałam się wszystkim: kierownictwem, menu, wyszukiwaniem obsługi. Miałam problemy i po siedmiu miesiącach odeszłam. Ale w tym czasie wyszłam ze swojej skorupki, ciemnej i pełnej koszmarów, i postanowiłam wypróbować siebie w jedynej rzeczy, jaką umiałam robić – chciałam wrócić do pracy w lokalach.

Nie znałam nikogo w Rzymie. Wszystko było trudne.

Moje życie towarzyskie było zredukowane do minimum. Kuzynka zapraszała mnie czasem na jakieś wieczorki i tam właśnie poznałam Fabrizia – urodzonego w ten sam co ja majowy dzień – który stał się towarzyszem moich wypadów do kina i przede wszystkim niezastąpionym przyjacielem.

Jeśli chodzi o związki miłosne, byłam nieufna i nieczuła. Spotkałam chłopaka, który twierdził, że jest artystą malarzem. Nie przekonywał mnie całkowicie, ale czułam, że muszę wrócić do gry w kwestiach międzyludzkich i, czemu nie, seksualnych. Na prawie rok zniknęła mi miesiączka, w moim ciele wszystko wrzało. Z tym chłopakiem wyszła jakaś katastrofa, intuicja mnie nie zawiodła.

Znów zaczęłam prowadzić samochód – z niemałym napięciem. Dyscyplina przy prowadzeniu nie jest raczej cechą mieszkańców Rzymu. Ale ja chciałam poznać moje nowe miasto, więc wypuszczałam się tak daleko, jak pozwalały mi na to rozpoznawalne punkty odniesienia, a kiedy się gubiłam, jeździłam za autobusami, odkrywając Rzym w małych dawkach.

Tylko raz poszłam do psycholożki, ale mi się nie spodobała. Zawsze myślałam, nawet w najtrudniejszych momentach, że muszę pokonać depresję działaniem. Nigdy nie brałam leków psychotropowych, tylko kropelki powstrzymujące lęki.

Wspomnienie mojego pobicia nie uderzało mnie już w plecy, odgraniczyłam je i odłożyłam na bok. Ale nie podawałam nikomu ręki, nie znosiłam, kiedy dotykano

mojego ciała czy głaskano po twarzy, zwłaszcza kiedy mnie witano pocałunkami.

Dziś nadal kuleję. W niektórych okresach ledwie dostrzegalnie, w innych bardziej. Często miewam bóle, boli mnie ramię, bolą zęby, a kiedy zmienia się pogoda, czuję jakby prawe oko wypadło z oczodołu. Ale wiem, że ból jest częścią mojego organizmu, wiem, że jest i prawie mi się udaje unicestwić go myślą.

W czasie pierwszych miesięcy spędzonych w stolicy przysięgałam sobie, że moja noga już nie postanie w Kalabrii. Nawet prochów nie rozsypałabym na tej macoszej ziemi. Fakt, że się tam urodziłam był wypadkiem przy pracy, być może próbą, której poddało mnie przeznaczenie. *Chista è na terra amara e maledetta*, gdzie rodzisz się i umierasz w cierpieniu, ponieważ nie wolno ci wybierać. Przeklęta, ponieważ nie znosi niedokończonych porachunków; możesz z niej uciec tylko do pewnego stopnia, ponieważ jej chore nawoływanie będzie ci ciągle przypominać, że pochodzisz właśnie stamtąd, a nie z żadnego innego miejsca. Nie wolno ci odejść bez pożegnania.

I tak oto któregoś dnia powiedziałam sobie – dobrze, to się musi skończyć, ale niech to się skończy po mojemu. I tak już jestem martwa, co jeszcze mogą we mnie zabić?

Był 15 sierpnia 2007 roku. W niemieckim mieście Duisburgu ginęło właśnie sześciu mężczyzn.

¹ Kopuła – rząd, władza lokalnej i światowej mafii.

² Ewangelia (dial. kalabr.).

³ *Capocrimine* (wł.) – jeden z najwyższych stopni w rangach mafii.

⁴ Ivano Fossati (ur. 1951) – muzyk, kompozytor i piosenkarz rockowy, znany z umiejętności gry na wielu instrumentach.

⁵ Czuję, jak mój cień ślizga się po ścianach jak myszy.

⁶ To gorzka i przeklęta ziemia (dial. kalabr.).



Część druga

KOBIETY W ASPROMONTE

I WARUM?

Piętnasty sierpnia 2007 roku.

Duisburg, miasto zamieszkałe przez pięćset tysięcy obywateli, położone w zachodnich Niemczech, gdzie zbiegają się rzeki Ren i Ruhra.

Jeszcze nie zaczęło świtać.

Policjanci i strażacy kończą pobieżne odgradzanie placyku niedaleko stacji kolejowej, nad którym góruje pomarańczowy szyld lokalu: *Da Bruno, das Italienische Restaurant*. Czarny volkswagen golf z otwartymi na oścież drzwiami kierowcy stoi zaparkowany zaledwie kilka metrów od wejścia, obok niego biała furgonetka marki opel, przednie szyby i boki obu samochodów podziurawione są pociskami.

Za golfem, na ziemi, zgrabne ciało w dżinsach i czarnych sportowych butach, rozpięta czerwona kurtka odsłania gładki tors. Lewa ręka zwrócona w kierunku głowy, a prawa wyciągnięta wzdłuż tułowia, dłoń lekko przekręcona na zewnątrz, z obcą brutalności tej sceny elegancją, jakby mężczyzna chciał pogłaskać kogoś, kto nie był w stanie go uratować. Obok kolejne zwłoki przykryte białym płótnem, przez które prześwitują gołe nogi i jasnobrązowe mokasyny. Kolejne ciało, i kolejne. I jeszcze dwa.

Jatka miała miejsce około drugiej dwadzieścia pięć w nocy. Wystrzelono pięćdziesiąt cztery pociski z dwóch, może trzech pistoletów, kaliber dziewięć. Pięć z sześciu ofiar dobito strzałem w kark. Niektórym oszpecono twarze.

Nastaje świt.

Tragarze w bieli ładują do ambulansów pięć granatowych worków i jednego konającego mężczyznę. W workach leżą szesnastoletni Francesco Giorgi z miasteczka San Luca, obszar Locride, Kalabria. Jego trzydziestodwuletni wujek Sebastiano Strangio, menedżer restauracji, dwudziestopięcioletni Marco Marmo, który umrze nieco później, podczas bezużytecznej gonitwy do szpitala. Bracia Francesco i Marco Pergola, dwadzieścia dwa i dwadzieścia lat, pracownicy restauracji, pochodzili z Siderno, miasteczka leżącego jakieś trzydzieści kilometrów od San Luca, byli

synami starszego kaprała policji, już na emeryturze. Szósta ofiara – Tommaso Venturi – miał włoskich rodziców pochodzących z Corigliano Calabro, ale urodził się w Niemczech i dorastał w Mülheim, jedenaście kilometrów na wschód od Duisburga, gdzie wcześniej uczęszczał do szkoły hotelarskiej, a w restauracji *Da Bruno* zaczynał właśnie praktykę. W jego portfelu znaleziono przepalony na środku obrazek świętego Michała Archanioła.

Święty Michał jest patronem policji państwowej. Jest także patronem 'ndranghety. Nigdy nie zrozumiałam, w jaki sposób – a przede wszystkim dlaczego – Archanioł, wojownik tak potężny, że mógł wsysać do piekielnych podziemi całe diabelskie hordy, generał armii Dobra od zarania wszechświata, jest w stanie żyć z tą podwójną i sprzeczną przynależnością. Biblijny Michał był istotowo zjednoczony z aniołem Lucyferem, który rzucił wyzwanie Bogu, zamieniając się w jego najstraszliwszego przeciwnika, Szatana. Michał pozostał wierny swojemu Panu, i faktycznie jego imię oznacza „tego, który jest podobny do Boga”.

'Ndrangheta czuje się podobna do Boga. Jest przekonana, że może zmieniać losy świata, kształtując go według swoich własnych projektów. A mit Michała z Apokalipsy jest alegorią potężnej woli władzy kalabryjskiego świata przestępczego, który poprzez rzeź w Duisburgu daje skrajny upust swojemu delirium.

Piętnastego sierpnia 2007 roku 'ndrangheta przekracza wszelkie granice. Pozwala sobie na luksus zabicia sześciu osób w widowiskowym napadzie, w obcym kraju, w nie sprzyjającej scenerii, tak niepodobnej do ich własnego górzystego Aspromonte, które kryje i grzebie na wieki najbardziej ponure sekrety.

Archanioł wojownik był na miejscu masakry w kieszeni chłopca, który skończył osiemnaście lat właśnie tego wieczoru.

Powiedziano od razu, że w restauracji *Da Bruno* odbył się rytuał nawiązania współpracy z klanem Pelle-Vottari z San Luca, do którego tych sześć ofiar rzekomo w jakiś sposób przynależało. I że masakra była jedynie zemstą 'ndranghety, ostatnim aktem wendety, która od 1991 roku wstrząsała kalabryjskim miasteczkiem.

W dniu 15 sierpnia, w święto *Ferragosto*¹, głównie szkolni koledzy Tommasa Venturiego, jedynej miejscowej ofiary, składali przy wejściu do restauracji, pod wysoką doniczką, symbole żałoby i przerażenia – świece, kwiaty, liściki. Na kawałku

papieru odznaczał się napis wykonany czerwonymi drukowanymi literami:
WARUM?

Dlaczego?

Krew, która od dawna wsiąkała w moją ziemię, stawała się teraz obrzydliwym planetarnym show. Wendetę z San Luca uznano za wzór wszystkich wewnętrznych wojen, które przeszywały Kalabrię od dziesięcioleci.

Oglądałam to widowisko w telewizji w porze obiadu, w domku nad morzem u moich rodziców w Marina di San Lorenzo, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od San Luca. W południe, które bardziej niż inne pory dnia wyniszczało mnie wilgotnym upałem jońskiego wybrzeża.

Odpoczywałam na kanapie w salonie, w białym domku, kilka kroków od morza. Moja matka kończyła gotować bakłażany, mój ojciec wracał z plaży z Micol.

Mam włączony kanał Rai2, leci serial *Napisała: morderstwo*, który poprzedza wiadomości o pierwszej. Wstaję z kanapy, moja matka zaprasza nas, żebyśmy zajęli miejsca przy stole, Micol już siedzi i jak zwykle umiera z głodu.

Wiadomość otwierająca *Tg2* to śmierć w Duisburgu. Z nagłówek rozumiem niewiele, ale wychwytyuję dwa słowa, które się liczą – 'ndrangheta, Kalabria. Patrzę na rozerwane ciała. „Mamo, zmień kanał”, denerwuje się Micol. W parnym upale *Ferragosto* poraża mnie nagłe zimno. Przyklejam się do telewizora, żeby zasłonić obraz przed córką i żeby lepiej słyszeć.

Co za horror. Co za wstyd dla nas wszystkich.

Duisburg stanowi przełom, zło wybuchło, rozsypując wokół kamienie i gruzy, a na koniec połknęło samo siebie. Nic już nie jest możliwe po Duisburgu. Tak jak nic nie wydawało mi się już możliwe po tym, jak poczułam w ustach gorycz swojej krwi i kawałki rozpadających się zębów, które musiałam połykać w tym straszliwym upadku ciała i duszy.

Pomyślałam, że muszę coś zrobić. I muszę to zrobić w San Luca, w kraterze, w którym bulgocze zło.

Przemoc rozprzestrzeniała się z mojej ziemi, a miasteczko San Luca było dla wszystkich bramą do piekieł. Skupiskiem historycznych klanów, które z pastwisk w Aspromonte rzuciły się na podbój świata. Nienaruszalnym terytorium świątyni

w Polsi, w której panowała Matka Boska Górską, święta dla 'ndranghetistów, budujących wokół tego wessanego przez skały kościoła swoją awangardową strukturę przestępczą.

W tej samej chwili, w której pomyślałam, że moje życie nie może się skończyć w paraliżującej mnie od ponad trzech lat niemocy, przeczesalam swoje wnętrze w poszukiwaniu inspiracji, jak nadać mojej wściekłości inny kształt. I wysublimować moją chęć zemsty w siłę zdolną przekształcić zło.

Zło samo w sobie nigdy by mnie nie odkupiło. Nie jestem stworzona do zła.

I jeśli to prawda, że zemsta może przybrać rozmaite postaci, to moja mogła wyglądać tylko w jeden sposób – wejść do ich domów i zabrać im dzieci.

Nie po to, żeby je zabić. Ale żeby je wyrwać z przestępczego świata. Aby im pokazać, że istnieje inna planeta poza naznaczoną przemocą orbitą Aspromonte. Że możliwe jest inne życie. Że istnieją kolory, muzyka, podróże, sztuka, kultura, a także małe prozaiczne sprawy dodające dniom smaku.

Nie istnieje tylko San Luca, wendeta i 'ndrangheta. Tak, wyrwę ich dzieci ze szponów zła. A także ich kobiety.

W telewizji pojawia się kobieta o mocno niebieskich, prawie przezroczystych oczach. Wygląda jak anioł. W Duisburgu straciła syna i brata, a teraz, ułożona i zdecydowana, prosi prefekta Reggio Calabria, żeby ofiary, jak wszyscy chrześcijanie, miały pogrzeb publiczny, a nie opancerzony, zarezerwowany dla mafiosów. Teresa Strangio, po mężu Giorgi, była pierwszą kobietą z San Luca, którą widziałam i słyszałam.

Musiałam pojechać do San Luca.

Żeby nie wyrzucać na śmietnik mojego bólu, żeby nadać mu sens. Otworzyła się oto przede mną jedyna droga, która prowadziła do ich domów. Mogłam zanieść tam to wszystko, co wcześniej miałam w sobie zdrowego i co nadal byłam w stanie w sobie odnaleźć.

Sprawiedliwą, uczciwą część mojej ziemi, tę, przy której trzeba obstawać, bo zbyt często widziałam, jak martwieje w ciszy. Jestem pewna, że znajdę ją także w San Luca, w niektórych domach, w oczach kobiet takich jak Teresa.

W San Luca nie znałam nikogo. To było doskonałe miejsce, żeby zacząć wszystko

od początku.

1 *Ferragosto* (łac.) – *Feriae Augusti* (odpoczynek Augusta), święto ustanowione przez cesarza Augusta 15 sierpnia, związane z obchodami święta plonów, wina, płodności; dziś tradycyjny okres wakacji dla włoskich rodzin.

II

PAMIĘTAJ, ABYŚ DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ

Ranek 14 grudnia 2007 roku. Na lotnisku Fiumicino w Rzymie przesuwa się parada postaci lecących na Południe, okazów ludzkości już zarchiwizowanej w mojej pamięci w dziale: „czas przeszły historyczny”. Obserwuję je, wydają mi się postaciami z czarno-białego komiksu.

Na pierwszym planie żona mojego byłego narzeczonego. Ma na sobie badziewne beżowe kozaki w kolorze podkładu, ukrywającego oznaki starzenia. On nie jest byle jakim eks, to była ważna miłość, teraz w kolejce do odprawy widzę, jak się poddaje małostkowym okopom usypanym przez ciało jego kobiety; ona w tym czasie studiuje uważnie moje ubranie, moje włosy, mój makijaż. Jego – prawie czterdziestolatka – trudno rozpoznać z tymi anachronicznymi pasemkami, po tylu latach intensywnie przeżytych wśród kochanek, obżarstwa i ojcowskiego lania po pupie, do którego się schylał z szacunku i innych, nie zawsze szlachetnych powodów.

Jest też opatulony człowieczek przypominający gubernatora Kalabrii, ale jest zbyt mały, żeby to mógł być on, w telewizji robił wrażenie tym swoim północnokalabryjskim sposobem mówienia. Ktoś mu mówi: „Dzień dobry, panie przewodniczący”, a więc to on. Napisałam do niego niekończącą się serię listów, żeby zainteresować go moim projektem w San Luca, ale on, jako szanujący się polityk, nigdy mi nie odpowiedział, ani nie skontaktował się nawet przez ostatniego ze swoich asystentów. Zaczepiłabym go tutaj, czuję taką pokusę. Ale rozprasza mnie sylwetka starego parlamentarzysty z odzysku, o wyrazie twarzy będącym mieszanką królika i bobra. On też jest drobny jak karzeł cyrkowy, z gatunku tych, którzy dzięki złośliwościom i podstawianiu nogi znajdują zawsze sposób, żeby przechwycić złotą trąbkę. Przez niego zużyłam całą masę kart telefonicznych na rozmowy, podczas których obiecywał mi nigdy nieodbyte spotkania, powtarzając bez końca tę samą wymówkę na temat ustawy budżetowej i zapominając o dniach swojej kampanii wyborczej, kiedy to on męczył telefonami mojego ojca w poszukiwaniu wsparcia

i głosów.

Otworzono bramki. „Antonio, chodź tutaj, *dai mamma*, bo zaraz ruszamy!”, krzyczy jakaś kobieta. Jej syn ma może pięć lat, biega tam i z powrotem po poczekalni, a rozbawiony ojciec chodzi za nim, pozwalając mu dreptać między ludźmi w kolejce. Słyszę, że mały Antonio był leczony przez dwa miesiące w szpitalu Bambin Gesù w Rzymie, przeszedł ciężką operację i został wypisany dziś rano. Wraca do domu na Boże Narodzenie.

Do Samo w Locride wraca kobieta, która właśnie przyleciała z Australii. Wysypuje wszystko z torebki w poszukiwaniu swetra, a jej ostry głos dudni w nierównej kolejce, kobieta komicznie przeplata angielski i ścisły dialekt śródlądzia jońskiego: *Rocco, take the bag... Pighia a burza ca ndaiu friddu!*¹.

W autobusie wiozącym nas do samolotu lecącego do Reggio widać przekrój społeczności kalabryjskiej. Politycy w kaszmirach wypluwający z ust tyrady o prawowitości, idący pod rączkę z *capibastone*. Kobiety poszukujące nazwiska i odpowiedniego ustawienia na całe życie, gotowe nosić rogi jak markowe dodatki pod warunkiem, że to mąż będzie otwierał portfel. Wzgardzeni mężczyźni przebrani za wielkich panów, uparci jak marionetki ożywające tylko wtedy, kiedy za sznurki pociągają ojcowie i ojcowie chrzestni. Ale są też tacy, którzy wyjechali w nocy, wiele lat temu, z kartonowymi walizkami – Kalabryjczycy chcący godnie żyć w innej części świata. I tacy, którzy zmuszeni są podróżować, żeby się leczyć, z pielgrzymkami nadziei wypisanymi na twarzy, w poszukiwaniu *u professoruni bravu, u luminari*². I studenci uniwersyteccy, którzy nie wybrali ani prawa, ani architektury, dojeżdżający codziennie pracownicy edukacji publicznej, oczekujący na przeniesienie, i wszyscy ci, którzy powiedzieli „nie” pracy na czarno blisko własnego domu.

Lot do Reggio Calabria to zawieszenie w przestrzeni między tym, kim nauczyłeś się być i tym, kim byłeś kiedyś. Reggio pozostaje punktem wyjściowym, południkiem zerowym mojego życia. Gdybym nadal wierzyła w przeznaczenie, pomyślałabym, że to miasto jest jego matką. Gdy tak lecę w chmurach, myśli płaczą się, zmęczone, a ja czuję się bezpieczniejsza w tej stalowej klatce, nawet w samym środku burzy, niż na ulicach mojego miasta.

Przychodzi mi do głowy zbyt wiele obrazów, osób, których już długo nie

widziałam, dróg, którymi już nie chodzę.

Kiedy samolot przecina Sycylię nad jeziorkiem Ganzirri i przygotowuje się do lądowania, miejsce przy okienku zamienia się w trybunę honorową z widokiem na wyjątkowy spektakl, a manewr samolotu, który traci wysokość, rzuca nas w przepaść na słoną kobaltową połąć. To moje morze. Za każdym razem mnie wzrusza. To przepiękne zjawisko, obok niego wyrosłam i straciłam złudzenia.

Znam je od zawsze, jak twarze moich rodziców. Nie pamiętam konkretnego dnia, w którym morze Cieśniny wypełniło mi oczy, istniało zawsze, w każdej minucie mojego życia. Z balkonu mojego pokoju, z okienka samochodu mojego ojca, z mojej szkolnej ławki wyłaniała się jego dusza targana przez dwa brzegi – Sycylię i Kalabrię, z daleka podobne, ale jakże różne. W zimowe popołudnia, stojąc na schodach przy wyjściu ze szkoły, patrzyłam, jak wiatr czesze białe grzywy fal i wyobrażałam sobie, że niosą one ze sobą dalej te jego pieśczęoty, a później prędko rozplývają się wokół skał wybrzeża.

Wieczny ruch, bulgotanie wewnętrznych konfliktów wśród lodowatych prądów i gorących lejów, które kształtowały jego charakter, zdecydowany i łagodny zarazem – moje morze reprezentowało mnie w sposób doskonały. Ta woda, osiågająca czasem olbrzymie głębokości, była jedyną drogą ucieczki, kiedy miasto stawało się przekłęćie ciasne, kiedy rozbijałam się o góry ignorancji, przebywające na wolności i błądzące po ulicach.

Morze Reggio to dobry demon, który wślizguje się w twoje kości i do wnętrza twoich żył, oblewając wątrobę i płuca. Bez niego nie dasz rady, tak jak nie możesz oddychać bez powietrza. Odkrywa przed tobą świat nieskończonych możliwości i kierunków, w których odnajdziesz się tylko pod warunkiem, że będziesz je dogłębnie badać, z rozważą godną sprawiedliwych i zdrową nieświadomością głodnych, wyznaczając sam sobie granice. Uczy cię zasięgu głębin i powierzchni, sensu płaskiej ciszy i burzliwego sztormu. Ostrzega cię, że duża ryba zjada zawsze małą rybę. Kołysze się, żeby ci wyszeptać, że nie jesteś sama. Przywołuje cię, żeby podarować ci przedsmak wolności.

Bez koloru, zapachu i żalobnej pieśni pian i kamieni podarowanych przez swoje morze Reggio Calabria byłoby jedynie płataniną brzydkich kamieniczek uwięzionych

między zejściami a podejściami. Morze jest punktem ucieczki – patrzysz na nie i hipnotyzuje cię. A jeśli uda ci się poddać całkowicie odrętwieniu, niesionemu przez morską bryzę, wydaje ci się, że dostrzegasz duchy przeszłości, które wynurzają się z wody i rozbijają się wraz z falami o brzeg.

Każdemu mojemu powrotowi do miasta towarzyszyły objawy somatyczne. Ścisnął mi się żołądek, jakby nawet powietrze było skażone.

Kocham dom moich rodziców, to kawałek mojego życia, ale wracać tam i mierzyć się z tymi czterema piętrami to jak wchodzić na górę Kalwarię. Zachowuję smutne wspomnienia o tym mieszkaniu – jest jak książkę popadły w niełaskę, pożerane przez cierpki czas i przez troskę, której nikt mu nigdy nie okazał. Ale mimo wszystko to miejsce zapewniało mi dach nad głową, kiedy byłam młodą dziewczyną, a czasami dawało także schronienie.

Na lotnisku *Tito Minniti* czekają na mnie moi staruszkowie, którzy dziś wydają mi się mali i przygarbieni. Mojego ojca rozpoznaję po przyprószonej śniegiem głowie, moją matkę po jej nieustannie rozczochranych włosach. Są szczęśliwi, że mnie widzą. Przeszliśmy burzliwy okres.

Nie uważam, że bym była córką, jakiej pragnąłby każdy rodzic, ale jestem córką, którą moja matka i mój ojciec zawsze mają dla siebie. Przeszłam trudne chwile, szukałam dla siebie miejsca, w którym mogłabym się poczuć twarda i nieprzenikalna. Któregoś dnia, kiedy już o tym nie myślałam, zdałam sobie nagle sprawę, że ta szkoła hartu przekształciła mnie w kobietę niezdolną do relacji. Komunikacja zgasła; mur między mną a światem zewnętrznym był już wysoki. Wydawałam się słoneczna, serdeczna, nawet sympatyczna, ale w rzeczywistości z trudem dzieliłam się głębokimi emocjami.

Zaufanie było zagubionym kluczem do najskrytszych drzwi, tych, które otwierały się na prawdziwe komnaty prawdziwej Rosy.

Droga prowadząca z lotniska do centrum Reggio jest ponura. Człowiek zdaje sobie sprawę z okropieństwa, kiedy jego oko raz pozna piękno. Przeskok z Rzymu do Reggio jest traumatyczny, ale jeszcze gorsza jest myśl, że mimo milionów euro płynących z Europy zderzenie z miastem nad Cieśniną pozostaje szokujące.

Jednak tamtego dnia wracałam do Kalabrii, żeby udać się gdzie indziej. Jechałam

pierwszy raz do San Luca. Piętnastego grudnia 2007 roku w miasteczku, które jeszcze nie złapało tchu po jatce w Niemczech, miało się odbyć otwarte posiedzenie rady miejskiej z prezentacją projektu *Odrodzenie w San Luca*.

Po sierpniowym szoku *Ferragosto* przedsiębiorcy i różne osobistości zaoferowały się, że poprowadzą rozmaite inicjatywy na terytorium Aspromonte z nadzieją stworzenia nowych możliwości. Pracy przede wszystkim. Być może gdyby młodzi z San Luca mieli jakieś perspektywy na przyszłość, ludziom z 'ndranghety byłoby zbyt trudno rekrutować ich do swoich szeregów.

Pomysł narodził się w prefekturze w Reggio i spotkał się z przychylnością wielu profesjonalistów. San Luca leżało w oku cyklonu, każdego bożego dnia wszystkie gazety pisały o Duisburgu, aktualizowały informacje na temat stanu dochodzenia i aresztowań. Ten zakątek obszaru Locride, od zawsze ignorowany, przekształcił się w medialną karuzelę, a ten, kto na nią wsiadł w tym momencie, zaczynał błyszczeć odbitym światłem, opanowywać pierwsze strony gazet dzięki temu, że coś zrobił, cokolwiek, niechby to było tylko kasznięcie, w tym znanym już na całym świecie miasteczku wendety.

Dzień po wydarzeniach w Duisburgu policja niemiecka rozpowszechniła rysopis jednego z domniemanych zabójców: szczupły mężczyzna koło trzydziestki, wysoki, krótkie czarne włosy, długie baki, pieprzyk pod prawym okiem. Wskazywany był jako kierowca, który przewoził oddział w limuzynie, „jakby to było Chicago za czasów Al Capone”, komentował włoski dziennikarz.

Mówiło się o trzech zabójcach i kierowcy. O pomocy współników w Niemczech, niezbędnych do zaplanowania wojennej napaści w wielkim stylu. Prasa niemiecka pisała, że restauracja *Da Bruno*, gdzie rok wcześniej jadała kolacje reprezentacja Włoch w piłce nożnej, już od 2000 roku przyciągała uwagę lokalnych śledczych w związku z podejrzeniem prania brudnych pieniędzy oraz kwestią broni i narkotyków. Jedna z sześciu ofiar była już zgłaszana policji za fałszowanie banknotów. Mówiono potem, że wielu członków 'ndranghety z San Luca dawno wyemigrowało do Niemiec, założyło pizzerie, w których zatrudniano prawie wyłącznie krewnych z kalabryjskiego miasteczka.

Dzienniki włoskie pisały, że kilka miesięcy wcześniej ulotka restauracji *Da Bruno*

pojawiła się w San Luca w składzie broni klanu Pelle-Vottari. W pewnym momencie mówiono wręcz o falandze dziesięciu płatnych zabójców tej nocy i wyszło na jaw, że już w czasach porwania Alessandra Sgarelli – w 1997 roku – w śledztwie pojawiło się więcej podejrzanych z 'ndranghety w niemieckim mieście, niż w San Luca.

Według prasy celem tej dzikiej strzelaniny był tylko jeden człowiek, pozostałych pięciu rzekomo wyeliminowano, żeby nie zostawiać świadków. Wyznaczoną ofiarą był dwudziestopięcioletni Marco Marmo, urodzony w San Luca, ale zameldowany na południu w Benestare, który przyjechał do Niemiec kilka dni wcześniej. Ponoć był członkiem grupy, która 25 grudnia 2006 roku zabiła Marię Strangio w drzwiach jej własnego domu, na oczach jej własnych dzieci, młodą i piękną żonę domniemanego bossa Gianluca Nirty – to on był celem zasadzki, ale został tylko ranny. Mówiono ponadto, że Marmo był rusznikarzem rodziny Pelle-Vottari, wrogów Nirta-Strangio w wojnie, która pożerała San Luca od 1991 roku, a teraz kończyła się daleko – w Nadrenii Północnej-Westfalii.

Sebastiana Strangio, menedżera restauracji *Da Bruno* i ofiarę, łączyło z biedną Marią, zabitą w Boże Narodzenie, jedynie to samo nazwisko. Sebastian Strangio należy do zupełnie innej rodziny, niemającej nic wspólnego z Nirtami, ale za to bliskiej rodzinie Pelle-Vottari. W San Luca dokładają się również nazwiska, wszystkie takie same, znacznie utrudniając zrozumienie sytuacji.

W każdym razie w tamtych dniach o Sebastianie Strangio można było przeczytać, że jego elegancki lokal na niemieckiej ziemi był skrzyżowaniem dróg przemytu i rozmaitych przestępczych zamysłów. Powiedziano wiele rzeczy, ale do tej pory – do czasu napisania tej książki – nie odpowiedziano na pytanie, jakie zło miałyby popełnić tych sześć ofiar, żeby rozpętać aż taką niszczącą furię.

Matka Marca Marmo, którą dobrze znam, nie przestaje wołać o niewinności syna, a sił dodaje jej fakt, iż w miasteczku wszyscy wiedzą, że Marco nie miał nic wspólnego z zabójstwem Marii Strangio – niejeden widział, kto strzelał w dzień Bożego Narodzenia. Marca wśród nich nie było.

„Dla polityków rzeź była jak kopnięcie w zęby, już od lat walka z mafią przestała być priorytetem”, pisał tygodnik *Diario*. Jedyna głębsza refleksja, jaką zdarzyło mi się przeczytać na ten temat.

Szesnastego sierpnia 2007 roku karabinierzy i policja wzmacniają kontrolę wokół San Luca – blokady na drodze krajowej sto sześć i wzdłuż trasy *provinciale*, poszukiwania w miasteczku, dziesiątki zgłoszonych osób. Autentyczna policyjna obława.

Istnieje obawa, że nadejdzie odpowiedź na sześciu zabitych, że znów podjęta zostanie wendeta, która w takiej sytuacji zamieniłaby się w otwartą wojnę i pochłonęłaby większą liczbę ofiar. Krew, która przyzywa krew – jak w greckich tragediach. Zbrodnia, która przywołuje zbrodnię w deterministycznym powiązaniu przyczyn i skutków.

Krew przelana w Boże Narodzenie zostaje pomszczona w Europie Północnej z nieposkromioną gwałtownością. Wszyscy Nirta-Strangio pilnowani są po śmierci Marii, żeby zapobiec wyrównaniu rachunków, które następuje nagle w najmniej spodziewanym miejscu, poza granicami kraju. I znów dzień świąteczny, *Ferragosto* – jak Boże Narodzenie, rodzinne i pogodne święta, które od tamtej pory będą oszpecone i zakreślone czarnym kółkiem w kalendarzu pamięci, pełnym niezmywalnych żałobnych rocznic. Trzecie przykazanie: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”, przełożone w przerażający sposób na język przemocy.

W pierwszych dniach września odbędzie się święto Matki Boskiej Górskiej w sanktuarium w Polsi, w Aspromonte, na terytorium San Luca – kolejna piękna okazja. Wszystkie siły porządkowe są rozstawione na miejscu, ale w 2007 roku w Polsi najgorszym wydarzeniem jest inwazja dziennikarzy i kamer telewizyjnych.

Zastępca prokuratora Reggio Calabria Nicola Gratteri i jego kolega z Antymafijnej Dyrekcji Krajowej Enzo Macrì upierają się przy czynniku nieprzewidywalności, wszystko może się zdarzyć po Duisburgu, należy mieć San Luca pod kontrolą. I faktycznie ruszają skrupulatne przeszukiwania w domach domniemanych współpracowników rywalizujących rodzin, i okazuje się, że San Luca stało się miasteczkiem samych kobiet i dzieci. Mężczyzn z rodzin Pelle-Vottari i Nirta-Strangio po prostu nie ma. Mówi się, że po bożonarodzeniowej zbrodni zaczęli się przemieszczać ukryci w samochodowych bagażnikach.

Tymczasem eksperci i kryminolodzy rozprawiają w gazetach i telewizji o modernizacji 'ndranghety, szybszej niż kamorra w przyswajaniu nowych

technologii, zdolniejszej w wykorzystywaniu internetu do prania brudnych pieniędzy, chytrzejszej w zdobywaniu monopolu na kokainę w Europie, w nabywaniu akcji na giełdzie we Frankfurcie, w inwestowaniu dziesiątek milionów w sieci hotelowe i restauracyjne w byłych komunistycznych Niemczech i nad Morzem Bałtyckim. 'Ndrangheta ma mocną pozycję we Francji, Belgii, Rosji, Szwajcarii, Anglii i Holandii. A już w 1993 roku niemiecka policja federalna podniosła alarm o przenikaniu klanu z Locride na teren ich kraju.

O świcie, 30 sierpnia 2007 roku, San Luca jest otoczone setkami ludzi w mundurach. Helikoptery otaczają je z góry. Siły porządkowe przeczesują dom po domu, polując na czterdzieści osób, co do których prokuratura antymafijna w Reggio wydała nakaz zatrzymania. Znajdują trzydziestu dwóch, inni od dawna się ukrywają lub ulotnili się po zasadzce w Boże Narodzenie, aby uchronić się przed zemstą wroga. Trzech zostaje złapanych w bunkrze ukrytym za sztuczną ścianą w jednym z mieszkań w centrum; poddają się, nie stawiając oporu.

Ale wśród aresztowanych nie ma żadnego z killerów z *Ferragosto*, tylko domniemani współpracownicy rodzin Pelle-Vottari i Nirta-Strangio, którzy rzekomo odegrali jakąś rolę w różnych aktach wendety. W więzieniu lądują także bracia dwóch ofiar ostatniej rzezi: Achille Marmo, brat Marco, i Giovanni Strangio, który prowadził restaurację *Da Bruno* razem z Sebastianem. Według aktu oskarżenia obydwaj mężczyźni próbowali wwieźć do Włoch broń wojskową i amunicję dla rodziny Pelle-Vottari. W kajdankach kończy też Gianluca Nirta, rzekomy ojciec chrzestny, który widział na własne oczy, jak zabijają mu żonę, ale w wywiadzie dla krajowej gazety unosi ze zdumieniem ramiona: „Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego pada moje nazwisko w związku z tą historią w Duisburgu”.

Śledczy mają zasznurowane usta, wspominają o „pracy czysto dochodzeniowej, jako że nikt z krewnych ofiar wendety nigdy nie zdecydował się dostarczyć wiadomości pomocnych w zidentyfikowaniu autorów tak poważnych krwawych wydarzeń”.

Za dokonanie masakry w Niemczech formalnie poszukiwany jest inny Giovanni Strangio, urodzony w Siderno w 1979 roku i zameldowany w Kaarst, w Nadrenii Północnej-Westfalii. Wzrost sto siedemdziesiąt cztery centymetry, smukła sylwetka,

ciemne włosy i granatowe oczy, czarne renault clio z niemiecką rejestracją. Deszczem pocisków przed restauracją *Da Bruno* rzekomo pomścił śmierć swojej kuzynki Marii Strangio.

Jest to operacja *Fehida* Antymafijnej Dyrekcji z Reggio Calabria. A to dopiero początek.

Przyjechałam do San Luca cztery miesiące po masakrze w Duisburgu i nie odniosłam wrażenia, że znajduję się w jądrze ciemności osławionej wendety. Podobieństwo do Fiumary di Muro i miejsc związanych z moją babcią Marią sprawiało, że miasteczko było moim oczom dziwnie znajome. Niskie domy, kręte uliczki, pachnące powietrze znad pól. Z opisów, które słyszałam do tej pory zapowiadało się to inaczej. Oddychało się hybrydowym powietrzem, jakby w San Luca rzeczywistość rozpinała się wzdłuż dwóch równoległych płaszczyzn – to, co jest i to, co się wydaje. Dwa wymiary, które w końcu się mieszają i sprawiają, że tracisz orientację, a nieustające krążenie dziennikarzy i ekip telewizyjnych wcale nie jest pomocne w poszukiwaniu punktu odniesienia.

San Luca nie mogło przerwać swojego show, tego rzeczywistego dramatu, ale naszpikowanego chorą już sensacją. Nagle świat zauważył San Luca i zaczął się obawiać, że to miasto zacznie nim dowodzić.

Ludzie byli wyczerpani. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, niezależnie od stopnia pokrewieństwa i przynależności. Duisburg był wydarzeniem fizycznie odległym, przez wielu przeżywanym za pośrednictwem telewizji aż do dnia pogrzebu, dopiero wtedy, kiedy trumny Francesca Giorgi, Sebastiana Strangio i Marca Marmo zajęły przed bramę kościoła Santa Maria della Pietà, nagle wszyscy to sobie uświadomili. I o ile była to rzeź, to stanowiła jednocześnie silną formę wyzwolenia.

W miesiącach dzielących Boże Narodzenie i *Ferragosto* zawładnęło nimi autentyczne przerażenie i ciągłe oczekiwanie na odwet. Teraz nadchodziła rekonwalescencja po chorobie. Wracano do życia, mimo wielkich, zakrojonych na szeroką skalę operacji policyjnych.

Trzy dni po moim przyjeździe do San Luca aresztowano kolejnych dwóch młodych mężczyzn, byli oskarżeni o udzielenie wsparcia logistycznego zabójcom z *Ferragosto* razem z innymi dwoma Kalabryjczykami zameldowanymi w Kaarst.

Ale w miasteczku, w rozmowach z ludźmi i w samej atmosferze, wszystko pozostawało w ukryciu.

Mieszkańcy San Luca wydali mi się odkryci, bezbronni. Fotografowani na ulicy i pokazywani na zdjęciach na całą stronę przy długich artykułach, które przedstawiały ich jak zlot potworów. Wszystkich. Włączając tych, których jedyną winą było to, że urodzili się w miasteczku, nie będącym już kolebką wielkiego pisarza Corrado Alvaro, ale wendety.

Mój projekt nazywał się *Contaminazione*³ i przewidywał udział Akademii Sztuk Pięknych z Reggio Calabria wraz z siedmioma artystami irakijskimi; podobał mi się pomysł zestawienia dwóch miejsc i dwóch kultur, które przeżywały stan utrapienia i konfliktu, każde na swój sposób.

Zwróciłam się do wszystkich z prośbą o dofinansowanie, ale tylko gmina Reggio odpowiedziała dwudziestoma tysiącami euro, dzięki którym zdołałam opłacić także podróż i wizy dla Irakijczyków. Miałam poprowadzić warsztaty sztuki w gimnazjum w San Luca, marzyło mi się, żeby przekształcić je w paletę barw, aby rozbudzić kreatywność młodzieży.

Wymieniłam serię maili z burmistrzem Giuseppe Mammolitim, wysłałam mu mój projekt i pozwoliłam sobie na krótką i mocną wypowiedź na temat konieczności zaangażowania i rozpoczynania od nowa, mimo wszystko. W jego odpowiedzi dostrzegłam godność człowieka, który naprawdę wierzy w swoją ziemię, obdarzonego tą samą co ja wolą działania. Zaskoczyło mnie to. Wydał mi się politykiem innym od tych, których na ogół spotykałam, może dlatego, że działał w wyraźnie rozpaczliwej sytuacji niezostawiającej miejsca na maski, ani alibi.

Po przyjeździe do miasteczka 15 grudnia zastałam liczne samochody policji i karabinierów zaparkowane jeden za drugim. Posiedzenie rady miejskiej odbywało się w stołówce szkoły podstawowej, kilka kroków od ratusza i nowych koszar karabinierów, będących jeszcze w budowie. Docierało się tam od corso Corrado Alvaro, głównej ulicy, która wijąc się, przecina całe miasteczko – od mostu Cucuzza za ostatnim zakrętem *provinciale*, z którego wreszcie widać to aspromonckie miasteczko, z daleka przypominające szopkę, aż do schodków kościoła Santa Maria, trzymającego straż nad starą częścią, rozciągającą się za jego plecami.

Przed szkołą stało sporo ludzi. Zapytałam, który to burmistrz i zobaczyłam przed sobą uśmiechniętego i serdecznego mężczyznę koło czterdziestki. Kazał mi się rozgościć na sali pełnej dziennikarzy, różnych osobistości i zwykłych ludzi z San Luca. Kiedy nadszedł prefekt Francesco Musolino, prezentacja projektów mogła się rozpocząć.

Było to czterdzieści siedem pomysłów proponowanych przez tyle samo podmiotów, których zadaniem była próba rozpoczęcia *odrodzenia* w twierdzy 'ndranghety. Zrealizowano tylko dwa z nich: projekt Michele Placido, warsztaty teatralne z młodzieżą, i projekt Rosy Canale. O innych programach nie było więcej słyhać.

Po kilku miesiącach od rzezi w Niemczech dla wszystkich apetycznym kąskiem było pokazanie się światu, przywożąc coś do San Luca. Przed tym wydarzeniem o globalnym oddźwięku żadne stowarzyszenie, a tym bardziej przedsiębiorcy i profesjonaliści, nie przebyli drogi, która znad morza w Bovalino wspina się na wzgórze Aspromonte. Ale Duisburg był oślepiającym reflektorem, który uczynił z San Luca niespodziewaną i doskonałą scenę.

Nie znałam żadnej z osób siedzących wokół bardzo długiego stołu, z wyjątkiem kilku polityków, których obecność nie pozwalała mi pokładać nadziei w wiarygodność tej operacji. Rozglądałam się dyskretnie dookoła – byłam jedną z niewielu kobiet na sali.

Prefekt siedział na środku, między burmistrzem Mammolitim a eleganckim panem z brodą, wiceprefektem Giuseppe Priolo, któremu została powierzona koordynacja projektu *Odrodzenie*. Wcześniej był już komisarzem prefektury w San Luca, kiedy to władze gminy zostały rozwiązane w związku z podejrzeniami o infiltracje mafijne. Paradoksalnie był to świetlany rozdział w historii tego miejsca.

Działo się to we wrześniu 2000 roku, relacje między San Luca a instytucjami państwowymi były gorsze niż kiedykolwiek. W 1985 roku miało miejsce zabójstwo brygadiera Carmine Tripodiego, a później rzeź w Varesotto w roku 1990, kiedy próba uprowadzenia córki pewnego przemysłowca zakończyła się śmiercią czterech mieszkańców San Luca, zabitych przez karabinierów. Od tamtej pory, nieubłagane, władze były wrogami bez względu na wszystko, a ludność była wroga władzom.

Do tej pory nieoficjalne głosy minimalizują sprawę, twierdząc, że administracja burmistrza Sebastiana Strangio została rozwiązana z powodu swego rodzaju złośliwości. Opowiada się, że pewnego wieczoru, podczas trochę ostrzejszych przeszukiwań prowadzonych przez karabinierów w barze, burmistrz wtrącił się, krytykując ich ostre metody stosowane wobec tak młodych ludzi. To podejście nie spodobało się ich dowódcy, który wysłał negatywną relację władzom, doprowadzając w krótkim czasie do zmiany na stanowiskach komisarzy. Głosy oficjalne mówią natomiast, że klany rzeczywiście zdobywały ratusz, wykorzystując sieć pokrewieństwa i przyjaźni z administratorami, którzy także licznie uczestniczyli w pogrzebie znanego recydywisty. Jeden z nich jakiś czas później, kiedy aresztowano jego ukrywającego się od dawna brata, nagle spadł z obłoków i nie potwierdził jego tożsamości.

Wiceprefekt Priolo zajął się sprawą San Luca z zaskakującą pasją. Z punktu widzenia administracyjnego gmina nie była szczególnie dotknięta, jeśli porównać ją z innymi gminami z pasa jońskiego, których władze wielokrotnie rozwiązywano z powodu mafii. Tutaj prawdziwy chaos panował w biurze technicznym z powodu rozszerzającego się bezprawia budowlanego, uporządkowanie papierów nie było byle jakim przedsięwzięciem. Przed pojawieniem się komisarzy, którzy byli *super partes*⁴, jaki lokalny funkcjonariusz wzięłby na siebie tę odpowiedzialność i podpisał nakaz wyburzenia jakiegoś budynku na niekorzyść sąsiada czy krewnego? A kto by zaryzykował i rozdrażnił jakiegoś nietykalnego? Zdarzyło się to już Bruno Romeo, wówczas odpowiedzialnemu za wydział techniczny gminy, który w zamian za wykonanie swojej pracy odnalazł ładunek trytolu na parapecie swojego okna.

Komisarze muszą szukać kompromisu, aby nie wywoływać nowych sporów, a przede wszystkim nie zaostrzać tych, które już się toczą, jedynym wyjściem jest przekonanie San Luca, że poszanowanie zasad przyniesie korzyści całej wspólnoty. Priolo i jego dwaj koledzy zaczynają od pojednania z władzami państwowymi, także poprzez proste i bezpośrednie ludzkie relacje. Osiemnastego października 2000 roku podczas święta patrona miasteczka pierwszy raz zobaczyć można wśród tłumu na placu komendanta policji, prefekta i trzech komisarzy tańczących tarantelę. To podpis pod szczerym paktem o nieagresji. Od tamtej chwili przedstawiciele rządu nie tylko

pracują do późnej nocy, aby zapełnić gminne kasy, ale także uczestniczą w lokalnych festynach, jedzą kozę na schodkach przed kościołem („Ach, jak oni gotują tę kozę w San Luca!", powtarza często doktor Priolo, „Nigdzie takiej nie zjesz"), zabierają młodzież na wycieczkę do Trydentu razem z ówczesnym biskupem Locri-Gerace, Giancarlem Bregantinim, który ze stowarzyszeniem *Libera* zorganizował podróż dla stu uczniów z San Luca połączoną ze zwiedzaniem spółdzielni rolniczych. Tu, w Instytucie Rolniczym *San Michele all'Adige*, Priolo przyłapuje na gorącym uczynku dwóch chłopaków, którzy próbują wynieść butelki. „*Dottori*, jedna butelka więcej, jedna mniej, co za różnica?". On odciąga ich na bok: „A jeśli ktoś przyjdzie jako gość do twojego domu, tak jak my tu jesteśmy gośćmi, ty pozwolisz mu jeść przy twoim stole i spać w twoim łóżku, pokażesz mu uroki San Luca, a później zorientujesz się, że on ci coś ukradł z domu, co zrobisz?".

„Zabiję go, *dottori*!".

„No to nie ruszaj się, bo inaczej zatłukę cię kijem!".

Giuseppe Priolo jest właśnie taki. Człowiek nie lubiący konwenansów.

Komisarze w każdym razie wnoszą spokój do miasteczka, pozwalają mu wrócić do normalności, o której pamięć już zaginęła. W czerwcu 2003 roku odbywają się powszechne wybory i wybrany zostaje burmistrz Giuseppe Mammoliti z partii Ds⁵. Kiedy komisarze opuścili San Luca, po bilansie w kasie gminnej odzyskano pokaźne sumy, ruszyły stojące od dawna prace publiczne, każdy płaci rachunek za wodę, a idea, że prawo jest równe dla wszystkich, zaczyna docierać nawet do najbardziej zagorzałych przestępców. Bo podczas wystąpień publicznych komisarze nie tracą okazji, żeby podkreślać jedno: 'ndrangheta tu jest, owszem, ale nie tylko 'ndrangheta. I porządni ludzie ściskają im dłonie: „Dziękujemy, zwróciliście nam honor".

Kiedy go poznałam tego ranka w grudniu 2007 roku, Priolo czuł się nadal bardzo związany z miasteczkiem.

I tak oto podczas otwartego posiedzenia rady miejskiej każdy po kolei wygłosił swoje przemówienie. „Miasteczku San Luca zawsze poświęcano dużo uwagi", rozpoczął prefekt Musolino, „ale nic mu się nie należy z obowiązku. Nadszedł moment, żeby zakasać rękawy".

Różne osobistości przedstawiały z entuzjazmem własne propozycje. Ja słuchałam

uważnie. Brakowało mi jeszcze wielu zębów w ustach, miałam kikuty implantów i czasem mój język ślizgał się, zniekształcając wymowę w gadaninę bezzębnej staruszki.

Ale ja przyjechałam po to, żeby przestać się chować; tam właśnie miałam wypełnić swoją pustkę.

Zabrałam nieśmiało głos, powoli, zachowując przerwy między bardziej skomplikowanymi słowami, i pokrótce przedstawiłam swój projekt. Kiedy skończyłam, odruchowo zacisnęłam mocno ręce wokół ciała, żeby się wynagrodzić – to było moje przebudzenie z najbardziej przeraźliwego koszmaru. Odkrywałam na nowo, że ludzie mnie słuchają, że umiem angażować rozmówcę. Byłam nadal sobą.

W tej nagiej sali, pośrodku wysypiska świata, na krzeselku ze szkoły podstawowej, wśród nieznanymi ludzi i w powietrzu oczyszczonym z problemów, okrutnych wspomnień i dobrych zamiarów, wróciła mi nawet ochota na uśmiech.

Była pora obiadu. Ludzki łańcuch złożony z samych mężczyzn poruszał się pracowicie z tacami w kierunku bufetu. Wstał burmistrz, rzucający się w oczy i autorytatywny, i powiedział do mieszkańców: „Tak właśnie zrobimy. I żebyście za dwa dni nie przychodzili mi mówić, że projekty wam się nie podobają, bo ja was znam. *Mettetevi sutta a lavorare*⁶, bo ci chrześcijanie są tu dla nas, żeby nam pomóc”.

Długi stół przekształcił się w bufet pełen pikantnego salami, serów, omletów i nadziejanych bakłazanów. W *cofani*, jak nazywają tu plecione kosze wykładane obrusami, białe bochenki chleba domowej roboty pachniały drewnem. Ten intensywny zapach przypominał mi znów moją babcię Marię, kiedy w niedzielę wracała z piekarni z chlebem owiniętym w białe ściereczki, dzięki którym nie tracił zapachu.

Wzięłam kawałek i podniosłam do twarzy.

Patrzyłam na kolejne osoby, jedna po drugiej. Ich mikroświat pełen sprzeczności dopiero co wchodził w moje życie. „*Dotturessa*, zabierze pani trochę chleba? Kiedy pani wróci do San Luca?”, pytali mnie.

„Dziękuję, wrócę prędko”.

Drogę powrotną do Reggio pokonałam w towarzystwie bochenka z twardej pszenicy, owiniętego w brązowy papier typowy dla piekarni na południu Włoch.

Kiedy weszłam do domu, moja matka zobaczyła to zawiniątko i rozplakała się. To był chleb jej dzieciństwa w Fiumarze, chleb, który oznaczał rzeczy dobre, czyste, bezpieczne. Już od dawna nie kosztowała takiego chleba. Odczytała to jako znak z nieba, znak, że postępowałam słusznie. „Jesteś dobra jak ten chleb”, wyrwało się jej, „a Opatrzność Pana ci towarzyszy”.

Na swój sposób powiedziała mi, że od tej pory nie będzie kwestionować moich wyborów.

1 Weź torbę, bo mi zimno! (dial. kalabr.).

2 Dobrych profesorów, świątłych ludzi (dial. kalabr.).

3 Kontaminacja (wł.).

4 Bezstronni, ponad podziałami (łac.).

5 Democratici di Sinistra, włoska partia socjaldemokratyczna

6 Bierzcie się do pracy (dial. kalabr.).

III BAGDAD

Moja Kalabria jońska kończyła się w Brancaleone, miejscu zesłania Cesare'a Pavese'a¹ w latach faszystów, gdzie poeta ukochał kobiety i morze, a o ludności kalabryjskiej pisał tak: „Ludzie z tych miasteczek pełni są taktu i uprzejmości, które jedno tylko mają wytłumaczenie: niegdyś panowała tu cywilizacja grecka”.

Nigdy nie wypuściłam się za tę linię. Moim ostatnim przystankiem była zawsze Marina di San Lorenzo, maleńkie miasteczko na wybrzeżu o przezroczystych wodach, sprawiających, że śpiewają kamienie – spędzałam tam każde lato.

Tamtego styczniowego poranka jechałam drogą krajową sto sześć w towarzystwie papierosa i soku brzoskwiniowego ze słomką. Pokonywałam te same co latem etapy, niemal z trudem rozpoznając je pod patyną zimy, a na niektórych odcinkach zwalniałam, aby wychwycić szczegóły i przemiany, których może dokonać jedynie zimne morskie powietrze. Później, za Brancaleone, jechałam dalej ciekawa odkrywania nowych odcieni krajobrazu.

Zdawałam sobie natomiast sprawę, że miasteczka skupione wokół drogi 106 wszystkie wyglądają tak samo. Jakby były peryferiami jednej, rozciągniętej na połacie miejscowości. Te same niskie domy oddalone o kilka metrów od plaży, z okiennicami zżartymi przez sól, obrębione górami i zdezelowaną koleją, której jedyną racją bytu jest złudzenie, że oferuje ostatnią łączność z resztą świata.

Każde małe centrum ma swój ratusz przy *piazza Italia*, przy nim *bar Italia*, *via Roma* i *corso Garibaldi* – w nieskładnym hymnie toponomastycznym dla narodu od zawsze jawiącego się jak daleki duch. I swoich starszych ludzi, którzy spędzają dni przy stolikach przed barami, obserwując przechodniów, gadając, wspominając czasy, które wcale nie były lepsze. I młodych, którzy zabijają czas, rozbijając się na skuterach – obowiązkowo bez kasku.

Patrząc na to wszystko, wyczuwałam przepaść między obrazem tej rzeczywistości, a moją wizją życia.

Droga skręcała wzdłuż profilu wybrzeża, muskała Bianco i Bovalino, i oto po

lewej stronie pojawiło się rozwidlenie do San Luca. To samo, które pokazywano setki razy w telewizji. Kiedy podjeżdżałam, przypomniało mi drogę do Lourdes. Potok z kamieniami w kolorze lodu, kędzierzawa zwisająca zieleń, ostry skręt, po którym oczom ukazywało się miasteczko wspinające się na zbocze góry jak fragment szopki.

Żadna straż nie ogłosiła przybycia nieznanego szarego samochodu osobowego z rozemocjonowaną kobietą za kierownicą. Spotkałam za to małe stadko owiec, które przechodziło przez most, wdzierając się w pejzaż. Nastoletni pasterz szedł mi naprzeciw, uśmiechnął się na widok mojej nieudolnej próby szybkiego podkręcenia szyby, kiedy jedno ze zwierząt zaczęło przeglądać mój samochód. Kijem z drzewa wiśniowego oddalił owcę, która wreszcie przestała przeżuwać trawę w moim pojeździe, zostawiwszy wewnątrz zapach wsi i łąjna. Śmiałam się sama do siebie w samochodzie, pośród owiec, w sercu Aspromonte.

San Luca witało mnie w sposób, delikatnie mówiąc, komiczny i nieoczekiwany.

Drzwi do gimnazjum wykonane były z aluminium, miały matowe szyby, które, choć popękane, trzymały się, rzucając wyzwanie sile grawitacji. Weszłam i nikt nie zapytał mnie, kim jestem, ani czego chcę. Budynek wyglądał jak smutny szpital z czasów powojennych: białe i nagie ściany, długie i puste korytarze, bladożółte drzwi do sal z czarnymi poluzowanymi klamkami, niektóre wyważone. Miejsce bezbarwne, rozbrzmiewające dobiegającymi z góry krzykami przerywanymi głuchym hałasem. Gdy zmieszana zbliżałam się do schodów, przede mną wyskoczyło nagle dwóch chłopców robiących slalom między poręczą a połamaną ławką, która wystawała spod schodów. Za nimi biegł nauczyciel.

W pokoiku na wyższym piętrze ekspres do kawy na przynajmniej trzydzieści filiżanek dymił na palniku elektrycznym ustawionym na zużytej ławce. Na ścianie wisiał kalendarz i plakat Matki Boskiej z Polsi, taki sam obrazek, który moja babcia trzymała w jadalni obok książki telefonicznej. Dwie panie w więcej niż średnim wieku szydełkowały.

„*Bongiornu*, słucham, czego panienka szuka?”, zapytała mnie jedna z woźnych.

„Dzień dobry, za pozwoleniem, szukam dyrektora albo wicedyrektora...”

„*No signurina*², dyrektora nie ma. Zobaczmy, może ktoś z profesorów... *Vu pigghiati na guccia i cafe*³?”.

„Nie, dziękuję”, odpowiedziałam. „Poszukam jakiegoś nauczyciela, z którym mogłabym zamienić kilka słów”.

„Nu *minutu*⁴, proszę zaczekać, aż się zrobi kawa, zaraz wszyscy przyjdą i porozmawia panienska, z kim będzie chciała. Spokojnie, bez pośpiechu”.

W korytarzu światło skakało po białych ścianach, w których zdawało się zapadać. Była to ta sama biel, co w wielu szpitalach, po których błądziłam, bezkolor, który dawno temu pociągnął mnie w swoją ulotność. Kto wie, czy również te nieciekawe białe ściany miały moc unicestwiania młodzieży. Ja pokonałam swój dawny mur zbudowany z niczego, a teraz byłam tutaj, aby mogli sobie z nim poradzić także ci młodzi ludzie. Byłam tu, aby rozpocząć w gimnazjum laboratorium sztuki i myślałam o moim smutno wyblakłym debiucie, że może wpadłam na właściwy pomysł, by wnieść kolor, przynieść uczucia.

W pokoju nauczycielskim ukazał mi się kolejny widok – okna podziurawione śrutem. Kiedy przywiozłam tu irakijskich artystów, jeden z nich powiedział mi, przytwierdzając rozbite szkło: „Hej, Rosy, San Luca jest jak Bagdad. Czuję się jak u siebie w domu”. To był Qasim Sabti, człowiek, który w irakijskiej stolicy uratował z płomieni dziesiątki tomów z Akademii Sztuk Pięknych, podpalonej przez amerykańskie bomby, i stworzył z nich dzieła sztuki i pamięci. A teraz stał obok mnie i patrzył na San Luca tak, jak patrzy się na obraz po bitwie.

Uczniowie także zatrzymywali się i obserwowali wybite okna, ale po to, żeby improwizować ekspertyzy balistyczne, mające ustalić, z jakiego kierunku padły strzały. Mógł to być efekt strzelaniny na ulicy albo najzwyczajszej nocy sylwestrowej u stóp Aspromonte. Panował tu taki zwyczaj – na Nowy Rok strzelano w co popadnie. W latarnie, śmietniki, znaki drogowe, okna szkolne. Aby świętować.

Dzienniki telewizyjne często pokazywały zdjęcie starego znaku drogowego przy wjeździe do miasteczka z całkowicie podziurawionym napisem „San Luca”. Były to strzały noworoczne, nic innego.

W roku 2000 komisarze prefektury zakazali strzelania z broni palnej na wivat, ponieważ ktoś mógłby przypłacić to życiem. Wendeta czy nie wendeta. Mało tego, co roku drugiego dnia stycznia bilans był rozpaczliwy dla gminy, przynosił szkody, które ocierały się o sto milionów lirów.

Czasami karabinierzy nakrywali dzieciaki noszące na plecach karabiny większe od nich samych – dzieci ćwiczyły właśnie na tę okazję. Komisarze zawiesili plakaty z hasłem: „W tym roku to my strzelamy”, w odniesieniu do pokazu sztucznych ogni zorganizowanego na placu o północy. A któregoś razu w Nowy Rok doktor Priolo zaczął spacerować po corso Corrada Alvaro pod ramię z żoną Annunziata i grupą przyjaciół, których zaprosił do San Luca. Ulica nie była już opustoszała jak pole bitwy, na którym można poszaleć, przechadzali się po niej zacni panowie, tak więc jeśli ktoś miał zamiar strzelać, to musiał z tego zrezygnować. A tymczasem na placu inni komisarze częstowali babką *panettone*⁵ i szampanem, gromadząc wokół siebie wszystkich mieszkańców, którzy przez lata barykadowali się w domach w obawie przed błędnymi kulami.

„Dziękujemy, *dottore*”, mówili ludzie doktorowi Priolo w kolejne dni, „Sprawił pan, że przenieśliśmy się trzydzieści lat wstecz, kiedy święta Bożego Narodzenia *erano na vera festa*⁶, a później zmieniły się w tragedię”. Na placu tradycją była gra w karty albo w *murra*, w której dwóch zawodników pokazuje numery palcami, ale muszą odgadnąć ich sumę, zanim jeszcze podniosą rękę, wszystko dzieje się bardzo szybko i wykrzykiwane jest na całe gardło. Jednak oszalałe strzały w kolejnych latach zmusiły do odstąpienia od zwyczajów przekazywanych z ojca na syna. W domu starano się wręcz nie przechodzić koło okien ze strachu przed odbitymi z zewnątrz kulkami.

Przez jakiś czas mieszkańcy San Luca dostosowali się posłusznie do przepisów i nie witali nadejścia Nowego Roku, chwytając za strzelby. Ale to też przecież była tradycja, która już się na dobre zakorzeniła i strzały sylwestrowe w pewnym momencie powróciły. Potrzeba było dekretu prefekta Reggio Calabria w grudniu 2006 roku, żeby znów ich zakazać. Co więcej, tego roku zakazano jakiegokolwiek publicznego świętowania.

Był to prawdziwy ciemny czas życia w miasteczku, ów okres między 25 grudnia 2006 a *Ferragosto* 2007 roku. Próbowano złapać powietrze w bezdechu przerażenia i oczekiwania.

W dzień Bożego Narodzenia 2006 roku przez pomyłkę zabita została niewinna kobieta. Nazywała się Maria Strangio i była żoną Gianluki Nirty. To on był

wyznaczoną ofiarą, ale killerom się nie udało. Zabili kobietę, zranili jedno z jej małych dzieci, a także samego Gianlukę, jego brata Francesca i innego mężczyznę, który był hospitalizowany w ciężkim stanie. Jedna z najsmutniejszych kart w historii 'ndranghety. Gianluca Nirta, tak jak jego ojciec Giuseppe, uważany był za bossa klanu Nirta-Strangio, który od dawna przeciwstawiał się klanowi Pelle-Vottari w tak zwanej wendecie z San Luca. Wewnętrzna walka wybuchła w 1991 roku, a ostateczną liczbę zabitych trudno precyzyjnie określić, mówi się o osiemnastu ofiarach, wliczając w to rzeź w Duisburgu, ale przez ponad dwadzieścia lat dokonano innych zabójstw poza San Luca, powiązanych z konfliktem w miasteczku. Jednak dopiero po jatce w Niemczech gazety i telewizje zauważyły, że w Aspromonte zabijano się od dawna i zaczęto podawać liczby, mówiąc – nie mając dowodów – o pięćdziesięciu, osiemdziesięciu zabitych.

Według opowieści zapalnikiem, który wywołuje wrogość, jest żart karnawałowy zainscenizowany 10 lutego 1991 roku przez chłopców w maskach, którzy znieważają rodzinę Pelle i obrzucają jajkami drzwi ich ośrodka rekreacyjnego. Mówi się, że trafiają też w młodego niepełnosprawnego chłopca, krewnego rodziny Vottari. Wówczas mężczyzna z rodziny chwyta za broń i zabija jednego z Nirtów i jednego Strangio. Kolejnych dwóch zostaje rannych – młody Gianluca Nirta i jego brat Sebastiano. To preludium do serii śmierci, która uderza w członków i naganiaczy, ale nie dotyka *capibastone*. Jedynym zamieszanym w nią bossem jest Giuseppe Nirta, podupadający już po dojściu do władzy nowego naboru, zabity w Bianco w 1995 roku.

Tymczasem 25 lipca 1992 roku zabity został Antonio Vottari, człowiek, który mszcząc się za rzucanie jajkami, zainicjował okrutny konflikt; legenda głosi, że każdy wrogi klan oddał mu jeden strzał w twarz. Pocisków, które go oszpeciły, było przynajmniej dwanaście.

W maju 1993 roku jest kolejnych czterech zabitych. I w tym momencie Nirtowie z rodziny *la Maggiore*, historyczni *capi* San Luca, niespokrewnieni z noszącymi to samo nazwisko Nirtami od wendety, wprowadzają pokój. Wojna zostaje przerwana niczym wulkan, który drzemie przez lata, czasem przez stulecia, ale jest wciąż gotowy, żeby nagle wybuchnąć i wypluć swoje rozżarzone kamienie. I rzeczywiście,

w styczniu 2005 roku nienawiść wybucha na nowo z powodu kobiety. Chodzi o narzeczoną Mica Giorgiego, spokrewnionego z rodziną Nirta-Strangio, który w miasteczku Casignana zabija Salvatore Fasuliego, bliskiego rodzinie Pelle-Vottari, za to, że ją napastował. Kara spadnie niedługo potem na Antonina Giorgiego, brata Mica, który tymczasem uciekł *pi supra*⁷, czyli na Północ, jak tutaj mówią. Rodzina Nirta-Strangio reaguje, uderzając w trzydziestotrzyletniego i charyzmatycznego Francesca Pelle, zwanego *Ciccio Pakistan* ze względu na ciemną karnację. Gdy ten szuka wytchnienia od lipcowego upału na balkonie swojego domu w Africo – strzelają do niego ze śrutówki. Dopiero co oddał w ręce żony nowo narodzonego syna przywiezionego ze szpitala do domu tego samego dnia. *Pakistan* zostaje sparaliżowany, skazany na wózek inwalidzki pośle swoje strzały zemsty na Gianlukę Nirtę i innych ludzi ze strony nieprzyjaciela. Ale zabita zostanie kobieta, która nie ma z tym nic wspólnego – trzydziestotrzyletnia Maria Strangio o intensywnie zielonych oczach, matka trojga dzieci.

Według śledczych i ekspertów od 'ndranghety żart z jajkami i wybuchy wściekłości pełnych próżności przestępców to jedynie bajki. Kością niezgody jest natomiast podział zysków z gigantycznego przemytu narkotyków na czele z kokainą, w której dystrybucji 'ndrangheta jest już międzynarodowym holdingiem. Począwszy od lat siedemdziesiątych XX wieku klany z San Luca opisywane są jako najbardziej autorytatywne i potężne. „Stróże tradycji”, wyjaśniają Nicola Gratteri i Antonio Nicaso w swojej książce, „bossowie, którzy ratyfikują zrzeszenie 'ndrin, rodzaj izby handlowej 'ndranghety”.

A przecież nawet czytając ponownie w tym świetle rubryki kryminalne, śmierć Marii Strangio pozostaje anomalią, nie daje się zaklasyfikować. Nawet w oczach innej historycznej rodziny z San Luca, Pelle *Gambazza*, gałęzi innej niż bohaterowie wendety, Pelle *Vanchelli*. W rozmowie – podsłuchanej w więzieniu – Giuseppe Pellego, syna ojca chrzestnego 'Ntoniego *Gambazzy*, z teściem Franceskiem Barbaro z Platì zwanym *Ciccio castanu* wyczuwa się zaniepokojenie patriarchów co do zachwiania równowagi, do jakiego doprowadziło zabójstwo niewinnej kobiety: „Muszą postarać się to skończyć, inaczej wszystkich aresztują”, wyrokuje Barbaro. I radzi Peppe Pellemu, żeby porozmawiał z Ciccim Mammolitim, innym potężnym

uważanym za bliskiego rodzinie Nirta-Strangio, aby ci skończyli z prostackimi akcjami. Peppe Pelle odpowiada, że robi już wszystko, żeby powstrzymać *i ragazzi*. Mężczyźni uzgadniają, że będą działać na rzecz ostatecznego zażegnania konfliktu: „To dla dobra całego miasteczka”.

Kto naprawdę zabił Marię Strangio?

Mówi się, że strzelały dzieciaki. Podniecone kokainą, ukryte pod kaskami motocykłowymi, uzbrojone w pistolet dużego kalibru i kałasznikowa. Po tej zbrodni chłopcy zostali rzekomo natychmiast wysłani daleko poza miasteczko, mieli zniknąć.

W dzień Bożego Narodzenia 2006 roku w San Luca odbywał się pogrzeb pewnego dobrego człowieka. Za zaparkowanymi przy ulicy samochodami niejeden przechodzień znalazł schronienie przed gradem pocisków. Będąc kilka metrów dalej, znaleźliby się w centrum ognia.

Kobiecie, która opowiada mi tę historię, łzy lecą jak grochy. Trzyma mnie za rękę, żeby dodać sobie odwagi. Mówi, że Maria sprzątała w kuchni po bożonarodzeniowym obiedzie, a jej mąż Gianluca stał w drzwiach, może żegnając gości, z trojgiem dzieci. Nagle rozpętuje się burza ołowiu. Oddział strzela z ulicy, z corso Corrada Alvaro, w kierunku małego zejścia, które prowadzi do drzwi wejściowych. Maria słyszy strzały, wybiega do dzieci. Zostaje trafiona rykoszetem. Umiera, krzycząc do dzieci, żeby się ratowały: *Fuiti, ca ndi stannu 'mmazzandu a tutti!*⁸.

Uciekajcie, pozabijają nas wszystkich.

To przerażające – zabić matkę trójki dzieci.

W lipcu 2011 roku na zakończenie procesu w sądzie pierwszej instancji w Locri, będącego rezultatem operacji *Fehida, Ciccio Pakistan* zostaje skazany na dożywocie. Według sędziów to on był inspiratorem straszliwej nemezis na rywalizującej rodzinie, która zrobiła z niego inwalidę. Zniknął pod koniec sierpnia 2007 roku, kiedy siły porządkowe aresztowały połowę San Luca; znaleźli go we wrześniu 2008 roku w Pawii, leczyl się w klinice pod fałszywym nazwiskiem Pasqualino. Niebezpieczny, ukrywający się przestępca na wózku inwalidzkim. Ciekawe byłoby dowiedzieć się, jak mu się udało, podróżując z Południa na Północ, pozostać niezauważonym aż do tego dnia.

W tym samym procesie dożywocie otrzymują także kuzyn *Ciccio Pakistana*, Franco Vottari, i jego brat Sebastiano, zwany *u Profissuri*⁹, ponieważ był studentem wydziału farmacji na uniwersytecie w Mesynie. Facet z gatunku tych, którzy znają na pamięć kwestie z filmu *Dawno temu w Ameryce*. Wreszcie dożywotne więzienie dla Sebastiana Romeo zwanego *Staccu*, który rzekomo zorganizował zemstę z *Pakistanem*. Kolejny domniemany zleceniodawca bożonarodzeniowej rzezi, ukrywający się Santo Vottari, zostaje natomiast uniewinniony po apelacji, oskarżony o zabójstwo w innym procesie w Reggio.

Według współpracownika trybunału sprawiedliwości, Vincenza Marino, do Marii strzelali dwaj miejscowi chłopcy. Ale w San Luca wszyscy mówią bardzo ogólnie o dzieciakach, tajemniczych i młodziutkich zabójcach, tak niedoświadczonych, że nie zdołali trafić w cel i rozpętali piekło.

A jeśli zasadzka na Gianlukę Nirtę była dziełem kogoś spoza rodziny? Kogoś, kto rozstrzelując rzekomego *capo*, zamierzał rozniecić w miasteczku wendety pożar mający wypędzić z ukrycia wszystkich innych przestępców?

Hipotezy unoszą się w powietrzu. Na temat śmierci, śmierci przepięknej Marii Strangio, śmierci nadal zaciemnionej przez zbyt wiele cieni.

Jej mąż Gianluca nie będzie uczestniczył w pogrzebie 28 grudnia 2006 roku w Bovalino ze strachu przed powrotem killerów, którzy tym razem już by nie zawiedli. I tego dnia słyhać pierwszy raz o niejakim Giovannim Strangio, kuzynie Marii, który przyjechał z dalekich Niemiec, aby uczestniczyć w jej ostatnim pożegnaniu, ale po pogrzebie został aresztowany; wzburzony zatrzymaniem przez policję ucieka z samochodu, gonią go, ten wyjmując pistolet. Agenci odpowiadają, raniąc go w nogę. Strangio ląduje w więzieniu za nielegalne posiadanie broni palnej. Wynegocjuje karę półtora roku, a później otrzyma zwolnienie warunkowe, ponieważ wcześniej nie był notowany. Wyjdzie z więzienia na krótko przed *Ferragosto* 2007 roku.

W Nowy Rok 2006 roku zakaz prefektury dotyczący strzelania w powietrze miał zapobiec odwetowi za okrutne Boże Narodzenie, mieszkańcy San Luca byli tak przerażeni, że bez trudu podporządkowali się przepisom.

Nikt nie miał czego świętować. Nie żyła kobieta, jedno z jej dzieci było ranne, tak

jak trzej inni mężczyźni z rodziny. San Luca było przesiąknięte podskórną żalobą, nie było potrzeby wywieszać czerni. To było milczące requiem dla tego, czym stali się ludzie w tym zakątku Aspromonte.

Karabinierzy poinformowali, że podczas tej sylwestrowej nocy ludzie byli w stosunku do nich niezwykle życzliwi. Niektórzy wręcz poczęstowali ich kawą i *torroncini*¹⁰ w dwóch miasteczkowych barach, które pozostały otwarte.

Ale zawsze nadchodzi moment, kiedy życie musi znów zacząć toczyć się dalej, a więc wraca się do stałych i powtarzanych rytuałów w poszukiwaniu pewności płynącej z faktu, że się przetrwało. Znów przestano kłaniać się karabinierom. Strzelano w powietrze. Rozbijano szyby. Mniejsze zło normalności, które utrzymuje w cieple i w bezpieczeństwie.

W gimnazjum w San Luca niektóre szyby były potłuczone nie z powodu śrutu, ale przez samych uczniów, którzy dla zabawy rzucali w nie kamieniami. Nie mieli wielu innych możliwości, żeby się rozerwać.

Zimą, kiedy na dworze były cztery stopnie Celsjusza, uczniowie w klasie otulali się kurtkami, bo przez potłuczone okna wpadało mroźne powietrze. Dyrektor dopiero co wstawił nowe szyby i ociągał się z ich powtórą wymianą, bo i tak nazajutrz przyjdzie ktoś, kto je znowu wybije, i tak dalej w nieskończoność. Gra na wytrwałość, nie siłę – to była złośliwość, absolutna ignorancja władz.

San Luca to obrzeża świata. Okropieństwo, uśpione czy bijące po oczach, obecne jest w każdym zakątku. Miasteczko pokryte jest patyną minionego i zapomnianego czasu, który jednak trwa jak prehistoryczne zwierzę, konsekwentnie opierające się wymarciu własnego gatunku.

Tego pierwszego dnia w szkole przedstawiłam się uczniom tak po prostu: „Cześć, jestem Rosy, będziemy się razem bawić. Później dla tych, którzy będą się dobrze uczyć, być może będzie też coś do wygrania”.

Śmiali się, ale czułam, że są nieufni. Aby przełamać lody, starałam się więc zrozumieć ich definicję piękna i zapytałam: „Podajcie mi jedną rzecz, wszystko jedno jaką, która wam się podoba”.

*A motu i Ciccii vasciu o garaci*¹¹, odpowiedział natychmiast jeden z nich.

*U vestitu ri ziti i ziima*¹², powiedział ktoś inny.

*Pi mia è bella a Maronna i Polsi*¹³, odparł trzeci.

Prawie nikt nie mówił do mnie po włosku. Dialekt był językiem oficjalnym, również w salach podczas lekcji. A w San Luca mówi się w ścisłym dialekcie, który nawet ja, pochodząca z Reggio, czasem z trudem rozumiem: *cotrà* oznacza dzieci, a *mata* znaczy znów, in *avanda* znaczy gdzieś.

Czasem tylko udawałam, że nie łąpię, po to, żeby się wysilili i użyli włoskiego, ale wówczas odgrywali niemą scenę. Pojawiały się zawstydzone uśmiechy, patrzyli na mnie, trochę wykrzywiali usta. Kiedy się przykładali, żeby powiedzieć coś po włosku, ich głos się przekształcał, jak to się zdarza osobom, które mówią w obcym języku. Ja podawałam im pierwszą sylabę, ale artykulacja słów była nadal powolna. W tym wielkim wysiłku zawsze patrzyli mi prosto w oczy, jakby chcieli zapytać: „Czy coś pomyliłem?”, a kiedy już udało im się pięknie powiedzieć pełne zdanie, uśmiechali się i znów zaczynali w dialekcie: *Va bbono Rosy, imo avanti, iuchiamo*¹⁴.

Dzieciaki z San Luca tryskały energią, przypominały mi pędzące po południowoamerykańskich preriach konie i ich nieodpartą potrzebę wolności. Wolność jest chimerą w sytuacji, gdzie ludzie żyją skrępowani, ale moim zadaniem było spróbować wraz z nimi przełamać barierę i popędzić przez prerie wyobraźni. Chciałam, żeby każdy z uczniów rozpoznał siebie zarówno w jakimś kolorze, a jeśli takiego nie było, to żeby go wymyślił, żeby zaeksperymentował, jak i w kształcie, tym najwygodniejszym, w którym można znaleźć przestrzeń i się w niej rozgościć. Ale też w dekoracji: kwiatkach, groszkach, gwiazdkach czy całym firmamencie. Ich płótno malarskie miało przekształcić się w autentyczne wyrażenie tego, kim każdy czuje, że jest.

Zaprowadziłam uczniów do pokoju nauczycielskiego, żeby wyświetlić im kreskówkę na temat sztuki – od malowideł skalnych po nasze czasy. Język był łatwy, bezpośredni i widziałam, że ich to wciąga. Chórem odpowiadali na pytania. Były dzieła, które rozpoznawali natychmiast, jak Koloseum i Mona Lisa, aż wreszcie wybuchła owacja dla naszych wojowników znalezionych w morskich głębinach blisko San Luca – Brązów z Riace. Ktoś dowcipnie skomentował ich nagość i śmialiśmy się wszyscy razem.

Byli zainteresowani, zadawali inteligentne pytania. I oto znów wybuchł harmider,

kiedy na ekranie pokazała się fontanna Marcela Duchampa, wywrócona latryna, symbol sztuki dadaistycznej, a oni dali komiczny popis min. Ale być może uchwycili ciekawy koncept – pisuar może stać się sztuką, wystarczy tego chcieć.

Każdy uczeń miał naklejkę z własnym imieniem przytwierdzoną na piersi. Dzieliłam ich na grupy razem z młodymi ludźmi z Akademii Sztuk Pięknych w Reggio, którzy współpracowali przy projekcie. I zaczęły się trudności. Chłopcy nie chcieli przebywać obok dziewczyn, i vice versa. Rozmawialiśmy o tym, ale nie wypłynęły żadne sensowne powody, ja nie chciałam robić nic na siłę. Ale ten sztywny rozdział płci kazał nam się zastanowić nad wieloma sprawami i doszliśmy do wniosku, że może właśnie tutaj należałoby zacząć od zera.

Każdy miał własne płótno, farby należały do wszystkich. Mogli ruszyć w podróż dokądkolwiek chcieli, a ja obserwowałam, jak poddają się wyobraźni. W ich pracach była poezja, niektóre przypominały mi obrazy Jacksona Pollocka – dzikie i zdecydowane pociągnięcia pędzla, czasem pełne wściekłości. Z zaskoczeniem oglądałam delikatne kwiaty namalowane przez jednego z wielu chłopców uważanych za zagrożonych. Ale także ci najbardziej niepoprawni pracowali, nikt nie przeszkadzał. A profesorowie nie wierzyli własnym oczom.

Przeszliśmy do pracy nad powierzchnią dzieła przy pomocy młodych ludzi z Akademii. Uczniowie przynosili z domu coś, co opowiadało o nich i o ich terytorium: wycinki tkanin, koronki, stare gazety, kamyki, suche liście, gałązki, kłębki wełny, którą matki i babki wyrabiały na krosnach. Głaskałam te przedmioty, słuchałam i radziłam. A oni odkrywali, że są bohaterami.

Starsze dziewczyny zasypywały mnie pytaniami, opowiadałam, że mam córkę w ich wieku i psa chihua hua, który wabi się Flu, pokazywałam zdjęcia moich bliskich w telefonie. One brały moją dłoń i szukały obrączki: „Nie jesteś mężatką?”. „Byłam mężatką...”, odpowiedziałam. *Ah, ti lassasti cu maritu!*¹⁵, i rumieniły się zgorzone. Jedna z nich miała poobgryzane paznokcie, wytłumaczyłam jej, że panience nie wypada pokazywać dłoni w tym stanie, ponieważ chłopcy dostrzegają szczegóły. Ona, zraniona, odparła, że chłopcy jej wcale nie interesują, nie rozmawia z nimi i nie ma do nich zaufania. A chłopcy, rzeczywiście, nie wysilali się specjalnie, ze swoim gwałtownym i czasem wulgarnym zachowaniem, żeby dać się polubić.

Nie istniała komunikacja między chłopcami a dziewczętami, rozstawienie w klasie było ściśle związane z płcią. Był także uczeń z dysleksją, z którego się naśmiewali, nie potrafili zaakceptować odmienności, uważali ją za ułomność i powód do kpin. Inny chłopak rysował przerażające postaci, mieszał tylko czerwień i czerni, komponował plamy oddające atmosferę koszmarów sennych – nie umiałam tych prac rozszyfrować. Później powiedzieli mi szeptem, że jego ojciec został zabity.

Moim wiceszefem był Domenico, uczeń wybrany celowo spośród najżywszych chłopców: „Kiedy mnie nie ma, ty musisz utrzymywać porządek, rozumiesz?”. A on, który swoim autorytetem sprawiał, że nikt nie miał odwagi oddychać, zdawał mi relację: „Wszystko w porządku, *dottorressa*, nikt ani drgnie”. Wszedł dyrektor i zatrzymał się w drzwiach, jakby zobaczył ducha: „Proszę pani, ależ pani dokonała cudu”, powiedział do mnie. „Jak pani to robi, że są tak spokojni?”.

Nauczycielki przestały się pojawiać, powiedziały uczniom, żeby nie przynosili już książek. *Hann'a jucari chi signurini*¹⁶, mówili nauczyciele, wykazując, że nie przypisują dużej wartości naszej pracy. Co więcej, dla nich to mogła być znakomita wymówka, żeby zniknąć ze szkoły. Delegacja Unii Europejskiej, która przyjechała na inspekcję do niektórych szkół w Locride, dwa lata później przedstawiła to czarno na białym. Stan zaniedbania gimnazjum w San Luca zasługiwał ich zdaniem na jedno słowo – szokujący.

Przez miesiąc przychodziłam codziennie do moich uczniów, żeby malowali, ale także mówili. Lubiłam słuchać tej ich twardej mowy, gryzącej się z niedojrzałymi twarzami i oczami, które nie widziały nic ze świata. Podobało mi się też to, że byłam dla nich punktem odniesienia i że prześcigali się, kto ma blisko mnie usiąść, kto mnie przywita jako pierwszy. Kiedy dziewczęta spotykały mnie gdzieś w miasteczku, podchodziły uroczyście i z dumą przedstawiały mnie swoim matkom.

Rozwiesiliśmy prace na szkolnych korytarzach obok stu zdjęć, które dokumentowały poszczególne etapy warsztatów. Na początku wszyscy się chowali, kiedy widzieli Irene, fotografkę, a ja nie rozumiałam tego zachowania. Zwykle każdy nastolatek, w każdej części świata, lubi się pokazywać, ale tu rodzice im zalecali, żeby się nie dać fotografować, żeby się nie narażać, bali się, że ich zdjęcie zostanie opublikowane w jakiejś gazecie. Wiedziałam, że niektórzy należą do rodzin,

o których wiele się mówi, i uspokoiłam ich. Od tego momentu byli bardziej swobodni, kiedy ktoś chciał ich unieśmiertelnić, małymi kroczkami nabierali zaufania.

Podsumowanie projektu zostało przedstawione 20 stycznia 2008 roku w Teatrze Miejskim w Reggio, a wydarzeniu towarzyszył koncert sycylijskiego trębacza Roya Paciego. Podczas tournée prezentował on swój album *Parola d'onore* z piosenką *Malarazza*, która zdaje się być głośnym hymnem przeciw omercie¹⁷: *Tu ti lamenti, ma che ti lamenti? Pigghia nu bastune e tira fora li denti*¹⁸. Artyści wystawili obrazy stworzone na cztery ręce przez siedmiu Irakijczyków i siedmiu Włochów. Z Bagdadu, oprócz Qasima Sabtiego i jego pięciu kolegów, przyjechał także słynny twórca komiksów Abdul Raheem Yasser. Wśród Włochów był rzymski rzeźbiarz Pillo Manetti, artystka zajmująca się ceramiką, Stefania Pennacchio z Reggio i Nuccio Schepis, jeden z restauratorów Brązów z Riace. Wszyscy zgromadzeni na jednej wystawie z czterdziestką uczniów z San Luca.

Wiele się nauczyłam o aspromonckim miasteczku w gimnazjum uważanym za wylęgarnię niebezpiecznych nastolatków. Ojcowie w areszcie lub nieobecni, matki w depresji, same, bez pracy. Dzieci, które potrzebowałyby wsparcia psychologicznego, aby wyrzucić z siebie utrapienia, aby dorosnąć mimo wszystko. Tymczasem widziałam jedynie zmęczonych nauczycieli, którzy chwyтали ich za szyję, nazywając „zwierzątkami”, niezdolnych do ustalenia jakichkolwiek reguł. Uczniowie wracali do domu przed końcem lekcji, kiedy im się podobało, przed nikim się nie tłumacząc. Wyczytywałam w ich oczach, jak bardzo byli sfrustrowani i przybici sytuacjami, którym nie byli winni.

Był ktoś, kto ledwie wszedł do szkoły, otwierał okna i wyrzucał ławki na dwór. Nikt ich nie kontrolował, nie mówiąc już o wychowywaniu. A oni, przez grzech pierworodny urodzenia się w San Luca, nosili już znamię przestępczości przyczepione na czole – dziedzictwo, z którego trudno się otrząsnąć. W szkołach średnich w Locri i Bovalino powiedziano mi, że izolują w odpowiednich klasach, jak w gettach, uczniów pochodzących z miasteczek o wysokim wskaźniku przestępczości mafijnej, jak San Luca, Platì, Natile di Careri. Rodzaj apartheidu dla tych, którzy są już uznani za dzieci 'ndranghety.

Stojąc przy oknie w pokoju nauczycielskim, patrzę na nich, jak rozchodzą się po ulicy. Ich sylwetki są zniekształcone przez wybite, podziurawione śrutem szyby.

1 Cesare Pavese (1908-1950) – włoski pisarz, poeta i tłumacz, w czasach faszystowskich przebywał na wygnaniu.

2 Nie, panienko (dial. kalabr.).

3 Może kropelkę kawy (dial. kalabr.).

4 Minutkę (dial. kalabr.).

5 Rodzaj drożdżowej babki, tradycyjnie podawanej w okresie Bożego Narodzenia.

6 Były prawdziwym świętem (dial. kalabr.).

7 Wyżej (dial. kalabr.).

8 Uciekajcie, bo tu wszystkich pozabijają (dial. kalabr.).

9 Profesor (dial. kalabr.).

10 *Torroncini* (wł.) – czekoladki z całymi migdałami lub orzechami laskowymi, podawane we Włoszech tradycyjnie w okresie Bożego Narodzenia.

11 Motor Francesca, który mieszka przy placyku z parkingiem (dial. kalabr.).

12 Sukienka zaręczynowa mojej ciotki (dial. kalabr.).

13 Dla mnie piękna jest Matka Boska z Polsi (dial. kalabr.).

14 No dobra, Rosy, idźmy dalej, bawmy się (dial. kalabr.).

15 Rozstałaś się z mężem (dial. kalabr.).

16 Muszą się bawić z panienkami (dial. kalabr.).

17 Omerta wł. *omertà* (z dial. sycylijskiego) – obowiązek dyskrecji, milczenia przyjęty i przestrzegany przez członków mafii (przyp. red.).

18 Narzekasz, ale po co narzekasz? Łap za kij i wybijaj zęby (wł.).

IV

PÓJDĘ ZA PANIĄ CHOĆBY DO PIEKŁA

Każdego dnia wyjeżdżałam z Marina di San Lorenzo w kierunku San Luca, gdy słońce rodziło się daleko przede mną, a gdy tylko wchodziłam do szkoły, moje zmęczenie wyparowywało. Dzieciaki wołały mnie po imieniu, chciały być rozpoznawane i witane, każde z osobna. Dziewczęta buziakiem, chłopcy uściskiem dłoni, który ja dla zabawy przekształcałam w krótkie spięcie, żeby rozładować to „dzień dobry” zbyt poważne dla małych mężczyzn.

Dzieci zaczęły w końcu opowiadać w domu o dziwnej pani, bez męża, ale z córką o imieniu, które im się wydawało męskie – Micol zniekształcone w „Mico”, zdrobnienie od Domenico. O pani, która przyjechała z Rzymu, żeby nauczyć je „kolorować”. I wśród matek rozpełtała się ciekawość tej Rosy, która również była Kalabryjką, ale nikt nie wie, dlaczego uciekła kiedyś z Kalabrii i wróciła właśnie teraz i właśnie tutaj, żeby ćwiczyć się w rzadkiej zdolności utrzymywania w ryzach ich rozszalałych diabełków.

W tym okresie wiele kobiet kręciło się wokół gimnazjum. Realizowany był projekt *Pon Sicurezza*, „Krajowy plan operacyjny”, przygotowany przez rząd dla regionów o największym wskaźniku bezprawia i niektóre panie z miasteczka wciągnięto do prowadzenia zajęć popołudniowych z uczniami. Inne zaoferowały się jako wolontariuszki do budowy kulis teatru rodzącego się w sali głównej.

Pewnego popołudnia znalazłam się przypadkiem w pokoju nauczycielskim razem z burmistrzem Mammolitim, proboszczem don Pinem Strangio i siedmioma dobrze ubranymi i powściągliwymi kobietami. Spośród wszystkich wybijała się Caterina: wysoka, sylwetka pływaczki, szerokie i mocne ramiona, czarne włosy pieścące jej policzki kobiecą i ułożoną fryzurą bob. Miała zdecydowaną osobowość i mówiła słuszne rzeczy.

Nie zawahałam się poprosić ją o numer telefonu, gdy zostawiałam jej mój własny.

Przyszła Antonia, siostra burmistrza, która koordynowała ustawianie kulis teatralnych. Jej głos dźwięczał, a śmiech był zaraźliwy. Don Pino zaproponował mi

spotkanie z innymi paniami, a burmistrz zapowiedział, że chętnie porozmawia o projektach. Przed pożegnaniem poprosiłam Antonię, żeby zwołała dwadzieścia przyjaciółek na kolejną środę. „Możesz na mnie liczyć”, odparła.

Od pierwszego dnia aż drżałam z chęci poznania kobiet z San Luca. Jako kobieta czułam potrzebę zrozumienia, co oznacza dla nich codzienne życie w świecie przemocy i przestępczości, dokładnie takie, jakie zdarzyło się mnie niedaleko od Locride.

Na zebraniu stawilo się ich dwadzieścia jeden. Był 23 stycznia 2008 roku. Przybyłam punktualnie, samochód prowadziłam już swobodnie, zaczynałam oswajać się z drogami miasteczka, nawet ze stromymi skrótami.

Czekała na mnie Antonia, która zaprowadziła mnie do sali na piętrze. Kiedy stanęłam w drzwiach, zobaczyłam ławki ustawione w kółko i siedzące już w nich panie, które pozdrowiły mnie chórem, jak uczennice nową nauczycielkę.

Nie wiedziałam, czego się po nich spodziewać ani czego one spodziewają się po mnie. Zapytałam, czy mogę zapalić papierosa przed rozpoczęciem. Antonia dotrzymała mi towarzystwa na zewnątrz, tłumacząc, kim są kobiety i jakie mają kompetencje.

Korytarz, już nie biały i nagi, ale wreszcie ożywiony rysunkami uczniów, oświetlony był zdecydowanym słońcem zagląającym przez wysokie okna i zagłębiającym się w serce pokoju, gdzie kobiety cierpliwie na mnie czekały.

Rozpoczęłam powoli. Patrzyłam im wszystkim w oczy i w każdej z nich szukałam odrobiny siebie. Wiedziałam, że rozumieją. Czułam, że każda moja myśl jest kawałkiem życia, którego one już doświadczyły na własnej skórze lub na skórze matek, sióstr, kuzynek, sąsiadek.

I właśnie tam, w gimnazjum w San Luca, opowiedziałam po raz pierwszy publicznie moją historię. Przeżyłam na nowo tę wiosenną noc między via Marina a targiem miejskim w Reggio Calabria. Pistolet skierowany w okienko samochodu, mężczyźni na motorze, kopanie mojego oszpeconego ciała na asfalcie, zęby kruszące się w ustach, prawa noga zmiądzona.

Tamta noc tkwiła we mnie jak zakażone nasienie, ale do tej pory nigdy nie byłam w stanie z nikim o tym porozmawiać. Nawet z psychologką, która pewnego dnia

powiedziała mi: „Jeśli nie wyciągniesz z siebie tego doświadczenia, to znaczy, że jesteś tchórzem”. Teraz wiem, że się myliła.

Nigdy nie czułam się gotowa wyjawiać innym tych nieszczęśliwych szczegółów dotyczących mnie samej. Mówić o tym oznaczało przeżyć to na nowo, chwila po chwili. A ja nie chciałam. Chciałam iść dalej. Ale żeby kontynuować wędrówkę, trzeba oglądać się za siebie, uważnie i racjonalnie wybierać z przeszłości dobre rzeczy, a odrzucać błędy, przesiewać czarne dziury. Potrzeba czasu, zanim człowiek stanie się tak sprawny, żeby poskładać fragmenty tragedii w obiektywny i spójny obraz.

Tamtego zimowego poranka nadszedł mój czas. Stawiałam pierwszy krok w przyszłość. I robiłam to w San Luca, epicentrum wendety i rzezi w Duisburgu.

Podczas opowiadania zaciskało mi się gardło, słowa pozostawały uwięzione w zwojach wściekłości i nienaruszonego bólu. Nie wyobrażałam sobie, że uda mi się mówić bez rozdzierających łez i złamanych krzyków, ale te nieznanym kobiety słuchały mnie skamieniałe, ze wzrokiem wbitym nieruchomo w moje oczy. Płakały, podnosiły dłonie do twarzy. Dla nich moja historia nie była czymś odległym, przedstawiałam im wydarzenia i emocje, które dobrze znały, dramat nieróżniący się od tych, które dręczyły ich domy.

Kobiety z San Luca straciły mężów, ojców, braci i synów z ręki zabójców. Są dogłębnymi znawczyniami strachu, niepokoju, prawa silniejszego, który nadchodzi jak tasak i szatkuje ci życie. One mogły mnie zrozumieć lepiej niż ktokolwiek inny. A ja robiłam się coraz lżejsza, zdanie po zdaniu, wyrzucałam w to pomieszczenie strzępy mojego cierpienia, które odrywając się ode mnie, osiadały na tych kobietach. Uwalniałam się. Noc horroru odczepiała się od moich wnętrzności i sunęła przez pokój, przyklejając się do duszy Cateriny, Teresy, Antonii.

Pierwszy raz po tak długim czasie odczuwałam autentyczną ulgę.

„Chciałabym, żeby to, co mi się zdarzyło, nie zdarzyło się już nigdy nikomu, w żadnym miejscu”, zakończyłam przed tą zaniepokojoną widownią. „A teraz chciałabym dowiedzieć się czegoś o was”. One po kolei wymówiły swoje imiona, mówiły o dzieciach, o życiu w miasteczku, gdzie dom i rodzina stanowią ośrodek kobiecej egzystencji, z dala od rzeczywistości ubogiej w zbyt wiele spraw.

Głos zabrała kobieta ubrana na czarno, miała krótkie włosy i poorly zmarszczkami twarzy. Była może w moim wieku, ale w jej oczach widać było wysiłek przetrwania po śmierci syna. Przedstawiła się, powiedziała: „Jestem gotowa zrobić wszystko, żeby uzdrowić moje miasteczko. Straciłam syna, mój los jest taki jak wielu innych matek w San Luca. Tutaj kobiety nie chcą już opłakiwać śmierci swoich dzieci”. Wstała inna, która siedziała naprzeciwko niej: „Kiedy pani opowiadała”, zaczęła, „miałam gęsią skórę”. Opatrzność tu panią przysłała, ponieważ pani cierpiała, zna pani cierpienie, i może zrozumieć *u cori di na mamma*¹, której zabito syna. Ja pójdę za wami choćby do piekła, ale i tak wiem, że do piekła nas pani nie zaprowadzi”.

Znałam cierpienie. A więc kobiety z San Luca przyjęły mnie jako jedną z nich.

„Co możemy zrobić?“, naciskały. „Wszystko“, ośmieliłam się odpowiedzieć, „ale musi nas być dużo, wszystkie, wtedy nasz głos będzie silny”.

Miałam już dwa projekty w głowie: warsztaty krawieckie dla pań i świetlicę dla dzieci.

Spacerując po stromych uliczkach San Luca, zauważyłam, że nie istnieje tam zupełnie nic. Nie ma żadnego sklepu. Żadnej siłowni. Żadnego ośrodka, w którym mogłaby się spotykać młodzież. Żyło się w kościele, w domach, w trzech barach, gdzie spotykali się tylko mężczyźni. Kobiety spotykały się, kiedy odprowadzały dzieci na katechezę albo na próbę chóru do niedzielnych śpiewów. Nie było innych miejsc, w których można by pielęgnować sąsiedzkie relacje. Brak dialogu był jednym z najbardziej ponurych grzechów tego miasteczka, ponieważ z myśli i postanowień snutych w samotności mogą rodzić się niezdrowe pomysły.

Tego popołudnia każda kobieta otrzymała możliwość i czas, żeby opowiedzieć, jak widziałyby swoje miasteczko. W dialekcie czy po włosku – żaden banał nie wyszedł z ich ust. Były specjalistkami od życia pełnego przejść, od panowania nad stresem, od upartego i milczącego oporu. I zaczynały żywić zdrowe pragnienie poinformowania świata o swoim życiu i praktycznego wykorzystania swoich talentów. Pozwoliły sobie na luksus snucia marzeń.

Wspomniałam o moich pomysłach: „Widziałam, że jesteście mistrzyniami w szyciu, w haftowaniu, w pracy na krosnach. To grzech nie wykorzystać waszego

talentu do czegoś, co przyniesie wam zarobek". Wyobrażałam sobie atelier sukni ślubnych i wieczorowych. Rynek oferował duże możliwości, ślub jest jednym z tych wydarzeń, przy których tradycyjnie nie zważa się na wydatki. Tutejsze dziewczęta od zawsze kupują suknie jak dla księżniczek, a my oferowałybyśmy produkt wysokiej klasy w dobrej cenie.

Panie patrzyły na siebie z uśmiechem. Jedna wykrzyknęła: „To było od zawsze moim marzeniem”.

Później przedstawiłam im bardziej ambitny projekt – świetlicę dla dzieci.

W San Luca dzieci bawią się na ulicy. Matki wołają je z balkonów, kiedy nadchodzi pora kolacji, a one przychodzą brudne i rozzłoszczone okropieństwem niczym się od siebie nieróżniących popołudni. Myślałam o entuzjzmie uczniów na warsztatach sztuki, dla nich byłoby czymś niezwykłym mieć do dyspozycji dużą przestrzeń, może nawet z ogródkiem, gdzie byłyby zabawki, komputery, aparaty fotograficzne, które uczyłyby ich rozglądać się wokół siebie nowymi oczami. I mała biblioteka, i sprzęt do siłowni, aby matki nie musiały już zawozić ich na zajęcia sportowe do Bovalino tam i z powrotem samochodem...

Słońce zaszło już jakiś czas temu. „Wrócę w niedzielę, macie trzy dni, żeby wszystkich poinformować. Spotkamy się znów w szkole”.

Spotkanie w San Luca jest znów o piętnastej, ale droga krajowa sto sześć funduje zawsze brzydkie niespodzianki, na przykład korki, czasem bardziej zabójcze niż w mieście Meksyk. Moja komórka aż się żarzy, panie dzwonią do mnie bez przerwy, żeby się dowiedzieć, gdzie jestem. Prowadzi mój ojciec.

Przyjeżdżam prawie godzinę spóźniona. Zjeżdżam w kierunku Aspromonte, mijam tablicę, która upamiętnia zasadzkę na brygadiera Carmine Tripodiego, pośpiesznie zbliżam się do zamieszkałego centrum. Szkoła jest zaledwie o kilkaset metrów stąd. Na zewnątrz zebrało się mnóstwo ludzi i Caterina czeka na mnie przy furtce. Staje koło samochodowego okna i mówi: *Varda cosa cumbinasti...*² Przebijam się między paniami w każdym wieku, żeby zaparkować. Zatrzymuje mnie poruszony woźny: „Wybaczcie, *dottorressa*, ale gdzie my pomieścimy te wszystkie nieboraczki?”. Nie wiem. Nie tego się spodziewałam.

Stoi spora grupa kobiet, które mnie wołają, pozdrawiają, ciągną z jednej strony na

drugą. Odczuwam zmieszanie i euforię.

Od razu się organizujemy. Caterina i Maria ustawiają ławkę na podwórzu, a ja, żeby być widoczna dla tłumu, muszę wejść na murek odgradzający klomby. Z tej wysokości zdaję sobie sprawę, że na podwórzu zgromadziły się wszystkie kobiety z miasteczka i czekają, aż zacznę mówić.

Ponownie wyjaśniam projekty szwalni i świetlicy. „Jeśli wierzycie, że coś tutaj można zmienić”, oświadczam, „jeśli chcemy wspólnie zrealizować nasze pomysły, podpiszcie!”.

Będzie to stowarzyszenie, grupa, ruch. Jeszcze nie wiem tego dokładnie, ale Caterina i Maria mają już kartę z protokołem i długopis, żeby zbierać zgłoszenia od pań, które będą chciały w tym ruchu uczestniczyć, czymkolwiek to się stanie. I wszystkie podpisują: imię, nazwisko, numer dokumentu tożsamości.

Na koniec z niedowierzaniem liczymy: trzysta sześćdziesiąt cztery zgłoszenia. W gminie liczącej cztery tysiące czterysta zarejestrowanych mieszkańców, z których nie wszyscy w rzeczywistości tu zamieszkują, trzysta sześćdziesiąt cztery kobiety stanowią znaczącą część całej społeczności kobiecej.

Pod koniec spotkania jestem wycieńczona. Zostaję z siedmioma paniami – to załóżek stowarzyszenia. One staną na czele tego, co nazwiemy *Movimento donne di San Luca*³. Caterina, Maria, Saverina, Antonia G., Antonia E., Teresa A., Antonia M., mniej więcej trzydziestoletnie mężatki ze średnio dwojgiem dzieci na głowę. Utalentowane krawcowe, hafciarki, artystki i rzemieślniczki.

Jest ciemno, kiedy ja i mój ojciec ruszamy znów do Reggio. Dzwoni mój telefon, to burmistrz Mammoliti wracający do San Luca po długim zebraniu w prefekturze. „*Dottoressa*, powiedziano mi, że zrobiła pani przewrót w miasteczku”. I powtarza mi, że ludzie oszaleli, że od wielu dni w San Luca mówi się tylko o tym zebraniu i kobiety wydają się opętane. Mój ojciec jest rozbawiony, ja mam ochotę śmiać się razem z nim, nic sobie nie robiąc z dziur, które nadal jeszcze oszpecają mój uśmiech. „Tato”, mówię mu, „pamiętasz lato 2003 roku? Twoja córka, pani *Malaluny*, prowadziła dwa tysiące osób z dyskoteki do dyskoteki. A wszystko zaczęło się od murku, na którym stawałam i krzyczałam do ludzi, żeby ustawiali się w kolejce i wchodzili parami. Dziś także stałam na murku: miejmy nadzieję, że przyniesie mi to

szczęście, jak wtedy".

Jest niedziela, 27 stycznia 2008 roku.

Na początku ani razu nie wypowiedziałam przy kobietach słowa 'ndrangheta. Nie było moim zadaniem ani przesłuchiwanie ich, ani prowadzenie śledztwa, tematy wrażliwe należy poruszać w odpowiednim czasie, inaczej można niepotrzebnie wszystko zniszczyć. „Nie obchodzi mnie wasze nazwisko ani wasza przynależność”, mówiłam im. „Interesuje mnie to, jakimi jesteście ludźmi i jakie są wasze zamiary. Stowarzyszenie musi być przestrzenią twórczą, a żeby stworzyć coś, co będzie trwało w czasie, trzeba być wolnym od plotek i stronniczości”.

Celem ostatecznym Ruchu Kobiet było stworzenie jakichś szans dla miejsca, które nigdy ich nie miało, nie miało nic poza wątpliwą ofertą oferowaną przez świat przestępczy, owocami pomysłów powstałych w wyniku odosobnienia. W San Luca nie mieszkają tylko przestępcy, owszem, są tu znani i zidentyfikowani kryminaliści, ale całe miasteczko nie jest w to uwikłane. Trzeba było wybudzić zdrową część z odrętwienia graniczącego z omertą, czego nikt nigdy przedtem nie zrobił. To była jedyna droga ucieczki z piekielnego kręgu, który już zbyt długo obracał się w spiralach ognia. I trzeba było dać posłuch ofiarom, mieszkańcom San Luca, którzy 'ndranghetę jedynie tolerowali, żyjąc w ciągłym strachu, dokładnie tak, jak my żyliśmy w Reggio podczas drugiej wojny klanów.

Wierzyłam w ten projekt, który dla mnie miał głęboką wartość społeczną, ale także osobistą, terapeutyczną. Odkupić ich, żeby odkupić siebie. Wyrwać zakażone nasienie wbite w moje serce, próbując chirurgicznie zoperować ich zło – jak w lustrzanym odbiciu. A jeśli chciałam zdobyć zaufanie w San Luca, nie mogłam wystartować, mówiąc o 'ndranghecie lub powiewając antymafijną flagą z pustymi rękami i podniesioną brodą.

Pojechałam do Aspromonte przekonana, że należy przerwać tradycję, według której młody człowiek z San Luca, żeby żyć albo emigruje do Niemiec, albo przystępuje do jakiegoś klanu. Byłoby interesujące otworzyć spółdzielnię, zatrudnić w niej jak najmłodszych pracowników ze sprawiedliwymi pensjami i po kilku latach sporządzić statystykę i sprawdzić, ilu z nich skończyło mimo to w świecie przestępczym. Mafii nie pokonuje się tylko dzięki poważnym dochodzeniom, należy

sprawić, żeby przygasał urok, jaki posiada ona dla młodych ludzi żyjących na przegnębiającym Południu, tam gdzie istnieje ryzyko rekrutacji. Tam, gdzie nie ma alternatywy dla przestępstwa.

Młodzi ludzie, siła robocza 'ndranghety, którzy nie budują imperiów i nie zgarniają fortun, są zmęczeni. Zaczynają przeczuwać, że nie warto ryzykować przepisów 41 bis czy zemsty krwi wrogich klanów. Gdyby mieli wybór, jakikolwiek wybór poza działaniem nielegalnym, być może uchwyciliby się go bez zastanowienia. Być może, to nie jest pewne. Ale poważna i rozbudowana w czasie próba, na ile sięgam pamięcią, w Kalabrii nigdy nie została podjęta.

Weszłam w kontakt z wieloma znanymi osobami w San Luca, które przy mnie okazywały się wychowane, pełne szacunku. 'Ndrangheta w San Luca nigdy nie robiła mi problemów, wprost przeciwnie, przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Tak, mogłabym być jedną z osób, które zarzekają się, że w San Luca mafia nie istnieje. A jednak na początku 2008 roku, gdy prowadziłam w szkole warsztaty sztuki i przygotowywałam pierwsze zebranie z kobietami, policja i karabinierzy nieustannie przeczesywali domy, zaułki i gospodarstwa w poszukiwaniu ukrywających się przestępców. Ósmego lutego odkryto bunkier w mieszkaniu członka rodziny Nirtów. Kryjówka trzy metry na cztery, zakamuflowana za przesuwaną ścianą. W środku było jedzenie. Kryjówka dopiero co porzucona.

To wszystko działo się wtedy, gdy ja oswajałam się z miejscami i osobami. Wiem, brzmi to paradoksalnie, ale nigdy nie odczułam tej atmosfery nasyconej krwią, opisywanej przez dziennikarzy, którzy przyjechali do miasteczka od razu po rzezi w Niemczech, w połowie sierpnia o trzeciej po południu, żeby opisać je jako „miasteczko-widmo”. Kto niby miał chodzić po ulicach w sierpniu tuż po obiedzie? Wielu z nich zatrzymało się tu zaledwie na kilka godzin, szybko obeszli miasteczko i opisali w prasie powierzchowne wrażenie. Co innego pobyc w Aspromonte trochę dłużej, nie spoglądając na zegarki i kalendarze. Pobyc wśród ludzi z autentyczną ciekawością wychwycenia sensu ich egzystencji. Jeść przy kominku w domach rodzin, które nalegają i wrzucają do garnka więcej makaronu niż zwykle i stawiają na stole wszystko to, co mają, ponieważ gość jest święty.

Weszłam do domostw wielu z nich, siedziałam przy ich stołach, często spałam

w ich łózkach.

Ten, kto próbował mi włożyć kij między koła, to był kto inny, nie 'ndrangheta. Może dlatego, że 'ndranghecie wydawałam się nieszkodliwa albo bez znaczenia. Kłody pod nogi rzucały mi natomiast osobistości, którym przeszkadzało, że bieg zdarzeń w ich statycznym rodzimym miejscu zaczyna obierać nieprzewidziany kierunek.

Czułam się swobodnie w tym miejscu, wśród tych kobiet. Ich pragnienie poznania i zmiany ujmowało mnie i emocjonowało. Wydawało mi się niezwykle to, z jaką łatwością udaje mi się zrozumieć i odgadnąć ich potrzeby. Kobiety mówiły, że rozmawiam z aniołem, bytem ponadnaturalnym, który podpowiada mi najszuszniesze zdania i czyny, ponieważ byłam w stanie uchwycić ich myśli, zanim jeszcze otworzyły usta. Być może dlatego, że znów żyłam w społeczności tak podobnej do Fiumary w moich miękkich i ciepłych wspomnieniach. Może dlatego, że zdawałam sobie sprawę, iż jedynym lekiem na wszelkie dotykające mnie zło jest oddanie siebie w darze dla potępionej Kalabrii, na którą nie chciałam wydawać wyroku, jakby była stracona na zawsze.

Jeśli dla mojej ziemi nie było nadziei, znaczyło to ponad wszelką wątpliwość, że dla mnie też jej nie ma. A tak być nie mogło.

Jeśli chodzi o kobiety z San Luca, wydawały mi się zaniepokojone, głównie zamknięte, lekko przygarbione i lękliwe w okazywaniu emocji. Ale obserwowałam, jak się zmieniają i ewoluują – powoli stawały się bardziej swobodne i ufne, wręcz dowcipne. Wymyślałam co się dało, żeby stworzyć drużynę i zbudować harmonię. Jechałyśmy na kolację do restauracji na wybrzeżu ze starym sprzętem do karaoke z mojego lokalu *Malaluna*, bo chciałam, żeby śpiewały. Organizowałyśmy zbiorowe wieczory z całymi blachami pizzy w siedzibie stowarzyszenia, którą szybko udało nam się znaleźć. Ważne było to, żeby umożliwić spotkania osobom mieszkającym obok siebie przez dziesięciolecia, które w wielu przypadkach, z wyjątkiem pozdrowień wypływających z dobrego wychowania, nie zwróciły się do siebie wcześniej ani słowem, nawet ze zwykłym: „Jak się masz?”.

Większość mężów kobiet, w przeciwieństwie do tego, co wielu sobie wyobrażało, wspierała organizację. Wszyscy byli tak bardzo przyduszeni przez historię, której nie

byli już bohaterami, że czekali na coś w rodzaju wyzwolenia. A Ruch Kobiet pojawił się właśnie wtedy, kiedy zaistniała potrzeba nowości.

Stanowił najbardziej sensacyjne wydarzenie w miasteczku od czasów rzezi w Duisburgu. I miał zupełnie inne kolory niż krew.

Któregoś dnia przyszła ona, Teresa Strangio. Matka o mocno niebieskich, prawie przezroczystych oczach. Ta, która w telewizji, wiele miesięcy wcześniej, wydała mi się aniołem.

Spotkałam ją po raz pierwszy w sali prowincji w prefekturze w Reggio Calabria. Był 21 lutego 2008 roku. Niewiele ponad sześć miesięcy od śmierci jej syna i brata w Niemczech.

Prefekt Francesco Musolino zwołał spotkanie z mieszkańcami San Luca, aby wysłuchać potrzeb pokonanej zbiorowości i zainaugurować dialog z instytucjami. Kobiety zaczęły się więc organizować, żeby pojechać do prefekta, a nie było to byle jakie przedsięwzięcie.

Kobiety z San Luca nie są przyzwyczajone do przemieszczania się, a co dopiero w grupie, i to w jednej wspólnej sprawie, którą na dodatek nie jest wrześnie święto Matki Boskiej z Polski. To kwestia mentalności i zobowiązań rodzinnych, ale często nie ruszają się nigdzie, żeby nie karmić plotkami *comari*. W miasteczku wszyscy wszystkich w jakiś sposób kontrolują, a osąd innych ludzi pozostaje zasadniczym kryterium własnej moralności.

Natomiast tamtego lutowego poranka wiele kobiet pokonało osiemdziesiąt cztery kilometry jońską drogą krajową w kierunku Reggio, i wszystkie popychane jednym impulsem: poszukiwaniem możliwości, jakiegokolwiek punktu zaczepienia dla zbudowania zdrowszej wspólnoty. Duisburg i bożonarodzeniowe zabójstwo stały się punktem zwrotnym, pierwszy raz winna i niewinna część San Luca zespoliły się w żałobie, zjednoczyły w płaczu po zmarłych. Dotąd 'ndrangheta była odbierana jako organizacja trudniąca się biznesem narkotykowym, uprowadzeniami ludzi, porachunkami między złymi. Teraz pojawili się niewinni zabici. Matka zastrzelona na oczach swoich dzieci. Nieletni zmasakrowani w Niemczech. Tego było za wiele. Trzeba było znaleźć sposób, żeby zdjąć tę klątwę i odsłonić horyzonty, zaciemnione teraz przez opuszczenie i zbrodnie.

Tak więc kobiety przygotowywały się do przekroczenia progu prefektury, budynku państwa, które nie troszczyło się zbyt ani o nie, ani o ich dzieci.

Burmistrz Mammoliti stał w wejściu, z nieco już *demodé*, skórzaną torbą, opanowany niczym muszkieter. Zanim został burmistrzem San Luca, był przyjacielem miasteczka. Przeszedł z powagą piekielny okres, jaki nastąpił po *Ferragosto* 2007 roku, kiedy to polowały na niego floty dziennikarzy ze wszystkich stron planety, by wyciągnąć z niego deklarację czy jakieś chore zakulisowe szczegóły. Prefektura wsparła go i poprowadziła w trudnych momentach. Mammoliti pojechał do Duisburga z biskupem Bregantinim i don Pinem Strangio; biskup zapaliwszy gromnicę przed restauracją *Da Bruno*, powiedział, że jest tu „aby prosić o przebaczenie w imieniu Kościoła kalabryjskiego. Z pokorą i szacunkiem, świadomi wielkiego zła, jakie 'ndrangheta popełniła w tym miejscu". Po pogrzebie ofiar w San Luca burmistrz w obecności dziennikarzy podkreślił wagę przebaczenia dokonanego przez Teresę i jej męża Giovanniego Giorgiego, wyrażając nadzieję, „że San Luca zmieni się jak najszybciej i stanie się kwiatkiem w butonierce dla Włoch".

Weszłam z nim do prefektury, zaproszono nas do salonu wychodzącego na via Marina. Podeszłam do okna, wciąż spragniona widoku morza, znad którego zostałam wygnana. Blask przyduszony niebem barwił pejzaż pełen melancholii, typowy dla zim nad brzegiem Cieśniny. Zwykłam wówczas siadać u stóp posągu Diany w zawieszanej nad wodą rotundzie, powierzałam morzu moje zamiary, a w oddali słyszałam złowrogie pulsowanie świata. Góry były niezwykle fioletowej barwy, morze odbijało Mesyny jak w jasne sierpniowe poranki, kiedy dostrzec można nawet samochody jadące drogami sycylijskiego miasta, ale bladło w mroźnej mgle złożonej z wiatru, soli i zawieszonych pragnień.

Panie były zadowolone i podekscytowane, a przede wszystkim pełne energii.

Ustawiły się wokół mnie, niektóre miały blade i już zmęczone twarze. Niektóre nie spały z emocji albo wstały o piątej, żeby przed wyjazdem pójść nakarmić zwierzęta.

O ile w tamtym okresie uwaga była skupiona na miasteczku, to nikt nie miał wrażenia, żeby góra żywiła jakieś rzeczywiste zainteresowanie. Może jakieś ogólne dyrektywy, ale nic więcej. Prefektura w Reggio próbowała teraz nadać sprawom inny

bieg. Było oczywiste, że historia została pozostawiona sama sobie – ani jednego projektu stałego zatrudnienia dla młodych ludzi, dla kobiet, czy programu edukacji dla dzieci. Są przestępcami, i nimi pozostaną. Taka wydawała się być konkluzja instytucji.

Ten dzień mógł być wstępem do czegoś innego. Zawiazywał się kontakt, formalnie badano warunki życia w miasteczku, dzięki wyznaniom bohaterów na temat stanu ducha i problemów, aby razem poszukać rozwiązania.

Kiedy bocznymi drzwiczkami wszedł prefekt, kobiety podniosły się i odwróciły wszystkie do mnie, zażenowane, abym podpowiedziała im, co robić.

Musolino przywitał się – miał uspokajający wyraz twarzy – i usiadł między nami.

Był zmieszany w związku z obecnością tych wszystkich kobiet. W rzeczywistości zwołał ludzi z miasteczka, aby pomówić także o problemach leśnictwa. Ale panie opowiadały mi, że o siódmej trzydzieści, kiedy podjechał autokar na parking w San Luca, wielu mężczyzn zrezygnowało z wyjazdu, widząc wszystkie te kobiety gotowe do podróży, jakby masowa ich obecność nadawała spotkaniu w prefekturze posmak próżności.

Ale Musolino nie dał się zbić z tropu. Mówił o zaangażowaniu, woli poznania i wsparcia pozytywnych inicjatyw, jakie narodzą się wśród ludzi z San Luca. Poprosił, aby każda z pań się przedstawiła, opowiedziała o swoich oczekiwaniach zawodowych, aspiracjach i o wszystkim tym, co kobieta z San Luca chciałaby powiedzieć prefektowi. W poczuciu absolutnej wolności.

Zabierały kolejno głos, z pokorą i skromnością, mimo lękliwych spojrzeń typowych dla osób, które nie chcą pomylić pojęć i konceptów. Była tam Antonia, świetna krawcowa, Caterina, matka czworga dzieci, Antonia, siostra burmistrza. I Lisa, Franca, Maria i wiele innych. Od żadnej nie wyszła ani jedna skarga.

Prezentacja po prezentacji – kobiety nabierały swobody w przestrzeni, która w ich umysłach była z założenia wroga. Przebywały w domu dalekiego i obojętnego rządu, często wrogiego, a były w stanie przekazać prefektowi właściwy, uprawiający w zakłopotanie wizerunek, inną twarz San Luca, tę złożoną z poświęceń, wyrzeczeń, zakłóceń, zapomnienia.

Mówiły o złym funkcjonowaniu szkoły, o potrzebie pracy i dawania zatrudnienia

dzieciom. Musolino zapisywał coś w notesie, wiceprefekt Giuseppe Priolo siedział obok niego i przytakiwał.

Przyszła kolej na Teresę. I wybuchała następna rewolucja.

Ona była matką, twarzą przebaczenia. Kobieta złamaną bólem, która umiała otworzyć ramiona, zaburzając równowagę, czego w miasteczku Corrada Alvaro nikt nigdy wcześniej nie ośmielił się uczynić. Po tym wydarzeniu wszystko było możliwe.

To Teresa Strangio sprawiła, że pogrzeb w San Luca trzech z sześciu ofiar *Ferragosto* był niezwykle.

Dzwonią żałobne dzwony w kościele Santa Maria. Jest 23 sierpnia 2007 roku.

Ciała Francesca Giorgiego, Sebastiana Strangio i Marca Marmo przyleciały dzień wcześniej na lotnisko Fiumicino, a teraz eskortowane przez policję przyjeżdżają z Rzymu do San Luca. W kościele Elisa Giorgi, siostra Francesca, przygotowuje się do akompaniowania na organach chórowi wykonującemu mszę żałobną. Na zewnątrz rozbrzmiewa litania różańca odmawianego przez kapłanów i wiernych zebranych w procesji przez biskupa. W Siderno, niedaleko San Luca, skończył się właśnie pogrzeb braci Francesca i Marca Pergola. Tommaso Venturi został pochowany w Niemczech.

W minionych dniach dwie kobiety uparcie prosiły prefekta, żeby poprowadzono ceremonię publiczną, chciały powiedzieć światu, że ich synowie nie byli bossami, których należy pochować prywatnie, o świcie, w otoczeniu karabinierów, wojskowych i policjantów, jak to było w zwyczaju podczas wojen mafijnych. „Ależ jaki tam pogrzeb prywatny!”, grzmiała Antonia Giorgi, matka Marca Marmo, gotowa przykuć się łańcuchem przed cmentarzem, w razie gdyby władze nie zareagowały na jej apel. „Dzwony mają bić na święto, kiedy Marco wróci do San Luca. To był czysty chłopak i nasza rodzina nie miała nigdy nic do ukrycia”. Teresa Strangio, matka Francesca i siostra Sebastiana, jest z charakteru małomówna: „Odprawić pogrzeb prywatny to tak, jakby zabić ich drugi raz”, stwierdziła krótko.

Wraz z mężem Giovannim Giorgim wygłosiła już swoje pokojowe przesłanie: „Chcę powiedzieć wszystkim”, deklarowała kobieta kilka godzin po masakrze, „że wybaczam tym, którzy zadali ten ból mnie i mojej rodzinie. Straciłam syna, cudownego chłopaka, a mój brat także był jedną z najważniejszych osób w moim

życiu".

Dla prefekta Francesca Musolino jest to decyzja obarczona wielkim ryzykiem. Łatwiej byłoby zrezygnować z ceremonii, teraz gdy wojna między klanami właśnie sięgnęła szczytu. Zagrożenie jest konkretne. Podczas pogrzebu Marii Strangio w parafii San Nicola w Bovalino, kilka miesięcy wcześniej, kuzyn ofiary, Giovanni wszedł do kościoła uzbrojony w pistolet z siedmioma nabojami w lufie. A teraz, nazajutrz po rzezi na obcej ziemi, czy państwo włoskie będzie miało siłę, aby zmusić do przestrzegania prawa? A przede wszystkim, czy San Luca jest jeszcze częścią włoskiego państwa?

Musolino postępuje z odwagą. I z wielkim człowieczeństwem. Postanawia wysłuchać członków rodzin ofiar i wydaje zgodę na pogrzeb publiczny, ale wysyła do San Luca sporą liczbę agentów, którzy mają kontrolować wszystkie ulice, a zwłaszcza kościół.

Trzy szare połyskujące samochody pogrzebowe podjeżdżają wzdłuż corso Corrada Alvaro aż do schodów kościoła Santa Maria. Morze białych kwiatów: na trzech trumnach, na bramie, przed ołtarzem. Boczne wejście do kościoła zostało zablokowane drewnianymi belkami, aby łatwiej było trzymać straż przy jednych tylko drzwiach.

Trumny wnoszone są po schodach przed fasadą do świątyni przepełnionej ludźmi, którzy płaczą, unoszą ramiona do nieba, wykrzykują imiona, wzywają Boga, długo klaszczą trzem synom straconym za granicą. Don Pino Strangio błogosławi trumny.

Teresa i Giovanni przyciskają do piersi zdjęcie syna, mają na sobie białe koszulki jak inni członkowie rodziny. Czystością bieli chcą rozerwać na zawsze łańcuch nienawiści, który związał ich wspólnotę. Jest to definitywne zerwanie z tradycyjną żałobą, którą tu kobiety noszą nawet przez dziesięciolecia albo do końca życia. A pojęcie przebaczenia było do tej pory nieznanne w wielu częściach Locride. Ale teraz, po masakrze w Niemczech, krew nie zostanie zmyta inną krwią – wraz z trzema ciałami próbuje się pochować raz na zawsze logikę zemsty.

Białe ubranie Teresy zatrzymuje wendetę. Jej słowa przebaczenia i wiary mają moc tysięcy razy większą niż jakikolwiek pokój mafijny podpisany w oparciu o porozumienie gospodarcze. Teresa mówi o uczuciach. I poprzez uczucia

zaprowadza pokój w San Luca.

Podczas mszy kuzynka Antonella czyta z ambony list małżeństwa Giorgi skierowany do młodego Francesca: „W słowniku naszej rodziny, a zwłaszcza twojej matki i twoich sióstr, słowa takie jak *zemsta* i *nienawiść* są puste”. Don Pino, który przewodniczy ceremonii razem z biskupem, wygłasza w homilii ponure zdanie: „Życie, które wiemy, nie wydaje się już życiem, ale jest życiem umarłych”. Później zwraca się do Giovanniego i Teresy, swojej kuzynki: „Otworzyliście wasze serca na przebaczenie, to epokowy przełom. Ubrania, które macie na sobie, nie są żałobne, ale codzienne. To także jest sygnał przebaczenia. Tragedia rozprzestrzenia się jak niepowstrzymany rak. Wobec tej straszliwej drogi krzyżowej musimy podnieść głowę”. Na koniec ostrzega mieszkańców miasteczka: „Nienawiść nie może stać się samoobroną w celu przetrwania”.

Także Antonia Giorgi wygłasza przesłanie dla syna Marca Marmo. Ona nie mówi o przebaczeniu, ale wyjaśnia, że nie szuka zemsty „tylko prawdy i sprawiedliwości. Dopiero modlitwa przyniesie sprawiedliwość”. Po wyjściu z kościoła kobieta upada, płacze, wykrzykuje całą rozpacz, którą zdołała zdusić podczas mszy. Marco był najmłodszym z jej czworga dzieci, jedynym, który jeszcze mieszkał razem z nią, wdową od wielu lat. Marco spał w pokoju obok, w łóżu małżeńskim, na którym Antonia na krótko przed śmiercią chłopca rozłożyła białą narzutę z tiulową lamówką – od tamtej pory już jej nie zdjęła.

Trumny zostają wyniesione. Znowu morze ludzi, morze łez i skarg. Jedna z wielu kobiet ubranych na czarno unosi ramiona w górę i opuszcza je wyprostowane na dwie trumny. Powtarza ten gest wielokrotnie jak w pierwotnym rytuale. To matka Teresy, babcia Francesca i matka Sebastiana Strangio. Udziela błogosławieństwa swoim zmarłym, powtarzając w dialekcie: *Ieu vi benedicu, figghi mei!*⁴

W kościele Santa Maria figura Matki Boskiej nad ołtarzem pozostaje nagle sama w zawieszanej ciszy. Trzyma w ramionach Jezusa dopiero co zdjętego z krzyża. W tej Piecie Matka Boska staje się wizerunkiem wszystkich kobiet z San Luca, które tulą do łona swoich zmarłych, jakby to było przeznaczenie pisane matkom z miasteczka.

Emblemat duchowy wspólnoty to cierpienie jej kobiet. Straszliwy obraz.

Nie ma orszaku żałobnego, co do tego prefektura była niewzruszona. Na cmentarz

w San Luca na obrzęd pochówku udają się nieliczni, pozostają tam prawie do północy.

Ani Teresa, ani Antonia nie pojechały do Niemiec, żeby zobaczyć ciała swoich synów. Nie czuły się na siłach. Pojechała tam natomiast Marianna Carlino, matka braci Pergola, jedyna, która od początku zadeklarowała, że nigdy nie przebaczy „temu, kto dokonał tej straszliwej rzezi”.

Wiele miesięcy później, właśnie tego lutowego poranka w prefekturze w Reggio Calabria, Teresie co jakiś czas łamał się głos, a przerwy te nie ujmowały jej siły, ale dawały nam możliwość przyswojenia każdego wyczuwalnego rozdarcia.

W sali zapanował chłód. Minuty wybijała tylko opowieść matki prowadzącej nas za rękę przez komnaty swojej tęsknoty.

Wpatrywaliśmy się w nią wszyscy w zbiorowej hipnozie: kobiety, prefekt, burmistrz, doktor Priolo.

„Jestem tu, by towarzyszyć mojej córce Tani”, powiedziała, „dla niej ten Ruch jest czymś ważnym, a ja ją wspieram, ponieważ o dzieci należy dbać. Mój syn Francesco nie żyje, ale swoją krwią pobłogosławił pokój w San Luca. To co się zdarzyło, nie może już nigdy się powtórzyć, musimy z Bożą pomocą budować w San Luca dobro przeciw złu. Na miejscu Francesca mógł być ktokolwiek, syn którejkolwiek matki, może musieli zginąć niewinni, żeby powstrzymać barbarzyństwo... Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy, ale chcę panu podziękować, panie prefekcie, że zezwolił pan na publiczny pogrzeb mojego syna”.

Owinięta w szarą kurtkę, z oczami niebieskimi jak niebo, niemal dziecięcym zboląłym tonem Teresa poruszyła nas wszystkich aż do głębi.

Także prefekt zdradzał zaniepokojenie. „Ach, to pani jest matką chłopca... Proszę mi nie dziękować za pogrzeb publiczny, w tamtym momencie uznałem to za słuszne”.

„Tak, to ja”, odpowiedziała, „straciłam brata i syna, panie prefekcie, ale mam jeszcze trzy córki, którym mogę się poświęcić. San Luca chce się zmienić, musi pan w to uwierzyć, a to, co się dzieje, jest ważnym tego dowodem. Teraz wszystkie matki wiedzą, że muszą powiedzieć dość”.

Zdenerwowana córka Tania siedziała obok niej, wbijając piękne oczy w jeden punkt ogromnego stołu i zaciskając usta, żeby skompensować wysiłek

powstrzymywania łez. Każda powstrzymywała płacz. Jedna z pań źle się poczuła i wyszła z sali.

Głos zaczęły zabierać następne kobiety i nadeszła moja kolej.

Słowa Teresy wydrążyły mnie w środku. Łzy grzęzły mi w gardle i byłam tak wściekła, że zaciskając pięści, raniłam sobie dłonie paznokciami. Byłam wściekła na 'ndranghetę. Wściekła na gorzką ziemię, która wrywa matkom dzieci. Wściekła, że się tam urodziłam, na tej glebie zaoranej przez potwory, i że też mała na niej nie umarłam. Wściekła na rozpacz ogarniającą lud przekonany, że już nie może się podnieść, ale pozwalającą także wypłynąć osobom takim jak Teresa, kobieta, która ma śmiałość sprzeciwić się chorym obyczajom swoich ziomków. Kobieta, która nie umie milczeć, nie umie jedynie patrzeć i płakać.

„Panie prefekcie, kobiety z San Luca nie przyszły tu dziś, żeby o coś prosić, ale żeby coś zaproponować”, zaczęłam. „O tych ludziach przypominano sobie tylko przy okazji okresowych rzezi. Ja nie zamierzam negować faktów, ale jak pan widzi, są w miasteczku osoby, które mają ochotę działać, w San Luca niepotrzebne jest wojsko, potrzebne są projekty nastawione na rozwój. Nie wszyscy są mafiosami albo zabójcami”. I opowiedziałam o Ruchu Kobiet, o świetlicy, o warsztatach krawieckich, o projekcie placówki, gdzie kobiety mogłyby otrzymywać porady zarówno medyczne, jak i psychologiczne.

„Jakie fundusze potrzebne są na pracownię krawiecką?”, przerwał mi Musolino.

„Około stu tysięcy euro, *dottore*, na maszyny i kształcenie”, odpowiedziałam przygotowana.

„Znalezienie takiej sumy nie jest niemożliwe”, skomentował. „Zajmę się zdobyciem środków, ale wy też musicie dać z siebie wszystko. Nic wam się nie należy za darmo”.

Dla kobiet słowa te były zastrzykiem adrenaliny w żyły umierającego.

„Chodźcie za mną”, powiedział prefekt, „chcę wam coś pokazać”. I poprowadził nas na górne piętro do najwyższej klasy prywatnej rezydencji w stylu liberty. Sala balowa była szeroka jak plac ratuszowy w San Luca. Jeszcze ją malowali, wychodziła na piazza Italia, po prawej stronie widać było *Palazzo storico della Provincia*, a po lewej *Palazzo San Giorgio*, siedzibę urzędu gminy Reggio.

Byliśmy wszyscy bardziej odprężeni, Musolino rozmawiał z doktorem Priolo, trzymając w dłoni fajkę, i poinformował nas, że sala balowa będzie gotowa na koniec roku: „Jeśli do tej pory będziecie w stanie stworzyć kolekcję sukien i tkanin, zorganizujemy tutaj pierwszą wystawę waszych prac. To obietnica”.

Tymczasem kobieta, która wcześniej zasłabła, dołączyła do grupy. Była to Lisa Nirta, jedna z pierwszych poznanych przeze mnie w Aspromonte. Jak wiele kobiet z San Luca miała twarz o rysach maryjnych, oczy zielone jak las, łagodny wygląd, który doskonale godził się z jej ciepłym sposobem bycia.

Krótko po moim pierwszym przyjeździe do miasteczka – 20 grudnia 2007 roku – o Lisie pisały wszystkie gazety: przykuła się łańcuchem w kościele po mszy, protestując przeciw aresztowaniu jej syna Domenico, który według aktu oskarżenia był niemieckim łącznikiem klanu Nirta-Strangio. Był chudziutkim, rudowłosym chłopcem o takich samych promiennych oczach co matka. W miasteczku w rzeczywistości trzymał się zawsze z dala od pewnych kręgów. Domenico był pracowity, ale po wielu doświadczeniach zebranych w restauracjach w Locride, gdzie pracował na czarno i za marną płacę, postanowił przenieść się do Niemiec, do Kaarst; został zatrudniony w jednej z pizzerii Giovanniego Strangio, człowieka, który stanie się podejrzanym numer jeden o masakrę w Duisburgu. Zaraz po wydarzeniach w *Ferragosto* Domenico został przesłuchany przez niemiecką policję. Później wrócił do domu, do rodziców w San Luca, był wstrząśnięty. Został aresztowany 18 grudnia 2007 roku pod zarzutem powiązań mafijnych.

Razem z Lisą przykuł się łańcuchem w kościele także jej mąż Sebastiano, oboje twierdzili, że Domenico jest bez skazy, „wyjechał do Niemiec tylko do pracy, nie zrobił nigdy nic złego i nigdy się nie interesował pewnymi sprawami”. Miasteczko zjednoczyło się z nimi, kościół wypełniony był krzątającymi się ludźmi solidaryzującymi się z matką klęczącą przed Dzieciątkiem Jezus, które głaskało ją miłosiernymi oczami.

Po odsiedzeniu dziewięciu miesięcy w więzieniu Domenico Nirta został uniewinniony w apelacji latem 2011 roku. A Lisa odzyskała swój rozbrajający uśmiech i wyjątkowy blask w oczach zielonych jak las.

Wyszliśmy z prefektury oszołomione myślami i emocjami, które musiałyśmy

poukładać na nowo. Autokar czekał na kobiety, aby zawieźć je z powrotem do miasteczka. Ja zostałam trochę w tyle, miałam w głowie zbyt wiele spraw. W pewnym momencie podniosłam wzrok i napotkałam oczy Teresy, która patrzyła na mnie oparta o budynek. Podeszłam do niej z takim samym szacunkiem, z jakim podchodzi się do świętego obrazu, może nawet z lękiem. Ona uśmiechnęła się do mnie, wzięła mnie za rękę: „Mojej córce Tani bardzo na tym zależy, jestem tutaj dla niej. Idźcie śmiało przed siebie”.

Pomyślałam o Micol, nie miałam najmniejszej siły wyobrazić sobie, co byłoby, gdyby podobna tragedia dotknęła mnie. Obserwując Teresę, odczuwałam spokój, który może podarować tylko stan łaski. Zrozumiałam, że jej cierpienie stało się narzędziem większego projektu, a jej poparcie było najcenniejszym światłem.

Kobiety odjechały autokarem, któremu dojazd do miasteczka zajmie dziewięćdziesiąt minut. Moja matka cały czas czekała na mnie z obiadem.

Jechałam szarym samochodem osobowym mojego ojca, trzymającą się strużki dymu ciągnącej się za autokarem pełnym kobiet, które wyglądały przez okna, żeby się upewnić, czy ciągle za nimi jadę.

Jechałam w kierunku San Luca i nie chciało mi się jeść ani pić.

Owe dziewięćdziesiąt minut było mi potrzebne, żeby zdać sobie sprawę, że dzieje się właśnie coś wielkiego, i że nie ma już we mnie miejsca na wściekłość, po której pozostawały mi jedynie ślady na dłoniach.

¹ Serce matki (dial. kalabr.).

² Patrz, co narobiłaś (dial. kalabr.).

³ Ruch Kobiet z San Luca (wł.).

⁴ Błogosławię wam, dzieci moje (dial. kalabr.).

V

COKOLWIEK

Ja byłam w Rzymie, kobiety w San Luca, ale ta odległość nie była w stanie przerwać wyjątkowej nici porozumienia. Coś między nami zaskoczyło, weszłyśmy razem na ścieżkę, z której trudno zawrócić. Byłyśmy wszystkie weterankami naszych osobistych wojen – ja potrzebowałam ich, a one mnie.

Moja chęć powrotu do życia poraziła je, miałam puste dłonie, ale moje ręce czekały tylko na to, żeby otworzyć się na oścież i przytulić każdą z nich, razem z jej własną historią. Ponieważ w San Luca każda kobieta jest nosicielką opowieści, która przeplata się z opowieściami innych kobiet, układając się w pierwotną mapę przynależności i wspólnego losu.

One z kolei uderzyły mnie pragnieniem nowości, nagłą potrzebą wyzwolenia słowa i otrząśnięcia się ze zła i brudu, którego były obserwatorkami. Niektóre także bohaterkami.

Trzeba było zacząć od czegoś konkretnego i zrobić to jak najszybciej; one nie mogły dłużej czekać, ja również czułam, że nie mam już wiele czasu.

Po pierwsze potrzebna była siedziba dla Ruchu Kobiet. Wspólny dom, przez który mogłyby przepływać pomysły i serca. Zleciłam paniom znalezienie w miasteczku mieszkania spełniającego jakieś ogólnie nakreślone parametry: centralne położenie, kilka pomieszczeń, brak schodów, aby ułatwić dostęp starszym kobietom. Nie skończyłam jeszcze mówić, a one już zabrały się do dzieła.

W miarę, jak oglądały lokale, każdego wieczoru Caterina przekazywała mi telefonicznie szczegóły. Problem polegał na tym, że wszyscy właściciele proponowali bardzo wysoki czynsz jak na nieistniejący rynek nieruchomości w San Luca, być może dlatego, że w miasteczkowej wyobraźni za naszą inicjatywą kryły się kto wie jakie fundusze europejskie i nie wiadomo jak ważni finansjerzy.

W końcu wybrałyśmy dom, o którym można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest w dobrym stanie, stał za to w centrum, naprzeciwko koszar karabinierów, na placyku imienia brygadiera Carmine’a Tripodiego. Nie miałam pojęcia, gdzie

dokładnie się znajduje, mimo szczegółowych wyjaśnień kobiet, ale opis mi się podobał. I coś w środku podpowiadało mi, że to może być właściwe dla nas miejsce.

Pewnego dnia Caterina zakomunikowała mi oficjalnie, że właścicielka przekazała jej klucze – przez telefon głosy innych kobiet nakładały się na siebie wśród śmiechów i oklasków.

To właśnie w tym momencie postanowiłam pojechać naprawdę do San Luca. Zagłębić się w Aspromonte. Zakosztować jego egzystencji, żeby uchwycić jego duszę, ciemności i iskry, ostateczną przyczynę historii, która była także moja.

Postanowiłam się tam przeprowadzić i zamieszkać obok moich kobiet.

Stowarzyszenie nabierało kształtów, statut był gotowy i wkrótce miałyśmy go zarejestrować. Każda z kobiet wpłaciła wpisowe piętnaście euro, i jak na razie pieniądze przydały się na remont naszego domu. Ja niewiele wcześniej wynajęłam swoje mieszkanie w Reggio Calabria i miałam w szufladzie zaliczkę. Wzięłam trochę pieniędzy i pojechałam do Ikei, żeby na początek kupić kilka przydatnych mebli. Wsunęłam garść ubrań do torby i wypełniłam samochód po brzegi.

Byłam gotowa do wyjazdu.

Minęło sporo czasu od ostatniego razu, kiedy rozstałam się z moją córką Micol, i nie pamiętałam już, czy istnieje bezbolesny sposób oddalenia się od niej. Tym razem niepokoiła mnie bardziej świadomość, że zostawiam moją dziewczynkę po to, żeby wrócić na ziemię, która mnie od niej oderwała na zbyt długo.

Micol tego nie zrozumie, ale musiałam spróbować. I tak, siedząc na naszej wyblakłej pomarańczowej kanapie, powiedziałam mojej córce: „Muszę jechać. One we mnie wierzą, a ja wierzę, że mogą rozpocząć nowy rozdział, inne życie”.

Ona popatrzyła na mnie, jakbym była przezroczysta i zapytała zuchwale: „Teraz zostałam mamą wszystkich dzieci w San Luca?”.

„Nie, córeczko, jestem twoją mamą, ale to, co się zdarzyło, musi nam uświadomić, jak wielkie mamy szczęście, mimo wszystko. My mogłyśmy wybierać i możemy to nadal robić, ponieważ wiemy, że istnieje coś innego...” Nie umiałam jej wytłumaczyć, o jakie *coś innego* mi chodzi, coś innego względem czego – względem brutalności, prawa zemsty, dyktatu krwi, przemocy zatykającej usta i wybijającej zęby. Micol miała tylko czternaście lat.

Rzuciła mi spojrzenie nasycone podejrzeniem – jak mała kobieta, która udaje, że zrozumiała, żeby wydać się dorosła.

„Kiedy wrócisz?”, zapytała.

Nie miałam odpowiedzi na to pytanie i odparłam wymijająco: „Jeszcze nawet nie wyjechałam, a ty już mnie pytasz, kiedy wrócę? Prędko, Micol...”

I zamyślona usiadłam za kierownicą. Był marcowy dzień 2008 roku.

Mój płacz był cichy, jakby nie chciał zakłócać tej dziwnej chwili. Zawsze ta sama historia. Cieszyłam się i umierałam. Scenariusz powtarzający się z każdą chwilą, która naprawdę liczyła się w moim życiu. Nie potrafiłam nigdy otrzymać czegoś w całości, cieszyć się aż do głębi ważnymi wydarzeniami w tej dokładnie chwili, w której chciałam je przeżywać. W pewnym momencie zawsze pojawiała się jakaś plama i brudziła to, co wartościowe.

Znów wyłaniałam się z przepaści, miałam potężną wolę wybudowania drapacza chmur, ale w tym samym czasie zapadałam się w poczucie winy i w otchłań melancholii.

Byłam wyniszczona emocjonalnie. Moje rany się nie zagoiły, wciąż były otwarte, znieczulone pod bandażami. A może to ja udawałam, że już nie czuję bólu. Żyłam zawieszona na moście między Rzymem a Kalabrią. Nie miałam życia w Rzymie i nie miałam go w Kalabrii.

Zawsze uważałam się za kobietę zdecydowaną i kategoryczną, czasem nawet przesadnie. Uciekałam od konfliktów wewnętrznych i wahań, nie znosiłam poczucia bezbronności. Moje wybory, choć czasem z trudem podejmowane, były zawsze ostateczne i nie było mowy o żadnym wstecznym biegu. Teraz natomiast pojawiała się z pretensjami moja krucha i wątpliwa część, która miała zmiażdżyć granitową Rosy.

W tym momencie najchętniej zostałabym w Rzymie z moją córką, tak samo jak pojechałabym do moich kobiet w San Luca. Żadna z dwóch przeciwstawnych Rosy nie umiała całkowicie pokonać drugiej. W końcu przeważył fakt, że istniał dom, kilka mebli, trzeba było rozpocząć remont. Nie wolno mi już było się rozmyślić.

Ten, kto prowadzi samochód w kierunku południowych Włoch, ma okazję zaznajomić się z niebezpieczeństwem już przy wjeździe na autostradę Salerno-Reggio

Calabria. Otoczenie nagle się zmienia, pasy zwężają się bez powodu, droga zaczyna więc się bez końca w schizofrenicznej trasie, która odbija cię z jednej strony na drugą, jakby próbowała zniechęcić do dalszej jazdy. Czujesz, że oddalasz się od rzeczywistego świata, stworzonego z precyzyjnych reguł, a wjeżdżasz w wymiar, w którym wszystko jest możliwe.

Podróżowanie autem na Południe jest męczarnią, ostrzegającą przed rzeczywistością, do której zabrniesz. Znany jest jedynie cel podróży. Zanim do niego dotrzesz, wiesz, że będziesz musiał zmierzyć się z miasteczkami i górami, tunelami i mostami, wiecznie otwartymi placami budowy, porzucając główną drogę, by przemierzyć resztę trasy męczącymi bocznymi szlakami. Ale tak właśnie jest, czy ci się to podoba, czy nie.

Asfalt autostrady Salerno-Reggio Calabria jest do niczego – jak cała reszta. Nazywają ją autostradą, a nie jest niczym innym jak drogą wylaną niskoprocentową smołą. Pozbawiona jest pasów awaryjnych, otwarta w 1964 roku i nigdy nieukończona mimo strumienia funduszy państwowych i obietnic rozmaitych ministrów transportu, którzy po kolei obwieszczają daty zakończenia budowy, jakby ogłaszali numery Lotto: ukończymy ją w roku 2003, a raczej w 2005, bez cienia wątpliwości do 2012 roku. Czteryście czterdzieści trzy kilometry 'ndranghety, tak ją nazwano. Lub też najdłuższe narzędzie zbrodni we Włoszech. Klany z Rosarno, Gioia Tauro, z rejonu Reggio wzbogacają się dzięki wyłudzeniom na placach budowy i podwykonawstwu. Firmy nadmuchują faktury, aby włączyć haracz w koszty działalności przedsiębiorstwa, podając kiepskie materiały jako towar znakomitej jakości. Po pięćdziesięciu latach od powstania topijnego planu połączenia Północy z Południem państwo włoskie nadal wydaje na Salerno-Reggio coś około dwudziestu milionów euro za kilometr.

Przeklinam ją za każdym razem, kiedy przejeżdżam przez tę niedrożną i zakażoną arterię. To nie tylko niebezpieczna droga, na której straszliwie łatwo jest umrzeć. Autostrada A3 to totem. To fetysz imperium 'ndranghety w Kalabrii i we Włoszech, jej monopolu na prace publiczne na mojej ziemi, jej nieodwracalnego przenikania do ekonomii i polityki. Totem, którym mafia rzuca ci w twarz, pośród zdradliwych dziur i obsypanych kawałków gór, który – jak cała ta ziemia – w każdym podskoku ukrywa

zamach na twoje życie.

Mężowie kilku kobiet wyjechali po mnie ciężarówką do Catony, do garażu mojej ciotki Luchiny, gdzie przechowywałam trochę mebli z *Malaluny*.

Dojechałam do San Luca o pierwszej w nocy. Kobiety czekały na mnie na placyku – w drzwiach nowego domu. Po wyładowaniu mebli poszłam spać do Cateriny, która czekała na mnie z ciepłą kolacją.

I tak oto wylądowałam tutaj, w nagim mieszkaniu, które już ochrzciłam „Domem Gościny”, ponieważ był otwarty dla wszystkich, a ja się dostosowywałam do rytmu narzucanego przez kobiety. Zawsze któraś z nich składała mi wizytę wcześniej rano, a wieczorem nigdy nie kładłam się spać przed pierwszą. Lubiłam pisać, sprawdzać rzeczy robione w ciągu dnia, szkicować projekty i listy z prośbą o wsparcie do placówek i instytucji. Rozsmakowywałam się w upływie czasu, który w San Luca zabarwiony jest różnymi odcieniami i sunie w sposób nieznanym w żadnym innym miejscu.

W San Luca ma się wrażenie, że żyje się bardziej. Dłużej, intensywniej. I nie tylko dlatego, że trzeba załatwiać sto spraw naraz. Może to kwestia napięcia wiszącego w powietrzu, popychającego cię do szybkiego biegu bez oglądania się za siebie. Albo rozdrażnione emocje, zmieniające się między spojrzeniami w wyładowania elektryczne. Ja stale czułam, jak inni wbijają we mnie wzrok, próbując zagłębić się w kalendarz moich poczynań i moich myśli.

W nowym domu w oknach nie było żaluzji, jedynie stare okiennice, których nie zamykałam ze strachu, że się zatną. Tak jak wtedy, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, także tutaj wieszałam kolorowe zasłonki, żeby nikt nie zaglądał do środka. Z pewnością wzbudzałam ciekawość wielu osób, byłam jedyną obcą, która odważyła się zapuścić w ten odrzucony zakątek o straszliwej famie. Wręcz się do niego przeprowadziłam.

Około jedenastej gasiłam światło, zostawiając tylko włączony monitor komputera, który oświetlał pokój. Czasem pracowałam na kanapie – pozostałości z *Malaluny*. Zdarzało się, że patrzyłam na nią i mówiłam do niej: „Widzisz dokąd cię przywiozłam?”. Spod iskrzących się świateł najbardziej szykownego lokalu w Reggio Calabria do prostego domku na placyku miasteczka zagubionego w Aspromonte.

Wieczorem dosłownie mdlałam ze zmęczenia. Budziłam się o świcie z komputerem na kolanach i patrzyłam, jak niebo barwi się na liliowo i przechodzi stopniowo w błękit. Słońce było jak wielkie żółtko. Czyste i kłujące powietrze budziło mnie i odnawiało, wypełnione było głosami natury, koncertami ptaków, nie było słychać jeszcze ludzi.

Okolo szóstej trzydzieści któraś z pań pukała już do drzwi, to były te kobiety, które przed innymi udawały brak zainteresowania albo potrzebowały dyskrecji. Przychodziły wyrzucić z siebie problemy i podzielić się zwierzeniami. Mówiły mi o frustracjach, o wyczerpaniu z powodu uprzedzeń i stereotypów narzucanych przez małą wspólnotę. O ich byciu kobietami, żonami, matkami, a także córkami starszych, chorych i wymagających opieki rodziców.

Nigdy nie przychodziły z pustymi rękami. Przynosiły dopiero co zebrane morwy, świeżo upieczone pizze, tarty i domowe ciasta albo po prostu rogaliki z baru. Pukały o każdej godzinie w ciągu dnia i w nocy. W granicach naszego domu nie istniały ani Pelle-Vottari, ani Nitra-Strangio. Przychodziły wszystkie, także krewne jawnych *'ndranghetistów*, i przynosiły mi kosze czereśni: *Bedda, i voliti du cirasi?*¹.

Dzień po dniu domowa przestrzeń nabierała przytulności, tymczasem ja organizowałam przyszłe prace, starając się obliczyć, ile nas jest i co razem wykombinujemy. W rzeczywistości startowałyśmy od zera i pilnie potrzebowałyśmy ogromnej porcji inwencji i entuzjazmu.

Trzeba było także jasno określić umowę wynajmu z właścicielką, która grzecznościowo przekazała klucze przed podpisaniem jakiegokolwiek dokumentu. Poznałam ją wcześniej jedynie przez telefon, gdy rozmawiałam o przebudowie, i każdego dnia obiecywałam sobie, że do niej wstąpię. Aż kiedyś się zdecydowałam i poszłam w towarzystwie Cateriny i Teresy A.

„Czy to jest Rosy Canale?“, zapytała zwrócona do kobiet. One przytaknęły. *Ma chi esti picciridda!*² Tak, byłam małeńka, prawdopodobnie spodziewała się osoby przy kości, o imponującej sylwetce.

Wpuściła nas i poczęstowała oranżadą. Po serii wstępów przeszliśmy do sedna sprawy.

„Musicie mi dać pięćset euro miesięcznie, jeśli go chcecie“.

Podskoczyłam na krześle: „Przepraszam panią, ale takie ceny nie istnieją nawet w Reggio, a to przecież miasto”.

„Nie interesuje mnie to”, ona na to rozdrażniona. „Mój siostrzeniec pracuje w nieruchomościach i powiedział mi, że dom jest tyle wart. Tyle mi musicie zapłacić, jeśli go chcecie”.

Opanowałam się resztką sił: „Gdybym wiedziała, że będzie tyle kosztować, nawet nie zaczęłabym prac, proszę pani. My nie możemy zapłacić takiej sumy, nie produkujemy jeszcze nic, co zagwarantowałoby nam dochody”.

Wreszcie ustąpiła: „Trzymajcie na razie ten dom, a później powiecie mi, ile wydałyście na prace i to odliczymy”.

Nic na piśmie. Żadnej umowy, żadnego podpisu. Tylko słowo.

Ja i panie patrzyłyśmy na siebie zmieszane.

Z brzęczących plotek i mylnych wniosków na temat Ruchu Kobiet narodziło się przekonanie, że w garnku coś się gotuje, coś niebezpiecznie i niejednoznacznie dużego. To była ta część San Luca, która mnie nie przekonywała i nie ujmowała. Oślizgła złośliwość tryskająca ze spojrzeń rzucanych przez kogoś na ulicy, wkradająca się przez szpary w starych oknach, wchodząca do domu, okręcająca się wokół moich słów i słów kobiet, budująca z nich mitologię. Na szczęście moje panie posiadały jakiś dodatkowy bieg, który pozwalał im rozpoznawać tę plemienną postawę warunkującą wszystko i wszystkich w tym bezbarwnym zakątku świata.

Chciałam pobyć trochę sama, uporządkować w myślach wydarzenia. Były chwile, kiedy czułam niewidzialną pętlę wokół szyi zaciskającą się coraz bardziej. Czułam to fizycznie. To była presja słów tańczących wokół mnie, czyniących ze mnie na przemian świętą albo grzesznicę.

Kiedy szłam ulicą lub wchodziłam do baru, odczuwałam skupioną uwagę na całej sobie, chociaż nie byłam w stanie zobaczyć nikogo, kto by się we mnie wpatrywał. Ci pokorniejsi, czasem najstarsi, podchodzili do mnie z większą naturalnością, pytając, jak się sprawy mają. Następni byli sceptycy lub ci, którzy z powodów oczywistych nie potrzebowali Ruchu, aby odmienić swój dzień, a co dopiero życie. I ci, którzy ograniczali się do trzymania się ode mnie z daleka, jak od „gliny”, szpiega służb porządkowych. Niektórym z moich kobiet powiedziano jasno i wyraźnie: *Ta fai c'a*

*sbirra*³. Niektórzy nawet insynuowali, że jestem agentką tajnych służb przysłaną do San Luca, aby prowadzić dochodzenie na temat tego, co kryje się za tym fikcyjnym górskim spokojem.

Śmiałam się z tego. Kilka razy wszystko to obróciło się nawet na moją korzyść. Otrzymywałam anonimowe telefony od nastolatków, którzy sobie ze mnie głupio i nieszkodliwie żartowali, ale pewnej nocy zadzwonili bardzo późno. Pomyślałam, że może coś się przydarzyło Micol, która była w Rzymie z dziadkami. Serce podeszło mi do gardła, okazało się jednak, że to znów były dzieciaki z tymi samymi prostackimi żartami: „*Rosci Canale, czy jesteś kobietą ruchu?*”. I śmiali się.

„Wiesz przecież, że mam telefon na podsłuchu”, powiedziałam do anonimowego rozmówcy. „Za trzy minuty będę znała twoje nazwisko i przyjadę pod twój dom z karawaną radiowozów policyjnych”.

Klik. Już nie zadzwonili.

„*Nci mintisti u timbru!* Teraz już wszyscy będą pewni, *ca si sbirra*”⁴, śmiały się moje kobiety.

Mnie nie obchodziło gadanie. Bardziej drażniły mnie sztuczne uśmiechy pewnych ludzi. Na pozór byli ułożeni i pełni szacunku, a naprawdę kryli w domach szwalnie kłamstw, w których szyli mi na miarę nieprawdopodobnych kochanków, pokrętne sytuacje i kto wie co jeszcze. Mój wybór był dla nich zbyt skrajny i nie byli go w stanie rozszyfrować.

Przez całe noce próbowałam wytłumaczyć sobie, co robię i dlaczego innym tak trudno jest to zrozumieć, tak trudno w to uwierzyć. Ten wszechobecny brak zaufania kazał mi myśleć, że oni sami uważają się za przypadki beznadziejne. Indywidualnie i zbiorowo. Jakby San Luca było miejscem, do którego nikomu nie przyszłoby na myśl udać się z własnej nieprzymuszonej woli. Jakby San Luca było jedynie wyrokiem przeznaczenia – jeśli tu się urodzisz, to tutaj umrzesz, z pewnością nie trafisz tu z zewnątrz i nie zostaniesz z własnej woli.

Nikt nie był w stanie uwierzyć, że przyjechałam tu zrobić coś właśnie dla nich. Wydawali się uciekać od siebie samych, a pragnąc ucieczki, nie mogli pojąć mojej chęci pozostania. Pytali: „Po co kobieta, która żyła w *Niuiocchi*, przyjeżdża do San Luca?”. Z Nowego Jorku do San Luca, dlaczego?

Znakomite pytanie.

San Luca nie żyło. Trwało. Pośród kur w kurnikach i podczas zbiorów oliwek na stromych wyżynach kobiety zapomniały, że są kobietami. Ręce spękane od wody i ziemi, spuchnięte i zniekształcone. Włosy krótkie lub długie, ale związane bez śladów próżności. Twarz poplamiona słońcem.

W miejscu, w którym konfiskuje się dobra o wartości milionów euro, słuchałam historii o nędzy. Prawdziwych historii, w których królowało umiarkowanie, przeszłość bez wymagań, a rytm wybijały tylko podstawowe potrzeby. Listy szły całymi tygodniami z Niemiec, dokąd mężczyźni emigrowali, aby wykonywać dwie, nawet trzy prace i przysyłać pieniądze do domu, kupować za nie cegły, a latem razem z krewnymi budować z nich domy. Każdej jesieni pojawiały się nowe budynki, wiele z nich pozostaje nadal niedokończonych – ogryzki zwykłej już panoramy kalabryjskiej.

Wiele sugestywnych opowieści o niegdysiejszym San Luca wypływa z pamięci kobiety, która bardziej niż ktokolwiek inny uwierzyła w Ruch i zapała się nogami, żeby go bronić. Saveria Giorgi, mistrzyni krosien, znana wszystkim w miasteczku z tej sztuki, którą szlifowała od dzieciństwa. Postać autorytatywna w swojej prostocie, zdecydowanie z innych czasów, której nie przygniotła praca na polu, choroby, odpowiedzialność samodzielnego wychowania czworga dzieci, podczas gdy jej mąż *u Giampaolu* harował w Niemczech. Przetrwiała też mękę spowodowaną masakrą w Duisburgu, która także i ją trafiła w serce. Marco Marmo był jej siostrzeńcem, najmłodszym synem siostry Antonii, wyrosłym w domu naprzeciwko, kochanym, jakby był jej własnym synem.

Saveria w moich oczach urzeczywistniała wszystko to, co dobre, odważne i uparte w San Luca, a jej krosna były tronem, z którego bosa i wyprostowana rządziła członkami i osnowami, przeobrażając się w autentyczną królową.

Była dla mnie jak matka. Kochałam ją jak matkę i żałuję, że jej tego nigdy nie powiedziałam.

Saveria pielęgnowała marzenia, wiele marzeń. A w Ruchu widziała ich realizację. Miała motywację i serce, i fantastyczną rodzinę: oddanego jej mężczyznę i czworo dzieci, dwie córki i dwóch synów, którzy są malarzami pokojowymi, ekspertami od

dawnych stiuków i malowideł ściennych.

W jej *cunti 'i na vota*⁵, których była szczodłą narratorką, widziałam ją jako trzynastoletnią dziewczynkę przynoszącą na głowie worki gałęzi i oliwek, dorastała bowiem z obsesją, że za każdym razem musi wrócić do domu z czymś do jedzenia dla rodziców. Nie poszła do szkoły, żeby pomagać im w polu, w czasach, kiedy jedynym bogactwem była matka ziemia. Saveria budziła się o trzeciej w nocy, połykała kawałek chleba, a później szła prędko na pole, żeby pochyłona żąć zboże i wiązać je w snopki. Nie jadła i często też nie piła, jeśli praca nie była odpowiednio zaawansowana, jedzenie wywoływało senność, a pusty żołądek podtrzymywał czujność.

Teraz, kiedy jest babcią, zdaje się rozczulać nad sobą samą – dziewczynką cierpiącą głód, który tak bardzo bolał, że wykrzywił ciało – jakby dziewczynka z jej wspomnień była wnuczką do utulenia. Dziewczynka, która krótko przed zachodem słońca ruszała ścieżką powrotną, miała usta wysuszone przez słońce i kurz, a czasem nie zdążyła nawet opłukać sobie twarzy, bo od razu padała na materac pokryty białą bawełną. Na ziemi, w tym samym pokoju ze świniami i kurami.

Opowieści, które brzmią jak z trzeciego świata.

Jeśli San Luca było rzeczywiście Wielką Grecją, to ślady starożytnej cywilizacji leżały zapomniane pod wieloma warstwami zacofania.

Wiele osób tutaj poznało ten niepokój. A Saveria, trzymając mnie za rękę, pozwoliła mi przeczuć jego przyczynę: „My nigdy nie chcieliśmy wiedzieć ani o uprowadzeniach, ani o prochach, gdyby było inaczej, teraz mielibyśmy pałace i *meno duluri nta l'ossa*⁶. Dzięki Bogu i tak udało nam się postawić dom dla naszych dzieci”. Żadnych uprowadzeń, żadnego handlu narkotykami.

Mistrzynie krosien jest dumna z uczciwości swojej rodziny. I tak jak ona w San Luca wielu trzyma się z dala od 'ndranghety i walczy, by utrzymać z dala od niej swoje dzieci. To ostatnie wyzwanie jest najtrudniejsze w gminie, w której wskaźnik bezrobocia wynosi dwadzieścia procent, wobec średniej wynoszącej we Włoszech osiem procent, a w Kalabrii dwanaście. Oprócz licznych mafiosów, którzy oficjalnie są bezrobotni i deklarują niskie dochody, w rzeczywistości ukrywając milionowe konta w bankach, jest tyle samo zwykłych osób będących naprawdę biedakami.

Tu, gdzie gospodarka od zawsze ledwie dyszy, dwie katastrofalne powodzie z 1951 i 1973 roku rozpętały masową emigrację i zaostrzyły izolację, aż wreszcie sezon uprawnień i macki klanów wymierzyły *coup de grace*⁷ lokalnej przedsiębiorczości. Kiedyś w Locri stały cztery hotele, w Bianco dwa ośrodki turystyczne – już nie istnieją. I nie istnieje też mikroprzestępczość; opowiedziano mi, że w 2011 roku miały miejsce tylko dwie kradzieże w domach starszych osób i pięć aresztowań. W zamian za to podczas kontroli drogowych z bagażników wypadają kałasznikowy i narkotyki nigdy nieliczone w gramach, a w kilogramach. „*Dottoressa*”, powiedział mi kiedyś świetny karabinier, jeśli nie polepszymy nauczania w szkołach i nie stworzymy rynku pracy dla młodzieży, nic się nigdy nie zmieni w San Luca. Możemy zakuwać ludzi w kajdanki przez tysiąc lat, ale na miejsce każdego aresztowanego człowieka pojawi się czterech synów, którzy będą w nas widzieć oblicze państwa zdolnego tylko do represji”.

Pisałam kilometry słów do polityków krajowych i lokalnych, starając się odmalować szokującą rzeczywistość tego miejsca. Nikt mi nie odpisywał. Może dlatego, że krążą głosy, jakoby niedokończone domy w miasteczku kryły w sobie drzwi z litego drewna ze złotymi gałkami, podłogi z inkrustowanego marmuru i łazienki w mozaikach. Weszłam do wielu mieszkań, przyzwoitych i czyściutkich, co było wynikiem wyznawanego przez panie w każdym wieku kultu domu. I nie widziałam nigdy nic bardziej cenniego niż ramka do zdjęcia. Żadnych gałek, żadnych inkrustacji.

Spałam natomiast w pokojach, których ściany dekorowała pleśń, w pościeli tak wilgotnej, że ciążyła na mnie i moczyła mi piżamę. Domy, w których zimą w Aspromonte można było leżeć tylko przed kominkiem albo w jedynym pokoju wyposażonym w piecyk – wszyscy ściśnięci razem z dziećmi. Poznałam rodziny odżywiające się tylko warzywami z ogródka i świeżymi jajkami, i dzieci z nalotem na języku z powodu braku witamin lub cierpiące na zajady. Jedna dziewczyna opowiadała mi, że kiedy była małeńka, marzyła o bananach, ale matka nie kupowała jej ich, bo były za drogie, tak więc musiała zadowolić się czerwonymi jabłkami *annurca*⁸ z własnego ogrodu, nadal marząc o nieosiągalnym żółtym owocu, egzotycznym i fascynującym jak Afryka.

Wiem, często to strategia. *'Ndranghetisti* na swojej rodzimej ziemi żyją bardzo skromnie, żeby nie ściągać na siebie podejrzeń. I oto stoją niewykończone kamieniczki z ceglami na wierzchu, zostawione tak przez dziesiątki lat, z obrzydliwymi mieszkaniami, które później kryją świetnie wyposażone w nowinki techniczne bunkry dla ukrywających się mafiosów.

Ja mogę tylko powiedzieć, że nie wszystko w San Luca jest komedią. Niedolę widziałam na własne oczy, i była ona autentyczna.

Zachorowałam na San Luca. Lubię nazywać je „miasteczkiem”, bo wygląda jak szopka przycupnięta na granitowej górze. Kiedy pokonuję ostatni zakręt na *provinciale* i wyłania się zza niego płatanina domów, czuję, jak napinają mi się mięśnie twarzy i rodzi się uśmiech. To dziwne odnaleźć drugą szansę w miejscu, które dla wszystkich jest kolebką zła... Ale mój uśmiech został podziurawiony i wyrwany, a San Luca mi go przywróciło. To musiał być znak, że robiłam rzecz właściwą.

Jasne, interpretacja ludzkiego działania jest bardzo złożona. Niektórym się nie podobało, że kobiety się emancypują. Ten, kto zdobył władzę w San Luca, musi ją trzymać w zaciśniętej pięści. A wiadomo, że aby utrzymać władzę, należy zatrzymać czas, zapobiec, aby ludzie sami siebie odkryli i zaczęli rysować przyszłość we własnej głowie. Ktoś chciał, żeby wszystko zostało tak jak było, a kogo obchodziło cierpienie kobiet i ich rzeczywista depresja?

Z paniami dyskutowaliśmy o wszystkim. Także o rzezi w Niemczech. Powtarzały mi: „Rób, co chcesz, ale dziennikarze mają tutaj nie przyjeżdżać”. Dla nich dziennikarze byli wcieleniem zła, opublikowali kłamstwa na temat zmarłych w Duisburgu i obrzucili błotem całe miasteczko. Ja natomiast byłam przekonana, że przydałaby się nam obecność w mediach. „Pokażmy, że się organizujemy, pokażmy dobrą część San Luca”.

Któregoś dnia otrzymałam telefon z pisma *Gente*, chcieli o nas napisać i zorganizować sesję fotograficzną z jak największą liczbą kobiet zgromadzonych w ważnym zakątku San Luca, pokazującą kobiecą solidarność. To była okazja, żeby pozbyć się stereotypów, które ubierają kobiety z Aspromonte w żałobne stroje i welony na głowie. Kupiliśmy różową tkaninę i Tota, świetna krawcowa, uszyła

chusteczki, które kobiety miały zawiązać sobie na szyi, zdobyliśmy też dla wszystkich białe koszulki. Biała koszulka była już teraz symbolem wybaczenia, ukutym przez Teresę Strangio na znak pokoju, nowego kierunku dla jej ziomków. A kobiety z Ruchu były ziarnem pokoju, które – zasiane przez Teresę – powoli kiełkowało. Nie mogliśmy nie przyjąć tej bieli.

Na plac do zdjęcia grupowego przyszło ponad osiemdziesiąt kobiet. Była także Teresa Strangio z córkami, Elisą i Tanią.

Ruch stał się wolną strefą, schronieniem dla duszy – wendeta nie miała tu żadnego dostępu. Być może po sześciu ciałach podziurawionych na obcej ziemi wendeta naprawdę się skończyła, z powodu wewnętrznej dynamiki 'ndranghety, której do tej pory nikt nie był w stanie odkryć. Albo może przez naturalne wycieńczenie. Dalsze jatki oznaczałyby otwartą wojnę, zbiorową śmierć, masowe aresztowania, być może gminę znów przejęliby komisarze. Wszyscy byli przerażeni tym prymitywnym „prawem” oko za oko. Zamkniętym w ślepych labiryntach honoru i więzów rodzinnych.

W San Luca wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Nie tylko bezpośrednimi więzami krwi, kuzyni drugiego czy trzeciego stopnia też są częścią rodziny. A potem jest *San Giovanni*, węzeł świętojański, który zawiązuje się między rodziną chrzczonego dziecka a rodziną ojca chrzestnego. San Luca to jedno z niewielu miejsc, gdzie chrzci się już duże dzieci, nawet ośmio – czy dziewięcioletnie. Tradycja, której sensu nigdy nie zrozumiałam. A jako że chrzest jest uwolnieniem od grzechu pierwородnego, przesąd ludowy powiada, że nerwowości małych dzieci winna jest obecność w nich demona, jeszcze niewygnanego wodą święconą. Faktycznie, w tak małym miasteczku panuje dziwnie gęsta koncentracja dzieci nadpobudliwych, czasem wręcz dzikich.

Święto chrztu jest bardzo ważnym wydarzeniem, dlatego rodziny nie zważają na wydatki, podobnie jak przy okazji ślubów: dzieci wystrojone od stóp do głów, odnowione i wybielone mieszkania, w których można godnie przyjąć krewnych przynoszących bogate prezenty, w ten sposób kultywuje się dawne zwyczaje. A nowe pokolenia wydają się nawet bardziej konserwatywne od rodziców. Ślub, na przykład, ogłasza się nadal ustnie, przyszła panna młoda w towarzystwie sióstr i kuzynek, które robią za drużny, chodzi od domu do domu, aby przekazać nowinę i zaproszenie na

ceremonię. Istnieje także rytualna formuła recytowana w dialekcie, panna młoda oznajmia poszczególnym zaproszonym, jak wielkim zaszczytem będzie dla niej ich obecność w najważniejszym dniu jej życia.

W Ruchu Kobiet więzy rodzinne blakły. Te niebezpieczne – znikwały.

Mieliśmy do czynienia z niepodważalnym faktem: najpierw Teresa Strangio, później Ruch, w końcu zdjęcie w *Gente* – to były trzy kroki zwiastujące zmierzch epoki. A w Domu Gościny kobiety były po prostu wolne.

Któregoś popołudnia, pod koniec zebrania, Teresa wymieniła kilka zdań z Cateriną, kuzynką Giovanniego Strangio, tego, który był wówczas poszukiwany za wydarzenia w Duisburgu. Caterina z lękiem mówiła o masakrze: „To było coś przerażającego”, i zapewniała, że jej krewny nie brał w niej udziału: „On nie ma z tym nic wspólnego”. Teresa ze spokojem twierdziła przeciwnie: „Są na to pewne dowody. Ale mnie to nie obchodzi, moje przebaczenie jest szczere. Ja nie proszę o sprawiedliwość na tej ziemi, ale w królestwie niebieskim”. Dyskusja zamknięta.

Dwie kobiety z rywalizujących rodzin, które dzieli różnica zdań, a później dalej zgodnie współpracują? Nigdy czegoś takiego nie było w San Luca.

Był jeszcze jeden obrazek, który wywołał poruszenie: dwie dziewczyny, młode, piękne, uśmiechnięte. Tania Giorgi i Maria Strangio. Pierwsza, siostra Francesca i siostrzenica Sebastiana – zabitych w Niemczech w strzelaninie wymierzonej w rodzinę Pelle-Vottari. Druga, kuzynka Marii Strangio – zabitej w Boże Narodzenie 2006 roku żony mężczyzny z klanu Nirta-Strangio, nosząca to samo co ona imię i nazwisko. Dwie najokrutniejsze karty wojny domowej oczyszczone w oczach dwóch dziewcząt, które były sobie bliskie, jak dwie najzwyklejsze przyjaciółki. Zdjęcie zrobiono przy drodze prowadzącej na stary cmentarz koło bloku marmuru poświęconego Corrado Alvaro, na którym wyryty jest napis: *Życ po ludzku może tylko człowiek*.

Aby nazywać się ludźmi, trzeba najpierw nauczyć się być naprawdę ludźmi. Zdanie ze sztuki teatralnej *La lunga notte di Medea*⁹, które brzmi proroczo na ziemi, gdzie ludzkość często rezygnuje z walki.

Na początku moją wiceprzewodniczącą była Caterina, później jej miejsce zajęła Maria, młoda i niespotykanie wrażliwa. Jej ojciec został zabity, kiedy była

dziewczynką – zawsze bolało ją to wspomnienie. Rozmawiałyśmy z nią o tym, jak kobiety znosiły w milczeniu zamknięty i z góry narzucony system. O tym, co oznaczało urodzić się w rodzinie z ważnym nazwiskiem i zdawać sobie sprawę już od dziecka, że jest się skazaną na smutny wrodzony los, który być może zmusi do oglądania śmierci ojca czy brata, zadanej z cudzej ręki. Albo do odwiedzania ich za kratkami. Los, z którym można się jedynie pogodzić, gdyż jest to fatum powtarzające się przez wieki. Jedyne, co ci wolno, to walczyć o pozostanie sobą, uciekając od schematu wartości własnej rodziny.

Maria pozostała sobą i poślubiła swojego Giovanniego z autentycznej miłości. Ich uczucie narodziło się na murku przed domem, kiedy obydwójce, będąc jeszcze dziećmi, rzucali sobie ukradkowe spojrzenia, rumieniąc się przy tym. Nigdy nie poznała, czym jest okrutna tradycja aranżowanych małżeństw.

Maria jest artystką – wyszywa, maluje, układa powitalne kokardy, którymi dekoruje się furtki, kiedy rodzi się nowe dziecko, wykorzystuje karton w swoich kompozycjach, rysuje cudowne wykroje ubrań. Jest jedną z tych kobiet w San Luca, a jest ich wiele, które chciałyby obalić duszący je mikroklimat. Ona czuje zew sztuki, parcie w kierunku poszukiwania własnej autentycznej osobowości, podczas gdy za jej plecami głosy nie przestają powtarzać: „Bądź żoną, bądź matką! Pomyśl o wychowaniu dzieci! Ależ dokąd idziesz? *Chi sta facendu?*¹⁰”.

Dlatego Maria i inne kobiety wstąpiły od razu do Ruchu. Bo był to chór zjednoczonych kobiet, które dodawały sobie nawzajem siły, wołały do mieszkańców: dajcie nam żyć, chcemy się poświęcić czemuś innemu niż zwykłe życie żon, matek, zbieraczek oliwek.

Kobiety z San Luca nie są spiskującymi i pozbawionymi pragnień duchami, ale postaciami z charakterem, pewnym talentem i przeróżnymi cechami szczególnymi. Niestrudzonymi maszynami, krążącymi między domem, dziećmi, pracą w polu. Większość posiada małe działki blisko domostwa, uprawiają tam warzywa i hodują kury i świnie. Sezon zbioru oliwek jest festiwalem kobiet, w gajach oliwnych widać wtedy tylko kobiety pracujące bez chwili spoczynku.

Wychodzą za mąż względnie wcześnie i na ogół w wieku trzydziestu lat mają już dwoje dzieci na utrzymaniu, jeśli nie troje albo czworo.

Następnie są kobiety zajmujące się plotkami, które znają zmęczenie tylko ze słyszenia i mają wypielęgowane miękkie dłonie, polakierowane paznokcie i języki ostre jak żyletki. Patrzą na ciebie z wyższością, przekonane, że podbiły świat tylko dlatego, iż noszą parę butów Alviero Martini czy koszulkę Versace i dzinsy z ogromnym napisem, aby nikt nie miał wątpliwości co do marki.

Tematy kobiecych rozmów krążą na ogół wokół życia współmieszkańców: *cuntiddiano*, plotkują o innych, „*a vidisti a chidda*¹¹ zmieniła samochód? *A vidisti*, jak ona była ubrana?”. Ale przy obcych bardzo uważają, żeby nie wymieniać imion, ani nazwisk. Słyszałam, jak mówią o faktach związanych z ’ndranghetą ze zręcznością godną linoskoczka, są w stanie poruszyć temat, nazywając jedynie własny ból jako krewnych ofiar, nie pozwalając, by wymknęło im się o jedno słowo za dużo na temat zabójców i zleceniodawców. Co więcej, nie wymawiając nawet słowa – ’ndrangheta. O tym opowiadają wyłącznie sobie i najbliższej rodzinie – bez ryzyka, że wkroczą na zaminowane terytorium.

Innym tematem, nad którym z ożywieniem rozprawiają kobiety w San Luca, jest praca, czy raczej praca-bezrobocie-świat przestępczy. *U Statu è u padri i tutti*¹², mówią, „państwo powinno dawać pracę wszystkim, zwłaszcza młodym, a zamiast tego co robi? My tu jesteśmy wszyscy bezrobotni”. Stan porzucenia jest tutaj namacalny, ale wiadomo, niektórym dostarcza wygodnego alibi. Ci, którzy pracują przy prochach, mali lokalni robotnicy korporacji ’ndranghety, zarabiają dziesięć razy więcej niż uczeni ojcowie rodzin. A uczeni matki zgłaszają brak możliwości zawodowych, które, ich zdaniem, „zmieniłyby sytuację”. Począwszy od losu własnych dzieci.

Wszyscy widzą, jaka jest rzeczywistość. Kobiety dobrze ją znają, dobrze wiedzą, że pewne samochody i pewne klejnoty pochodzą z pewnych interesów. Ale ten, kto wybiera drogę czystości i cnoty, w tym samym momencie decyduje także, że nie będzie się skarżył, ’ndranghetisti są w końcu ziomkami, obok których spędziło się całe życie. Ponieważ pierwszą i nienaruszalną zasadą lokalnej etyki pozostaje bliskość, więzy rodzinne, bycie *comari* i *comari*.

Młodzież w San Luca nie bierze narkotyków. Nie są głupi, szukają czegoś innego. Dla tych, którzy codziennie konfrontują się z pustką, świat przestępczy wraz ze swoją

manią bogactwa i władzy jest jak ciało uwodzicielskiej i chętnej kobiety, niby dlaczego mieliby stawiać jej opór? Ale czasem zbliżają się do świata przestępczego z konieczności, nie tylko z wyboru czy przynależności. Standard jest zawsze niski. Tu, żeby było jasne, nie istnieją „chorzy na ’ndrinę” , których spotkać można w Reggio i w innych punktach Kalabrii, tych od „nie wiesz *cu sugnu ieu*¹³”, od kawy opłaconej w barze, od *non ci su problemi i a disposizioni...*¹⁴. Ci, którzy naprawdę liczą się w San Luca, są wykształceni i z niczym się nie obnoszą. Nie chodzą do barów, a jeśli chodzą, to nigdy nie stawiają kawy, bo stawiają im ją inni. Nie muszą niczego udowadniać, ponieważ absolutnie wszyscy, także poza granicami gminy, dobrze znają mapę rodzin i ról.

Przeciętny mieszkaniec San Luca dysponuje żywą, wrodzoną inteligencją. W jakimkolwiek miejscu go postawisz, zawsze sobie poradzi. Wyprzedza o głowę neapolitańczyka. Tu instynkt przetrwania jest tak silny, że wymyśla się cokolwiek, żeby tylko przekroczyć wzgórze Aspromonte. Doktor Priolo, który dobrze zna tych ludzi, tłumaczył mi: „Tu istnieje cywilizacja o korzeniach kulturowych na bardzo wysokim poziomie, nie przypadkiem jest to miejsce urodzin Corrada Alvaro czy słynnego mariologa ojca Stefana De Floris. W analogiczny sposób trzeba spojrzeć na mieszkańców San Luca, którzy stoją po drugiej stronie, znajdziesz ich w każdym dochodzeniu dotyczącym ’ndranghety, ale nigdy nie są to płotki. W świecie przestępczym nie zniżają się do roli chłopców na posyłki”.

To ludzie, którzy zaczynają od niczego, więc siłą rzeczy kultywują porywczą i wściekłą alchemię mózgu, byle tylko iść naprzód. W ten sposób stają się podstępnyimi zbrodniarzami, zostają artystami świata przestępczego. *Gente in Aspromonte* Corrada Alvaro proponuje ciekawe spojrzenie na przyczyny, dla których ’ndrangheta narodziła się właśnie tutaj. Skrajna nędza pasterzy, strome ścieżki, na których paśli krowy, upokarzające poddaństwo paniczykom. W pewnym momencie wrodzony geniusz skundla się z konkretną potrzebą i powoduje krótkie spięcie, tworząc w ten sposób strategię, która ma odwrócić bieg historii. W książce Alvaro młody Antonello nie wytrzymuje i mści się za nadużycia znoszone przez jego rodzinę. Podkłada ogień w lasach bogaczy Mezzatesta i rozdziela ubogim mięso krów, które zginęły w pożarze. Potem barykaduje się w szałasie z paproci i wita

nadejście karabinierów jak objawienie: „Nareszcie będę mógł pomówić ze Sprawiedliwością. Ileż trzeba było się natrudzić, żeby móc ją spotkać i powiedzieć jej o mojej sprawie!”.

Kto wie, jakimi słowami i z jakim spojrzeniem Antonello Argirò zwrócił się do Sprawiedliwości przez duże S. Przy użyciu jakich pojęć wyłożył jej powody swojego przestępstwa, które było jedynie wycieńczającym i porywczym odwetem za powtarzającą się niesprawiedliwość. Pierwsze opowiadanie w *Gente in Aspromonte* kończy się właśnie w momencie, kiedy młody mężczyzna oddaje się w ręce żandarmów, szaleńczo ufny, że Sprawiedliwość przez duże S zaraz odkupi jego i jego lud.

Natomiast epigoni pasterzy z kart opowieści Alvaro stanęli w szeregach niesprawiedliwości i globalnego bezprawia. *Stortaredda*, mówił mi ktoś w miasteczku, kiedy premierem był Silvio Berlusconi, „we Włoszech jest dwóch dowódców: *u zi Silvio*¹⁵ i przyjaciele z San Luca”.

Władza rzuca urok na młode kobiety, zdarza się to wszędzie. Ale o ile kiedyś ambicją było tutaj wyjść za mężczyznę z ważnej rodziny, choćby związek miał być regulowany przez aranżowane małżeństwo, którym wiązano przymierza między klanami, dziś dziewczęta rozumiały jedno – poza klejnotami Damiani, jakie otrzymają w prezencie, związek z przestępcą wcale nie przynosi tylu korzyści. Oznacza bowiem skazanie się na ciągłą samotność, na samotne wychowywanie dzieci i patrzenie, jak ukochany więdnie w więzieniu.

Czasami najbardziej pierwotna chęć życia zdoła przewyższyć kaprys dominacji.

I tak dziewczęta z San Luca chodzą do kościoła, żeby znaleźć męża. Przechodzą ten kawałek drogi z matką czy siostrą, podczas gdy chłopcy – oparci o murki czy o ścianę baru na placu – patrzą na nie i wzrokiem wybierają się nawzajem. Inni młodzi chłopcy krążą powolutku na skuterach i obserwują dziewczęta, które stawiają się na mszy eleganckie i wystrojone. Proboszcz don Pino Strangio sztorcuje je z ambony, a jego kazania sączą się na plac z głośników, które on sam kazał zamontować na fasadzie kościoła Santa Maria: „Przychodźcie do kościoła po to tylko, żeby urządzać pokaz mody i szukać męża!”. Matki się niepokoją, dziewczyny prychną i myślą: „Czy nie wystarczy przestrzegać milionów reguł, żeby uniknąć

krytyki kumoszek? Och, gdybyśmy tak znalazły męża właśnie teraz!".

Don Pino jest dobrym obserwatorem – wszystkie są w markowych ciuchach, od stóp do głów, mają wysokiej klasy biżuterię, sandały dobrane do paska, kolczyki do naszyjnika i pierścionka. O ile to możliwe, każda pojedyncza marka jest dobrze uwidoczniła. Zarówno w kościele, jak i w szkole mężczyźni i kobiety są od siebie oddzieleni, kobiety siedzą w ławkach, podczas gdy mężczyźni słuchają mszy na stojąco w głębi kościoła, oparci o drzwi prowadzące na schody osławione na całym świecie przez pogrzeb ofiar z Duisburga.

Kiedy pierwszy raz weszłam do kościoła Santa Maria della Pietà, poczułam się prawie rozebrana przez spojrzenia. Byłam elementem obcym, należało mnie dogłębnie przebadać, a kobietom, które nie zorientowały się co do mojej obecności, sąsiadki z ławki wymierzały kuksańce łokciami, szepcząc: *A vidisti chi c'è a Canale?* ¹⁶ Widziałaś, w co się ubrała, jakie miała buty?". Wówczas zdecydowałam, że nie będę już korzystać z wejścia, przez które wchodzi wszyscy, tego bocznego wychodzącego na placyk z barem i domem Corrada Alvaro, ale z bramy głównej, która była zawsze przymknięta. Pukałam delikatnie, a otwierał mi Giovanni Giorgi, mąż Teresy Strangio, witając mnie w milczeniu.

Na początku nikt mnie nie zauważał, ale kiedy rozeszła się wieść, że zwykłam stać sama, schowana w głębi, zaczęło się szemranie. Wiele kobiet uczestniczyło we mszy, wykrzywiając kark przy pierwszej lepszej okazji, żeby na mnie spojrzeć, a kiedy kapłan nawoływał do przekazania znaku pokoju, panie wychodziły z ławek i podchodziły, żeby uścisnąć mi rękę.

Którejś niedzieli zabrałam tam moją matkę, która jest kwintesencją religijności. Ale w Santa Maria zdarzyło jej się coś wyjątkowego, może źle stłumiła napięcie, wbite w nią spojrzenia, i zasłabła. Widziała wcześniej zdjęcia kościoła, które od razu kojarzyły jej się z pogrzebem zabitych w Niemczech, teraz było tak, jakby jej dziewicza dusza została ugodzona wszystkimi strzałami rozpacz, jakie pozostały nadal uwięzione między ławkami a ołtarzem.

Tymczasem Dom Gościny nabierał kształtów dzięki intensywnej i dobrze skoordynowanej pracy zespołowej. Giovanni, mąż Marii, który pracował jako malarz pokojowy, zorganizował resztki farby za darmo. To on pomalował fasadę na różowo,

podczas gdy Maria namalowała tam logo stowarzyszenia. Giuseppe, mąż Cateriny, odnowił łazienkę, używając kafelków podarowanych nam przez don Pina razem z figurką Matki Boskiej Górskiej, która stanęła na murku przy wejściu, żeby mieć nas w opiece. Kobiety szyły kolorowe zasłony, ja jeździłam po garażach i pozyskiwałam meble z drugiej ręki.

Była już późna wiosna. Dni robiły się coraz dłuższe – ku radości dzieci. Z mojego okna godziny odmierzał cień załamujący się na drzewach za potokiem Bonamico, a ja nauczyłam się je odczytywać w zależności od kąta nachylenia odcieni na wypukłościach. Moje biurko stało naprzeciwko niepewnego balkoniku, otoczonego zardzewiałą barierką z kutego żelaza, rzuconego jak trampolina na błyszczącą zieleni. Wizja miękkich, prawie okrągłych fal – Aspromonte w moich oczach i ja, dla której poruszające się drzewa były jak natapirowane włosy pięknej damy z innych czasów. Pejzaż przemawiał do mnie otwarciem i wolnością. Słońce grzało mocno, a kiedy wybijało południe, światło niszczyło wszelkie inne barwy, przekształcając całość w czarno-białą pocztówkę. Później ciemność przynosiła melancholię i zamazywała linię horyzontu. I wszelkie dźwięki zewnętrznego świata.

Aspromonte nie zna skrzących się sztyldów. Po zachodzie słońca wszystko gaśnie z wierności wobec nakazów rytmu natury. A rzeczywistością jest tylko czarny kir.

Wspólnie spędzałyśmy czas na poznawaniu siebie i opracowywaniu planów. Panie zapisane do Ruchu przychodziły do Domu Gościny na rozmowę zapoznawczą ze mną albo z młodą Tanią Giorgi, jedną z trzech córek Teresy Strangio, która wkładała mnóstwo energii w naszą działalność. Razem wypełniałyśmy zgłoszenia do stowarzyszenia, które nazwałyśmy „Rosa”, ale z pewnością nie po to, żeby przywołać moje imię. Róż był kolorem kokard wieszanych przy wejściu z okazji narodzin dziewczynek – od teraz należało być z tego dumnym, tak jak z niebieskich kokard wieszanych dla chłopców.

W kolejce na korytarzu czekało się na swoją kolej. Atmosfera była pulsująca, a rozmowa nieformalna, tylko kilka pytań, aby każdą z pań jakoś umiejscowić i zrozumieć, co mogłaby robić dla Ruchu, a przede wszystkim, co Ruch mógłby jej zaoferować. Wiele z nich miało ochotę wykorzystać swoje zdolności. Z każdą z nich wypełniałam kartę: imię, nazwisko, wiek, liczba dzieci, wcześniejsze zatrudnienie,

zamiłowania. Pod hasłem „obecne warunki zawodowe” zawsze świeciła pustka.

Tiziana, studentka prawa, dyplom w liceum matematyczno-przyrodniczym, bezrobotna singielka. Skład rodziny: matka i brat, ojca jej zabili. Matka pracowała, przeciętna rodzina, żadnych problemów z wymiarem sprawiedliwości. Poprosiłam ją również, żeby opisała swój charakter, a Maria powiedziała: „Ekstrawertyczna, sympatyczna, precyzyjna i jasna, gotowa do pracy w wolontariacie”.

Prawie wszystkie były wpisane na listę bezrobotnych w centrum zatrudnienia w Bovalino.

Teresa G., urodzona w 1970 roku, mistrzyni haftu. W rubryce „zamiłowania” podyktowała mi „nauczanie i pomoc osobom starszym”.

Wszystkie deklarowały swoją „natychmiastową dyspozycyjność w przypadku propozycji pracy i kształcenia zawodowego”. Niektóre miały zaświadczenie o znajomości techniki wyrobu delikatnych koronek klockowych z cienkiej bawełny, otrzymane po krótkim kursie w drugim okręgu dydaktycznym „Tommaso Campanella”. Były z niego dumne jak z tytułu magistra, to był jedyny kawałek papieru, jaki zdobyły w całym swoim życiu.

Na temat rodziny wolałam nie zadawać bezpośrednich pytań, ale musiałam zrozumieć sytuację, jaka panowała w domu i poziom ich problemów finansowych. Padało wreszcie nieuniknione pytanie: „Problemy z wymiarem sprawiedliwości?”, które starałam się rzucić niby od niechcienia, w sposób jak najbardziej naturalny.

Jedną z niewielu, które odpowiedziały „tak”, zapytałam: „Jakiego rodzaju problemy, proszę pani?”.

„Nie, *nenti*, nic... Cóż, tak naprawdę mój mąż kiedyś coś zrobił, ale to nic takiego...”

„Czy pamięta pani zarzut?”.

„Zdaje mi się... uprowadzenie osoby...”

Dla tej pani nic takiego.

Zorientowałam się, że przestępstw, które nie były krwawe, zdawały się prawie nie dostrzegać. Przecież to była dobra kobieta, ale pozbawienie kogoś wolności i żądanie od jego rodziny pieniędzy za uwolnienie nie było dla niej niczym poważnym. W końcu włos mu nie spadł z głowy. Kazali mu siedzieć, było mu wygodnie,

przynosili jedzenie, dobrze go traktowali. Tamten ma więcej pieniędzy od nich, a oni po prostu o nie proszą. Co w tym złego?

Następnie były wdowy, te, które w San Luca nigdy powtórnie nie wychodzą za mąż i do końca życia noszą żałobę. Tu ślub zawiera się jak najwcześniej, także dlatego, że dziewczęta pragną wyzwolić się z domu ojcowskiego. Tyle że później każdy problem należy rozwiązywać już w rodzinnych ścianach, w ciszy, a jeśli nie ma zgody, to i tak żyje się w separacji pod jednym dachem. Rozwód nie jest tutaj dopuszczalną opcją.

Jest tylko jedna legalnie rozwiedziona kobieta w San Luca, powiedziała mi o tym ona sama, wypełniając kartę zgłoszenia do Ruchu, dumna ze swojego buntowniczego wyboru. Opowiedziała mi, że to ona zostawiła męża, cały chór *comari* oczywiście próbował utopić ją w fali krytyki, ale ona umiała to zlekceważyć i doprowadzić sprawę do samego końca.

Na zakończenie zadawałam wszystkim jedno pytanie: „Jaką pracę chciałabyś wykonywać, co uczyniłoby cię szczęśliwą?”. Odpowiedź była zawsze taka sama: „Cokolwiek”.

Dom Gościny zasługiwał na inaugurację. Na przyjęcie, które zaangażowałyby wszystkich zgodnie z filozofią Ruchu otwierającego się na całe miasteczko. Wspólnota musiała być oficjalnie poinformowana, że budynek z różową fasadą i Matką Boską z Polsi przy wejściu ma aspiracje zostać świeckim ośrodkiem porad i zajęć. Domem, w którym każdy mógłby znaleźć pomoc i miejsce dla siebie, choćby jedynie czysty uśmiech, daleki od wszelkich schematów przynależności. W miasteczku, które wzniosło wewnętrzne mury wykluczenia i zamki nienawiści.

W tym domu byliśmy wszystkie takie same, a jeśli ktoś się wyróżniał, to tylko dzięki swoim zasługom.

Chciałam zwalczyć ponizający i rujnujący instynkt przetrwania, to „cokolwiek” wyznawane przez kobiety musiało wznieść się wysoko do konkretnego celu. Nie chciałam już kobiet zdolnych robić wszystko, ale kobiet gotowych na wszystko, żeby robić to, co kochają.

Zorganizowanie przyjęcia inauguracyjnego zajęło nam jakieś dwa tygodnie. Komitet kierowniczy zbierał się codziennie, tymczasem znalazłyśmy się w samym

centrum plotek. Kilka zawistnych *comare* stworzyło wyzwisko *smovimentu*, które w dialekcie wskazuje na stan podniecenia seksualnego. Ja się dobrze bawiłam, słuchając barwnych wymysłów, które dzień w dzień pojawiały się na temat mojej osoby, ale inne kobiety cierpiały z powodu pewnych pomówień. Niektóre kłóciły się z tymi plotkarami, żeby bronić Ruchu, podczas gdy ja próbowałam rozładowywać napięcie. Nie było ważne to, co myślą ludzie, ale to, co nasza wspólna działalność wnosi w życie każdej z nas.

Temu, kto się rodzi, rośnie i żyje, przez całe życie uginając się pod brzemieniem cudzego osądu, nie jest łatwo uwolnić się spod niego z dnia na dzień. W pewnych środowiskach jedynym prawdziwym despotą jest stały duch krytyki, obmowa, wyzwisko. Każda myśl, słowo i czyn są przeżywane w obsesyjnych odcieniach lęku przed *nominata* – tym, co inni powiedzą o tobie. Dobrego albo złego.

Ale niektóre z moich kobiet zaczynały pokonywać górę uprzedzeń, stawiając milowe kroki. Znały lokalną dynamikę stosunków międzyludzkich o wiele lepiej, niżby mógł je zrozumieć jakikolwiek uznany socjolog. Wiedziały, które z niepisanych praw były natury tradycyjnej, kulturowej, tożsamościowej, folklorystycznej czy kryminalnej. Ruch dał im siłę, żeby po cichu mogły wywoływać bunt.

Na oczach wszystkich toczyła się rewolucja i niektórzy się bali, ponieważ nie było dokładnie wiadomo, dokąd ona zaprowadzi, ani na ile może się okazać niebezpieczne dla społeczności San Luca przyznanie każdej kobiecie prawa do szczęścia. Ludzkiego, zawodowego i, owszem, także uczuciowego.

Pomyślano od razu, że równowaga społeczna zostanie zburzona i na koniec zagubiona. A to nie było korzystne.

I tak oto moje panie i ja stałyśmy się przyczyną skandalu, obiektem ataków innych kobiet, mniej odważnych i mniej zdolnych, które opowiadały o tym, jak się poruszamy, jak się ubieramy, o miejscach, w których nas widywano. Na oczach ludzi toczył się bezprecedensowy *reality show*, coś tak nowego, że wkładało się w umysły wszystkich ludzi, wciągając ich i intrygując. Nikt nie pozostawał obojętny. W końcu wszyscy w głębi serca chcieli stać się częścią tej dziwnej kobiecej grupy. A dowód tego nadszedł w dniu inauguracji Domu Gościny, której panie poświęciły się z drżeniem, jak panny młode szykujące swój własny ślub.

To był nasz publiczny debiut, każdy detal musiał być dopracowany do perfekcji: wystawa haftów we wnętrzu domu, szwedzki stół pełen słodczy przygotowanych przez nasze panie, logistyka i sprzątanie placu, chór dziewczęcy i przyjmowanie gości.

Data przyjęcia była wyznaczona na 19 kwietnia. Już około ósmej rano Tota zebrała grupę kobiet, które z miotłami w ręku zabrały się za sprzątanie placu Tripodiego z taką samą troską, jaką włożyłyby w sprzątanie własnego domu. Caterina zwilżała asfalt gumowym wężem, aby nie podnosił się kurz, i od czasu do czasu, udając, że się myli, przyskała wodą inne panie, które śmiały się, wołając „zdrada”. Wyglądały jak dziewczynki podczas przerwy. Rozbawione, czasem nawet bez troskie.

Teresa A. przyjechała czerwonym fiatem panda załadowanym gałązkami bluszczu, które miały pokryć zardzewiałe rynny. Była jedną z najsympatyczniejszych pań, mimo cienia pesymizmu, który nigdy jej nie opuszczał. Miała mniej więcej tyle lat co ja, ale była przybita przedwczesną śmiercią matki – zawsze ją wspominała w naszych rozmowach.

Saverina miała twarz jak lalka z porcelany, uprzejmy sposób bycia i wrodzony gust do tkanin i ozdób. Razem z Marią, Tanią i Totą R. organizowała wystawę haftów w pokojach, Antonia krążyła po miasteczku, żeby upewnić się, że słodczy będą gotowe na popołudnie.

Mój ojciec siedział przy furtce na zniszczonym krześle otrzymanym z gimnazjum i przyglądał się przygotowaniom. Wszystko odbywało się ze szwajcarską dokładnością, której nawet ja sobie tutaj nie wyobrażałam.

Dom zamienił się w muzeum. Ręcznie haftowane ubrania wysokiej jakości, kołdry, prześcieradła z jedwabiu i organzy, obrusy, ręczniki. Każdy przedmiot opatrzony był karteczką w kolorze fuksji, na której widniał pełen opis wyrobu. Dziwnie było patrzeć na te tak dobrze wyeksponowane cuda. I pomyśleć, że ta harmonia wypływała z dłoni kobiet, które rzeczy pięknych dotykały tylko w marzeniach.

Piękno w nich żyło, nie dało się tego inaczej wytłumaczyć. I właśnie to piękno ocaliło je od okrucieństwa, na jakie próbowali skazać je ich mężczyźni.

Haft dla wielu z nich był ucieczką. Jedyną. Sztuka łagodnie wyobcowująca,

przekazywana z matki na córkę, ponieważ kobietom wolno było marzyć tylko dłońmi na płótnie. A im były piękniejsze te prace, tym bardziej bolesne były światy, które ukrywały.

Pomyślałam o mojej matce, o cennej bieliźnie, którą przechowywała jak relikwię w swojej szafie na cztery pory roku, w ciemnym korytarzu domu, w którym wyrosłam. Dopiero teraz pojęłam, że tam, wśród tych krzyżykowych haftów i kwiatków złożyła swoje dziewczęce fantazje i swoje najbardziej intymne i wartościowe myśli.

Zdałam sobie nagle sprawę, że ja tych kobiet nie poznawałam od nowa. Rozpoznawałam je raczej, ponieważ uosabiały kobiety z mojej rodziny. I odbierałam je wszystkie jak siostry, miałyśmy tę samą skórę.

Na długim ganku naprzeciwko wejścia zajęli miejsca pianistka ze śpiewaczką operową i chór dziewczynek w białych koszulkach z różowymi chustkami na szyi – to był nasz mundurek na wielkie okazje. Wzrok przyciągała okazałych rozmiarów roślina przysłana przez burmistrza Reggio Peppe Scopellitiego, wszędzie pełno było polnych kwiatów i różowych baloników. Wszystko było doskonałe.

W końcu panie mogły pokryć obrusami z różowego papieru bufetowe stoły, którymi były biurka wypożyczone z gimnazjum. Ustawiły na nich tace i kosze z przygotowanymi przez siebie słodkościami i kroczyły na zmianę w procesji z talerzami wypełnionymi smakołykami.

Wydawało się, że całe zło gdzieś wyparowało, wyparte przez ludzkie ciepło uwalniające się z uśmiechów tłumu żałobnie ubranych kobiet.

O godzinie szesnastej plac był gotowy. Kiedy przyjechał wiceprefekt Giuseppe Priolo, zaczęła się uroczystość.

Musiałam wygłosić krótkie przemówienie. Wyjaśnienia, podziękowania. Wzięłam do ręki mikrofon i zdałam sobie sprawę, że ręka mi się trzęsie. Ręka, którą mi złamano w pewną noc, całą wieczność temu. Byłam tam, gdzie chciałam być, i robiłam to, co uważałam za najśluszniejsze. Podniosłam wzrok na plac – miałam przed sobą całe obserwujące mnie San Luca.

Zaczęłam.

„Kiedy postanowiłam tu przyjechać, żeby pracować nad projektami związanymi

z kulturą i produktywnością, usłyszałam, że jestem wariatką i że rzucam perły przed wieprze. Poza tym placem wielu ludzi, jeśli nie wszyscy, wierzy, że San Luca to fabryka potworów i zabójców. Przyjechałam, ponieważ sądzę, że jest inaczej, że jest tu dużo dobra, które można zasiać, a to co widzicie, jest pierwszym plonem. Dom Gościny będzie naszą kwaterą główną, domem dla wszystkich". Podziękowałam moim paniom, każdej z osobna, wybuchł głośny aplauz pełen okrzyków zachęty i oddział kobiet rzucił się, żeby mnie uściskać.

Głos zabrał świeżo wybrany burmistrz Sebastiano Giorgi – było to jego pierwsze wystąpienie publiczne. Przemówił też Giuseppe Priolo: „Tylu kobiet naraz nie widuje się nawet z okazji pogrzebów w San Luca", zaczął z uśmiechem. „Prefektura w Reggio Calabria wyczuła, że trzeba postawić na odrodzenie po smutnych wydarzeniach w Duisburgu. Ten rezultat nas cieszy, o ile sięgam pamięcią, nigdy nie widziano tu takiego zaangażowania". Don Pino Strangio poświęcił dom Matce Boskiej z Polski i odsłonił figurkę, która królowała nad wejściem. Nastąpiło przecięcie wstęgi, jak podczas każdej szanującej się inauguracji.

To był naprawdę dobry początek. Choć dopiero początek. Ale było to pierwsze święto dla ludzi zorganizowane w miasteczku po nawrocie wendety.

Była siódma wieczorem, a plac jeszcze nie opustoszał. Byłam wykończona, od wielu godzin zmuszałam moją połamaną nogę, żeby z godnością wytrzymywała zuchwały dziewięciocentymetrowy obcas i nie mogłam się doczekać, kiedy usiądę. Na ziemi zostały ślady po przejściu nadpobudliwych chłopców, którzy rozsiali wokół słodycze i serwetki. Nagle zobaczyłam jakąś szarowłosą panią w zielonej bluzie z rękawami podwiniętymi za łokcie. Chwyciła za miotłę i zaczęła zamiatać za jednym zamachem placyk Tripodiego, nawołując inne, żeby nie patrzyły i nie stały beczynnie. To było moje pierwsze spotkanie z Saverią Giorgi, mistrzynią krosien. Następnego dnia kobiety z San Luca pojawiły się na pierwszej stronie w *Gazzetta del Sud*, telewizja Rai Tre pokazywała materiał z placyku wypełnionego po brzegi kobietami, a dziennik *Avvenire* tytułował: „San Luca, odrodzenie zaczyna się od róży".

Jaka to przedziwna sprawa. Mówiło się o San Luca, a poznikały słowa wendeta i 'ndrangheta.

Minęło dopiero osiem miesięcy od rzezi w Niemczech.

- 1 Chce pani trochę czereśni? (dial. kalabr.).
- 2 Jaka ona maleńka! (dial. kalabr.).
- 3 Trzymasz z policjantką (dial. kalabr.).
- 4 Że jesteś gliną (dial. kalabr.).
- 5 Opowiadania z dawnych czasów (dial. kalabr.).
- 6 Mniej bólu w kościach (dial. kalabr.).
- 7 Cios łaski (franc.)
- 8 Południowowłoska odmiana jabłek.
- 9 *Długa noc Medei.*
- 10 Co ty wyprawiasz? (dial. kalabr.).
- 11 A widziałaś, że tamta... (dial. kalabr.).
- 12 Państwo jest ojcem wszystkich ludzi (dial. kalabr.).
- 13 Kim ja jestem (dial. kalabr.).
- 14 Nie ma problemu, do usług (dial. kalabr.).
- 15 Wujek Silvio (dial. kalabr.).
- 16 Widziałaś, że jest tu ta Canale? (dial. kalabr.).

VI CZARNY TYP

Brygadier Carmine Tripodi był przystojnym dwudziestopięciolatkiem, pochodzącym z obszaru Salernitano, i dowodził jednostką karabinierów w San Luca. Znalazł miłość w Bianco, miasteczku przy drodze krajowej 106, obok Bovalino. Data ślubu była już ustalona.

Tego wieczora, 6 lutego 1985 roku jego Antonella, nauczycielka ze szkoły podstawowej, czekała na niego z kolacją, czekała godzinami – na próżno. Może w pewnym momencie przeczuła ze strachem, że nie spotkają się przy ołtarzu ani miesiąc później, ani nigdy.

Około dwudziestej pierwszej Tripodi jedzie swoim fiatem 132 drogą wiodącą z San Luca w kierunku Morza Jońskiego. Zatrzymują go trzech mężczyźni. Strzelają do niego ze śrutówki i z pistoletu. On zdąża odpowiedzieć na ogień, rani jednego z nich. I umiera. Zabójcy oddają mocz na jego zwłoki.

Oprócz Corrada Alvaro bohaterem z San Luca jest brygadier Carmine Tripodi. Została mu poświęcona tablica w miejscu, gdzie został zabity, kilka metrów od gimnazjum, przed zabudową mieszkalną, a także nowe koszary przy via Potamia, najwyższy budynek w San Luca wznoszący się nad stertą ukończonych i nieukończonych domów. Na ceremonii otwarcia w kwietniu 2011 roku nieliczni przybyli mieszkańcy stali na obrzeżach, wyglądając zza barierki szkoły podstawowej. Przy tej okazji burmistrz Sebastiano Giorgi poprosił o przebaczenie dla zabójców Tripodiego w imieniu całego nieobecnego miasteczka San Luca.

Pechowy brygadier użył swojego nazwiska także placykowi przy starych koszarach, na który wychodzi Dom Gościny. Historia tego okrutnie zabitego młodego człowieka rozbrzmiewała echem w wielu miejscach, być może zbyt wielu, jakby mieszkańcy chcieli sami sobie o tym przypominać na każdym kroku i w każdej chwili, z brutalnością, którą zostali już pobrudzeni.

Niektóre głosy ludu przekazują, że młody Tripodi o gęstych brwiach, zmrużonych oczach i uroku hollywoodzkiego aktora został zabity z przyczyn niezwiązanych z jego

zawodem. Mówi się, że żywił niebezpieczną skłonność do płci pięknej, a kobiet w San Luca się nie dotyka. Zwłaszcza cudzych kobiet. Ale jego biurko było pełne zbyt wielu akt, by doszukiwać się motywu innego niż pogrzebanie go razem z jego prawdami i udzielenie lekcji temu, kto przyjdzie po nim.

Były to mgliste lata uprowadzeń, kalabryjskie *'ndriny* w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przeprowadziły dwieście siedem porwań. Klany z San Luca, razem z rodzinami z Platì i Natile di Careri, były ich niekwestionowanymi bohaterami, jako że dysponowały doskonałymi kryjówkami i nienaruszalną siatką układu nerwowego Aspromonte. Miliardowy biznes, dzięki któremu *'ndrangheta* zbudowała imperium budowlane w Kalabrii, monopolizując w kolejnych latach przetargi publiczne, aby później z kolei zainwestować zyski w bardziej dochodowy biznes – przemyt narkotyków.

Porwania skończyły się w 1991 roku – w roku pokoju mafijnego w Reggio Calabria, trudno uwierzyć w zbieg okoliczności. Najwyraźniej młodzi i bardziej dalekowzroczni ojcowie chrzestni zrozumieli, że tak jak wcześniej należało powstrzymać rzeź, która ściągnęła zbyt wiele uwagi na stolicę regionu, tak teraz, z tego samego powodu, należało ukrócić handel ludźmi. Aby powrócić, znów się ukryć i zająć się poważniejszymi przedsięwzięciami z dala od świateł reflektorów.

Tripodi prowadził dochodzenie w sprawie niejasnych wątków dwóch uprowadzeń, a konkretnie: inżyniera neapolitańskiego Carla De Feo, porwanego w Casavatore w styczniu 1983 roku i uwolnionego rok później w Oppido Mamertina, i Giuliana Ravizzy, „króla futer” *Annabella* z Pawii, który pozostawał w rękach oprawców od 24 września do nocy Bożego Narodzenia 1981 roku. Dwa uderzenia, które kalabryjskiej mafii przyniosły ponad osiem miliardów lirów okupu.

Brygadier szukał także współwinnych z szarych stref. Skupił się na rodzinie Francesca Strangio zwanego *Ciccio Barritta*, który już wcześniej wylądował w więzieniu za uprowadzenie Ravizzy. I dzięki jego dochodzeniu sąd w Pawii otworzył kolejne postępowanie przeciw pięciu osobom, wśród których znalazł się don Giovanni Stilo, znany kapłan z Africo, wielokrotnie zamieszany w mafijne śledztwa i za każdym razem uniewinniany.

Karabinierzy z San Luca z podziwem wspominają skuteczne metody brygadiera,

który pewnego dnia zdołał samodzielnie aresztować przestępcę ukrywającego się w głębi Aspromonte. Wmówił mu, że jest otoczony przez wielu wojskowych, a tak naprawdę był tam tylko on sam. Związał przestępcę drutem i trzymał go w szachu oczekując na posiłki.

W sprawie De Feo, Tripodi doprowadził natomiast do aresztowania dwudziestu dziewięciu miejscowych przestępców i sześciu kamorzystów neapolitańskich. Dzień przed zabójstwem brygadiera Carlo De Feo wrócił do San Luca z sędziami, żeby rozpoznać miejsce swojego więzienia. Carmine Tripodi szedł u jego boku.

Na środku placu przy starych koszarach w San Luca stoi mauzoleum, coś w rodzaju rzymskiej kolumny, poświęcone Tripodiemu. Obok fontanna pozbawiona wody, dwie bujne palmy, zaniedbane klomby. Pusto.

Wiosenne wieczory były dziwnie łagodne jak na miejscowość u stóp Aspromonte. Z czystym, chłodnym powietrzem. Lubiłam palić na schodkach przed domem. Przy wejściu nie było światła, tak więc czułam się niewidzialna, poza zasięgiem, oświetlona jedynie żarem papierosa. Obserwowałam plac i mówiłam sobie, że ów widok jest zbyt przygnębiający.

Niebo było pokryte czarującym haftem gwiazd. W oddali głosy, sylwetki. To byli karabinierzy z San Luca, których dostrzegałam przez drucianą siatkę okalającą koszary. Oni też wychodzili na podwórze zapalić. Rozmawiali przez komórkę z rodzicami, żonami, narzeczonymi. Najstarszy z nich nie mógł mieć więcej niż trzydzieści trzy lata.

Ciągle żyli w okopach. Daleko od domu, w obcym i wrogim miejscu, wśród samych mężczyzn, za drucianą siatką oddzielającą dwa przeciwległe światy – miasteczko uważane za stolicę przestępczości i twierdzę suwerennego państwa. Państwa, które tutaj doświadczyło sporo nieszczęść, tak nieodpowiednio umieszczone w zdezelowanym budynku z mniej więcej piętnastoma pokojami na górnym piętrze, gdzie, jak mówią, podczas silniejszych ulew deszcz padał prosto na łóżka. Stare koszary nie miały klimatyzacji, a ogrzewanie nie wiem dokładnie, czym było zasilane. Był też pokój z kuchnią, telewizor. Żeby spędzać tam wolny czas. Była pani, która przychodziła sprzątać i gotować.

Jeśli San Luca jest już odrębnym światem, to oni stanowią jeszcze odrębną

planetę. Tu karabinierzy są przede wszystkim karabinierami. Nawet ludźmi są dopiero później. Odizolowani, unikani i przekłęci. Po prostu *carrabbuneri*, słowo niemiłe już w samym brzmieniu i na dodatek wymawiane z pogardą.

Kobiety nie przechodziły nigdy tą drogą same. Większości z nich nie śniło się nawet, żeby ich pozdrowić. Nie rozmawiały z nimi.

Prawdopodobieństwo, że dziewczyna z San Luca zakocha się w mężczyźnie w mundurze jest znikome. A gdyby jakimś dziwnym trafem miałyby się to kiedykolwiek zdarzyć, wówczas dla niej i dla rodziny byłoby to nieszczęście gorsze niż choroba.

Tu istnieje mężczyzna – rodzaj męski, liczba pojedyncza. Kobieta – rodzaj żeński, liczba pojedyncza. I karabinier – nikczemnik, liczba pojedyncza. Jedyne w swoim rodzaju.

Podczas spotkań z kobietami próbowałam tysiąc razy podjąć ten temat. Dać im do zrozumienia, że pod mundurem znajdują się istoty ludzkie, które za głodową pensję ryzykują życie, żeby zagwarantować wszystkim bezpieczeństwo. Tak, im też. „Nie mówię o tych, którzy nadużywają władzy munduru i odznaki”, precyzowałam, „ale nie można wszystkich sądzić w ten sam sposób i wszystkich nienawidzić. To tak, jak mówią, że w San Luca jesteście wszyscy mafiosami – czy to może prawda? Nie. A więc to dotyczy także karabinierów”.

Kobiety się rozpały, dzieliły. „*Si non era pi iddi, a chist'ura u paisi era ruvinatu*¹, musimy im raczej podziękować”, zaskoczyła mnie jedna z nich. „Czego wy chcecie od chorążego D'Alfonso? To prawdziwy mężczyzna, pełen szacunku i dobrze wychowany”, powiedziała inna, i podniosły się głosy ją popierające: „*E' veru*², to dżentelmen”. Aż jedna postanowiła wyrecytować sentencję kończącą całą dyskusję: „Dżentelmen czy nie, *esti nu carrabbuneri*”³.

Zawsze odbywało się to w ten sam sposób, w pierwszej chwili przyznawały mi rację, a potem temat zamierał, ponieważ rzadko kiedy zmieniają swoje poglądy. Inne przytakiwały, żeby mnie nie zdenerwować, być może myślały, że ja naprawdę mogę zmienić pewne rzeczy w San Luca, one jednak nie były gotowe nic zmienić w swoim sposobie bycia i działania.

Później śmiałyśmy się również z tego. Kiedy żartowałam, mówiąc: „Nie

uważacie, że komendant to przystojniak? Bo moim zdaniem tak". One szczebiotały: „*Ih, paramai!* Wiąż się z kim chcesz, ale z *carrabbuneri* nie!".

Mogłam się zaręczyć z kimkolwiek. Ale nie z jedynym w swoim rodzaju nikczemnikiem.

Może to nieuniknione. W pewnych opowieściach słyszy się o karabinierach, którzy podczas przeszukiwań przekraczają wszelkie granice przyzwoitości. I tak oto obok groźnej figury zbója pojawia się szeryf – postać w mundurze, która nie służy mundurowi, ale go wykorzystuje, kierując się tą samą filozofią co zbój, chociaż stoi na przeciwnym brzegu fosy.

Od moich pierwszych dni w szkole słyszałam, jak dzieci szepczą o czarnym typie. I myślałam, że to ta sama co zawsze postać z wyobraźni, czarny typ. Później, słuchając ich długo, nie mając jednak śmiałości zapytać, doszłam do tego sama – czarny typ to karabinier. Ten, który wpada do domu w nocy, w czarnym stroju i czarnej kominiarce, i wywleka ich tatę. Wyważone drzwi, wykrzyczane rozkazy, wyrócone szuflady z bielizną, nawet kiedy aresztowany jest bez broni i stoi już w drzwiach wejściowych w piżamie, gotowy się poddać.

Wiem, że niektóre działania są ryzykowne i nie tak łatwo zapanować nad napięciem, ale trudno, żeby dziecko, obudzone nagle przez nieznane hałasy w sercu nocy, które widzi, jak ci mężczyźni brutalnie wchodzą i zabierają ze sobą ich ojca, już jako osoba dorosła było w stanie odpowiednio rozdzielić winę od odpowiedzialności.

Dla tego dziecka karabinier pozostanie czarnym typem, który pewnej nocy zabrał mu najukochańszą osobę. A póki jest mały, żeby go zastraszyć, wystarczy powiedzieć: „Jeśli nie będziesz grzeczny, zawołam czarnego typa".

Opowiadano mi także o innych wojskowych, którzy pukają, zamiast się włamywać, i mówią spokojnie: „Wasz dom jest otoczony, przygotujcie torbę z ubraniami na zmianę i chodźcie z nami". I o kobietach, które do wojskowych, mających właśnie wyburzyć ścianę salonu w poszukiwaniu bunkra dla ukrywających się przestępców, zwracają się uprzejmie, jakby zwracały się do pracowników firmy budowlanej: „A nie ma z wami chorążego? Nie moglibyście po niego zadzwonić? Nie chcę was urazić, ale on tę pracę wykonuje dobrze, nie brudzi".

Wszyscy chłopcy z koszar byli sympatyczni. Komendant był jak niedźwiedź

brunatny o sztywnych manierach, ale w sumie dobry niedźwiedź, filozoficznie akceptujący swoją klatkę.

Po południu placyk Tripodiego zapełniał się dziećmi. Hałas wznosił się pod niebiosa, od czasu do czasu ktoś upadał podczas zabawy i wchodził do Domu Gościny, żeby się opatrzyć. Ja w pewnym momencie mogłam jedynie pożegnać się z kobietami, aby dołączyć do ich dzieci. „Jesteś bardziej dzieckiem niż one!”, krzyczała do mnie Caterina.

Punktualnie o szóstej wybuchała *la sciarra p'a bicicletta* – walka o jeden jedyny rower na zbyt wiele dzieci. A ja byłam niemal przewracana przez falę płaczących maluchów, które domagały się mojej interwencji. Tak więc, aby demokratycznie zdecydować, kto ma prawo do pierwszego okrążenia, spisywaliśmy wspólnie imiona dzieci na karteczkach, losowaliśmy i nikt już więcej nie mówił ani słowa. Umowa była taka, że dojeżdża się do rogu i z powrotem, ale niektórzy cwaniacy poszerzali okrążenie, a inne dzieci, czekające na swoją kolej na schodkach wejściowych, biegły za nimi i krzyczały. Rozlegały się straszne wrzaski i tupot.

Okna koszar wychodziły prosto na plac. Zastanawiałam się, jak oni mogą pracować w tym hałasie, który nie zdawał się mieć końca, przeciwnie, teraz nadchodził czas na dwa ognie. Okrąg dzieci zajmował całą przestrzeń i w miarę, jak grały, inne wyłaniały się z okolicznych uliczek i dołączały do nas, podczas gdy matki gadały, siedząc na murkach okalających klomby.

Placyk wreszcie ożył.

Piłka przemykała szybko nad głowami małych graczy, wszyscy uchylali się na bok, aż w pewnym momencie zdarzyło się nieuniknione. Piłka wylądowała na podwórzu koszar. I od razu wyszedł chorąży.

„Przepraszam, nie chcecie nas aresztować, prawda?“, powiedziałam mu, szeroko się uśmiechając. „Trochę dziś hałasowaliśmy. Tak, to prawda, wczoraj też, i przedwczoraj!“.

„Gdzie tam“, odpowiedział nieoczekiwanie. „Przynajmniej przerywacie tę monotonię. Dla nas to nie problem, przeciwnie, dotrzymujecie nam towarzystwa“.

„Widzieliście, kochani?“, zwróciłam się do moich towarzyszy zabawy. „To szczęście mieć tak dobrego chorążego“. I niektóre dzieci były już przy furtce, gotowe

wejść do koszar, żeby odebrać piłkę.

Dzieci z San Luca miały przekroczyć próg domu czarnego typu.

Z zepsutej bramy wyszli inni karabinierzy, jeden z nich chwycił na ręce biegnące najmniejsze i najbardziej żywe dziecko, które w odpowiedzi ukradło mu czapkę i rzuciło się na ziemię, żeby potem puścić się biegiem bez wytchnienia po podwórzu, a kaprał ruszył za nim w pościg, udając, że nie może go dogonić.

Scena jak z niemego filmu. Wszyscy się śmialiśmy.

Po chwili karabinier złapał łobuza, podniósł go, a mały wcisnął sobie na głowę tę zbyt dużą czapkę. Dziecko z San Luca w wojskowej czapce. Karabinier trzymający je na rękach jak trofeum. Dwa odrębne światy, które się przecinają, zaczynają się poznawać. Uśmiechają się nawet do siebie.

Wyszli inni kaprale i na podwórzu zaczęło się prawdziwe święto – wszystkie dzieci miały na głowach czapki karabinierów. Gdyby tylko zobaczyli to ich rodzice, myślałam... A dziewczynki z głębi placyku robiły zdjęcia komórkami.

Odzyskaliśmy naszą piłkę, ale dzieci siedzące na krawężnikach chodników wydawały się zmęczone. Chorąży obserwował nas rozbawiony, a ja ośmieliłam się przedstawić prośbę, z którą już wcześniej chciałam się do niego zwrócić, za każdym razem, kiedy patrzyłam na umierające klomby: „Czy mógłby pan skierować tam wasze węże z wodą, napoilibyśmy te rośliny?”. On skinął, że tak, naturalnie.

Podlaliśmy zieleni i zebraliśmy papierki z ziemi. Placyk Tripodiego zmienił oblicze.

Odpoczywaliśmy, siedząc w kółku na ziemi, aż zaczęły rozbrzmiewać przywoływania matek – zaraz będą podawać kolację do stołu. Czasem były to krzyki rozdierające ciszę, ostre, przedłużone, przezabawne: *Pascaliiiiii, veni a casaaaaaa!*⁴.

Zostałam sama, podczas gdy zapadał zmierzch. Sama z piłką siedziałam na ziemi.

Lubiłam, kiedy dzieci bawiły się wokół mauzoleum brygadiera Tripodiego. Wszystkie, nawet najmłodsze, wiedziały, kim był i co mu się przydarzyło. Niektórzy dorośli natomiast twierdzili, że należy absolutnie chronić plac przed zabawami i hałasem jako święte miejsce pamięci. Odpowiedziałabym im z eleganckim prychnięciem, gdyby nie to, jak mówi mój ojciec, że nauczyłam się najpierw liczyć do jedenastu.

Dzieciom, przeciwnie, dobrze robił kontakt z tym symbolem, bo ich język był instynktowny, jeszcze niezanieczyszczony życiem. Jeśli ktoś wspiął się na kolumnę, nie znaczyło to, że brak mu szacunku dla pamięci brygadiera, znaczyło to, że wchodzi z nim w dialog, rozpoznaje go i żyje nim w jedyny sposób, w jaki dziecko może zbliżyć się do historii.

Dwa ognie o szóstej wieczorem były stałym punktem dnia. Wiedziałam, że dzieci na mnie czekają i kiedy naprawdę nie mogłam przyjść, czułam, że mój dzień jest niepełny. Ale prosiłam, żeby czekały na mnie dłużej, żebyśmy razem podlali rośliny, którymi zajęły się ich matki, przywracając godność środowisku. Poprosiliśmy gminę o otwarcie fontanienki, tymczasem nasi przyjaciele karabinierzy przeciągali krótki wąż ze swoją wodą.

Pewnego popołudnia, wśród krzyków i gonitw, dzieci w końcu straciły wszelkie podejrzenia co do wojskowych. Teraz jeśli piłka wpadła na podwórze, ścigali się, kto wejdzie do koszar, żeby ją odebrać – i chłopcy, i dziewczynki.

Dom Gościny miał jeszcze mało przytulny wygląd. Kuchnia była już zamontowana, ale brakowało wielu rzeczy, a ja bardzo chciałam podziękować chłopcom z koszar dobrym ciastem domowej roboty, przygotowanym z ekologicznych jaj. Nie miałam jednak przyborów kuchennych, tak więc poprosiłam zaprzyjaźnioną panią, żeby upiekła mi biszkopt. Ona szybciotko się uwinęła, przyniosła mi go kilka godzin później, wyglądał wspaniale. Krótco przed porą kolacji zapukałam do koszar z paczuszką w dłoni. Wyjrzał komendant.

„Dobry wieczór, to jest ciasto dla pana chłopców – w podziękowaniu. Także za wodę...”

„To ja pani dziękuję, Rosy, nie trzeba było”.

Wystarczyła jedna noc i wybuchło piekło. Kobieta z Ruchu przygotowała ciasto dla czarnych typów!

Jakaś lokalna czujka, szpiegująca, kto wchodzi i wychodzi z jednostki, z pewnością wysledziła trasę oskarżonego biszkoptu – z rąk przyjaciółki, która go przyniosła do Domu Gościny, trafił do moich, a ja przekazałam go wojskowym.

Nastąpiło wielkie poruszenie. Niektórzy płakali, niektórzy zaprzeczali. Wyglądało to jak komedia omyłek, co tak straszego mogło być w podziękowaniu uczynnym

osobom za pomoc, częstując zwykłym biszkoptem? Jednak w karabinierach widziano przede wszystkim nikczemników, a nie ludzi z sercem, którzy chętni są także do pomocy. Ciemne typy, a dopiero w drugiej kolejności młodzi ludzie bawiący się z dziećmi.

Miałam wrażenie, że cokolwiek by się robiło w San Luca, zawsze jest ryzyko, że robi się źle. Było mi bardzo przykro z powodu przyjaciółki, której nie powiedziałam, jakie będzie przeznaczenie jej pachnącego i puszystego biszkoptu. Nie przywiązując wagi do tego szczegółu, wykazałam się niewybaczalną naiwnością. I z obrzydzeniem zdałam sobie sprawę, że są ludzie aż tak złośliwi, którzy potraktują ten epizod jak sprawę wagi państwowej. Państwa San Luca. Tego samego zresztą państwa, które 6 lutego 1985 roku, zabijając Carmine Tripodiego, rzuciło wyzwanie prawdziwemu państwu burząc niepisane prawo zabraniające dotykać karabinierów, ponieważ napad na człowieka z służb porządkowych był zwiastunem nieszczęścia dla całej wspólnoty.

Ale 'ndrangheta, nieustępliwa w dążeniu do celu, chciała osiągnąć co innego, pragnęła wytyczyć jasne dla wszystkich granice, po których przekroczeniu istnieje tylko śmierć. Ostentacja władzy przekuta w czyn w chwili, gdy odważny brygadier, przedstawiciel państwa włoskiego w San Luca, kończył swoje dochodzenie rozpracowujące lokalne klany. Pięć dni później miał być przeniesiony do Santa Caterina dello Jonio.

Nauczycielka z Bianco marząca o spotkaniu głębokich oczu Carmine przed ołtarzem, dwudziestojednoletnia dziewczyna, która tamtego wieczoru na próżno na niego czekała, podczas pogrzebu leżała w nieskończoność na trumnie ukochanego. Ich dom w Santa Caterina był już gotowy.

To ona nalegała, żeby na miejscu zasadzki postawić tablicę ze zdjęciem, która w latach bezpośrednio po zabójstwie będzie wielokrotnie niszczona. Ale świeżych kwiatów nigdy nie zabrakło, może przynosiła je nadal ona, zaręczona we wspomnieniach na wieki z młodym bohaterem, nawet teraz, kiedy ma szczęśliwe małżeństwo, rodzinę, życie. Dziś Antonella jest jasnowłosą wysoką atrakcyjną kobietą. Stała obok mnie podczas uroczystości otwarcia nowych koszar. Mówią, że wciąż nosi na nadgarstku zegarek swojego brygadiera.

Nie znaleziono winnych zabójstwa Carmine Tripodiego. Z domniemanych

członków oddziału, trzech młodych mężczyzn w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, aresztowanych krótko po wydarzeniu, dwóch zostanie uniewinnionych razem z innymi ośmioma oskarżonymi o popieranie zbrodni. Trzeci, Salvatore Romeo, znajdzie się natomiast wśród ofiar rzezi z 17 stycznia 1990 roku: czterech członków klanów z San Luca zostało zabitych w miasteczku Germignano, na obszarze Varesotto, podczas próby uprowadzenia córki przemysłowca. Zabici przez karabinierów. W dantejskim odwecie.

1 Gdyby nie oni, nasze miasteczko już dawno ległoby w gruzach (dial. kalabr.).

2 To prawda (dial. kalabr.).

3 Zawsze to karabinier (dial. kalabr.).

4 Do dooooouuuuu! (dial. kalabr.).

VII

ŻONY ZABÓJCÓW

Światła radiowozów przerywają noc i wciskają się przez okiennice, rzucając cienie na ścianę przy łóżku. Obce głosy, warkot szybkich silników, opony zgrzytające na asfalcie.

Tak jak Nowy Jork, San Luca jest miastem, które nigdy nie śpi.

Operacje policji, wtargnięcia, przeszukiwania, aresztowania. Rzeź w Duisburgu umieściła miasteczko w samym centrum rubryk kryminalnych.

A przecież wendeta wydawała się zakończona, zatopiona w wirze śmiertelnej nikczemności. To właśnie liczyło się przede wszystkim dla ludzi – nie wracać już do średniowiecza, które nasączyło ciemnością miesiące między Bożym Narodzeniem 2006 a *Ferragosto* 2007 roku.

W naszych rozmowach od serca kobiety próbowały wytłumaczyć mi dogłębnie, jak ten czas je doświadczył. San Luca zmieniło się w dom kobiet, mężczyźni stali się niewidzialni. Czekali na odpowiedź, odwet, przerażającą zemstę. Nowe i niespodziewane jatki. Wszyscy obawiali się, że zostaną w to wmieszani przez pomyłkę, przez następstwa czy więzy rodzinne.

Po masakrze w Niemczech temu, kto tutaj przyjeżdżał, wydawało się, że eksploruje nową Atlantyde – świat legendarny, być może zaludniony przez trzygłowe potwory. Obce miasteczko stawało się celem pielgrzymek dla osób każdego pokroju, które miały nadzieję zdobyć sławę choćby na jeden dzień, poplaskać się w blasku, jaki gwarantuje wszystkim ten kawałek Aspromonte. Wszystkim, łącznie ze mną.

Ale San Luca nie jest przestrzenią mitologiczną. Jest tylko autentycznym *gdzie indziej*, rzeczywistym i oddzielonym od całej reszty świata.

Jest świat, a potem jest San Luca, które znajduje się poza prawdziwym światem. Jest odmiennym bytem, obdarzonym specyficzną organizacją społeczną i umysłową, która dotyczy jedynie San Luca i wyraża się w dwóch czynnikach: zacofaniu kulturowym i awangardzie kryminalnej.

Nowy burmistrz Sebastiano Giorgi bardzo się różnił od Giuseppe Mammolitego,

i to nie tylko ze względu na przynależność polityczną. Mammoliti z ówczesnej partii Ds, Giorgi z Pdl. A raczej, jak zawsze dobitnie podkreślał: „Ja nie jestem z żadnej partii, jestem z Berlusconi przez całe moje życie. Nie jestem z Pdl, *sugnu con Silvio*¹, a kiedy umrze Silvio, zmienię partię”. Taki był Sebastiano. Spontaniczny, posługujący się barwnym językiem i gestykulacją, często niepowstrzymany w swoim słowotoku, z dwoma wszechobecnymi przerywnikami używanymi w każdych okolicznościach. Kiedy je słyszałam, za każdym razem nie mogłam powstrzymać uśmiechu: „Teraz ty mi musisz powiedzieć jedno” i „podam ci przykład”. Człowiek szczerzy, niewyrachowany, przez co popełniał czasem straszliwe gafy. Dziennikarce ze szwajcarskiej telewizji, pytającej go o Polki podczas święta Matki Boskiej, odpowiedział w rozmowie na żywo: „Ale dlaczego Niemcy oburzają się tak bardzo na rzeź w Duisburgu? My zabiliśmy sześciu ludzi w Niemczech, a oni wybili sześć milionów w całej Europie!”. Albo innym razem skarżył się na kobietę, która codziennie przychodziła do urzędu gminy protestować przeciw odbudowie zewnętrznego murku przed swoim domem, która, jej zdaniem, została bardzo źle przeprowadzona: „Ale dlaczego wciąż się mnie czepiają?”, chlapanął w pewnym momencie Sebastiano, nie przejmując się, że tuż obok niego stoi inna dziennikarka gotowa przeprowadzić z nim wywiad. „Albo na mnie donoszą, albo do mnie strzelają. Tak to tutaj działa”.

Według niego źródłem wszelkiego zła w miasteczku jest ustanowienie instytucji Parku Aspromonte, która obejmując ochroną dużą część terytorium San Luca, jednym ruchem wymiotła pięćset zakładów owczarskich utrzymujących drobną gospodarkę w tej strefie. „Teraz, przepraszam, jeśli pani nie ma co jeść, to co pani robi? Ja nigdy zresztą nie zrozumiałem”, ciągnął swoje rozważania, „dlaczego żeby uwolnić zająca, zakłada mu się mikrochip i wydaje na to dziesiątki tysięcy euro”. Opowiadał, że w ostatnich latach wzrosła liczba młodych ludzi, którzy zwracają się do urzędu gminy z prośbą o zatrudnienie, choćby tymczasowe, i że gdyby San Luca było naprawdę *mammą 'ndranghety*, „ta droga byłaby cała wybrukowana stueurowymi banknotami”. Największym problemem gminy z jego punktu widzenia był brak dofinansowań państwowych, które mogłyby zapewnić spokój na terytorium jeszcze rozbitym po wielkich powodziach z lat pięćdziesiątych i siedemdziesiątych: „Blokowane są na

przykład budowy szklarni, ponieważ znajdują się na terenach niestabilnych hydrogeologicznie. Ludzie nie są w stanie już żyć z samego rolnictwa i zbioru oliwek". Przytaczał projekty władz miasta, które pragnęły dawać pracę byłym więźniom i ich rodzinom, mówił o wieloletniej bolączce urzędów pocztowych bez listonoszy, o zablokowanych etatach w *Guardia Forestale*. Krótko mówiąc, nie tracił okazji, żeby powtarzać, że 'ndrangheta – zakładając, że istniała – jest tylko jednym z tysięcy problemów. „I jakkolwiek inicjatywę podejmiemy, starając się te sprawy zmienić”, dodawał, „na zewnątrz nigdy to nie będzie pasowało; o San Luca teraz już trzeba mówić w pewien konkretny sposób. Ale ja nie odejdę”, kończył z dumą swoje przemówienia, które były zawsze niczym wiece wyborcze, nawet jeśli to byliśmy tylko ja i on przy filiżance kawy. „Ja tu się dobrze czuję i nadal wierzę w moje miasteczko”.

Pewnego dnia Sebastiano przyszedł mi zakomunikować, że przygotowywana jest wielka demonstracja antymafijna i że będzie gościł licznych i ważnych przedstawicieli różnych instytucji. Był kwiecień. My byłyśmy zajęte urządzeniem Domu Gościny w związku z jego otwarciem, pracowałyśmy bez ustanku, nie mogłyśmy sobie pozwolić na rozważania o jakimś marszu.

Dom był otwartym placem budowy, korytarz jeszcze zasypany pudełkami z kafelkami do łazienki. Mąż Saveriny zorganizował nam szyby do okien, inne kobiety przyniosły kilka krzeseł, stolik, dwa garnki i ekspres do kawy na piętnaście filiżanek. Stolarz, znajomy Teresy A., wypiaskował bramę wejściową, wydobywając ją na światło dzienne. Ja zapisywałam wszystko w dzienniku, a każdego dnia pojawiały się nazwiska nowych towarzyszy podróży, którzy wzbogacali nasz dom swoim udziałem, wszystko jedno małym czy dużym.

Miała nas odwiedzić organizatorka antymafijnej demonstracji zaplanowanej na 13 maja 2008 roku. Zwołałam panie na zebranie i poprosiłam je, by przemawiały z umiarem, żeby uniknąć nieporozumień, ale żeby się też nie wahały i mówiły to, co uważają za stosowne i konieczne. To była kolejna okazja do pokazania, że kobiety z San Luca nie są tylko nieświadomymi wieśniaczkami ubranymi na czarno.

Jedynym uporządkowanym pomieszczeniem było biuro i tam właśnie przyjęłyśmy elegancką, mniej więcej pięćdziesięcioletnią, panią w ciemnych okularach, w apasce,

z markową torebką i zdecydowanie niekalabryjskim akcentem.

Adriana Musella jest przewodniczącą stowarzyszenia *Riferimenti*, które co roku organizuje *Giornata della Gerbera gialla*². Inicjatywa bierze nazwę od rozkwitającego w maju kwiatu, ponieważ w tym właśnie miesiącu przypada smutna rocznica licznych zbrodni mafijnych we Włoszech, począwszy od Portella della Ginestra w 1947 roku po zabójstwo Peppina Impastato w 1976; od rzezi w Capaci w 1992 po zabójstwo Gianluca Congiusty w Siderno w 2005. Także ojciec Adriany, przedsiębiorca z Salerno, Gennaro Musella, jest niewinną ofiarą maja. Zginął w samochodzie-pułapce w Reggio Calabria 3 maja 1982 roku.

Kobieta wyjaśniła nam swój styl promowania antymafijnej kultury, począwszy od uświadamiania dzieci w wieku szkolnym. Była zmuszona mówić bardzo głośno, ponieważ w pokoju obok Antonella, kierowniczka chóru, uczyła dziewczynki piosenki *Strada facendo*, którą miały wykonać podczas uroczystości otwarcia domu. Byłam całkowicie rozproszona przez ten podkład muzyczny płynący zza ściany: *Strata facendu, vetraaai!* Claudia Baglioniego w nowym wykonaniu z akcentem z San Luca, tak bardzo chciało mi się śmiać, że nie mogłam patrzeć innym w oczy. Tota siedziała naprzeciwko mnie, jej twarz płonęła, i z tego samego powodu, z jakiego ja uciekałam przed jej spojrzeniem, ona uciekała przed moim.

Na ratunek przyszła nam właścicielka domu – gwałtownie otworzyła drzwi i zaczęła krzyczeć: „*Dotturessa*, mój mąż nie żyje od ośmiu miesięcy, jeśli go zawołam, to jeszcze odpowie, a wy im każecie śpiewać w moim domu?”. Starłam się ją uspokoić, ale wyszła tak samo gwałtownie, jak wpadła, najpierw jednak uciszyłam chór.

Panie nie wiedziały, czy śmiać się, czy płakać. Przeprosiłam Adrianę Musellę, a kiedy się z nami pożegnała, wytłumaczyłam im, także tym, które miały w rodzinie problemy z wymiarem sprawiedliwości, jak ważna jest nasza obecność w pochodzie. Po wyrazie ich twarzy poznałam, że nie wszystkie są o tym przekonane, ale naprawdę musiałyśmy się tam pojawić. Byłaby to nasza publiczna deklaracja, że kobiety z San Luca nie są takie, jak się je przedstawia: strachliwe, spiskujące i działające w złej wierze. A pochod pod antymafijną flagą nie jest dla nich problemem.

I tak oto stoimy na placyku Tripodiego w różowych chusteczkach na szyi –

gotowe dołączyć do pochodu. Kto by pomyślał? Kobiety z San Luca uważane na całym świecie za kobiety 'ndranghety maszerowały obok młodzieży ze szkół z całej Kalabrii i wiceprefekta Giuseppe Priolo.

Prawdę mówiąc, nie pokładałyśmy wielkiej nadziei w tego rodzaju paradach, ale Ruch absolutnie nie mógł się wycofać. W San Luca wszyscy byli uważani za zabójców, wszyscy za 'ndranghetistów. A kobiety? Za milczące współniczki sprawdzonego systemu. Kto twierdzi inaczej, zostanie automatycznie wytknięty palcem jako obrońca matek i żon zabójców. Tych, które w formalnej hierarchii organizacji osiągają najwyższy stopień *sióstr omerty* czy *santiste*, czyli żywicielki i strażniczek ukrywających się przestępców, chociaż będąc przede wszystkim matkami, odgrywają także kluczową rolę w przekazywaniu wartości mafijnych z pokolenia na pokolenie.

Kobiety z Aspromonte są przedstawiane przez rozliczną literaturę jako postacie dwulicowe, obdarzone jednocześnie oczami Maryi i Medei. Proste i dobre miasteczkowe matki, które realizują swoją tożsamość jednocząc rodzinę, a tymczasem kryją czarne serca Eryunii, gotowe podburzać dzieci do nienawiści i do zemsty oko za oko. Ich cierpienie jest rzekomo tylko zakrzepniętym żalem, jako że kobiecie o zranionych uczuciach przebaczenie przychodzi trudniej, niż mężczyźnie. A żałoba noszona aż po grób staje się emblematem pamięci, która nigdy nie wymazuje zła i przeistacza się w przemoc.

Tak o nich pisano.

W niektórych książkach opisywany jest epizod umiejscowiony w anonimowym miejscu w Kalabrii, którym równie dobrze mogłoby być miasteczko San Luca albo Fiumara di Muro. Na pogrzebie ostatniego mężczyzny z rodziny kobiety pojawiają się ubrane w krwistoczerwone stroje, klękają w kole wokół matki, a ta, kładąc dłoń na piersi, ustanawia akt zemsty: *Si pensavano ca finiu. Ma 'cca nci simu nui*³.

Mieszkając wśród kobiet z San Luca, czuję, że podobne analizy mają w sobie mnóstwo z powieści. W Aspromonte prawo kryminalne miesza się z lokalnym rytmem, wiejskim i archaicznym, ukutym długo przed nastaniem społeczności przestępczej. W czasach, gdy mieszkało się z kurami i świniami w jednym domu, kobiety nie uczyły dzieci nienawiści, ale przetrwania. Kawalek chleba był na

pierwszym miejscu – ważniejszy niż cokolwiek innego. Jeśli było to konieczne, także ważniejszy niż uczciwość. I nie przekonuje interpretacja, według której matka przebacza z większym trudem niż ojciec, a więc może stać się jeszcze bardziej zła. Teresa Strangio głośno wykrzyczała swoje przebaczenie światu, a wiem, jak wiele innych kobiet na ziemi wendety przebaczyło, nie mając jednak możliwości, finezji, a może nawet odwagi, żeby to uzewnętrznić.

Kobiety z San Luca, podobnie jak moja matka Lidia i moja babcia Maria, powtarzają wzór przyswojony przez matki i babki. Chodzi tu o pantomimę utrwaloną przez stulecia, przez kobiety znieruchomiałe w rolach bezlitośnie przejętych drogą dziedziczną. Twoja matka i twoja babka tak robiły, dlaczego to właśnie ty miałabyś porzucić ten schemat? Moja babcia zbierała bazylię w ogrodzie i przechowywała ją w szklance. Moja matka kupuje bazylię u sprzedawcy i przechowuje ją w szklance. Powtarzane gesty zupełnie bez znaczenia, wykonywane przez nieświadome naśladownictwo.

I tak w maleńkiej społeczności pełnej wewnętrznych konfliktów jednym z takich odziedziczonych gestów może być krzyk: *Quanti n'ammazzaru d'i nostri?*⁴ A więc teraz pięciu z nich!". Wrodzone skłonności w stylu greckiej tragedii uzupełni obraz kobiecych postaci w czerni rzucających się na ziemię, bijących się po twarzy, wrzeszczących, zdzierających z siebie ubrania.

Dlatego Teresa jest rewolucją. Teresa reprezentuje nigdy dotąd niewidziany wzór matki i kobiety z Aspromonte – kreatywnej, przyzwoitej w bólu, kobiety odwracającej się raz na zawsze plecami do tradycji, które wydawały się wydrażone w skale.

Historię kobiet 'ndranghety trzeba jeszcze napisać. W 2000 roku, w prowincji Reggio, Antymafijna Dyrekcja Śledcza zliczyła dwieście pięćdziesiąt pięć kobiet spośród siedmiu tysięcy podejrzanych członków mafii. W latach dziewięćdziesiątych pojawiły się pierwsze głośne wyroki za powiązania mafijne, których bohaterkami są kobiety: dla Giuseppy Condello z Fiumary di Muro, żony Antonina Imertiego zwanego *Nano feroce*, i siostry Cateriny, wyrok ostateczny nadszedł w 1994 roku w wyniku operacji *Santa Barbara*. W roku 2000 potwierdzone zostało dożywocie dla urodzonej w 1931 roku Marii Serraino, która prowadziła interesy rodzinne

w Mediolanie; jeden z bardzo rzadkich przypadków prawdziwej kobiety-bossa w historii 'ndranghety.

A później pojawiają się skruszone. Począwszy od Concetty Managò, która po śmierci męża, bossa Francesca Condello, jednoczy się z *capo* rywalizującego klanu, Domenikiem Gallico. Zostaje skazana za zabójstwo i przechodzi na stronę prawa. I Angela Donato, członkini klanu z Lamezia Terme, związana z dwoma mężczyznami z 'ndranghety; jej syn przepada bez wieści (*lupara bianca*⁵, po którym nie można odnaleźć ciała ofiary), a ona postanawia mówić. Także Maria Concetta Cacciola z Rosarno chciała współpracować z wymiarem sprawiedliwości. Odrzucona i nękana przez rodzinę 20 sierpnia 2011 roku połknęła kwas solny i jej głos ucichł na zawsze. Oficjalnie to samobójstwo, ale odebranie sobie życia w sposób tak okrutny jest co najmniej podejrzane. Kwas solny wypala usta i gardło, to straszliwa i aż nazbyt dosłownie symboliczna kara dla tego, kto powiedział za dużo.

Równie tragicznie zakończyła się sprawa Orsoli Fallary, kierowniczkii działu finansowego w urzędzie gminy w Reggio Calabria, która wypła kwas w grudniu 2010 roku – sama w swoim samochodzie, w portowym doku, zwrócona twarzą do lodowatego zimowego morza nad Cieśniną. Fallara znalazła się w centrum skandalu dotyczącego monstrualnej dziury w gminnym budżecie i zaledwie dzień wcześniej zwołała konferencję prasową, aby bronić własnych działań, dając do zrozumienia, że nie da się poświęcić jako kozioł ofiarny całej miejskiej klasy kierowniczej.

Lea Garofalo, podobnie jak Maria Concetta Cacciola, była świadkiem wymiaru sprawiedliwości, została zabita i rozpuszczona w pięćdziesięciu litrach kwasu przez byłego partnera nocą z 24 na 25 listopada 2009 roku w Mediolanie. Nie była członkinią 'ndranghety. Wspominana jest każdego roku 21 marca – razem ze zbyt wieloma ofiarami organizacji przestępczych – w Dzień Pamięci i Zaangażowania ustanowiony przez *Libera*, sieć stowarzyszeń antymafijnych.

Także Ruch Kobiet z San Luca działał przeciw mafii. Nasza droga była czysto praktyczna, bez filozoficznych pokus, starałyśmy się zaangażować mieszkańców gminy o wysokim wskaźniku przestępczości w działalność, która otworzyłaby przed nimi możliwość alternatywnych wyborów życiowych. Długa, cierpliwa praca, pozbawiona porywających proklamacji. Nie zawsze wynagradzana. Ale to jedyna

podstawa, od której można rzeczywiście zacząć.

Istnieją miejsca nieruchome jak góry, gdzie ci, którzy mają nadzieję odmienić przeznaczenie, nie mogą nagle zacząć przypisywać rzeczom ich rzeczywistej etymologii albo przyzywać historycznych i kronikarskich dowodów. Nie mogą wytykać palcami, rozpisywać list „złych” i przemawiać do ludzi według swojej własnej logiki, nie przejmując się ich logiką i ich historią, chociaż te etyczne i poznawcze współrzędne są odległe od naszych o całe lata świetlne i często są im przeciwstawne. Możemy to nazywać współudziałem, omertą, ale spoglądając na to inaczej, wnikliwie i z empatią, można wychwycić iskierkę tłącą się pod osadem, wydobyć ją na światło dzienne i wykrzesać z niej ogień.

Trzeba wdychać pełnymi płucami te myśli Aspromonte, jeśli się chce rozkruszyć serca jego mieszkańców i zrozumieć wreszcie, dlaczego właśnie tutaj dzieją się pewne rzeczy, jakie są ich korzenie, jaka równowaga, jakie przeszkody dla zmian.

Dlaczego San Luca jest pępkiem 'ndranghety?

Dlaczego właśnie z tego anonimowego i smutnego miasteczka wylała się fala przemocy, zakończona rzezią w Duisburgu?

Dlaczego najbardziej rozgałęziony i najpotężniejszy na świecie holding przestępczy, z dochodami w wysokości czterdziestu czterech miliardów euro rocznie, tkwi z uporem w tej ukrytej twierdzy swojego miasteczka-matki? I w jaki sposób uczciwi ludzie, którzy w nim mieszkają, patrzą na to wszystko?

To są pytania ważne, zasadnicze. Pozostaną one na zawsze bez odpowiedzi dla tych, którzy pierwszy raz pójda po corso Corrada Alvaro, wymachując antymafijną flagą.

Gdyby tego ranka kobiety nie uczestniczyły w marszu, pojawiłyby się pomówienia i polemiki szkodliwe dla Ruchu. Lepiej było maszerować. Z zaciśniętymi zębami, jako że kobiety miały już uszy pełne pięknych, nic nieznaczących słów, ale jednak maszerować.

Na placu ustawiliśmy się pod sceną. Zaczęły się przemówienia. Adriana Musella wystąpiła w gorącym apelu do matek, wyrażając swoje wsparcie w ich niedoli. Po przemówieniu prefekta, obelga burmistrza z miasteczka Gela, Rosaria Crocetty, rozsierdziła tłum, który zaczął gwizdać: „Nauczcie się przestrzegać prawa i nabierzcie

zaufania do wymiaru sprawiedliwości. Tylko w ten sposób wasze prawa będą zagwarantowane".

Serię przemówień zakończył krajowy prokurator antymafijny Pietro Grasso, zwracając się do kobiet z rodzin Strangio i Nirta, które tego dnia skorzystały z okazji, żeby powiedzieć, co myślą na temat toczącego się śledztwa. Przygotowały spore transparenty krytykujące prowadzone dochodzenie *Fehida* sędziego Nicolę Gratteriego: „Prokuratorzy powinni dołożyć starań, żeby znaleźć prawdziwych winnych, zamiast bawić się w pisarzy science fiction”, głosiły wielkie napisy. A inne jeszcze: „Gdzie jest prawdziwa sprawiedliwość, gdzie jest prawda? Chcemy odpowiedzi, znajdźcie prawdziwych zabójców!”. A dzieci: „Jesteśmy młodymi Nirtami: aresztujecie nas od razu, czy poczekać, aż skończymy osiemnaście lat?”. A stare ciotki Giovanniego Strangio, w owych dniach poszukiwanego domniemanego killera z Duisburga: „Skazać Giovanniego Strangio: interes polityczny czy osobista przysługa?”.

„Przekonajcie swoich bliskich, którzy się ukrywają, żeby oddali się w ręce wymiaru sprawiedliwości, zaczęli z nim współpracować i udowodnili w ten sposób swoją niewinność”, powiedział im Pietro Grasso ze sceny. „Protesty przeciwko ich aresztowaniu, jeśli pozbawione są tego typu starań, niczemu nie służą”. I kontynuował: „Domniemanie niewinności zawsze obowiązuje i dotyczy także osób zamieszanych w wendetę w San Luca i w rzeź w Duisburgu. Należy jednak nabrać zaufania do wymiaru sprawiedliwości i zawierzyć prawu, które jest w stanie udowodnić prawdziwą odpowiedzialność”.

Znów rozległy się gwizdy tak głośne, że zagłuszyły głos prokuratora, który wydał się trochę zdezorientowany.

Maria i inne kobiety wskazywały mnie uparcie doktorowi Priolo, żeby poprosił mnie o zabranie głosu, on podchwycił piłkę i powiedział: „Czy jest ktoś wśród kobiet, kto chce zabrać głos? Chodź, Rosy Canale. Dajcie jej wejść na scenę”. Przedstawiłam się i opowiedziałam, co robię w San Luca. Zwróciłam się do Pietra Grasso: „Panie prokuratorze, jak może pan prosić niewinnego, żeby się oddał w ręce wymiaru sprawiedliwości? Kto mu wynagrodzi lata więzienia przesiedziane na próżno?”.

Mieszkańcy San Luca bili brawo, tym razem bez gwizdów. Czuli się przeze mnie

reprezentowani.

Później podeszłam do prokuratora, żeby go zaprosić do odwiedzenia naszej siedziby: „Kobiety na pana czekają”.

Punktualnie o piętnastej auto Pietra Grasso zaparkowało na placyku Tripodiego. „Gdybym nie przyjechał”, zaczął, „pani by mnie szukała po całym miasteczku. Jest pani bardzo przenikliwą kobietą, moje gratulacje”. Obok wejścia do domu stały starodawne krosna, przy których Saveria prezentowała proces tkacki, a wewnątrz były wystawione hafty i zdjęcia artystycznych prac dzieci z gimnazjum. W korytarzu prokurator spotkał Lisę Nirtę, kobietę o cudownych oczach, tę, która przykuła się łańcuchem w kościele, żeby przekonać o niewinności syna Domenica. Lisa błagała Pietra Grasso ze łzami w oczach, żeby przyjął kopertę z listami od chłopaka, który był wtedy aresztowany, i jego zdjęcia z dzieciństwa. On się wahał, ale musiał szybko skapitulować i przyjąć z rąk kobiety plik wspomnień. „Nie mogę nic zrobić”, wytłumaczył jej, „nie wiem, jak pani pomóc. Mogę powiedzieć, żeby zaufała pani wymiarowi sprawiedliwości”. Ale dla Lisy wymiar sprawiedliwości był w tej chwili nożem z *Procesu* Kafki, uosabiającym chaotyczną i ślełą władzę, który w jej przypadku uderzał w serce niewinnego syna.

Na zewnątrz inna kobieta czekała na Pietra Grasso. Teresa Strangio. Ona i jej mąż Giovanni podeszli, żeby go zapytać, do kogo powinni się zwrócić, aby powstrzymać telewizję od pokazywania straszliwych zdjęć zwłok syna. W każdym serwisie informacyjnym, w którym mówiono, czy nawet tylko wspomniano o rzezi w Niemczech, materiały były zawsze te same – młody Francesco na ziemi w czerwonej kurtce odsłaniającej gładki tors. Dla jego rodziny okrutne i zawzięte powtarzanie tragedii.

Teresa nie mogła już wytrzymać: „Mój syn stał się fotomodelem 'ndranghety, ale on z 'ndranghetą nie miał nic wspólnego”. To ja zaprowadziłam ją do Pietra Grasso: „Błagam pana”, mówiła, „nie chcę już widzieć mojego syna, jak tak leży na ziemi. Proszę pana o to jako matka”. Grasso poradził jej, żeby napisała do inspektora ochrony praw osobowych: „To wasze prawo”. Teresa i Giovanni spróbowali, ale zdjęcia nadal były pokazywane.

Spotkanie sędziego i małżonków Giorgi zostało przedstawione przez gazety

w sposób fałszywy i mylący. Napisali, że Teresa prosiła o sprawiedliwość za śmierć syna. Innymi słowy, oskarżali ją o nikkczemność; najpierw zapewnia uroczyście, że przebaczyła zabójcom, a później po cichu prosi Pietra Grasso, żeby aresztowali wszystkich i zrobili czystkę. Te artykuły przeczytane przez kryminalistów mogły wywołać niebezpieczne reakcje – w sytuacji niepewnej równowagi nawet jedno słowo może nabrać przytłaczającego ciężaru.

A więc pomogłam Teresie napisać i rozpowszechnić komunikat prasowy, który przedstawił prawdę, tłumacząc, że jej rodzina nigdy nie żądała sprawiedliwości, przeciwnie. Jak było wiadomo, przebaczyła i oddała sprawiedliwość w ręce Boga. Był to bardzo delikatny moment. Wszyscy byli jeszcze pełni napięcia i usiłując przetrwać Duisburg, chodzili po krawędzi nad przepaścią.

Podczas gdy panie przyjmowały prokuratora w Domu Gościny, jedna z dziennikarek Rai krążyła z kamerzystą po placu i natarczywie pytała kobiety, które zostały na zewnątrz: „Czym jest dla was 'ndrangheta?”.

Co za pytanie. Jakich odpowiedzi się spodziewała?

Saveria, nie odrywając się od krosien, odpowiedziała: „Lalka, ja nie znam ani żadnej 'ndringhety, ani 'ndranghety", i roześmiałyśmy się wszystkie. Z naturalnym poczuciem humoru wielka mistrzyni drwiąco odpowiedziała na pytanie, które także miało posmak drwiny w miejscu takim jak San Luca. Maria natomiast odparła trzeźwo: „Ja wiem, czym jest prawo, czym jest uczciwość i szacunek dla innych”.

Palmina Nirta, matka Gianluki Nirty, opowiedziała przed kamerą, że jest ubrana w strój żałobny ku pamięci synowej Marii Strangio, „wzoru matki”. I rozplakała się. Później powiedziała: „Ja nie wiem nic ani o mafii, ani o 'ndranghecie, wiem tylko o moim domu i o moich ośmiorgu dzieciach. Mój zięć nazywa się Romeo, aresztowali go tylko dlatego, że poślubił kobietę z domu Nirta”.

Jej mąż Giuseppe tego dnia nadal jeszcze się ukrywał, został wciągnięty na listę stu najniebezpieczniejszych przestępców i był poszukiwany podczas śledztwa *Fehida* pod zarzutem powiązań mafijnych i zabójstwa Bruna Pizzaty 4 stycznia 2007 roku, pierwszego rzekomego odwetu rodziny Nirta-Strangio po śmierci Marii. Giuseppe Nirta zwany *Peppe u versu* zostanie aresztowany dziesięć dni po Dniu Żółtej Gerbery, 23 maja 2008 roku, znaleziony w domu krewnego w centrum San Luca z ciotką, która

się nim opiekowała. Nie stawia oporu, przeciwnie, gratuluje karabinierom, ale kiedy wychodzi skuty w kajdanki, gdy go wpychają do samochodu, wyżywa się na dziennikarzach, obrzuca ich wyzwiskami i pluje. Trzy miesiące później jego żona Palmina zobaczy, jak aresztują innego jej syna, Paola, który również ukrywał się w San Luca. Mówi się, że zajął miejsce brata Gianluki i ojca na czele klanu. Dwunastego lipca 2011 roku sąd w Locri skazuje w pierwszej instancji na dożywocie *Peppe u versu* – razem z synami Franceskiem i Gianluca. Palmina jest w auli. Podczas odczytywania wyroku źle się czuje, wybucha płaczem, uderza pięściami w stół, krzyczy: „Tylko nie dożywocie, nie dla nich!”. Wyprowadzają ją do innej sali w sądzie i tu kobieta, jak w transie, zaczyna recytować w dialekcie przeplatana modlitwami pieśń pogrzebową.

Podczas demonstracji w Dniu Żółtej Gerbery ta sama dziennikarka przeprowadziła wywiad z Antonią Strangio, matką Giovanniego Strangio, która tego dnia na placu miała na sobie koszulkę z podobizną syna i napisem – „Giovanni jest niewinny”.

Zastanawiałam się, jaki sens ma przepytanie tej kobiety, co mogłaby powiedzieć innego, niż to, czego powszechnie się od niej spodziewano? „Mój syn jest niewinny, skazany bez powodu... Dowiedziałam się z telewizji, że jest poszukiwany żywy lub martwy. Muszą znaleźć winnych, nie jego”.

Czy jakakolwiek matka mogłaby kiedykolwiek powiedzieć o swoim synu: „Tak, to potwór, który wykończył sześciu dobrych ludzi w Duisburgu”?

Kilka dni wcześniej Antonia Strangio rozpowszechniła list otwarty na temat braku powiązań Giovanniego ze sprawą: „To prawda, mój syn został aresztowany podczas pogrzebu z pistoletem w ręku”, pisała. „Do tamtej chwili jednak nigdy nie był notowany, chłopak mile widziany i kochany przez wszystkich za swoją dobroć. Został skazany i odsiedział nawet więcej niż było trzeba, bo inni za to samo wykroczenie po dwóch dniach są już w domu”.

Kobieta przedstawiała później życie Giovanniego, który po studiach hotelarskich „opuścił Kalabrię, aby zapewnić sobie lepszą przyszłość, i po latach ciężkiej pracy w pocie czoła zdołał otworzyć małą pizzerię, która stała się jego życiem”. Antonia skierowała też słowa do matek ofiar z Duisburga: „Dobrze robią, wołając

o sprawiedliwość i pytając o powód śmierci ich dzieci. Łączę się z nimi w bólu i proszę tak samo jak one, żeby rzucono światło na przyczyny tej rzezi i żeby prawdziwi winni zostali oddani wymiarowi sprawiedliwości i zapłacili za to młode życie, które zniszczyli. To niesprawiedliwe, żeby płacił mój niewinny syn tylko dlatego, że jest z domu Strangio. Jest opisywany jako rzeźnik, killer bez litości. Żaden sąd go nie skazał. Tak postępując, rujnują życie mojego syna i życie całej naszej rodziny".

W słowach Antonii Strangio słyszałam echo słów mojej matki, kiedy o pewnych osobnikach z Fiumary mówiła uparcie: „To był dobry chłopak”. Ten sam ból pamięci, zgrzyt między przeszłością a teraźniejszością, która układa się na nieznanym horyzontach. To zdecydowane zaprzeczanie chroniło Antonię przed myślą, że ten, kto kiedyś był jej dzieckiem, dziś mógł stać się mężczyzną zdolnym zabrudzić sobie ręce cudzą krwią.

Materiał telewizyjny kończył się ujęciem z cmentarza, panoramą nagrobków ofiar wendety. Zmarli z San Luca byli wskazywani z kompletną dezynwolturą, jak podczas spaceru po Walk of Fame w Hollywood między mosiężnymi gwiazdami poświęconymi sławom show-biznesu. „To jest grób zabitej w bożonarodzeniowej rzezi Marii Strangio, to natomiast grób Marca Marmo, ofiary z Duisburga...”

Gdybym wiedziała, że zobaczę, jak kamera przekracza furtkę cmentarza, zrobiłabym wszystko, żeby zapobiec tym zdjęciom, nawet gdybym miała usłyszeć po raz enty, że bronię żon zabójców. Po co gwałcić to święte miejsce? Co takiego wnosi przegląd nagrobków do zrozumienia przez widza fenomenu przestępczości? O co wzbogaca dokumentację dziennikarską?

Głęboko oburzona napisałam skargę. Pomyślałam o Caterinie, siostrze Marii Strangio, o tej samej co ona magnetycznej urodzie. Siostra niewinnej ofiary, która staje się matką dla swoich siostrzeńców, wychowuje ich jak własne dzieci, przygarnia ich niepokój i tysiące niewypowiedzianych, ale widocznych w ich oczach pytań, na które nigdy nie znajdują odpowiedzi. Dzieci, które w powszechnym odbiorze są jedynie dziećmi Gianluki Nirty, skazanego bossa 'ndranghety. Są dziećmi kata, a nie ofiary, Marii Strangio.

Skazaniem na dożywocie przez sąd w pierwszej instancji sędziowie pozbawili

Gianlukę Nirtę władzy rodzicielskiej. Nic innego nie zrobiono dla jego dzieci. Nie otrzymały żadnego wsparcia psychologicznego, które pomogłoby przeżyć stratę matki. Są dziećmi bossa, już zaklasyfikowanymi jako stuprocentowi przyszli bossowie. Kiedy próbowałam znaleźć klub piłki nożnej, w którym mógłby grać najstarszy z trójki, usłyszałam odpowiedź: „*Dottoressa*, chłopak nosi zbyt ważne nazwisko, ktoś mógłby powiedzieć, że weszliśmy w układ z pewnym środowiskiem...” W ten oto sposób dzieci, już naznaczone ogniem jak wielu innych w San Luca i gdzie indziej, będą dorastać, żywiąc silną nienawiść wobec tych, którzy pozbawili je matczynej miłości i wobec społeczeństwa, które je ignoruje albo nimi gardzi.

A tymczasem państwowa telewizja Rai pokazuje na antenie program, w którym robi się widowisko z grobu ich matki.

[1](#) Jestem z Silviem (dial. kalabr.).

[2](#) Dzień Żółtej Gerbery (wł.).

[3](#) Myśleli, że to już koniec. Ale my tu jeszcze jesteśmy (dial. kalabr.).

[4](#) Ilu zabili naszych, trzech? (dial. kalabr.).

[5](#) Mafijne zabójstwo (dial. kalabr.).

VIII

SUBRETKA

Była majowa niedziela, która nie zapowiadała się inaczej niż każda inna, a ja wchodziłam do kościoła Santa Maria drzwiami u szczytu schodów, żeby wysłuchać mszy. Otworzył mi Giovanni, mąż Teresy – jak zawsze. I jak zawsze słuchałam na stojąco, daleko za ostatnim rzędem ławek.

Kazanie już się kończyło, kiedy w pewnym momencie usłyszałam: „Niektóre z was zmieniły się w stado owiec idących za obcą kobietą”. Słowa, które obracały się w przyjemnie chłodnym powietrzu, rozbrzmiewając głośno w uszach kobiet w nawie głównej i w uszach mężczyzn, siedzących w barze przy placyku i słuchających nabożeństwa przez głośniki.

Cała krew, jaką miałam w ciele, postanowiła przenieść się nagle na moją twarz, barwiąc ją na fioletowo. Pulsowały mi oczy, kręciło mi się w głowie.

Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu pomocy jak czarownica przywiązana na stosie, gotowa zginąć w płomieniach.

Napotkałam przyjazne spojrzenie Giovanniego Giorgi. Byłam upokorzona. Jak nigdy dotąd. Jedynie ja zdecydowałam się zostać w San Luca po wyłączeniu reflektorów, próbowałam z autentyczną pasją zintegrować się ze wspólnotą, którą czułam, że kocham, a teraz byłam wytykana palcem, i to w miejscu publicznym, jako obca kobieta.

Poczułam się zagubiona.

Skąd pochodziłam? Z innego narodu czy z innej planety? Obca dla kogo i czego?

Uważałam się za dziecko świata, nie wytyczałam żadnej granicy mojemu życiu i mojemu działaniu. I musiałam przyjechać aż do San Luca, żeby ktoś spróbował zrobić to za mnie.

Do jakiego „zewnątrz” należałam i dla jakiego „wewnątrz” byłam obca?

Nie czekałam na koniec mszy. Otworzyłam cicho drzwi i znalazłam się na stromych schodkach Santa Maria, które prowadzą na corso Corrada Alvaro. Przez chwilę wydało mi się, że stoję na szczycie budowli, a za plecami mam cień starający

się mnie stamtąd zepchnąć raz na zawsze.

Komuś się nie podobało, że mieszkanki miasteczka nagle zaczęły upominać się o własną tożsamość i utworzyły drużynę. Same może nie pomyślałyby o tym, nie dałyby rady. Ja je zjednoczyłam, rozpałam, uświadomiłam, a więc mogłam być piorunochronem i kozłem ofiarnym. Należało mnie powstrzymać, ujarzmić. Zwycięską bronią mogła raz jeszcze okazać się plotka. Od dawna złośliwe języki rozpuszczały plotkę, że jestem kochanką prefekta. A przy innych okazjach puszczano z ambony zatrute strzały w moim kierunku: „Trzeba zrozumieć, czy tę kobietę, która do nas przyjechała, przysłała Opatrzność czy demon!”.

Na moje nieszczęście nie cieszyłam się życzliwością don Pina Strangio. Wszelkie inicjatywy powstałe jak dotąd w San Luca były proponowane przez niego lub w każdym razie otrzymywały jego imprimatur. Zdawał się nie żywić do mnie zaufania.

A przecież w te dni moje notowania rosły, a telefon dzwonił bez przerwy. Dziennikarze chcieli przeprowadzać ze mną wywiady, w programach telewizyjnych wypytywano mnie, w jaki sposób moja historia zaprowadziła mnie aż do kobiet w San Luca, lokalne tytuły prasowe prosiły o kilka słów na temat 'ndranghety i spraw związanych z przestępczością kalabryjską.

Nie planując tego, stałam się pierwszą damą w miasteczku. Ja, która w tym miasteczku ani się nie urodziłam, ani nie wyrosłam.

Po obiedzie leżałam na łóżku z pustką w głowie. Straszliwie brakowało mi mojej córki, która przez telefon powtarzała: „Kiedy wrócisz, mamusi?”.

Teresa A. przysłała po mnie pod jakimś pretekstem, a ja z nią wyszłam, zostawiając Dom Gościny pusty. Po powrocie zastałam dom wypełniony kolorowymi balonikami i krzyczącymi dziećmi czekającymi na mnie z tortem.

Właśnie tego dnia kończyłam trzydzieści sześć lat. Poranne kazanie sprawiło, że zapomniałam o swoich urodzinach, ale kobiety o nich pamiętały i zorganizowały dla mnie przyjęcie niespodziankę. Byłam szczęśliwa, ale wciąż zaniepokojona opowieściami, które ukazały mi nowy wizerunek siebie samej, San Luca, mojej obecności w Aspromonte.

Po przyjęciu zostały ze mną kobiety z kierownictwa. One też dobrze wiedziały, że

wiatr zmienia kierunek. Albo raczej, że ktoś roznieca burzę.

Kilka dni wcześniej bez słowa asystowałyśmy dymisji jednej z kobiet z Ruchu. Po materiale telewizyjnym, w którym zostałyśmy określone jednoznacznie jako stowarzyszenie antymafijne, mąż zabronił jej uczęszczać do naszej siedziby.

Być przeciw mafii w San Luca oznacza przeciwstawić się części miasteczka. Zrzeszyć się z państwem, które istnieje tylko po to, by represjonować. Być profesjonalistami w wysłuchiwanie po tysiąc razy pompatycznych przemówień, które nigdy nie przywiodły tu choćby ziarenka rewolucji.

Kobieta, która opuszczała Ruch, stała przede mną, obydwie miałyśmy oczy wilgotne od łez i czułyśmy niemoc blokującą oddech. „Gdyby to zależało ode mnie, nigdy bym się nie poddała, ale nie mogę toczyć wojny w domu...” Nie chciałam, żeby moje panie miały problemy w rodzinie. Ta strata raniła mnie śmiertelnie, ale nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko w milczeniu przyjąć to do wiadomości.

Zaproszono mnie do uczestnictwa w popularnym programie telewizyjnym, w którym miał być także przeprowadzony wywiad z Teresą Strangio. Pierwszy raz ona, tak powściągliwa, zgodziła się wystąpić przed całym Włochami, aby dać świadectwo swojej wewnętrznej drogi, a jednocześnie opowiedzieć, jak bardzo jej lud pragnie odwrócić kartę historii. Do San Luca przyjechała ekipa telewizyjna, żeby ją sfilmować, natomiast ja miałam zabrać głos w studiu. Tak więc pojechałam do Rzymu, a jej córka Tania pojechała ze mną.

Łączyła mnie z tą dziewczyną szczególna relacja, rozumiałyśmy się bez słów, a ja traktowałam ją jak młodszą siostrę, podziwiając za opanowanie, z jakim stawiała czoło nieugaszonemu bólowi po stracie brata. Nigdy nie widziałam, żeby płakała, ale jej usta, często mocno zaciśnięte, zdradzały głębokie napięcie.

Dla Tani ten wyjazd z miasteczka bez towarzystwa innego członka rodziny stanowił absolutną nowość. Zanim wyjechałyśmy moim samochodem, Teresa oparła się o okienko i powiedziała mi: „Wiem, że jest w dobrych rękach, mam do ciebie zaufanie”. Pokazałam dziewczynie połowę stolicy – od placu Navona po fontannę di Trevi. Chciałam pokazać jej najpiękniejsze rzeczy, robiłyśmy zdjęcia telefonem komórkowym i wysyłałyśmy je na bieżąco jej matce. Któregoś popołudnia pojechałyśmy odwiedzić Dianę, jej siostrę mieszkającą pod Rzymem, nieopisanie do

niej podobną, także w uprzejmym sposobie mówienia. Diana wyszła za mąż w październiku 2007 roku zaledwie dwa miesiące po masakrze, która odebrała jej jedyne brata, najmłodszego członka rodziny.

Tamtego wieczora, po kolacji, Diana pokazała mi swój album ślubny i powiedziała: „Francesco pojechał do Niemiec, żeby popracować w restauracji wujka Sebastiana i trochę odłożyć, a potem kupić mi piękny prezent ślubny... Przeżyliśmy straszliwe chwile, jeszcze dziś, kiedy dzwoni telefon, wpadam w przerażenie”. Antonio, jej mąż, starał się zachować spokój. Siedział obok niej i głaskał ją jak małą dziewczynkę, która łagodnie wybudza się ze złego snu.

Ich ślub nie został przełożony, Teresa tego nie chciała. Żałoba pozostawała w sercach, z których nigdy nie zniknie, ale życie musiało toczyć się dalej. Z miłości do tych, którzy zostali. Z miłości do samego życia, które zasługiwało na to, żeby zwyciężyć śmierć.

Byłam jeszcze w Rzymie, kiedy jedna z kobiet zadzwoniła do mnie wstrząśnięta. W San Luca ktoś włamał się do mojego samochodu. Zaparkowałam go na placyku Tripodiego, pod koszarami karabinierów, ale komuś nie sprawiło żadnego problemu otworzenie go, może po to, żeby jak w amerykańskim filmie zobaczyć, czy w środku nie ma przypadkiem walizeczki pełnej pieniędzy, które mogły być dofinansowaniem dla Ruchu Kobiet. Moje płyty z muzyką leżały na ziemi, zniknął mój terminarz i GPS.

Karabinierzy utrzymywali, że zostawiłam otwarty samochód, ale razem zauważyliśmy, że zabezpieczenia, chociaż włączone, podnosiły się automatycznie, kiedy tylko zamykało się drzwiczki. Ktoś inny mówił, że *furu i cotrari chi jocanu*¹.

Nie chciałam wierzyć, że istnieją dzieci lubujące się we włamywaniu ludziom do samochodów. Może ten, kto to powiedział, chciał tylko rozładować napięcie, nie zdając sobie sprawy, że zamiast tego dodatkowo pogmatwał już i tak niejasne wydarzenie.

Temat został podjęty przez wszystkie lokalne gazety, jeden z tytułów głosił wręcz: „Zamach!”. Dotarło do mnie mnóstwo zapewnień o solidarności, także od konsorcjum spółdzielczego założonego przez biskupa Bregantinię, od innych stowarzyszeń wolontariackich, od władz.

Następnego ranka mój ojciec, wierny czytelnik dziennika *Gazzetta del Sud*, który

tego dnia podał tę wiadomość na pierwszej stronie, zadzwonił do mnie i zapytał z histerią w głosie: „*Figghia*², co się dzieje?”. Czułam się jak w oku huraganu, który uderza we mnie, nie dawszy mi wcześniej żadnych czytelnych ostrzeżeń. I nie mogłam znaleźć słów, żeby uspokoić ojca, który przecież widział, co zdarzyło się jego córce zaledwie kilka lat wcześniej w Reggio Calabria. Próbowałam, ale nasz cenny, z trudem odzyskany spokój rodzinny już się pokruszył.

Jak to czasem się zdarza w pogmatwanym życiu, wydarzenia, przez które się płacze, przesłaniają inne, niezauważone, które pojawiają się niespodziewanie i są w stanie wywołać znów uśmiech na twarzy. Zdarzyło się to również wtedy. Właśnie w tym momencie wielkiego zamieszania i dezorientacji spotkałam Annalisę Costanzo.

Annalisa to dziewczyna z San Luca, miała wtedy dwadzieścia pięć lat, wysoka, delikatna, jasnowłosa. Nosiła obcisłe czarne dżinsy i malowała paznokcie u stóp fioletowym lakierem. Była jedyną dziennikarką-kobietą w okolicy. Młoda, wolna, inna, często badana wzrokiem przez ludzi o ciasnych umysłach, trzymających się od niej na należytej odległości. Nie tylko dlatego, że była jedyną kobietą śledzącą mecze piłki nożnej lokalnych drużyn, która uciekała się do niezbędnej pomocy ojca, kiedy trzeba było wejść po wywiady do szatni. Ale dlatego, że chociaż kochała na serio swoją ziemię i swoich ziomków, nie chciała przyjmować pewnego stylu myślenia i z góry narzuconych ról. „Zaręczyć się? Co ty mówisz, mnie tutaj nikt nie weźmie”, wykrzykiwała ze śmiechem, ale naprawdę w to wierzyła. „Jestem dziwna, jestem dziennikarką, chodzę na stadion, rozmawiam w miejscach publicznych z chłopcami, z karabinierami... Tak naprawdę wiele dziewczyn tutaj chciałoby mieć więcej wolności, ale jeśli nie wspiera ich rodzina, to nie ma o tym mowy, nie możesz robić tego samego, co mężczyźni, nie ryzykując, że będą cię wytykać palcami jak jakieś *ladaco*”.

Rozumiałam ją, słuchałam jej z uwagą. Annalisa otwierała mi nowe spojrzenie na San Luca i na młode kobiety w Aspromonte.

„Niektóre są odważne, robią dyplom magistra i szukają pracy gdzieś indziej, specjalnie, żeby wypróbować nowe realia, ale większość tu zostaje i czeka na ślub, który pozostaje nadrzędną ambicją”, ciągnęła. „Tu kobiety wychodzą za mąż w wieku dwudziestu, dwudziestu dwóch lat. Ja już jestem za stara i moja babcia

zawyrokowała, że nie ma już dla mnie nadziei, nie tylko z powodu wieku. Trudno, żeby miejscowy chłopak wziął sobie za żonę dziennikarkę, która kto wie, co wypisywała w przeszłości o ludziach i o San Luca. Rozumiesz, Rosy? Tak się sprawy tutaj mają".

Zostałyśmy przyjaciółkami, powiernicami. Ale dopiero później. Nasze pierwsze spotkanie było natomiast nasączone wrogością z obu stron.

Kiedy włamano mi się do samochodu, ona napisała artykuł pełen wątpliwości co do wiarygodności moich deklaracji. Myślała, jak mi później wyznała, że jestem jedną z wielu wywyższających się obcych kobiet, które lądują w San Luca, żeby zdobyć sławę, a później napluć ludziom na głowy, kiedy tylko coś pójdzie nie tak. „Muszę weryfikować wiadomości”, śmieje się dziś Annalisa, która pozostaje pasjonatką swojego tak niewygodnego zawodu.

Po rzezi w Duisburgu opublikowała na swoim blogu pełen cierpienia tekst, skopiowany przez inne strony internetowe, w którym z wyciągniętym mieczem broniła ludzi przed uogólnieniami, przed ślepymi atakami, przed kłamstwami. Zaczynał się tak: „Tu, w Locride, na tym skrawku świata, ogarnia nas strach. Strach przed wyjściem z domu, ponieważ nie istnieje już nawet prawo honoru. Teraz się po prostu strzela i umiera. Dzisiaj kolej na niego, jutro to mogę być ja”. I kontynuowała, rzucając obelgi przeciw tym, którzy malowali swoje miasteczko jak dantejskie Złe Doły całej zagubionej ludzkości: „Ja uwielbiam San Luca. Także w tych miesiącach śmierci uwielbiam to miasteczko. Tu nie ma tylko ludzi, którzy zabijają. Uwielbiam to miasteczko za tradycje, których żaden dziennik telewizyjny, żaden dziennikarz nigdy nie opisał. Uwielbiam to miasteczko za jego uliczki, za jego urok, za tę mieszankę przeszłości i teraźniejszości, starego i nowego... Uwielbiam to miasteczko, ponieważ jest tak umęczone, tak krytykowane, tak przybite, tak smutne, a jednak pełne ludzi, którzy mają jeszcze ochotę żyć uczciwie, marzyć, mieć nadzieję i modlić się... Jestem pod wrażeniem tego, co słyszę w telewizji, relacji, które przyprawiają o dreszcze, chociaż mam świadomość, że nie wszystko jest takie, jak się to opisuje. Ogarnia mnie strach, ale czekam na odpowiedź państwa".

W tamtych dniach Annalisa miała pójść na ważną rozmowę w sprawie pracy, to był ostatni etap selekcji, spośród wielu, które już przeszła ze znakomitym wynikiem,

na miejsce rzecznika prasowego w dużej firmie. Po ukazaniu się tego artykułu powiedziano jej nagle, że nie nadaje się już na to stanowisko.

W San Luca epizod z moim samochodem spotęgował napięcie i w miarę, jak mijały godziny, szczerze oburzone kobiety informowały mnie na bieżąco o tym, co ludzie mówią w miasteczku. Odkryłam wówczas, że z epitetem „obca kobieta”, tak dyskryminującym moją osobę, został zestawiony jeszcze jeden, znacznie gorszy: „subretka”. Kobiętka lekkich obyczajów, trzpiotka, pozbawiona jakichkolwiek umiejętności, skłonna iść na kompromis, byle tylko zabłysnąć. Byłam tancerką w miasteczku przestępców, gwiazdką krążącą po telewizjach, żeby się zareklamować. Jakbym miała własną firmę do wypromowania albo jakiś produkt do sprzedania.

Znałam tę dynamikę. Dwadzieścia lat wcześniej słyszałam, jak nazywają mnie prostytutką jedynie dlatego, że pragnęłam śpiewać. A prostytutką, niestety czy na szczęście, nigdy nie zostałam.

Ale presja narastająca wokół zaczynała mnie dusić. Każdego dnia rodziła się jakaś nowa złośliwa plotka, gdzie tylko się pojawiałam, byłam zawsze w centrum uwagi. Wiedzieli, jakie palę papierosy, co lubię. Wszystko. Wchodziłam do kiosku i podawali mi natychmiast paczkę niebieskich philipów morrisów, zanim zdążyłam o cokolwiek poprosić. Wiedzieli, że szaleję na punkcie *cinesini* z baru Mammolitch – dwóch ciasteczek z kruchego ciasta połączonych kremem waniliowym, byłabym zdolna zjeść ich ze dwadzieścia za jednym razem. To też w San Luca wszyscy wiedzieli. I wiele innych rzeczy.

Noc 26 maja 2008 roku była długa i bolesna. Maria i jej mąż zostali ze mną do późna, starając się mnie odciągnąć od mojego zamiaru. Postanowiłam wyjechać. Wrócić do Rzymu, do mojej córki, i machnąć na to wszystko ręką.

Kiedy zostałam sama, płakałam tak mocno, że rano prawe oko było spuchnięte jak piłka tenisowa. Pierwszy raz przygniotła mnie tak mocno logika klanu. Nie należałam do nikogo, tym bardziej do miasteczka.

Napisałam długi i bezpośredni list, próbując wyładować swoją wściekłość w zdaniach, które płynęły mi z serca. Bez ogródek i bez owijania w bawełnę, przypisałam odpowiedzialność tym, którzy często się do mnie uśmiechali, wyciągali dłoń, nigdy jednak tak naprawdę jej nie ściskali.

Musiałam się bronić.

Poprzczebiałam moje pismo taśmą klejącą na murach, napisałam: „Wybaczenie, jeśli komuś przeszkodziłam, ale teraz już nie ma sensu, żebym została. Być może dobrze zrobicie, jeśli zdacie się wszyscy na dobre rady tych, którzy wiedzą, jak poprowadzić San Luca”. I wyjechałam.

Potrzebowałam przerwy, owszem, ale chciałam też wy badać reakcję ludzi, a przede wszystkim kobiet. To był test, dzięki któremu miałam się przekonać, czy moja obecność w San Luca jeszcze się liczy.

Jedna z kobiet próbowała popełnić samobójstwo po moim wyjeździe, zadzwonił do mnie jej syn, żeby mi o tym powiedzieć. W Domu Gościny ktoś farbą zamazał napis „Róża” na zewnętrznej ścianie. Przekazali mi to karabinierzy, podczas gdy gazety i telewizja podawały tę wiadomość, nawiązując do pewnych gróźb, które z pewnością, ich zdaniem, kryły się za tym gestem. W końcu byliśmy cały czas w San Luca.

Natomiast niewiele później w innym programie telewizyjnym pojawiła się właścicielka domu i przyznała się do tej akcji. Nie tylko – skorzystała z obecności kamer, żeby podkreślić, że zamazała napis, ponieważ jest to jej dom i chciała go natychmiast odzyskać. Wyrzuciła nas na żywo w telewizji.

Ruch nie był zadłużony, przeciwnie, sporo zainwestowałyśmy w odbudowę. Kwestia była inna, nie byliśmy już tam mile widziane.

Saveria i jej córka Teresa G. od razu do mnie zadzwoniły: „Nie martw się, Rosy, my ci damy nową siedzibę dla Ruchu i nic nie chcemy w zamian, robimy to dla miasteczka”. Osobiście zajęły się przeprowadzką, głucho na krytykę *comari*, które obserwowały to ze złośliwością jakby wpisaną we własną fizyczność. Saveria i jej córki przeniosły przedmioty i papiery do swoich pomieszczeń naprzeciwko warsztatu z krosnami. Od tamtej chwili będzie to nasza siedziba. Inna. Ale w każdym razie symboliczna. Kobiety nie chciały, żeby Ruch zakończył działalność. Były zmęczone wendetą, ukrywającymi się w bunkrach i we wnękach cmentarza przestępcami, godziną policyjną, wycofanym i mrocznym życiem. A zmiana w ich oczach wiązała się ściśle z moją obecnością.

Pewnego sierpniowego dnia w sanktuarium w Polsi spodziewano się wielu

osobistości. Ówczesny sekretarz w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Nitto Palma miał ogłosić rozpoczęcie budowy Domu Legalności i Kultury, finansowanego przez *Pon sicurezza*, podczas gdy urząd gminy San Luca miał nadać honorowe obywatelstwo projektantowi biżuterii Gerardowi Sacco i aktorowi i reżyserowi Michele'owi Placido, który jednak nie stawił się po jego odbiór. Krótko mówiąc, kolejna impreza pełna podziękowań i proklamacji, a na koniec talerz San Luca jak zwykle pozostanie pusty.

W Polsce zebrało się całe miasteczko.

Podczas obiadu Priolo zaprosił mnie do stołu prefekta: „Dziękuję, *dottore*” , odpowiedziałam, „ale będę siedziała z moimi paniami”, i zjadłam obiad wśród pielgrzymów. Niektórzy bardzo się cieszyli, myśląc, że zostałam umyślnie wykluczona od stołu władz.

Pani Giovanna, żona prefekta Musolino, podeszła i chwyciła mnie pod rękę. Byłam bardzo zażenowana z powodu absurdalnych plotek na temat mojej rzekomej sekretnej relacji z jej mężem. „Rosy, dowiedziałam się”, podniosła mnie na duchu, „o tym nieprzyzwoitym pomówieniu. Mój mąż jest człowiekiem bez zarzutu, a ty jesteś matką małej dziewczynki. Jak oni sobie mogą na coś takiego pozwolić?”.

Po południu podczas demonstracji w amfiteatrze za kościołem burmistrz zachęcił mnie, żebym zabrała głos, mogłam więc powtórzyć publicznie, że „Ruch Kobiet jest dobrem dla wszystkich i kapitałem dla wszystkich, nie moim osobistym środkiem do zdobycia sławy”. Była to jasna myśl, ale widocznie warto było powtarzać ją tym, którzy nadal nie chcieli jej pojąć. A jako że tego dnia burmistrz Locri poprosił mnie o rozciągnięcie naszych kobiecych inicjatyw na gminy leżące wzdłuż wybrzeża, zakomunikowałam, że od tej pory będziemy się nazywały Ruchem Kobiet z San Luca i Locride. Uciszyłam w ten sposób wszelkie insynuacje na temat bliskiego końca naszego stowarzyszenia.

Prefekturze Ruch leżał na sercu. Poza tym wszystkim, co udało nam się zrealizować w kategoriach projektów społecznych i zatrudnienia, Ruch wzmacniał kobiecy duch, postawę społeczną i gotowość do współpracy, otwierał na oścież okiennice odizolowanego świata, pozwalając mu nabrać powietrza. I byliśmy wszyscy przekonani, że nowa mentalność kobieca może z biegiem czasu swoją

stałością, swoim ogromnym zaufaniem poruszyć tę przeklętą górę. Ponieważ to matki wychowują dzieci, przekazują im wartości, uczą różnicy między dobrem a złem. To one, matki, jak Saveria Giorgi, Teresa Strangio, Maria, Teresa G., ściskają w dłoniach kilofy, które zburzą przeszłość.

Tak więc wiceprefekt Priolo ściągnął na spotkanie w prefekturze burmistrza San Luca, don Pina Strangio i mnie. Tematy do dyskusji: wyrzucenie Ruchu z siedziby oraz oczywiste i paraliżujące nieporozumienia między mną a don Pinem.

Nie byłam już zdolna więcej znieść. Słyszałam na własne uszy zdania wypowiedziane przed ołtarzem, a teraz wiłam się na krześle, podczas gdy Priolo mnie upominał. Jemu było wolno, wiedziałam, że działa z ojcowską troską i uważałam to wręcz za luksus, że mogę być przez niego prowadzona i upominana.

W sali prefekta wymiana uprzejmości trwała dość długo – wśród pogaduszek o Aspromonte i przejściach na skróty między stożkowatymi skałami. Aż zapadła cisza, a Musolino przerwał ją i zawyrokował: „Ruchu Kobiet się nie tyka. Kłóćcie się, szarpicie się za włosy, ale potem się gódźcie. Ruch musi trwać dalej. Czy wam to się podoba, czy nie. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia”.

I ci, którzy w San Luca mnie nie kochali, musieli się z tym pogodzić.

¹ Że to dzieci dla zabawy (dial. kalabr.).

² Córeczko (dial. kalabr.).



Część trzecia

ZAPOMNIEĆ O DUISBURGU

I

AL-KAIDA

Amsterdam, 12 marca 2009 roku. Młody jasnooki mężczyzna w piżamie właśnie kładzie się spać. Jeszcze minutę temu myślał, że jest bezpieczny na przedmieściach na północny wschód od holenderskiego miasta, w mieszkaniu na drugim piętrze najwykleszej kamienicy.

Mężczyźni ze *Squadra mobile* z Reggio Calabria i *Sco* z Rzymu wdzierają się tu krótko po dwudziestej trzeciej piętnaście. On jest nieuzbrojony i nie odzywa się ani słowem, gdy zapinają mu kajdanki na nadgarstkach. Jest opanowany, patrzy w dół bez wyrazu, zdradza ledwie cień zagubienia. Całuje swoje trzyletnie dziecko. Żegna się z żoną, a uścisk z nią wydaje się nie mieć końca.

Od ponad roku niemiecka i włoska policja poluje na Giovanniego Strangio, urodzonego w 1979 roku, figurującego na szczycie czarnej listy trzydziestu najbardziej niebezpiecznych ukrywających się włoskich przestępców. To on według aktu oskarżenia jest architektem i głównym wykonawcą rzezi w Duisburgu. Boss nowicjusz, który narodził się z popiołów wendety w San Luca.

W jego domu w Amsterdamie znaleziono pięćset siedemdziesiąt tysięcy euro w gotówce, zapisane ręcznie karteczki, być może klasyczne *pizzini*¹, pistolet kalibru dziewięć owinięty w celofan i schowany w szafie, kamizelkę kuloodporną, maszynę do produkcji fałszywych dokumentów.

Aresztowania dokonuje znany łowca niewidzialnych ojców chrzestnych Renato Cortese, szef *Squadra mobile* z Reggio Calabria. Mężczyzna, który 11 kwietnia 2006 roku odnalazł największego ukrywającego się przestępcę wszech czasów – Bernarda Provenzano, nieuchwytnego od czterdziestu trzech lat generała oddziałów *cosa nostra*.

Razem z Giovannim Strangio zostaje pojmany jego szwagier – Francesco Romeo, mąż jego siostry Teresy, ukrywający się od 1997 roku, poszukiwany za międzynarodowy handel narkotykami.

To Caterina, żona Strangio, nieświadomie przywiodła policjantów do

holenderskiego legowiska – byli na jego tropie od listopada 2008 roku, kiedy to Francesco Romeo został zauważony w Amsterdamie. Depcząc mu z uporem po piętach i śledząc Caterinę, znajdują mężczyznę. Trzymają go pod kontrolą miesiącami. Giovanni jest czujny, chowa się za ciemnymi okularami i pod kapeluszem, prowadzi spokojne i odosobnione życie. Przebywając nadal w ukryciu, udziela wywiadu tygodnikowi *Panorama*. Opowiada w nim o swojej desperacji: „Jestem ofiarą błędu sądowego i obawiam się, że nie mogę tego udowodnić, ponieważ rozumiem, że wymiar sprawiedliwości nie szuka prawdziwego winnego, ale jakiegokolwiek winnego”. Mówi, że jest poszukiwany tylko dlatego, że jest „Włochem z San Luca i nazywa się Strangio”. A co do rzezi, zaprzecza jakiegokolwiek swojemu udziałowi: „To zbrodnia, która jest obrazą dla ludzkości, a w szczególności dla Kalabryjczyków. Ja nie jestem członkiem 'ndranghety i wiem, że w moim miasteczku istnieje bieda, bezrobocie, ignorancja, nieufność, ale także miłość, pasja i chęć do pracy i budowania lepszej przyszłości”.

W dniu jego aresztowania kamerzyści i dziennikarze katapultują się do Aspromonte, żeby zarejestrować reakcje mieszkańców San Luca. Ale jedyne poruszenie, jakie zastają, wywołane jest zamknięciem urzędu pocztowego. „Tu są ludzie, do których nie dociera korespondencja już od wielu dni”, skarży się burmistrz Sebastiano Giorgi, „a są nawet tacy, którym odcięto dopływ energii elektrycznej, ponieważ nie zapłacili nigdy nieotrzymanych rachunków. Emeryci nie mogą odebrać emerytur. Ta sytuacja to prawdziwy dyskomfort”. Także don Pino nie udziela komentarzy: „Wiadomości, jakie się słyszy, są niepełne i fragmentaryczne”, ogranicza się do kilku słów. „W San Luca pracujemy nad tym, żeby zapomnieć o trudnych chwilach przeżytych w ostatnich latach”.

Również w Amsterdamie, w listopadzie 2008 roku zostaje zatrzymany w samym centrum inny szwagier Giovanniego Strangio, Giuseppe Nirta zwany *Charlie*, wówczas trzydziestopięcioletni. Ukrywał się od dziesięciu lat, a uznawany był za kolejny umysł strategiczny 'ndriny z San Luca o nazwisku Nirta, z ostatecznym wyrokiem za powiązania kryminalne i handel narkotykami. Wraz z nim zatrzymano trzy kobiety, siostry Strangio: Teresę, Angelę i Aurelię, ta ostatnia to żona *Charliego* – została wypuszczona następnego dnia.

Także w przypadku Nirty zadziałała klasyczna strategia *cherchez la femme*² – w rozmowach podsłuchanych na czacie Angela i Teresa mówiły o zbliżającej się podróży do krajów Beneluksu. Dzięki temu śledzone są podczas przejazdu przez Szwajcarię, Francję, Belgię i Niemcy, aż docierają do Amsterdamu. Ostateczny cios zostaje zadany, kiedy żonie *Charliego* dostarcza ze swojego holenderskiego mieszkania do domu ukrywającego się przestępca pachnąca brytfankę makaronu z kiełbasą. W ślad za nią pojawia się policja.

Charlie zostaje wydalony do Włoch w lutym 2009 roku. Jeszcze nie jest oskarżony o rzeź z *Ferragosto*, ale kiedy już spędzi jakiś czas w więzieniu zgodnie z ustaleniami 41 bis, w San Luca wylądował w kajdankach trzeci szwagier Giovanniego Strangio, Sebastiano Nirta. Brat tego Gianluigi Nirty, któremu na jego oczach zabito przed domem żonę. Także Sebastiano jest podejrzany o udział w akcji ogniowej w Duisburgu, jego DNA było brakującym elementem układanki biologicznych próbek pobranych z miejsca masakry.

W lutym 2010 roku śledczy są w stanie przypisać zabójcom nazwiska i twarze. Trwa operacja *Fehida 3*, która prowadzi do dziesięciu aresztowań.

Charliego obciążają słowa sycylijskiego skruszonego, Vincenza Consoliego, przetrzymywanego razem z nim w San Gimignano. *Charlie* rzekomo zwierzył mu się, że chwycił broń w Duisburgu razem z Giovannim Strangio, Franceskiem Romeo i anonimowym czwartym mężczyzną, którego śledczy utożsamiają z Sebastianem Nirta, i że ma zamiar uciec do Brazylii i zniknąć na zawsze.

Jego żona Aurelia Strangio przez lata będzie nadal upierać się, że *Charlie* jest niewinny i ma problemy ze zdrowiem, i z tego powodu nie zasługuje na więzienie. „W holenderskich więzieniach”, mówi Nirta, „doświadczyłem nieludzkiego i poniżającego traktowania, nie mówiąc o tym, że schudłem dwadzieścia kilo”.

Także Caterina, żona Giovanniego Strangio, odtwarza wzorzec kobiety kalabryjskiej, dla której rodzina jest wartością dogmatyczną, wyższą niż dobro i zło, należy jej bronić bez zastrzeżeń i wątpliwości, wbrew wszelkim oczywistościom. Tak oto w kwietniu 2009 roku udziela wywiadu w wiadomościach *Tg2*, żeby zrehabilitować męża: „To nie potwór, o jakim wszyscy mówią”, utrzymuje. „To złoty chłopak i ojciec. Nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy, przeciwnie, zawsze pomagał

tym, którzy byli w potrzebie. Ktoś taki nie mógł dokonać tak straszliwej zbrodni. Policja szuka winnego, a ponieważ tak jej wygodnie, obwinia mojego męża tylko z powodu nazwiska, jakie nosi". Caterina opowiada o swoim życiu z Giovannim w Amsterdamie, do którego przyjechała z Kalabrii sześć miesięcy wcześniej: „Spędzaliśmy dużo czasu zamknięci w domu, rozmawiając i bawiąc się z dzieckiem. On mnie uspokajał, ale ja się bałam i wiedziałam, że któregoś dnia ktoś przyjdzie go aresztować”.

Nazajutrz po pojmaniu Strangio był już na stronach gazet absolutnym *capo*, perełką rodziny Strangio Iancani z San Luca, a fakt, że nie uciekł z Amsterdamu po szokującym aresztowaniu szwagra *Charliego* miał być dowodem na to, że w Holandii Giovanni zajmował się zbyt ważnymi interesami, żeby je nagle zablokować, choćby nie wiadomo, ile miało to kosztować. Amsterdam był rzekomo bazą operacyjną kontrolującą przemyt narkotyków, którym klany z San Luca, a zwłaszcza klan Giovanniego, trudnią się od lat. Znalezione w jego mieszkaniu pięćset siedemdziesiąt tysięcy euro w gotówce to okruszki jego rzeczywistych dochodów.

Dzienniki przypominają o jego pokrewieństwie z Marią Strangio, zabita przez pomyłkę w dzień Bożego Narodzenia 2006 roku w San Luca. Giovanni został aresztowany na pogrzebie kuzynki i przetrzymywano go aż do czerwca 2007 roku. Ósmego sierpnia, tydzień przed strzelaniną w Duisburgu, widziano go w Niemczech. Od dawna przebywał w mieście Kaarst, gdzie prowadził dwie pizzerie. Powiedział też sędziom, że wrócił do domu tylko po to, żeby rozliczyć się z niemieckim fiskusem. Ale po krwawej nocy jego mieszkanie w Kaarst okazało się puste i zabałaganione – dla niemieckiej policji jest jasne, że zostało porzucone w wielkim pośpiechu.

Wszystkie wskazówki zdają się prowadzić do niego.

Kilka dni przed rzezią Giovanni wynajmuje czarne renault clio i pod fałszywym nazwiskiem zamawia arsenał: cztery magazynki do pistoletów i dwie kamizelki kuloodporne. Popelnia jednak błąd, nieprzystający doświadczonemu przestępcy, zostawia bowiem kontakt telefoniczny do jednej ze swoich pizzerii. Tej samej, gdzie znaleziona zostaje inna broń, schowana między keczapem a musztardą.

Poza tym jest świadek, który opowiada, że widział, jak jakiś mężczyzna oddala się rozpędzonym samochodem od restauracji *Da Bruno* bezpośrednio po napadzie, a opis

ten odpowiada Giovanniemu Strangio. Także pewna kobieta przesłuchiwana przez niemiecką policję rozpoznaje w nim człowieka, który cztery dni wcześniej stał koło lokalu w Duisburgu, badawczo zaglądając do środka.

Według śledczych wiele restauracji prowadzonych przez Kalabryczyków w Europie Północnej to jedynie parawany do prania brudnych pieniędzy. Działalność handlowa w Niemczech osób pochodzących z San Luca i Platì była od dawna monitorowana przez śledczych, którzy już na długo przed masakrą rozrysowali mapę związków między rodzinami biorącymi udział w wendecie a nielegalnymi wpływami zainwestowanymi w gastronomię. Sekcja do spraw przestępczości zorganizowanej niemieckiej policji wskazywała miasto Duisburg jako jedną z dziesięciu baz logistycznych *'ndrin* w Niemczech.

Trzynastego maja 2009 roku Giovanni Strangio zostaje wydalony do Włoch. Ląduje na lotnisku Roma Ciampino pod eskortą agentów Interpolu. Ma na sobie czarną bluzę, ciemne dżinsy, sportowe buty. Kajdanki na nadgarstkach zakryte są skórzaną kurtką owiniętą między złożonymi dłońmi. Patrzy prosto w kierunku fotografów, blask fleszy zdaje mu się nie przeszkadzać. Zostaje zamknięty w więzieniu Rebibbia, *Dda* z Reggio już wystąpiła o zastosowanie w tym przypadku przepisów 41 bis, czyli o ciężkie więzienie dla mafiosów. Kilka tygodni później z Holandii przybywa także jego szwagier Francesco Romeo.

Ale w gazetach inne twarze blakną. Bohaterem wielkiego krwawego show jest jedynie on, Giovanni Strangio, opisywany jako niebieskooki lodowaty killer, okaz gatunku do tej pory nieobecnego w antropologii *'ndrin*.

W swojej relacji z 2008 roku antymafijna komisja parlamentarna po raz pierwszy koncentruje się wyłącznie na kalabryjskim świecie przestępczym i portretuje Strangio tymi słowami: „Postać wzorcowa *'ndranghety* trzeciego tysiąclecia, pozostająca w doskonałej równowadze między tradycją a nowoczesnością”.

Mężczyzna jest nowy, ponieważ nie posiada przestępczego życiorysu, porusza się zwinnie między Kalabrią a Niemcami, mówi dwoma językami. To zupełnie inna kategoria w porównaniu z pasterzami z San Luca, którzy posługują się jedynie dialektem. Miał być heroldem siatki mafijnej, która ewoluowała z zawrotną prędkością, zanim ktokolwiek zdążył to zauważyć przed *Ferragosto* 2007 roku,

i wykazywała „zaskakujące analogie z innymi zjawiskami postmodernizmu”, pisze dalej komisja antymafijna. Innymi słowy Strangio – ich zdaniem – uosabiała zmieniającą się ’ndranghetę, która „stawia czoło wyzwaniom globalizacji poprzez nowoczesne wykorzystanie starożytnych schematów, przez połączenie archaicznych struktur rodzinnych z organizacją siatkową, modułową”.

Płynna mafia – tak określa ją sprawozdawca Francesco Forgione, adaptując pojęcie *płynnej nowoczesności* socjologa Zygmunta Baumana: epoka, w której ludzkość traci zwykłe granice przestrzenno-czasowe, solidne wartości i rusztowania przeszłości i płynie jak rzeka, w której nigdy nie zanurzymy się dwa razy. Również ’ndrangheta się zmienia, dostosowuje do czasów i miejsc, wlewa wszędzie swoje zanieczyszczające wody, czerpiąc jednak zawsze siłę z rodzicielskiego źródła – Kalabrii. Komisja antymafijna wydobywa kolejne pojęcie socjologiczne, dialektykę między *lokalnym* a *globalnym*. Aby ciało było silne, silna musi być też głowa, która wysysa limfę jedynie z własnej matki ziemi. Głowa ’ndranghety pozostaje zakotwiczona w trzech okręgach w Kalabrii, jest to swoista osmoza: korzenie i rodzina żywią i chronią, podczas gdy członki poruszają się swobodnie po świecie, rozpięte „między odległym, wiejskim i archaicznym *tutaj*, a zglobalizowanym, postmodernistycznym i technologicznym *gdzie indziej*” . Kontrola poprzez macki na własnym terenie, a jednocześnie systematyczne działanie na rynkach międzynarodowych.

W sztuce teatralnej Corrada Alvaro *La lunga notte di Medea*³ lament bohaterki pozwala przeczuć coś podobnego: „Ludzie są pełni obaw. Świat staje się zbyt wielki... I im bardziej otwierają się drogi świata, tym bardziej ludzie się zamykają. Im większa ziemia, tym bardziej ograniczeni ludzie”.

’Ndrangheta doprowadziła do skutku swój dziesięcioletni plan kolonizacji północnych i środkowych Włoch, gdzie kalabryjscy bossowie osiadali już w latach pięćdziesiątych, kiedy policja łudziła się jeszcze, że można ich wykorzenić i unieszkodliwić dzięki zesłaniom. A ’ndranghecie udało się objąć wpływami dużą część Europy, dotarła też do Ameryki Południowej i Australii, zmonopolizowała przemyt narkotyków, z którego ponoć wyciąga dwadzieścia siedem miliardów euro rocznie, co równa się dwóm trzecim jej zysków. Drugą sporą kromkę otrzymuje

z kontroli przetargów i robót publicznych, z prostytucji i przemytu broni, wyłudzeń i lichwy.

Sekretny składnik takiego sukcesu? „Nigdy się nie zmieniać”, tłumaczy Forgione, „zarówno w Kalabrii, jak i w reszcie świata”.

Elastyczna, przystosowująca się do każdego klimatu. Jak biały świerk z Aspromonte, na którym naukowcy niemieccy przeprowadzili eksperyment, przeszczepiając go do Niemiec, aby dojść do oszałamiających wniosków: jest to jedyne drzewo będące w stanie przeżyć w zanieczyszczonym Schwarzwaldzie. Książę flory aspromonckiej, który bujnie rośnie w Niemczech, nie zważając na zmianę szerokości geograficznej – ciekawa naturalistyczna alegoria przestępczości kalabryjskiej, która zakorzenia się na niemieckiej i każdej innej ziemi, na jakiej przyjdzie jej zapuścić korzenie. Reprodukuje w rozmaitych pejzażach identyczny model organizacyjny, jest wszędzie rozpoznawana po swoim znaku fabrycznym. Rodzaj franchisingu, jak fast food McDonald’s. Albo jak sieć terrorystyczna Al-Kaida – sugeruje komisja antymafijna – która wiąże ze sobą rozmaite wywrotowe komórki, rozsiane po kontynentach, narzucając im pewną jednostkową strukturę.

A mimo to Giovanni Strangio pozostaje anomalią. I bez względu na to, czy jest, czy też nie jest jej prawdziwym bohaterem, większą anomalią w tym obrazie jawi się masakra w Duisburgu.

Dlaczego niemal doskonały mechanizm ’ndranghety, który zdołał rozprzestrzenić się jak Al-Kaida, jednocześnie pozostając w ukryciu, latem 2007 roku zacina się nagle z winy tak prostackiej akcji, która rozpętuje szkodliwy, nadmierny szum medialny i śledczy? Czy to możliwe, że killerzy nie pomyśleli, że są już w toku przenikliwe dochodzenia, założone podsłuchy telefoniczne, dzięki którym prędko można wytropić winnych?

Być może jest to naprawdę możliwe. Dla niektórych analityków makabryczna egzekucja przed restauracją *Da Bruno* była jedynie prozaiczną oznaką słabości rodzin z San Luca. Krajowa Prokuratura Antymafijna twierdzi, że ciała zabitych w *Ferragosto* zniszczyły wiarygodność ’ndrin w miasteczku tradycyjnie uznawanym za *mammę* wszystkich *locali* ’ndranghety, gwarantów założycielskiego przykazania organizacji. Rozszalały ogień był więc jedynie gigantycznym błędem w ocenie

sytuacji. I być może kalabryjskiemu świątkowi przestępczemu do tej pory przypisywana była zbyt wyrafinowana bystrość w czynieniu zła.

„Najstarsze i najbardziej doświadczone postacie dwóch przeciwstawnych frontów”, pisała Krajowa Prokuratura Antymafijna, „nie zrozumiały wagi pęknięcia powstającego w ich wnętrzu. Kiedy potem zainterweniowały, próba przywrócenia pokoju zakończyła się porażką. Na koniec doznały uszczerbku na wizerunku, przyjmawszy ciężką represyjną odpowiedź państwa, co wpłynęło również na osłabienie szacunku dla innych klanów z tego obszaru, które wypominały im negatywny wpływ presji śledczej i sądowniczej na lukratywną działalność prowadzoną na tym terytorium”. Innymi słowy, katastrofalny efekt domina. Również koniec wendety, z tego punktu widzenia, mógł być spowodowany serią masowych aresztowań, a nie konkretną decyzją walczących frakcji.

'Ndrangheta nigdy nie przeciwstawiła się otwarcie i militarnie państwu, co z kolei uczynili *corleonesi* Totò Riiny w okresie rzezi na początku lat dziewięćdziesiątych. Zabójstwo sędziego Antonina Scopellitiego w 1991 roku jest straszliwym wyjątkiem od reguły, co więcej, było podżegane przez mafię sycylijską. Ale później, 16 października 2005 roku ma miejsce zabójstwo wiceprezydenta Regionalnej Rady Kalabrii Francesca Fortugno, zastrzelonego w Locri, w miejscu publicznym, pięcioma strzałami z pistoletu. I nadchodzi Duisburg. Dwa wydarzenia, które według ekspertów mogłyby świadczyć o rozbiciu aparatu 'ndranghety. Dla komisji antymafijnej pojedyncze 'ndrine stały się już za małe wobec swoich niezmiernych działań przemytowych, wzajemnie ze sobą rywalizują „i paradoksalnie”, czytamy w relacji, „ich rozprzestrzenianiu się po całej planecie towarzyszy nasilona obsesja na punkcie kontroli (militarnej, politycznej, administracyjnej, biznesowej) nad konkretnymi podległymi im terytoriami. Gorączka wzrostu, niestabilna i chaotyczna sytuacja, która zaczyna poważnie skrzypieć i mogłaby wywołać kryzys systemu”. W programie do tej pory uważanym za doskonały pojawił się błąd.

A jeśli za sześcioma ciałami podziurawionymi w Niemczech nic się nie kryje? Może Giovanni Strangio i jego wspólnicy chcieli tylko wyładować swój gniew za pomocą rozbudowanego „oko za oko”, które może wymknęło im się z rąk? Ty zabiłeś moją kuzynkę Marię? To ja urządzę rzeź twoich ludzi. Ty zrobiłeś krzywdę moim

bliskim? To ja ci za to odpłacę potrójnie, wyciągając cię z twojego domu, co za różnica, jeśli przy okazji zginie ktoś, kto nie ma z tym nic wspólnego?

Naga i surowa kara. Czysta definicja anatemy. Taka sama, jaką wryto na kamieniu nagrobnym na cmentarzu w jednym z kalabryjskich miasteczek: „Ludzie bez duszy i bez serca odebrali życie naszym bliskim. Ale Pan ukarze te potępione dusze aż do siódmego pokolenia. Jego bliscy ku pamięci”.

Jatka mogłaby więc być szaleńczym pomysłem pojedynczego człowieka, który nie jest mózgiem organizacji, i który do niedawna nie był notowany, może więc poruszać się autonomicznie i prowadzić mniejsze i większe interesy. I tylko na tę okazję przekształca się w ramię zbrojne, kierowany wyłącznie osobistą logiką: pomścić znaczące osoby organizacji. Może jest także przekonany, że zrobi wrażenie na wielkich, ale postaci solidnego kalibru nigdy nie pozwoliłyby sobie na lekkomyślne zabicie sześciu osób na obcej ziemi i nie ryzykowałyby pościgu ze strony policji z połowy Europy. Nawet gdyby chodziło o „rzeź prewencyjną”, jak zostało napisane: Nirta-Strangio, którzy w straszliwy sposób unicestwiają wrogów Pelle-Vottari, ponieważ ci zbroją się, aby ponownie rozpalić wendetę w wielkim stylu.

A więc po co zabijać właśnie te sześć osób?

O Sebastianie Strangio napisano, że restauracja, którą prowadził razem z bratem Giovannim, to niemiecka baza rodziny Pelle-Vottari. W środku policja znalazła karabin szturmowy remington wyposażony w cztery magazynki, figurkę świętego Michała Archanioła, setki naboju, pokój bez okien z drewnianym stołem i dwunastoma krzesłami, sugerujący zjazdy na szczycie i rytuały przyjmowania do wspólnoty, rozmaite obrazki Matki Boskiej z Polni. Lokal już wcześniej skupił uwagę niemieckich policjantów i włoskich karabinierów z *Ros*. Teraz, kiedy zabitych zostaje sześć osób, dzienniki włoskie piszą, że killerzy działali, aby podpalić niemiecki oddział wrogów, odbierając im zdolność do działania w tym państwie.

O czterech młodszych ofiarach (Tommaso Venturi, który dopiero ukończył osiemnaście lat, szesnastoletni Francesco Giorgi, siostrzeniec Sebastiana Strangio, i bracia Francesco i Marco Pergola) powiedziano oględnie, że byli siłą roboczą 'ndranghety. Przede wszystkim na temat braci z Siderno wypłynęły sprzeczne dane.

Z opowieści skruszonego Vincenza Consoli, opartych na więziennych rozmowach z *Charliem* Nirtą, śmierć dwóch chłopców była jedynie tragiczną pomyłką. Pewna kalabryjska gazeta napisała natomiast, że jeden z braci Pergola pojawiał się już w raportach karabinierów jako członek mafii. Kolejna anomalia – mafia kalabryjska nie wpuszcza nigdy w swoje szeregi dzieci gliniarzy, a ojciec braci Pergola jest emerytowanym policjantem.

Na koniec Marco Marmo. „Jeden cel, sześć ofiar. To Marmo miał umrzeć”, tytułuje prasa włoska. I jeśli prędko błędnie teza, że to on był zabójcą Marii Strangio, pozostaje żywa hipoteza, że Marmo był rusznikarzem rodziny Pelle. *Squadra mobile* z Reggio i prowincjalny oddział karabinierów definiują go jako „element strategiczny w dostawie broni dla rodziny Pelle-Vottari, zdobywanej zwłaszcza na jugosłowiańskim rynku przestępczym”.

Tamtego lata Marco Marmo dopiero co przyjechał do Duisburga z Benestare, miasteczka położonego koło San Luca, gdzie mieszkał z matką Antonią, chociaż policja z Reggio Calabria nieco wcześniej prosiła go, żeby nie wychodził nocą i nie odwiedzał notowanych przestępców. Po śmierci w jego samochodzie odnaleziono zostało pokwitowanie za wpłaconą zaliczkę w wysokości trzystu euro na zakup opancerzonego peugeota typu van. W podsłuchanej rozmowie telefonicznej Marco prosił brata Achille, żeby powtórzył *mammie*, którą śledczy identyfikują jako zaszyfrowane nazwisko rzekomego bossa Antonia Pellego *Vanchelli*, „że kupił samochód i ma trzy tygodnie, żeby go odebrać, że zostawił im zaliczkę i że nie starczyło mu pieniędzy. Ona wie, co to za samochód”.

Pojawia się później samozwańczy skruszony, pewien bliżej nieokreślony „don Fedele”, który w wywiadzie dla niemieckiej gazety *Der Spiegel* twierdzi, że krwi zażądała „góra” z San Luca, aby powstrzymać szybki awans Marmo w organizacji i przywrócić porządek i pokój.

Do tych teorii dochodzi jeszcze rozmowa, zarejestrowana w samochodzie chłopaka dwa miesiące przed jego śmiercią, z niejakim Michele Carabetta, o konieczności wyeliminowania Gianluiki Nirty. Carabetta mówi: „Jeśli nie zginie Gianluca, nie da się domknąć sprawy. On już nie ma nic do stracenia, Marco. Dlatego jest niebezpieczny, rozumiesz?”. Zdaniem śledczych ci dwaj chłopcy pojawili się

w Nadrenii Północnej-Westfalii, żeby zdobyć dla rodziny Pelle-Vottari karabin wyborowy, z którego miał zostać zabity Gianluca Nirta. W nagraniu Marco nie mówi nic. Carabetta natomiast nalega, chce wiedzieć, czy „domkną sprawę. Ale powiedział ci, że domkną?”. Rzekomo jest jasne, że Carabetta wie, iż Marco wie.

Kilka lat po najczarniejszym w historii Kalabrii *Ferragosto* (w czasie pisania tej książki) procesy są jeszcze niezakończone, a ciemnych plam jest nadal zbyt wiele, aby móc namalować jasny obraz wydarzeń tamtej nocy. Głos ludu, jak zwykle, ubarwia opowieść detalami i sugestiami, insynuując, że celem zabójców nie był ani Marco Marmo, ani Sebastiano Strangio, jako że w restauracji tamtego wieczoru mieli być obecni wpływowi przedstawiciele przestępczego świata. Nie kto inny jak sam Santo Vottari i Antonio Pelle *Vanchelli*, domniemani *capi* klanu.

Pierwszy z nich ukrywa się od sierpnia 2007 roku, poszukiwany za rozmaite przestępstwa o charakterze mafijnym. Drugi, zwany *la Mamma*, umknie przed operacją *Fehida*, zostanie jednak w końcu pojmany w październiku 2008 roku w bunkrze w Ardore Marina, gdzie urządził plantację konopi. Ale ponownie udaje mu się wymknąć, dając tym samym popis sztuki ucieczki godny hollywoodzkiego scenariusza: w więzieniu udaje mu się nielegalnie zdobyć leki wywołujące jadłowstręt, odmawia przyjmowania posiłków i traci czterdzieści kilo, osiągając niedowagę tak patologiczną, że więzienie zamieniają mu na areszt domowy w San Luca, w dzielnicy Bosco. Pewnego dnia obolały stawia się w szpitalu w Locri, zostaje przyjęty i ucieka stamtąd z łatwością pewnej niedzielnej nocy we wrześniu 2011 roku. W tamtej chwili, przypadkowo, nie ma w pobliżu żadnego policjanta, który miałby go na oku, więc może spokojnie ulotnić się drzwiami używanymi jedynie przez personel, drwiąc sobie ze wszystkich.

Antonio Pelle nazywany jest szkarłatnym kwiatem 'ndranghety z San Luca. Autentycznym *capo* tego terytorium. Kto by uwierzył, że tę magiczną sztuczkę wykonał sam?

A więc ktoś w miasteczku szepcze, że wieczorem 14 sierpnia 2007 roku Vottari i Pelle znaleźli się w restauracji *Da Bruno*. To oni byli celem zabójców. Udało im się zniknąć w samą porę tylnym wyjściem.

Ale nawet jeśli założymy, że to prawda, pozostaje nadal pytanie, po co

rozpętywać furie, zabijając sześć osób, które nie były wyznaczonymi ofiarami?

Po ogniu roznieconym w Niemczech, w San Luca panuje pokój. Albo przynajmniej rozejm. W każdym razie długa przerwa w dziesięcioletniej wendecie, i to akurat nazajutrz po jej najokrutniejszym akcie. Czy to jedynie zasługa aresztowań przeprowadzonych w ramach operacji *Fehida*, czy też jest jeszcze coś innego?

Skruszony Luigi Bonaventura, snuje na ten temat niepokojące scenariusze: 'ndrangheta rozpoczęła rzekomo negocjacje ze skorumpowanym aparatem państwowym, aby powstrzymać wendetę, która zagrażała wizerunkowi Włoch za granicą. Pakt, który jednak według współpracownika wymiaru sprawiedliwości miał zostać nagle zerwany w 2008 roku, ponieważ ktoś nie dotrzymał jego postanowień. W ten sposób można by wytłumaczyć powtarzające się zamachy na sędziów z Reggio Calabria od stycznia 2010 do października 2011 roku: bomby przed prokuraturą, zastraszenia prokuratora dykcji antymafijnej Giuseppe Lombardo i prokuratorów Salvatore Di Landro i Giuseppe Pignatone. Stan napięcia zupełnie nowy dla 'ndranghety, która, jak dodaje Bonaventura, miała zaangażować nawet sycylijskich ojców chrzestnych, „kupionych” przez ojców kalabryjskich, posiadających w każdej chwili gotówkę do dyspozycji.

O współdziałaniu 'ndranghety z władzami państwowymi mówi także anonimowy śledczy, ale tym razem stawką miało być wyodrębnienie oddziału, który oddał pięćdziesiąt cztery strzały przed restauracją *Da Bruno*. Zastrzeżone źródło w wywiadzie dla dziennika *Il Fatto Quotidiano* opowiada o swoim osobistym spotkaniu z grubą rybą z San Luca, bossie przebywającym w Ameryce Południowej, który miał obiecać, że wyjawia tożsamość i kryjówki killerów z Duisburga w zamian za pieniądze i „skrócenie kary dla ważnego *capobastone* w więzieniu”. Śledczy opisuje kontakty z innymi bossami: „Każdy o coś prosił – o przeniesienie krewnego albo przejście do oddziału więziennego o lżejszym rygorze. Wszystkie prośby zostały wysłuchane”.

W każdym razie rzeź w Nadrenii Północnej-Westfalii pokazała wszystkim jasno, że kalabryjski świat przestępczy to nie tylko czubek włoskiego buta, a nawet nie tylko Włochy. Poetycko opisał to Francesco Forgione w relacji komisji antymafijnej: „Rzeź w Duisburgu była jak gejzer. Wrzący i zabójczy strumień, który ze szczeliny w ziemi

wyrzucił w górę wreszcie widzialny dla wszystkich miazmatyczny płyn" społeczeństwa przestępczego, które tuczyło się od długiego czasu w podziemiach globu.

Jatka jest ostrzeżeniem, że 'ndrangheta dotyczy nas wszystkich pod każdą szerokością geograficzną. Że ma moc wpływania na nasze życie, także na życie tych, których stopa nigdy nie powstała w Kalabrii.

Pieczeń na tym systemie stawiają rozmaite dochodzenia magistratury: operacja *Minotauro* z 2011 roku dokumentuje obecność klanów kalabryjskich w Piemencie; dochodzenia *Crimine* i *Infinito* potwierdzają ich intensywne działanie w Lombardii; *Crimine 2* i *Crimine 3* udowadniają ich przerzuty do Kanady, Holandii i Australii.

Tymczasem w wyniku operacji *Fehida*, która szuka winnych zarówno śmierci w Duisburgu, jak i zabójstwa Marii Strangio, rozpoczynają się trzy procesy w Kalabrii. Najmniej spektakularny odbywa się w sądzie przysięgłych w Reggio z trzydziestoma ośmioma oskarżonymi, którzy proszą o tryb przyspieszony. Apelacja zakończyła się w lipcu 2011 roku uniewinnieniem Santa Vottariego, początkowo wskazywanego jako zabójcę Marii Strangio; wyrokiem trzynastu lat dla Antonia Pellego *Vanchelliego*; ośmiu lat dla innych, wśród których są też Michele Carabetta i brat Marca Marmo.

Achille Marmo jest jednocześnie świadkiem w innej sprawie, dotyczącej poszukiwania winnych śmierci jego brata i skupiający na sobie wszystkie światła reflektorów, ponieważ za kratkami stoi sam Giovanni Strangio. Zostaje włączony do innego procesu, również w Locri, dotyczącego zabójstwa Marii i wendety w San Luca.

Jest wreszcie trzecie postępowanie, dotyczące Giuseppe Nirty *Charliego* i Sebastiana Nirty, rozpoczęte później w Locri; razem z nimi oskarżony jest o pomoc i współudział niejaki Antonino Flaviano. Francesco Romeo natomiast, kolejny szwagier Strangio zatrzymany razem z nim w Amsterdamie, podczas gdy piszemy te słowa, nie jest oskarżony w sprawie strzelaniny w Niemczech.

Proces Giovanniego Strangio rozpoczyna się 13 kwietnia 2010 roku i niesie ze sobą rozmaite momenty napięcia. Skruszony Vincenzo Consoli potwierdza akt oskarżenia, według którego krew w Duisburgu zmyła krew Marii Strangio przelaną

w San Luca. Znany adwokat Carlo Taormina, obrońca Strangio, grozi, że poprosi o wymianę sędziów, ponieważ jego zdaniem są oni nieodpowiedni. *Charlie* zaprzecza kategorycznie, żeby kiedykolwiek rozmawiał o rzezi z Consolim. Gianluca Nirta korzysta z prawa odmowy składania zeznań.

Z członków rodzin ofiar dwie kobiety są obecne na każdej konferencji prasowej, nie tracą okazji, żeby powtarzać dziennikarzom, że ich synowie zostali zabici w wyniku makabrycznego zbiegu okoliczności. Oni z przestępczością nie mieli nic wspólnego.

To Marianna Carlino, matka braci Pergola, i Antonia Giorgi Marmo, matka Marco.

1 Pizzini (wł.) – mafijne grypsy.

2 Śladami, tropem kobiety.

3 *Długa noc Medei* (wł.).

II

WALECZNE SERCE

Przeżyłam cały okres dojrzewania marząc o tym, żeby zostać piosenkarką. Czy raczej gwiazdą rocka. Znaleźć się daleko od Reggio Calabria, występować na najbardziej gigantycznych i prestiżowych scenach świata i mieszkać w apartamencie w West Village w Nowym Jorku, jednym z tych ze schodkami przy wejściu i żelaznymi drabinami przeciwpożarowymi, skąd można karmić wzrok żywiołowością Manhattanu.

Był styczeń, lodowate popołudnie 2009 roku. A ja byłam w Nowym Jorku. Kamera telewizyjna posuwała się za mną, a dziennikarz przeprowadzał ze mną wywiad, szliśmy przez tłum na Times Square.

To nie był sen, lecz ja nie zostałam gwiazdą rocka. Muzyka nie miała z tym nic wspólnego. Chodziło o kobiety z mojej ziemi. Chodziło o sztukę, fotografię.

Przywiozłam na Manhattan zdjęcia kobiet z San Luca. A także jedną z nich z krwi i kości.

Sprawa zaczęła się w ten sposób: amerykański dziennik *Los Angeles Times* dowiedział się o naszym Ruchu i poświęcił nam artykuł, a temat podchwyciły inne gazety za oceanem. Nasza historia z Aspromonte przemierzała Stany Zjednoczone, gdzie mafie włoskie odnoszą duży publiczny sukces jako dziwaczne zjawiska folklorystyczne.

Trudne chwile leżały schowane na dnie szuflady, a ja nie mieszkałam już w San Luca, dalsze prowadzenie Ruchu z Rzymu, po ostatnich smutnych wydarzeniach, spowodowało, że byłam bystrzejsza i wydajniejsza. Moja dusza oczyściła się z odpadów miasteczkowych plotek i mogłam wreszcie skoncentrować się na tym, co najistotniejsze – na moich relacjach z kobietami, poszukiwaniu dofinansowań, które mogłyby dać im możliwość zatrudnienia. A jeśli chcielibyśmy znaleźć sponsorów, obecność w mediach była podstawą.

Kiedy we Włoszech znów rozeszła się wiadomość o kobietach z San Luca, znanych nawet w Ameryce, mój telefon ponownie zaczął dzwonić jak szalony.

I każdy, kto się ze mną kontaktował, zegnał się tym samym pytaniem: „Jak mogę ci pomóc?”. Wśród setek otrzymanych maili, pełnych komplementów i słów otuchy, któregoś dnia pojawiła się wiadomość od Pameli, dziewczyny, którą poznałam w pewnej miejscowości narciarskiej przynajmniej dwadzieścia pięć lat wcześniej, później straciłam ją z oczu. Naprawdę piękna niespodzianka.

Spotkałyśmy się w Rzymie i siedząc w lodziarni przy via Gallia, zrobiłyśmy krótki przegląd dwóch dziesięcioleci naszego życia. Teraz Pamela zajmowała się sztuką, eksperymentowała, wykorzystując technikę cyfrową. Przypadkiem usłyszała moją opowieść w programie telewizyjnym, zaszokowała ją moja historia i bardzo zaintrygowała moja działalność w Locride. Ona również, jak wszyscy, zadała pytanie: „Jak mogę ci pomóc, aby sprawa nabrała jeszcze większego rozgłosu?”.

Nie miałam pojęcia, jak mogłabym ją zaangażować, ale wśród dalszych pogaduszek opowiedziała mi, że organizuje wystawy dla młodych talentów. Także w Nowym Jorku.

Nowy Jork, sztuka współczesna, kobiety z San Luca... Daleki, niezmierny wymiar... Tymczasem nie – połączymy je razem w wystawie na temat moich kobiet. Oto moja inicjatywa – wystawa fotograficzna.

W miasteczku krążyły jedynie zdjęcia z kronik policyjnych, jak znaki drogowe podziurawione śrutem dwadzieścia lat wcześniej, ale nadal obecne na pierwszym planie w gazetach i telewizji. Albo ciała na placu przed restauracją *Da Bruno*, albo obrazy w stylu greckiej tragedii na pogrzebie w kościele głównym. Nieliczne dostępne fotografie twarzy kobiecych to zdjęcia do kartotek policyjnych mieszkańek San Luca zamieszanych w dochodzenie dotyczące 'ndranghety.

Niewiele wcześniej fotograf Pierpaolo Cito zdobył międzynarodową nagrodę za zdjęcie zrobione w bramie kościoła Santa Maria podczas pogrzebu ofiar w Duisburgu. Było na nim osiem kobiet z ciasno skrzyżowanymi ramionami jakby zatrzaśniętymi wobec zewnętrznego świata. Jedna trzymała w pięści chusteczkę, dwie inne podnosiły dłonie do ust i miały obolały wyraz twarzy.

Rozpacz unieśmiertelniona przez Cito została odebrana jako esencja kobiet w miasteczku wendety. Było to rzeczywiście bardzo piękne zdjęcie, z zastosowaniem światłocienia, niemal jak u Caravaggia, ale tematem pozostawał wyświechtany banał

– kobiecość Kalabrii, uśmiercona przez czarne stroje, przyduszona przez szale i fartuchy, onieśmielona pod zebranymi włosami w smutnym estetycznym zaniedbaniu.

W San Luca znałam kobiety zupełnie inne. Kobiety, które nie odpowiadały tym stereotypom ani fizycznie, ani duchowo.

Zielone oczy Teresy G. – wyjątkowe i specjalne. Postura Saverii – wyprostowana, z rękoma wzdłuż tułowia, sylwetka oddania ziemi. Dziecięca żywotność prześwitująca spod bladości Aurelii. To były na swój sposób wspaniałe kobiety, zupełnie co innego niż szpetne warkocze i zapuszczone wąsy. Chciałam uczynić z nich ambasadorki urody Aspromonte, słońca Kalabrii. Były gotowe stać się ikonami południowych Włoch, mającymi udowodnić, że Chrystusie zatrzymał się w Eboli. Pamela przyjęła propozycję, inne panie też, pokonując swoją niechęć do pokazywania własnego wizerunku.

Kobiety z San Luca nie lubią, kiedy się je portretuje, i nie jest to tylko kwestia wstydlivosti. W San Luca zdarza się często, że jakiś nieznajomy przechodzi z aparatem fotograficznym, a dzień później, bez twojej wiedzy, twoja twarz pojawia się w gazetach na pięciu kontynentach jako dodatek do artykułu mówiącego o *'ndrinach*, masakrach i przemyśle narkotyków.

Przekonałam je, stawiając na jakość projektu i na wyjątkowość każdej z nich. Teresa G. ze swoją twarzą i morskozielonymi oczami jest tylko jedna na świecie i mieszka w San Luca. Twarz jest lustrem wnętrza, a poprzez ten gest, który był dla nich aktem prawdziwej odwagi, moje panie mówiły światu, że ich społeczność już się nie kryje. I że kobiety z San Luca są kobietami jak wszystkie inne w jakiegokolwiek części globu.

Władze prowincji do spraw polityki społecznej pokryły koszty projektu, a przyczyniła się do tego i wkład wniosła także radna prowincji do spraw równouprawnienia. Wystawa miała być urządzona w galerii *Onishi* w Chelsea, w sercu nowojorskiej sceny sztuki współczesnej.

W październiku 2008 roku przyjechało do San Luca trzynastu włoskich fotografów, każda wybrana modelka miała pozować swojemu osobistemu portreciście. To były wyjątkowe dni. Panie, na początku nieśmiałe, zaczęły powoli

pokazywać z wyzwajającą spontanicznością swoje naturalne piękno, bez makijażu i innych sztuczek. Kobiety o rozpalonych oczach, które z dumą prezentowały się jak zawodowe modelki. Kobiety, które nie rzucały nikomu wyzwania i nie miały nic do udowodnienia poza swoim esencjonalnym wdziękiem. Wszystkie zdjęcia były arcydziełami. Wybrałyśmy po jednym dziele każdego artysty i wysłałyśmy do Nowego Jorku. Pod koniec grudnia wyjechałam również ja. Wraz z moją córką Micol i Pamelą.

Wracałam na Manhattan po tak długim czasie i po tak długim życiu. Nie byłam już dziewczynką z dziurawym plecakiem, która wyjechała z Kalabrii dwadzieścia lat wcześniej, teraz miałam córkę, jedenaście sztucznych zębów, ze dwadzieścia dekagramów tytanu chirurgicznego w ciele i nadzieję, jaką pokładało we mnie wiele kobiet.

Znaleźć się znów na Times Square to było jak zanurzyć się w sercu. Wzdłuż wyłożonych kafelkami korytarzy metra widziałam znów dziewczynę ubraną jak piosenkarka Madonna, podążającą w swojej ucieczce śladem komety będącej jeszcze mgławicą. Wchodząc po schodach prosto w blask nigdy niegasnących gigantycznych monitorów, myślałam, że jestem w świecie, który nie może znać kłamstwa i zdrady, ponieważ nie zna ciemności i ciszy.

Z drugiej strony planety przygotowywała się do wyjazdu inna kobieta, która drapacze chmur Nowego Jorku wyobrażała sobie jedynie w swoich wierszach. Aurelia z San Luca ma pięcioro dzieci i wielki żal, że nie ukończyła liceum. W wieku pięćdziesięciu lat odkryła w sobie poetkę, wrażliwą fotografkę, a przede wszystkim artystkę, zdolną z masy kukurydzianej formować laleczki, jakby wymyślone przez malarza Marca Chagalla.

Aurelia była przesadnie rozemocjonowana i bała się samolotu. Ale wyruszyła. Dzień później pojechałam odwiedzić ją w hotelu przy Piątej Alei. Wsiadłam z taksówki, dostrzegłam podobną do niej kobietą sylwetkę, ale to nie mogła być ona – paliła papierosa. A Aurelia nigdy nie paliła.

Tymczasem to była właśnie ona, pani z San Luca stała w sercu Manhattanu pośród drapaczy chmur, które badała długo w swoich marzeniach i starała się pokonać zmęczenie wywołane zmianą czasu i dezorientacją, wciągając

zdecydowanymi haustami dym ze swoich marlboro.

Tego dnia, kiedy odbywał się wernisaż termometr wskazywał po południu czternaście stopni poniżej zera. Ja, Micol i Pamela przyjechałyśmy wcześniej i zastałyśmy galerię kipiącą od dziennikarzy robiących notatki i kamer telewizyjnych filmujących dzieła. Kiedy otworzyły się drzwi dla publiczności, moja córka, która była hostessą przy drzwiach, przysłała mi powiedzieć, że kolejka do wejścia zaczyna się na zewnętrznym chodniku i trzeba w niej stać przynajmniej kwadrans. Napływali ludzie z całego Nowego Jorku. Zaskakujący sukces.

Dzień później prasa włoska podkreślała tę wiadomość. Mówiono nadal o San Luca, ale o niezwykłym San Luca umiejscowionym w Stanach Zjednoczonych, w galerii sztuki w Chelsea.

Tymczasem niewiele kilometrów od prawdziwego San Luca toczył się dalej proces o zabójstwo Marii Strangio i rzeź w Duisburgu. Podczas procesu za kratkami stało czternastu rzekomych członków klanów z tego miasteczka. W tych dniach jeden z karabinierów zeznawał, że po zabójstwie Marii nikt z mieszkańców miasteczka nie zgłosił napaści i siły porządkowe dowiedziały się o tym dopiero po przyjęciu rannych do szpitala w Locri.

Podczas amerykańskiego pobytu, gdy obserwowałam moje panie na biegunie przeciwległym wobec rzeczywistości, w jakiej zwykłam je wcześniej umiejscawiać, zdałam sobie dogłębnie sprawę, że moja relacja z San Luca to była miłość od pierwszego wejrzenia. W tym miejscu podobało mi się wszystko, nawet niedokończone budowle, trzecie i czwarte piętra kamienic zostawione bez tynku, z cegłami na wierzchu. Typowe kalabryjskie szkarady, które w Reggio przyprawiły mnie o mdłości, w San Luca sprawiały, że w dziwny sposób czułam się jak u siebie w domu. To miasteczko o czarnym sercu zwróciło mi miłość do mojej ziemi.

Odkąd przyjechałam do San Luca, potrzeba było czasu, żeby zrozumieć, jak bardzo były konieczne istotne zmiany. Warsztat krawiecki i świetlica, projekty, o których mówiłam kobietom już na pierwszym zebraniu na podwórku gimnazjum, były ambitne, śmiałe. Pomyślałam też o ośrodku, który oferowałby kobietom pomoc medyczną, psychologiczną i, oczywiście, także prawną. W miasteczku liczne były przypadki raka piersi, a choroba uderzała kobiety w każdym wieku. Badania

profilaktyczne często nie były wykonywane z powodu domowych obowiązków, ograniczeń finansowych czy tylko z lenistwa. A wsparcie psychologiczne wydawało mi się niezbędne dla wspólnoty dotkniętej tyłoma stratami istnień ludzkich, wyolbrzymianiem i nagłaśnianiem przez media tutejszej przestępczości oraz wizerunkiem w części narzuconym z zewnątrz, który doprowadził do wyobcowania mieszkańców. Myślałam ponadto o profesjonalistach od adwokata po handlowca, od doradcy do spraw rozwoju przedsiębiorstwa po agronoma – darmowej usłudze oferowanej przez wolontariuszy. Pilotażowy dwuletni projekt, na którego koniec dokonalibyśmy podsumowania i przeanalizowalibyśmy dobry wpływ na stan ducha i jakość życia.

Skontaktowałam się z dziesiątkami ekspertów i zebrałam kilka zgłoszeń, ale nie było lokali, w których można by urządzić biuro i salę przyjęć. I tak zostałyśmy zmuszone do porzucenia tego pomysłu.

Warsztat krawiecki co prawda był również pomysłem trudnym, ale nie niemożliwym, i cieszył się błogosławieństwem prefekta Musolino. Wyobrażałam sobie atelier sukni ślubnych i wieczorowych prowadzone przez Totę, która od zawsze o nim marzyła. Wiele innych kobiet dobrze szyło, ale ona robiła to po mistrzowsku i zręcznie wytwarzała rękodzieła wielkiej klasy i precyzji. Maria ze swoimi wyjątkowymi szkicami miała być pierwszą stylistką. Panna młoda miałaby suknię jedyną w swoim rodzaju, zaprojektowaną specjalnie dla niej za rozsądną cenę. I razem miałyśmy szyć ubrania dla matek, sióstr, teściowych i drухen. Krótko mówiąc, każdy ślub mógł przynieść przynajmniej pięć zamówień. Koszt byłby na każdą kieszeń, poniżej cen rynkowych, żeby zachęcić nabywców i wprowadzić w obieg teorię możliwości – możliwości dla młodych panien, żeby mieć cudowną suknię, możliwości dla kobiet z San Luca, żeby zdobyć popularność i wynagrodzenie godne uznanych krawcowych.

Nadszedł moment, by zacząć szukać popularności, uczestnicząc w inicjatywach dotyczących obrony prawa w całych Włoszech i w ten sposób poszukiwać sponsorów. I tak oto jestem we Florencji na zjeździe zorganizowanym przez regiony: Toskanię i Kalabrię. W sali *Duegento* w Palazzo Vecchio opowiedziałam swoją osobistą historię i przedstawiłam pracę na terenie Locride przed publicznością, która

wyobrażała sobie San Luca jako średniowieczną twierdzę obstawioną przez strażę na każdym dachu. Przy tej okazji region Kalabria zaoferował nam bezpłatne stoisko na targach rękodzieła we Florencji, gdzie mogliśmy wystawić nasze prace i ugościć kilka pań. Przyjechał burmistrz Sebastiano Giorgi, asesor i Giulia Stranges, odpowiedzialna za politykę społeczną w urzędzie gminy w San Luca. I po długim namyśle, jako że rzadko przemierzali się poza miasteczko, przyjechali także Saveria Giorgi i jej mąż. W mgnieniu oka rozstawiła swoje krosna pod małym drzewem oliwnym, czyniąc z naszego stoiska jedno z najbardziej oryginalnych na targach. Wyłożyłyśmy kołdry, ręczniki, ręcznie tkane obrusy. A Saveria, bosa i skupiona jak w mistycznym uniesieniu, odsłaniała publiczności tajniki rzemieślniczej pracy na krosnach, sztuki, która była jej wrodzonym talentem.

W tym czasie rozpoczęliśmy produkcję pachnących mydełek o aromatach typowych dla terytorium San Luca, projekt zainspirowany starodawnym zwyczajem domowego wyrobu mydła z popiołu zebranego w kominku. Chłopska kultura, według której wszystko można przetworzyć, oferowała najbardziej kreatywnym nieskończone możliwości wykorzystania dóbr codziennego użytku. Był to eksperyment mający wysondować możliwości handlowe produktu „made in San Luca”, który przez pewien okres faktycznie funkcjonował, sprzedawany na targach i pokazach poświęconych świadomej konsumpcji. Były to mydełka wysokiej jakości, pachnące kwiatami pomarańczy, oliwą z oliwek, białym i różowym miodem. A nasz slogan był absolutną prowokacją: „W San Luca jesteśmy czyści!”. Zapraszał, by zanurzyć się bez lęku i dotrzeć do sedna rzeczy.

Targi we Florencji były okazją do nawiązania innej ważnej relacji, a raczej autentycznej przyjaźni. Z Giulią Stranges, która do tej pory wydawała mi się oziębłą i nieufną w stosunku do mojej osoby. Giulia to szczególna postać. Jasne włosy, arystokratyczny powab, prawdziwa, ale skromna elegancja, zawsze zadbana. Urodziła się w San Luca, ale wydawało się, że spadła tam z innej galaktyki. W odróżnieniu od innych, dla niej nie stanowiło problemu wejść do baru i napić się kawy wśród wianuszka samych mężczyzn. I nie wahała się mówić o zbrodni, o krwi, o wendecie. Kiedyś powiedziała mi coś, co pozostało na zawsze wytatuowane w mojej duszy: „W tej historii nie ma ani zwycięzców, ani zwyciężonych. Wszyscy są przegrani”.

Ale na początku Giulia mnie nie znosiła. Sama mi to wyznała ostatniego dnia we Florencji z prostotą raczej rzadką na dość formalnym Południu: „Byłaś na ustach wszystkich, jedni mówili to, drudzy tamto. Nie czułam do ciebie sympatii”. I dodała: „Teraz, kiedy cię poznałam, przykro mi, że muszę cię pożegnać. Te dni były bardzo piękne”. Spędziłyśmy je, opowiadając sobie historie, które zwykle opowiadają sobie kobiety, nie owijając niczego w bawełnę, a dzięki niej poznawałam nowe elementy ludzkiej złożoności w Aspromonte.

Giulia Stranges wykazała olbrzymią determinację w związku ze zorganizowanym wkrótce potem – 17 lipca – wydarzeniem: galą w prefekturze. Rewolucja w rewolucji.

Nie sądzę, żeby kiedykolwiek się zdarzyło, aby prefekt otworzył drzwi swojego pałacu osobom, które były wytykane jako córki, żony i matki przestępców z San Luca, ze stolicy antypaństwa.

Pomysły kosztują tylko tyle, co pasja, a my miałyśmy ich mnóstwo. Zawsze brakowało pieniędzy, więc pomyślałam o przyjęciu dobroczynnym, podczas którego można by zebrać fundusze. I przypomniałam doktorowi Priolo obietnicę złożoną kobietom rok wcześniej przez prefekta Musolino – wieczór w salonie prefektury z prezentacją ich rękodzieła.

Pokój Musolino przylegał do sali prowincji, tej z herbami miasteczek na suficie i oknami otwartymi na morze i cieśninę. Prefekt zwykł palić fajkę z tytoniem aromatyzowanym anyżem, o przyjemnym zapachu. Razem z nim, człowiekiem inteligentnym, byłam w stanie się śmiać z szalonych plotek na temat naszej rzekomej relacji uczuciowej. I tego dnia powiedział: „Przyjęcie w prefekturze ma się odbyć”.

Wypadło to w czwartek.

Kobiety szykowały do wystawienia skrzynie z haftami i planowały *'nfurnate*: ręcznie robiony chleb, pieczony w piecach opalanych drewnem razem z suchymi gałązkami oliwnymi zebranych w wiązki, które nadawały złocistym bochenkom jedyny na świecie aromat. Każdy zaproszony otrzymał chleb – symbol naturalności i współpracy. Przy wejściu stały córki Teresy G., Maria i Chiara, przebrane w *villanedde*, typowy kostium dla San Luca, i witały gości różą z masy kukurydzianej zrobioną własnoręcznie przez Aurelię, naszą artystkę.

Tkaniny zostały ułożone w sali reprezentacyjnej. Część wystawy poświęcona była

haftowi artystycznemu *in filet*, była sekcja prac szydełkowych i prac na krosnach. W głębi sali połyskiwała wystawiona na manekinie krawieckim suknia ślubna. Inne ubrania uszyte przez panie były prezentowane przez niektóre dziewczęta z miasteczka, przez stażystki z prefektury, przeze mnie i Micol.

Bufet był wspaniały: bakłazany *'mbottite*, chleb *cunzato*, sery, wędliny domowej roboty. I woda ze źródła tryskającego na placyku z parkingiem. Sędziowie, oficerowie, burmistrzowie i duchowni – wszyscy mieli usta pełne San Luca.

Reżyser tego gastronomicznego triumfu miał swoje imię, a raczej przezwisko – *Spadolini*. Mężczyzna mniej więcej pięćdziesięcioletni o szczerzej twarzy i ujmującym sposobie bycia. Naprawdę nazywa się Sebastiano Nirta, ale jak tylko mieszkańcy San Luca sięgają pamięcią, zawsze mówiono na niego *Spadolini* ze względu na jego rzekome podobieństwo do znanego polityka. Jego rodzina nosi po prostu to samo nazwisko, co rodzina zamieszana w wendetę, a on jest właścicielem baru przy placyku Santa Maria, który na specjalne okazje ma także salę restauracyjną na wyższym piętrze.

Miejsce to jest duszą San Luca. Miasteczkowy, esencjonalny bar z wyblakłym szyldem lodów *Sammontana* jest autentycznym odłamkiem nowoczesności i nie nosi żadnej nazwy. Jest to po prostu bar *Spadolini*ego. Ma ciemną ladę, za nią lustro poprzecinane półkami z kryształu, typowymi dla lokali z dawnych czasów, a na ścianie po prawej stronie duży obraz w jaskrawych barwach, w barokowej złoczonej ramie, ukazujący świętego Michała Archaniola pokonującego smoka-demonia. *Spadolini* jest do tej pory wściekły na zagraniczną dziennikarkę, która opisała jego królestwo jako norę, dodając, że oddycha się w nim *'ndranghetą* z powodu tego świętego Michała na ścianie.

Na zewnątrz baru czerwone plastikowe stoliki i krzesła stoją po stronie kościoła, gdzie pada cień. Mężczyźni rozsiadają się, żeby porozmawiać, pograć w karty i sączyć jedyne piwo doceniane przez mieszkańców San Luca: *Peroni*. *Spadolini* nazwał je piwem rolniczym, mając na myśli napój prosty, swojski, lekki, ale za pierwszym razem, kiedy usłyszałam, jak to mówi, z trudem powstrzymałam wybuch śmiechu. „*Dotturessa*”, tłumaczył mi, „nawet jeśli przywożę bardziej wyrafinowane piwo, moi ziomkowie pytają o *Peroni*. Bo jest lekkie, takie prawdziwe piwo rolnicze!

To jest prosty bar, a widzi pani te dwa szampany tam na górze?", i wskazał na butelki wystawione za ladą. „Opowiadam zawsze o tej zagranicznej dziennikarce, która przyjechała w okresie przed Bożym Narodzeniem, kiedy składałam większe zamówienia, żeby trochę się sprzedało. Miałem może ze trzydzieści butelek, a wie pani, co tamta napisała? Że w San Luca wszyscy są oficjalnie bezrobotni, ale szampan płynie strumieniami!".

Spadolini jest przezabawny, obdarzony zdolnością do snucia malowniczych opowieści i tworzenia niebanalnych metafor. Ale umie także cytować z pamięci Corrada Alvaro, potrafi wyrecytować pierwszy rozdział *Gente in Aspromonte* z żywotnością godną komedii dell'arte. Ma klucze do domu-muzeum pisarza, przylegającego do baru zaraz za rozpadającymi się schodkami, które wznoszą się do starej części miasteczka, i oprowadza turystów po pokojach młodości Corrada Alvaro. Otwiera drzwi, każe wpisać się do rejestru odwiedzających, opowiada o życiu intelektualnym miasteczka San Luca i skacze od jednego do drugiego cytatu z dzieł pisarza.

„Jeśli przegnacie mnie z placyku Santa Maria, moje dni nie będą miały sensu", deklaruje później, zakochany w swoim miasteczku. „Może mnie nie być kilka dni, ale później muszę tu wrócić, inaczej brakuje mi powietrza". Jest także jednym z niewielu ludzi w San Luca, których słyszałam mówiących swobodnie o 'ndranghecie, przynajmniej o tej u zarania dziejów: „Wie pani skąd się wzięło zbójnictwo?", zapytał mnie kiedyś. „Z obrony. Z rewanzu Czwartego Stanu"¹, i wskazał inny obraz dekorujący jego bar na lewo od wejścia, ze słynnym wizerunkiem strajkujących robotników, namalowany przez Pellizza da Volpedo. „To samo, co zdarzyło się w Libii za Kadafiego, kiedy lud był zmęczony cierpieniem, a władzę sprawowali zawsze ci sami. A po zbójnikach nadeszła 'ndrangheta. Kojarzy pani *Ojca chrzestnego* Francisa Forda Coppoli? Ten film powinien nakręcić Corrado Alvaro. Niech pani sobie przeczyta *Un treno nel Sud*², kiedy tylko otworzy pani książkę, znajdzie tam pani mafię, 'ndranghetę i 'ndriny, honorowe towarzystwo, *picciotti* w prostym berecie z czubem. Czerpał także z *Promessi sposi*³ od dzielnych ludzi don Rodriga. Niech pani to sobie przeczyta".

Spadolini wyłożył mi także niezwykle bystrą interpretację swojej drobnej

społeczności, w której młodzi są często pozbawieni złudzeń i zniechęceni: „*U nostru è nu mondu rusticu*⁴. Ja mam swój kawałek ziemi po moim świętej pamięci ojcu i nadal się nią zajmuję, prowadzę traktor, podcinam drzewa, wieś mnie dotlenia. Młodzi nie robią już tych rzeczy, gdyby to od nich zależało, nasze pola wyglądałyby jak las Sherwood. Wie pani, ten od Robin Hooda. Nikt nie chce nic robić, *i figghi non curanu i campagni di patri*⁵. Ja w wieku siedemnastu lat żąłem zboże ręcznie sierpem, tak że po trzech godzinach brakowało mi sił. O czymś takim teraz już nie ma mowy. Czy pani myśli, że gdyby wszyscy zaczęli tyrać na polu, nie odcięlibyśmy sporego kawałka bezrobocia? A tymczasem nie. Tu wszyscy pracują odrobinę w ciągu roku, a potem czekają na zasiłek dla bezrobotnych, a młodych utrzymują rodzice”.

Sebastiano Nirta *Spadolini* jest także księciem bufetów, kiedy organizuje się coś w miasteczku, on szykuje oficjalny catering regionalnych produktów. Od krojonych wędlin przez wino aż do *brivi*, małych czarnych oliwek o intensywnym smaku. A na gali w prefekturze ten człowiek dał z siebie wszystko.

Na przyjęcie dotarły w prezencie także owoce leśne, przysłała je ta sama firma, która zatrudniała panie z San Luca za cztery euro na godzinę w wilgotnych i gorących szklarniach, a na koniec im nie zapłaciła. Kobiety były bardzo zmieszane tym darem. Ja uśmiechnęłam się, podziękowałam prezesowi spółdzielni, ale miałam ochotę powiedzieć mu co innego, że zamiast przynosić te dobra, żeby się popisać przed prefektem, mógłby znaleźć sposób, by oddać kobietom ich wynagrodzenie.

Czasem wystarczy jedno spojrzenie, aby ocenić człowieka. I tego wieczoru wielu z nas oceniało się nawzajem.

Giulia Stranges wyglądała przepięknie. Ona i jej siostra Bice miały na sobie efektowne i eleganckie naszyjniki, cenne wiszące kolczyki i czarne obcisłe sukienki. Bez wkładu Giulii przyjęcie nie osiągnęłoby takiej perfekcji, to ona załadowała ciężarówkę, przewiozła chleb, razem z paniami z Ruchu ułożyła pięknie bieliznę na kanapach. Tego wieczoru raz jeszcze zdałam sobie sprawę, jak wyjątkowa jest ta kobieta.

Giulia była niezależna. Na zdjęciach z lat siedemdziesiątych ubrana jest w minispódniczkę i kozaki aż po kolano – wyrażała tym bez oporów swoją kobiecość.

Zaczęła pracować w urzędzie gminy, gdy miała dwadzieścia lat, w tamtym okresie była jedną z nielicznych kobiet w San Luca, które otrzymały zatrudnienie poza domem i cieszyły się swoją własną pensją. Później zakochała się w starszym mężczyźnie, fascynującym panu poznanym na boisku, wyszła za niego, nie udało się, więc się rozstali. Giulia nie ugięła się pod lokalnym przykazaniem, według którego, kiedy kończy się miłość, obowiązkiem jest zostać razem i cierpieć, ponieważ rozwód to temat tabu. Ona wybrała wolność, rzuciła wyzwanie pewnej mentalności i zdołała przejść bez uszczerbku i z dumą po rozżarzonych węglach osławionej *nominata*. Może dlatego, że jej rodzina była kiedyś najważniejsza w miasteczku. I nawet jeśli stracili dawne bogactwo i nikt już nie używał tytułów szlacheckich, starsi ludzie z San Luca zachowali w pamięci taneczne przyjęcia w ich wielkim domu, kiedy na książęce kolacje ubijano koziołki i przyjeżdżali nawet nauczyciele tanga i walca.

O rodzie Stranges opowiada się rozmaite historie, które nie są zwykłymi smacznymi anegdotami dla pasjonatów lokalnej historii. Między wierszami ich zmienne losy sugerują natomiast jakąś przyczynę izolacji San Luca i wyjaśniają atawistyczną wrogość miasteczka wobec państwa włoskiego. Mówią nam coś także o korzeniach 'ndranghety.

Ktoś czytając *Gente in Aspromonte* Corrada Alvaro, rozpoznał cechy rodziny Stranges w braciach Mezzatesta, bogatych i pysznych właścicielach ziemskich: „Panowie, zwani również galantami lub panami w długich spodniach”, mający pałac w centrum miasteczka i traktujący jak wszy nędznych pasterzy, którym powierzają swoje woły. Mówi się, że arogancki Filippo Mezzatesta, który upokarza biedniutkiego pasterza Argirò, to w rzeczywistości wuj ojca Giulii. Pewne jest to, że wielki dom paniczyków z powieści Corrada Alvaro bardzo przypomina pałac markizowski rodziny Stranges, który wznosił się koło kościoła Santa Maria della Pietà, po stronie przeciwnej niż dom pisarza. Łuk bramy był wysoki na pięć metrów, „jedyny obrobiony kamień, jaki istniał w miasteczku” pisze Alvaro, „którego jeden odłamek posłużył na framugę kościoła, na schodki, na dwie chude kolumny”. Nazywali go pałacem o trzystu komnatach, tak był rozległy, z dziedzińcem i trzema przyległymi budynkami. Został częściowo zniszczony przez trzęsienie ziemi w 1894 roku, otrzymał *coup de grâce*⁶ podczas kolejnego w 1908, w końcu został sprzedany na

działki. Stranges nabyli go od starych feudałów z San Luca, rodziny Clemente, i dobudowali balkon wychodzący prosto na kościół – honorową trybunę, z której uczestniczono we mszy.

Saga rodziny Stranges miesza się z legendą. Ród z pochodzenia normañski, trafia później na północną część obszaru Cosentino i już w siedemnastym wieku dzieli się na dwie gałęzie: jedną w prowincji Catanzaro, drugą w Locride, gdzie admirał Stefano Stranges, obrońca wybrzeża przed najezdami Saracenów, otrzymał w darze rozległe tereny rolnicze i wspaniałego konia, protoplastę rasy koni Stranges, silnych i nadających się do trudnych tras górskich. Jeden z powodów do chwały San Luca, aż do chwili wyginięcia rasy pod koniec dziewiętnastego wieku.

Ktoś w miasteczku mówi, że członkowie rodziny Stranges rodzą się z nazwiskiem Strangio, a później kupują „s”, żeby dodać sobie szlacheckości. Ich potomkowie zapewniają natomiast, że w dziewiętnastym wieku to księża i notariusze zmienili przez pomyłkę ich nazwisko na Strangio.

W każdym razie w miasteczku ród prosperuje, oddając ziemię w lenno pasterzom i rodzinom uprawiającym jawor i morwę. Wówczas feudał był niekwestionowanym władcą miejsc i osób. Wymierzał sprawiedliwość, ściągał podatki, korzystał ze straszliwego *ius primae noctis*. W Aspromonte panowało jeszcze średniowiecze, markiz Orazio Gambacorta di Ardore, feudalny pan San Luca, za żądanie i zaspokojenie swojego „prawa do pierwszej nocy” z młodą dziewczyną został zaszytyletowany na placu przez męża kobiety, który pomścił jej honor. Jeden z pierwszych przejawów buntu przeciw władzy, wówczas prostacko niesprawiedliwej.

Francesco Stranges ukończył studia medyczne w 1780 roku na uniwersytecie w Salerno, wówczas jednym z najbardziej renomowanych w Europie. Opowiada się, że Stranges był bardzo pożądanym także na dworze w Neapolu i któregoś dnia został wezwany do Mesyny, aby leczyć umierającą księżniczkę. Uratował jej życie, a jej ojciec obdarował go kolejnymi terenami i bogactwami. To Francesco podniósł prestiż rodu – zakupił ogromną posiadłość, która od morza w Bovalino rozciągała się w kierunku wypukłości gór przez dziesiątki hektarów – osłabił w ten sposób dominację rodziny Clemente.

Wraz z końcem feudalizmu na południu Włoch, obalonego w 1808 roku przez

francuskiego władcę Joachima Murata, tereny zostały podzielone i niektóre obszary wróciły do gmin. Francesco Stranges, teraz już burmistrz San Luca, kupił dobra rodziny Clemente, został markizem i jego ród zyskał wówczas najwyższą rangę w okolicy, już spokrewniony z innymi szlacheckimi rodami z całego regionu, wśród których była rodzina Romano, prowadząca z portu w Bagnara handel oliwą i drewnem z San Luca.

Przez cały wiek dziewiętnasty wielu burmistrzów nosiło nazwisko Stranges, a następnie wymieniali się w administracji ze wzbogaconą rodziną pasterską Vottari-Giampaolo. Zachodziły starcia polityczne, ale gospodarka miasteczka kręciła się wokół rodziny Stranges, a ludność ją kochała i nienawidziła jednocześnie. Rodzina ta była także bohaterką wydarzeń politycznych – podczas powstania w Gerace w 1847 roku, zorganizowanego przeciw królestwu Neapolu przez karbonariuszy, żądających uchwalenia konstytucji, jedyne miasteczko w okręgu, które stanęło u boku monarchów, to San Luca. I tak oto marsz karbonariuszy, który wyruszył z Bianco, ominął miasteczko i posuwał się wzdłuż drogi nadmorskiej. Powstanie to znane jest dzięki pięciu męczennikom z Gerace, rozstrzelanym z rozkazu rządu burbońskiego 2 października 1847 roku i wrzuconym do fosy zwanej *la lupa*⁷.

To nie pierwszy raz, kiedy miasteczko stanęło po stronie Burbonów. W 1807 roku, tuż po tym, jak Napoleon podbił królestwo Neapolu, Francuzi starali się uciszyć tych, którzy już zaczęli wzywać na pomoc zbójników, i mówi się, że w San Luca nastąpiła masakra w miejscu zwanym „linią śmierci”. Podaje się też, że Francuzi strzelili do kobiety, przenoszącej żywność w koszu na głowie i idącej w góry, i podpalili zakrystię w głównym kościele. Dziś jeszcze starsi mieszkańcy San Luca, reagując na złośliwość, mówią: „Nie bądź Francuzem”.

Stranges stanowili już wówczas królestwo w królestwie: posiadali tysiące hektarów, zatrudniali tysiące osób, cała prowincja uznawała ich za notabli. Były to lata głębokich wstrząsów politycznych, Piemontczycy z perspektywy Aspromonte odbierani byli jako najeźdźcy. Tutaj ludność czuła się zagrożona, pogwałcona. I pojawili się zbójnicy, którzy dla miejscowych są zwykłymi patriotami, wiernymi królestwu Neapolu, walczącymi o wolność z wrogiem. Są rzecznikami Czwartego Stanu, gnębnego ludu, który osiada w barze *Spadoliniego*.

W tych stronach logika zawsze rządzi się własnymi prawami. Nie przypadkiem Giuseppe Garibaldi podczas marszu na Rzym z Południa osiadł na mieliźnie właśnie w Aspromonte i został ranny w bitwie 29 sierpnia 1862 roku.

W roku 1861 przybył do San Luca hiszpański generał José Borjes, przysłany przez króla Franciszka II Burbona, aby odzyskać Królestwo Dwoch Sycylii stracone po zjednoczeniu, wykorzystując właśnie kalabryjskich zbójców. Borjes dotarł do Bianco z garstką ludzi, pojechał do Casignany do pewnego barona, który najpierw go gościł, ale później się zląkł, wypędził go i zadencjonował. Generał schronił się w klasztorze, dzięki pomocy księdza dotarł do Natile, a później do notariusza rodziny Stranges, który zaprowadził go do zbójników z Platì, aby z nimi współpracował. Ale zgoda nie została podpisana, a Hiszpan padł ofiarą zasadzki i zginął rozstrzelany przez bersalierów.

Piemontczycy byli postrzegani jako demony. Mówi się, że żołnierze armii królewskiej chodzili po kalabryjskich wsiach i pytali ludzi: „Niech żyje kto?”. Jeśli padała odpowiedź: „Niech żyje Franciszek II Burbon”, pechowiec dostawał kulkę w pierś. Jeśli się mówiło: „Wiktor Emanuel”, uchodziło się z życiem, ale zatwardziali burboniści, którzy woleli przeżyć, optowali za dwulicowością: „Niech żyje ten, kto dowodzi” było dobre zarówno dla sumienia, jak i dla skóry.

Tymczasem w San Luca Stranges wytrzebili całe wzgórza, aby zamienić je w gaje oliwne i próbowali przekierować lokalną gospodarkę z pasterskiej na intensywnie rolniczą. Sadzili też *portogalii* (nazwa pomarańczy w kaleczonej arabszczyźnie), a Domenico Stranges wynajął liczne tereny kolonom. Dzięki stolarce zaopatrywali królestwo Włoch w podkłady pod kalabryjsko-sycylijską kolej żelazną.

Nieszczęście rodziny rozpoczęło się wraz ze zjednoczeniem Włoch, z nowymi podatkami od zboża, soli, młócki i ziem, kiedy to kryzys gospodarczy popychał wielu południowców do emigracji na Północ i za granicę. Niektórzy twierdzą, że wówczas w San Luca jedyne przestępstwa, o jakich się słyszało, to kradzież kóz i warzyw. Drobne przestępstwa, krótko mówiąc. Ale już od czasu zjednoczenia Włoch istnieją dokumenty, które mówią o *picciotteria*⁸ w prowincjach Reggio i Catanzaro, stowarzyszeniach przestępczych pełnych kodeksów i reguł. W 1870 roku wśród dziewięciu ukrywających się w tej strefie przestępców pojawiają się także Francesco

i Giuseppe Nirta z San Luca.

Pod koniec wieku dziewiętnastego rodzina Stranges nabyła tartak w miejscowości Prato, niedaleko wjazdu do miasteczka, ale w czasie kryzysu końca wieku także to duże przedsięwzięcie upadło. Handel ledwie zipsał, brakowało infrastruktury, ludność emigrowała, a system upadał.

W latach trzydziestych dwudziestego wieku burmistrz San Luca Sebastiano Stranges, dziadek Giulii, elegancki pan w muszce, zainauguował otwarcie pierwszego akweduktu w miasteczku. Był antyfaszystą, kochanym przez ludzi i dobrym dla kolonów. Nie przypominał aroganckiego Filippa Mezzatesty z *Gente in Aspromonte*, przynajmniej w pamięci starców z San Luca. Jego rodzina prowadziła korespondencję z Corradem Alvaro, który już dawno opuścił rodzinne miasteczko, być może, żeby wyzwolić się spod wpływu despotycznego ojca. Mówi się, że to właśnie lodowaty autorytaryzm rodzica popchnął do samobójstwa jednego z braci w Mediolanie. Gdy najśłynniejszy z potomków, już uznany intelektualista, wracał do Caraffa del Bianco, blisko San Luca, aby odwiedzić matkę i brata, proboszcza don Massima, wolał patrzeć na swoje miejsce urodzenia z pagórka za potokiem Bonamico: „Noszę w sobie piękne wspomnienie tego miasteczka”, zwierzał się Alvaro w jednym z wywiadów, „nie chcę go zniszczyć”. W styczniu 1941 roku przyjechał ostatni raz do San Luca na pogrzeb ojca.

Była wojna. Don Sebastiano Stranges był nadal najbardziej znaną osobą w miasteczku. Mówi się, że udało mu się nawet stłumić powstanie ludowe przeciw Amerykanom w 1943 roku, a w wyniku nieporozumienia został wtrącony do więzienia w Locri.

Mówi się także, że przybycie Amerykanów do Kalabrii było spowodowane przez 'ndranghetę, która wówczas prezentowała się jako konsorcjum rolniczo-pasterskie zrodzone w celu ochrony terytorium po niezliczonych najazdach z zewnątrz. Ruch, który wyrastał oddolnie, rodzaj masonerii zamierzającej utrzymać porządek publiczny w podupadającym regionie. Zdaje się, że także do San Luca przybyli amerykańscy emisariusze w towarzystwie innego Strangesa pojmanego podczas wojny. Przy tej okazji jeszcze dziadek Giulii zagwarantował oddziałowi amerykańskiemu, że ludzie nie przejdą do opozycji pod warunkiem, że nie będą miały miejsca żadne nadużycia.

Swego rodzaju ugoda.

Ponoć Sebastiano Stranges był *capo dei capi*. A jego kolonami byli Nirtowie, rodzina, która wkrótce stała się znanym klanem *Scalzone* lub *la Maggiore* i nosiła to samo nazwisko co Nirta-Strangio od wendety. Klan *La Maggiore* był aktywny już od dziewiętnastego wieku, uważany za najbardziej wpływową 'ndrinę wszystkich czasów, *mammasantissima*⁹ wszystkich *locali* kalabryjskiej 'ndranghety. Przeniknął do Doliny Aosty, Piemontu, Lombardii i Emilii-Romanii. Urodzony w 1919 roku Antonio Nirta zarządzał klanem razem z braćmi Giuseppe, Franceskiem, Sebastianem i Domenikiem. Uważany był za bossa pierwszej wielkości, kawał historii i mitologii 'ndranghety. W październiku 1969 roku uczestniczył w szczycie w Montalto w pobliżu sanktuarium w Polsi, na którym nowe pokolenia postanowiły dokonać przełomu i zająć się uprawianiem i przemytem narkotyków. Mówi się, że Antonio Nirta cieszył się takim autorytetem, iż udało mu się zostać rozjemcą w 1991 roku i zablokować drugą wojnę mafijną w Reggio między rodziną De Stefano a rodziną Imerti-Condello, rękując za tych pierwszych, i że w 1993 roku powstrzymał na pewien okres wendetę w San Luca. Był nazywany *il Diplomatico* ze względu na swój rzadki dar łagodzenia konfliktów, także tych najbardziej zawiłych i okrutnych.

Jego brat Giuseppe był kolejną ważną postacią. Pojmany w trakcie operacji *Aspromonte* w 1992 roku, został zabity jeszcze przed rozpoczęciem procesu 19 marca 1995 roku, gdy przebywał w areszcie domowym w Bianco. Ktoś wymierzył mu pięć strzałów w głowę w jego własnym domu. Według skruszonego z cosa nostry rodzina Nirta z San Luca dostarczyła rodzinie Corleonesi materiały wybuchowe wykorzystane podczas rzezi w Capaci 23 maja 1992 roku, zabito wówczas sędziego Giovanniego Falcone, jego żonę i trzech agentów ochrony. Według innego skruszonego, Gaspare Spatuzzy, *la Maggiore* zwyczajowo zaopatrywała mafię sycylijską w pistolety i wyrzutnie rakietowe.

'Ndrangheta powojenna była historyczną 'ndranghetą, która rodziła się jako „honorowe towarzystwo” złożone z mężczyzn wiernych najbardziej atawistycznym regułom i dalekich, jak przyznają sami śledczy, od krwawej chciwości nowego pokolenia, które utwierdzi się w latach siedemdziesiątych w Reggio i w Locride, spragnionego bardziej pieniędzy niż władzy. Dla niektórych ekspertów od

'ndranghety ten „kodeks etyczny”, który cechował wielkich starców, to czysta retoryka. A przecież w tych stronach wciąż się powtarza, że w owych czasach zabijano tylko z powodu honoru, aby przywrócić porządek zaburzony przez kogoś, kto był nieuczciwy i nie szanował innych, kto ukradł bydło albo zgwałcił cudzą kobietę, łamiąc normy pokojowej koegzystencji. Mówi się, że technika wykorzystywania była nieznaną i podaje się przykład przestępcy Giuseppe Musolino, który na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku zabił za karę nikczemników, którzy niesłusznie go oskarżyli, przez co został wtrącony do więzienia.

Tak się mówi.

Ale już w 1903 roku pewien kapitan karabinierów zdał relację na temat towarzystwa przestępczego zdomowionego między Africo, Santo Stefano d'Aspromonte i San Luca, które zwykło gromadzić się w sanktuarium w Polsi.

Sebastiano Stranges zmarł w roku 1945. Kryzys po drugiej wojnie światowej sprawił, że wielu mieszkańców San Luca wyemigrowało na północ Włoch, do Niemiec i Australii.

Giulia Stranges nigdy nie cieszyła się nieprzebranym bogactwem przodków. Powódź w 1951 roku zabrała rozmaite tereny, a inne przejęli koloni przez zasiedzenie – pracowali na nich przedtem przez dwadzieścia lat. W miasteczku mówi się, że stanęli przeciw panom ze strzelbami w dłoniach. *Spadolini*, lubiący cytować, mówi, że było jak w filmie *Waleczne serce* Mela Gibsona: średniowieczni Szkoci, „poeci wojownicy”, walczący przeciw angielskiemu tyranowi pod przywództwem bohatera, którego przepełniał gniew, bo widział jak zgwałcono i zabito jego żonę.

W latach sześćdziesiątych Strangesowie podzielili i sprzedali inne posiadłości, niektóre z nich państwu. Babcia Giulii pozbyła się nawet góry znanej jako „góra podbródków”, ale w księgach katastralnych terytorium to do dziś określane jest nazwiskiem rodziny. Ojciec Giulii jest brygadzystą w *Guardia Forestale*, ma jedenaścioro dzieci – nigdy nie zaznał wygodnego życia przodków.

Gospodarka miasteczka padła, przynajmniej ta oficjalna. Należało się zorganizować i wymyślić sobie inną. Zaczęły się uprowadzenia, potem przetargi na prace publiczne, na koniec był międzynarodowy handel narkotykami. A ludzie z San

Luca odkryli w głębi własnej historii sens zdania, które Corrado Alvaro napisał w książce *Ultimo diario*¹⁰: „Największa rozpacz, jaka może zawładnąć społeczeństwem, to zwątpienie, że nie ma sensu żyć uczciwie”. To samo zwątpienie dopada Antonella, syna pasterza Argirò z *Gente in Aspromonte*, który, wyczerpany znośzeniem kolejnych nadużyć, staje się przestępcą. Zdanie to wita wchodzących do urzędu miejskiego w San Luca.

W listopadzie 1997 roku jeden z wujków Giulii, Fedele Stranges, został zabity w San Luca. Dwóch mężczyzn w kominiarkach zastrzeliło go przy wejściu do jego firmy w obecności dziesiątki osób, wśród których był także jeden z jego synów. Miał sześćdziesiąt sześć lat i posiadał jeden z najbardziej prosperujących młynów w okolicy. Według hipotezy śledczych Stranges zdołał w sposób całkowicie legalny zmonopolizować przemiał oliwek, co rozdrażniło inne przedsiębiorstwa. W miasteczku mówią, że to zabójstwo było niezrozumiałe, a on był dobrym człowiekiem. W przeszłości był oskarżony o pomoc i sprzyjanie rzekomym autorom zabójstwa brygadiera Carmine Tripodiego.

Dziś najślynniejszy Stranges ma znów na imię Sebastiano, jest wnukiem don Sebastiana żyjącego w latach czterdziestych i bratem mojej przyjaciółki Giulii. Zajmuje się botaniką i geologią, jest honorowym inspektorem Ministerstwa Dóbr Kultury. Często przeprowadzają z nim wywiady, prosząc także o komentarze na temat wydarzeń związanych z wendetą i 'ndranghetą. Słyszałam jak raz powiedział: „Chciałbym, żeby San Luca było postrzegane jako chore miasteczko, nie jako choroba”.

¹ *Il Quarto Stato*, słynny obraz Giuseppe Pellizza da Volpedo, przedstawiający maszerujących robotników.

² *Un treno nel Sud* (wł.) – powieść Corrada Alvaro z 1958 roku.

³ *Promessi sposi* (wł.) – „Narzeczeni”, powieść Alessandra Manzoni z 1840 roku, uważana za jedno z najważniejszych dzieł literatury włoskiej.

⁴ *Nasz świat to świat wiejski* (dial. kalabr.).

⁵ *Dzieci nie dbają o wieś ojców* (dial. kalabr.).

⁶ *Cios łaski* (fr.), ostateczny cios zadany umierającemu, mający skrócić jego cierpienia.

⁷ *Wilczyca* (wł.).

⁸ *Żołnierstwo* (dial. kalabr.).

⁹ *Najświętsza mamusia* (wł.).

¹⁰ *Ostatni dziennik*.

III

W DOMU U DOBRYCH LUDZI

Jest taka droga, która skręca w lewo za gimnazjum w San Luca i opada w kierunku potoku Bonamico. Tak stroma i śliska podczas zimowych deszczów, że aż budzi strach. Ale podchodząc do zejścia powoli, można cieszyć się zjawiskowym widokiem – rozpaloną zielenią gajów oliwnych kłócących się z matową bielą słodkowodnych kamieni. Nagle między wierzchołki wiekowych drzew wdziera się niemal przemocą czerwień dachówek. Droga ciągnie się dalej, nachylona między przepaścią i jakimiś domostwami; przechodzi się przez mostek i staje na linii prostej prowadzącej do furtki dużego domu w samym sercu wsi. Nowoczesny budynek. Willa z dużym ogrodem i kortem tenisowym z tyłu. Dookoła tylko wiekowe krzewy i kilka owiec.

Kiedyś dom był własnością rodziny Stranges. Giulia zachowała wyraźne wspomnienia twarzy wujostwa i przyjęć w ich salonach. Następnie dom kupiła rodzina Pelle, której został on skonfiskowany na początku lat dwutysięcznych.

Często o nim słyszałam. I z każdym dniem byłam coraz bardziej przekonana, że to doskonała siedziba na naszą świetlicę. Dom tuż obok centrum San Luca, łatwo dostępny. Ogrodzony i z dostatecznie przewiewnymi pomieszczeniami. Triumfalnie prezentujący się kort tenisowy i wewnątrz rozłożone na dwóch piętrach.

W miasteczku istniały inne nieruchomości zarządzane przez urząd gminy, które stały zamknięte jak mauzolea dekadencji, podczas gdy ja i moje kobiety z trudem szukałyśmy lokum dla naszych projektów. Był dom Fera, przeznaczony na mieszkania dla pracowników gminy i nigdy niewykorzystany. *Ospedaletto*, kolejny opuszczony budynek, wokół którego snuto marzenia o kawiarni literackiej. Był budynek rzeźni, dla którego nieustannie poszukiwano przeznaczenia, począwszy od koszar, a na rozmaitych magazynach skończywszy. Ale skonfiskowane dobra w miejscowości Giardino zdawały się absolutnie najlepsze także ze względu na ich wartość ideową.

Należały wcześniej do rodziny Antonia Pellego, zwanego *'Ntoni Gambazza*,

urodzonego w 1932 roku, wybitnej postaci w historii 'ndranghety z Locride. Był jednym z ostatnich ojców chrzestnych, razem z Antoniem Nirtą *il Diplomatico* starał się powstrzymać starcia między klanami w Reggio. Mówią, że patriarcha ryzykował nawet żyjąc w ukryciu i próbował zatrzymać wendetę w San Luca. Został ostrzeżony przed zbliżającą się okrutną zemstą za zabójstwo Marii Strangio i zaangażował się, niestety na próżno, żeby jej zapobiec. Jego syn Giuseppe Pelle został podsłuchany, gdy dyskutował na ten temat z teściem Franceskiem Barbaro, który nawoływał go, by zmusił do interwencji cieszących się autorytetem starszych mężczyzn z rodziny, aby zatrzymali falę śmierci w San Luca.

'Ntoni Gambazza ukrywał się od roku 2000. Według śledczych od 1999 roku zajmował najwyższe stanowisko w 'ndranghecie, czyli *capo crimine*, ale w jego procesach aż dziewięć razy zapadały wyroki uniewinniające. Wśród jego obrońców przewinęli się także Giovanni Leone, były prezydent Republiki Włoskiej. W pewnym momencie jednak Gambazza potknął się i otrzymał wyrok szesnastu lat za uprowadzenie, przemyt narkotyków i przynależność mafijną, a potem zniknął i znalazł się na słynnej liście najbardziej niebezpiecznych poszukiwanych przestępców we Włoszech. Mówi się, że przebywał w pobliżu własnego domu, poruszał się ostrożnie po naturalnych bunkrach Aspromonte i spotykał się wyłącznie z posłańcami, nigdy nie zbliżał się do telefonu, a tym bardziej do komputera. W tym czasie w marcu 2007 roku aresztowano jednego z jego synów, ukrywającego się od szesnastu lat, Salvatore Pellego.

Starszego ojca chrzestnego zdradziło zdrowie. Dokładnie mówiąc przepuklina, która wymagała pilnej operacji. I tak oto, nie spuszczać z oka jego żony Giuseppy, karabinierzy z Ros odnaleźli Antonia Pellego w szpitalu w Polistenie, na równinie Gioia Tauro. „Wszystko skończone”, miał lapidarnie powiedzieć do wojskowych, składając im gratulacje.

Gambazza był człowiekiem z innych czasów. Miał styl odmienny od pozostałych Pelle z miasteczka, noszących przydomek *Vanchelli*, którzy w wewnętrznej wojnie stanęli u boku rodziny Vottari *Frunzu*.

Mapa imion to najprawdziwsza łamigłówka w San Luca. Wśród tysiąca dwustu rodzin powtarzają się identyczne nazwiska: Pelle, Strangio, Giorgi, Nirta, Romeo,

Giampaolo. Okoliczność niepomagająca obcym i dziennikarzom w zrozumieniu lokalnych losów 'ndranghety, które faktycznie w rubrykach kryminalnych są często nafaszerowane błędami i nieścisłościami dotyczącymi nazwisk i przynależności.

Giovanni Strangio, na przykład, to nazwisko rzekomego zabójcy z Duisburga, ale również brata jednej z ofiar, skazanego w wyniku dochodzenia *Fehida*. Giuseppe Nirta jest zarówno ojcem Gianluki Nirty, jak i *Charliem* oskarżonym o współudział w rzezi w Niemczech. Teresa Strangio to zarówno matka najmłodszej ofiary z Duisburga, jak i siostra głównego oskarżonego o masakrę, również zamieszana w śledztwo, a tych dwóch rodzin Strangio nie łączą więzy pokrewieństwa. Sebastiano Nirta to jednocześnie *Spadolini* z baru i brat Gianluki Nirty, sądzony za wydarzenia niemieckie.

Trzęsawisko przyprawiające o ból głowy.

W miasteczkach na południu Włoch bardzo rozpowszechnione są przezwiska, i całe szczęście. Gdyby nie istniała sztuka tytułowania, niemożliwe byłoby rozeznanie się w dziesiątkach homonimów, imion i nazwisk w maleńkich społecznościach, gdzie zwyczajem było żenić się z kuzynami, a później tradycyjnie nadawać dzieciom imiona dziadków, komplikując dodatkowo to rozeznanie.

To właśnie przezwiska są jedynymi kompasami, dzięki którym rozróżnić można poszczególne rodziny, zresztą niektóre z nich cytowane są nawet w dawnych dokumentach notarialnych. Jak podaje sędzia Nicola Gratteri w książce *Fratelli di sangue*¹, napisanej razem z Antoniem Nicasem, genealogia 'ndranghety z San Luca szkicowana była przez skruszonych począwszy od lat siedemdziesiątych, kiedy to mafia kalabryjska próbowała zagłębić się w masonerię i politykę.

Na początku istniały trzy klany: Nirta zwani *Scalzone* lub *la Maggiore*, najpotężniejsi ze wszystkich, sprzymierzeni z rodzinami *Pelle Gambazza*, *Vottari Frunzu* i *Giampaolo Russelli*. Później byli *Romeo Staccu*, obok których stały rodziny *Calabrò*, *Mammoliti* i *Tripodo*. Wreszcie inna gałąź *Mammolitic*, zwana *Fischiante*, skupiała wokół siebie rodziny *Strangio Barbari*, *Nirta Versu*, *Giorgi Boviciani* i innych *Strangio* nazywanych *Iancani*, czyli białymi, ponieważ prawie wszyscy byli blondynami o jasnych oczach.

Nirta-Pelle-Romeo szukają szczęścia poza Kalabrią, przy operacyjnym wsparciu

klanów z Platì i Africo kierują uprowadzeniami i przemytem narkotyków. Strangio *Iancani* korzystają z poluzowanej kontroli na terytorium przeciwników i próbują piąć się po szczeblach władzy w San Luca, które może i jest okruszkiem świata, ale, jak podkreślają śledczy, kto dowodzi w gminie sanktuarium z Polsi, dowodzi miliardowym biznesem na reszcie globu.

Wendeta, która wybucha w 1991 roku, początkowo uderza we wszystkich. Pelle z ośrodka obrzuconego jajkami podczas karnawału to rodzina *Gambazza*, a kiedy w 1995 roku zostaje zabity Giuseppe Nirta *Scalzone*, który próbował zaprowadzić pokój, pękają historyczne przymierza. *Gambazza*, *Frunzu* i *Russelli* oddalają się od rodu *Scalzone*, który znajduje nowych sprzymierzeńców w klanach Strangio *Iancani* i *Barbari*, Giorgi *Boviciano* i Nirta *Versu*. *Scalzone* osiadają na północy Włoch, Romeo w Lacjum, Mammoliti w Emilii-Romanii. I wszyscy rzucają się na podbój planety. Kiedy w 2005 roku zostaje zabity Antonio Giorgi, człowiek klanów Nirta *Versu* i Strangio *Iancani*, znów rozpala się miasteczkowa wendeta, doprowadzając do zamachu na *Ciccio Pakistan* z rodziny 'Ntoniego *Gambazzy*, kuzyna Vottarich *Frunzu* i krewnego innego Antonia Pellego, zwanego *Vanchelli* lub *la Mamma*, uważanego za aktualnego capo klanu.

Jest to odrost gałęzi Pelle *Vanchelli* oskarżonych razem z Vottari *Frunzu* o zabicie Marii Strangio w Boże Narodzenie, podczas gdy *Gambazza* od don 'Ntoniego odcinają się od zbrodni.

Ciccio Pakistan jest także krewnym rodziny Morabito, do której należał niejaki *Tiradrittu*, aresztowany w 2004 roku po dwunastu latach życia w ukryciu. *Ciccio* faktycznie ożenił się z córką Lea Morabito, zwanego *Scassaporte*. To on jest ogniwem łączącym San Luca z Africo Nuovo, co wyszło na jaw dzięki trzem operacjom Reale z 2010 roku, które rozczłonkowały gałąź *Gambazza* poprzez dwadzieścia aresztowań. Wśród aresztowanych znalazł się także radny regionu Santi Zappalà i czterej inni politycy. Jednym z zarzutów wobec rodziny Pelle jest kontrola nad wyborami administracyjnymi z 2009 roku, która miała im pomóc umieścić swoich ludzi na stanowiskach decyzyjnych.

Operacja ujawnia ponadto, że spadkobiercą 'Ntoniego jest jego pierworodny syn Giuseppe Pelle, który podsłuchany w domu podczas rozmowy z Giovannim Ficarą

z Reggio zdaje się wyklądać lekcję na temat esencji dawnej 'ndranghety patriarchalnej, zbudowanej na regułach i szacunku, które nieodwracalnie przepadły. „To nie dlatego, żebyśmy byli piękniejsi”, mówi, „ale dlatego, że mój ojciec zbudował sobie drogę, stworzył ją z godnością, z uczciwością. Tam, gdzie trzeba było powiedzieć *nie*, nie mówił *tak*”.

Wieczorem, 31 lipca 2009 roku odpoczywałam w fotelu na biegunach w domu w Marina di San Lorenzo, ciesząc się słabymi podmuchami chłodu wiejącego od gór w godzinie zmierzchu. Mój komputer łączył się z internetem, jakby miał czkawkę, ale między przerwami pozwalał mi ściągać informacje i wiadomości. W otrzymanej poczcie tylko jeden e-mail przyciągnął moją uwagę.

Zerwałam się z fotela na biegunach, wyrzuciłam ramiona w powietrze jak maratończyk przecinający linię mety, zrzucając komputer i szklankę pełną migdałowego mleka na biedną suczkę Flu, która wybaczyła mi to natychmiast, co więcej, zaczęła mnie gonić, szczekając i wiwatując, jakby знаła zawartość tego maila. Podskakiwałam bosa po kamienistej drodze przed domem, śledzona zdziwionymi spojrzeniami moich rodziców. I krzyczałam jak dziewczynka: „Tak! Tak!”.

„Lidia, co się dzieje?”, zapytał ojciec moją matkę.

„Cóż, może dostała jakąś wiadomość...”, odpowiedziała, nie tracąc opanowania, ale nie zdołała ukryć ciekawości.

Miałam ramiona napięte jak pnie. Niemal drżałam.

Jakiś czas temu wysłałam projekt świetlicy do *Enel Cuore*, niedochodowej organizacji Enel, która finansuje inicjatywy społeczne na terenie całych Włoch. Tamtego wieczoru to właśnie oni poinformowali mnie, że wesprą przyszlą świetlicę w San Luca, którą, wypełniając zgłoszenie, nazwałam „Isola Rosa”².

Pierwszą osobą, do której zadzwoniłam, była Giulia Stranges. Drugą – burmistrz Sebastiano Giorgi. Obydwoje byli tak szczęśliwi, jak ja.

Ten letni mail nie był punktem docelowym. *Enel Cuore* zakochał się w naszym projekcie i jak w każdej relacji sentymentalnej spotkanie dwóch stron było jedynie punktem wyjściowym.

Moje dni stawały się coraz krótsze. Miałam coraz mniej czasu, żeby załatwić tysiące spraw i jak najszybciej ruszyć z projektem. Mieliśmy już prawie wszystko:

jasny pomysł, co robić, fundusze, zasoby ludzkie. Brakowało tylko detalu – miejsca, gdzie by to wszystko spróbować połączyć.

Po kolejnym rozpoznaniu w San Luca i kolejnym biurokratycznym „nie” zadeklarowałam oficjalnie, że Ruch nie ma funduszy wystarczających do urządzenia świetlicy w wynajętej nieruchomości. A poza tym to było bez sensu, przy takiej ilości niewykorzystanej przestrzeni, po co szaleć z opłatami? A więc wystąpiłam, bezczelnie prosząc prefekturę o przyznanie willi skonfiskowanej rodzinie Pelle. Nie tylko dlatego, że nadawała się z punktu widzenia architektonicznego. Ale dlatego, że była symbolem.

Konfiskata dóbr doskonale odstrasza od prowadzenia działań mafijnych we Włoszech. Wprowadzona przez ustawę Rognoni-La Torre z 1982 roku została dopracowana ustawą 109 z 1996 roku, która przewiduje ponowne wykorzystanie nieruchomości w celach społecznych, przyznając je niedochodowym lokalnym instytucjom. Dziś we Włoszech istnieje około dziesięciu tysięcy takich budynków cywilnych i firm. Rekord krajowy bije Sycylia, gdzie skonfiskowano ponad cztery tysiące sześćset nieruchomości, a na drugim miejscu plasuje się Kalabria – jakieś tysiąc pięćset, z których dwie trzecie znajduje się w samej prowincji Reggio i dwieście czterdzieści pięć w stolicy regionu. W Krajowej Agencji Dóbr Skonfiskowanych, z siedzibą właśnie w Reggio, pojawiają się dwa obiekty w San Luca: willa rodziny Pelle i teren rolniczy, obydwa przekazane gminie. Ale nie jest łatwo przekazać dobra, które należały do mafiosów, z dziesięciu tysięcy dostępnych na terytorium kraju mniej niż siedem tysięcy zostało już przeznaczonych i przekazanych.

Mechanizm należy naoliwić. Konfiskata dotyka mafię do żywego mięsa, odbierając bossom dobra, które gromadzili dzięki przemytowi i zabójstwom, ale to mafii nie zniechęca. Przeciwnie, zaczęła się mobilizować, prowadząc szeroko zakrojone poszukiwania nowych kukiełek, absolutnie czystych, które w rzeczywistości poszerzyły szarą strefę konszachtów. A polityka w Kalabrii odegrała decydującą rolę, o czym przypomniały ostatnio przygody sądowe byłych radców regionalnych, Mimma Crei i Santiago Zappalà.

Willa w miejscowości Giardino została odremontowana dzięki dotacji państwowej

w wysokości około stu siedemdziesięciu tysięcy euro. Następnie urząd gminy w San Luca przekazał ją na czas nieokreślony konsorcjum gmin leżących w południowej strefie nad Morzem Jońskim, które jak dziesiątki innych instytucji obiecywało, że wyciągnie terytorium z zacofania gospodarczego.

Któregoś ranka z Giulią Stranges, pewnym asesorem i dwójką karabinierów weszłam pierwszy raz do domu. Pustego, brudnego, opuszczonego. W korytarzu na podłodze powitał nas dywan martwych owadów. Sufity były wymalowane suchą pleśnią, smutno dyndały na nich żarówki.

Smutny dom – bez duszy i właściciela.

Kort tenisowy był nieużywany i ogrodzony, a nadal piękna palma przywoływała utracony blask.

Na górnym piętrze *open space* w stylu rustykalnym. Bez podłóg i źródeł światła. Balkon okalał cały budynek. Tablica na fasadzie informowała, że willa została odbudowana przez region Kalabria z funduszy europejskich.

To było cudowne miejsce, miało w sobie moc. Giulia tu wyrosła, a ja patrzyłam, jak to teraz przeżywa, obserwując, jak czas i ludzie zmienili wnętrze i atmosferę tego miejsca.

Zanim wyszłam, skorzystałam z łazienki. Nagle usłyszałam odgłos sączącej się wody. Otworzyłam okienko i zobaczyłam, że z muru na wysokości sedesu wychodzi pomarańczowa rura. Ten odgłos to był mój mocz, który spływał bezpośrednio do ogródka.

Nie było kanalizacji. A przecież region wydał sto siedemdziesiąt tysięcy euro na odbudowę, a w papierach było napisane: „Prace wykonano fachowo”. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych budynek figurował także jako siedziba kursów kształcenia zawodowego.

Czasem szczęście cię dopada, kiedy się go zupełnie nie spodziewasz. Podczas gdy ja zastanawiałam się, jak się poruszać i czułam, jak wokół mnie pęcznieje nerwowość, minister spraw wewnętrznych pisał do konsorcjum, prosząc o sprawozdanie z działań prowadzonych w skonfiskowanych dobrach. Jaka lepsza okazja mogła się trafić nam wszystkim, żeby powiedzieć, że urząd gminy właśnie myślał o przekazaniu ich zasłużonemu stowarzyszeniu kobiet, które chce przekształcić je w ośrodek dla dzieci?

Projekt „Isola Rosa” został szybko wysłany do ministerstwa, które oczywiście poparło inicjatywę, jako że wcześniej dobrze nie zrozumiano rzeczywistego wykorzystania budynku. I nadarzył się kolejny korzystny zbieg okoliczności – może taka była wyższa siła, która kierowała wydarzeniami na naszą korzyść. W tych decydujących dniach list obiegowy ogłaszał zamknięcie konsorcjów zatrudniających mniej niż pięciu pracowników. Krótko mówiąc, zarządca skonfiskowanego dobra musiał zniknąć.

I tak oto, przy szczęśliwej aprobacie prefektury, podpisałam przekazanie Ruchowi Kobiet dobra skonfiskowanego w miejscowości Giardino. Przywracając pokój sercom wielu osób.

Świetlica znaczyła bardzo dużo dla kobiet z Ruchu. To była konkretna odpowiedź na cynizm i nieufność panujące w miasteczku. My, kobiety, tworzyłyśmy coś pożytecznego dla San Luca bez próżnego gadania. Wierzyłyśmy w tę wędrówkę, i do diabła z tymi, którzy knuli przeciw nam. Wraz z otwarciem świetlicy zmije wreszcie ucichną. A dla wielu matek świadomość, że istnieje bezpieczna, zakryta przestrzeń, źródło odkryć i nauki dla ich dzieci, była jak błogosławieństwo.

Wcześniej rano, 15 listopada mój ojciec – za kierownicą tego co zawsze szarego samochodu – jechał autostradą Salerno-Reggio Calabria za wynajętą ciężarówką, która przewoziła z Rzymu do San Luca część wyposażenia rodzącej się „Isola Rosa”. Mimo siedemdziesięciu siedmiu lat i zaawansowanej katarakty w lewym oku nie cofnął się przed ofiarowaniem swojego wkładu dla Ruchu. Tymczasem ja wyruszałam pociągiem na południe.

W San Luca prace postępowały w cyklopowym wysiłku, by nie spóźnić się z inauguracją ustaloną na 20 listopada. Świetlica miała zacząć istnieć w Światowy Dzień Praw Dziecka – nie było lepszej uroczystości, żeby rzucić właśnie w San Luca, *mammie* ’ndranghety, przesłanie żelaznej woli transformacji, skierowane przede wszystkim do nowych pokoleń.

Chciałam wielkiego święta. Chciałam, żeby całe Włochy, politycy i zwykli obywatele popatrzyli na to miasteczko i na tych ludzi nowym spojrzeniem – przez soczewkę tego, co ja nazywam antymafią faktów.

Zaprosiłam ponad pięćset osobistości z rozmaitych instytucji zaangażowanych

w walkę o legalność i równouprawnienie. Ale w tych tygodniach wyteżonej pracy San Luca ponownie wdarło się na strony gazet, i to w bardzo zły sposób.

Czwartego listopada 2009 roku zmarł w szpitalu w Locri Antonio Pelle *Gambazza*. Właśnie on, były właściciel naszej świetlicy. Dziesięć minut po siódmej rano starszy boss został dotknięty śmiertelnym zawałem. Tydzień później gracze drużyny piłki nożnej z San Luca wyszli na boisko z czarnymi opaskami na ramionach na znak żałoby. Redakcje dziennikarskie uszyły wokół tego całą powieść, ale ja wiem na pewno, że to była sprawa między chłopakami; jeden z piłkarzy jest krewnym zmarłego, pokazał się z żałobą na ramieniu i poprosił kolegów, żeby zrobili to samo na znak solidarności. Nie był to hymn dla ojca chrzestnego ani publiczne wyznanie poddaństwa 'ndranghecie.

Wybuchło pandemonium. *Federcalcio*³ rozpoczęła dochodzenie. Szef policji z Reggio zabronił przez rok wiceprezydentowi drużyny z San Luca uczestniczyć w wydarzeniach sportowych, mówiąc o „wpływowej przemocy moralnej”. Don Pino Strangio, prezydent drużyny, starał się załagodzić sprawę: „Rozmawiałem z chłopakami i byłem bardzo twardy”, oznajmił prasie. „Nie przewidzieli, co się stanie. Wszyscy nad tym boją. Myśleli, że to będzie miły gest wobec kolegów spokrewnionych z Pelle”. Ale gazety wymieniły całą serię rzekomych precedensów: w październiku 1997 roku zachowano minutę ciszy podczas meczu Locri-Sciaccia po śmierci Cosima Cordì, wujka dwóch piłkarzy z Locri, a także rzekomego bossa zabitego w zasadzce; w 2004 roku, podczas gdy grały Strongoli i Isola Capo Rizzuto, minutę ciszy na stadionie dedykowano zmarłemu Carmine Arenie, uważanemu za wybitną osobistość 'ndranghety z Crotona.

W listopadzie 2009 roku całymi dniami przypominane były mętne karty historii, które społeczność próbowała zostawić za plecami.

Nagła śmierć Antonia Pellego zupełnie mnie zdezorientowała, słyszałam o nim wiele i nie były to tylko rzeczy złe. Chciałam napisać do niego list, zakomunikować mu moją myśl. Tak, chciałam, żeby stary ojciec chrzestny poparł filozofię, którą miała się wypełnić ta przestrzeń, żeby może zrozumiał, jak bardzo willa mogła stać się istotna dla przyszłości San Luca.

Paradoks? Naiwność? Nie wiem. Czas nie pozwolił mi poznać odpowiedzi.

Nie podobał mi się ten zbieg wydarzeń: śmierć Antonio Pellego i inauguracja świetlicy w majątku skonfiskowanym jego rodzinie. Mogłoby to zabrzmieć jak opowieść najgorszego rzędu dla niektórych uszu i wiele osób z miasteczka mogło nie uczestniczyć w naszej inauguracji z tego właśnie powodu. Ale nie było wyboru, zbliżał się 20 listopada, a ja nie miałam najmniejszego zamiaru opóźnić uroczystości. Była zbyt ważna, a data zbyt symboliczna.

W poranek inauguracji, od samego świtu, dom był pełen ludzi, którzy starali się jak najlepiej wszystko przygotować. Poprzedniej nocy zgasiliśmy światła o drugiej, głodni i zmęczeni.

Nie zmrzyłam oka, przewracałam się w łóżku jak pączek we wrzącym oleju, a o świcie stałam już przed furką willi. Wydarzenie było zaplanowane punktualnie na południe, ale już o jedenastej podjeżdżały samochody znakomitych gości, natomiast ja krążyłam po pokojach i szlochałam, chowając się, żeby nikt mnie nie widział. Moje dzieło nabrało kształtu, a ja byłam tak szczęśliwa, że nie panowałam nad emocjami. Teresa G. była blisko mnie, ona też była szczęśliwa i zmieszana, ale umiała to ukryć lepiej niż ja.

Poszliśmy do jej domu wziąć szybki prysznic, później wróciliśmy do świetlicy. Droga była obstawiona przez policję, karabinierów i kamery telewizyjne. Zobaczyłam w oddali mojego ojca, który rozmawiał z wysokim mężczyzną, wiceprezydentem *Enel Cuore*. Zobaczyłam senator Annę Finocchiaro, a wokół niej innych posłów i senatorów. I szefa policji, prefekta Musolino, doktora Priolo, który poprzedniego wieczoru polecił mi: „Rosy, mów spokojnie i podziękuj wszystkim”.

Nie odczuwało się, że to głęboki listopad – w miejscowości Giardino, u stóp wiecznie zielonych wzgórz Aspromonte, były przynajmniej dwadzieścia dwa stopnie i pulsujące słońce.

Ustawiliśmy sto krzeseł przed furką wejściową, gdzie odbywała się uroczystość. Ja byłam obłąkana przez dziennikarzy, którzy wciskali mi mikrofon w zęby, aby otrzymać jakąś deklarację, ale byłam zbyt zajęta powstrzymaniem łez. Aż wreszcie mogłam rozpocząć moje przemówienie.

Miałam przed sobą twarz Saverii, która – zdaje się – nigdy wcześniej nie widziała, jak płacę. W tym momencie była moim lustrzanym odbiciem, w naszych oczach,

w których mieszały się szczęście i cierpienie.

To dziwne, jak bardzo można się czuć smutnym i szczęśliwym, zranionym taką sprzecznością. Ale zarówno ja, jak i miasteczko San Luca podnosiliśmy się z tragicznych upadków, pamięć o przeszłości mogła jedynie pozwolić nam obydwójgu pławić się w radości, nasączonej smutkiem, może goryczą. Był to trud wspinania się pod górę z chybotliwą nogą, razem z kobietami, które jak ja straciły okruchy swoich historii w wirze wydarzeń jeszcze wiszących nad nami jak miecz Damoklesa. A to napełniało mi serce wycieńczeniem, które nagle, teraz, otrzymywało zastrzyk czystej i jasnej radości. Z naszego zrealizowanego projektu.

„Oprócz narodzin mojej córki, to właśnie jest najpiękniejszy dzień w moim życiu”, powiedziałam. A później nie oszczędziłam krytyki.

W tamtym okresie wydawało się, że całe Włochy są skoncentrowane na życiu seksualnym pewnego prezesa rady ministrów, który był nazywany *papi*⁴ przez nieletnią dziewczynę i uczestniczył w przyjęciach z kobietami z agencji towarzyskiej. Rzeczywiste potrzeby ludzi nikogo nie interesowały. Byliśmy świadkami bezwstydnego ostentacji efekciarstwa w polityce, podczas gdy niektóre z moich kobiet dzwoniły do mnie z płaczem, bo nie miały czterech euro, żeby kupić paracetamol dla swoich dzieci. Kto by w to uwierzył? Kobiety z San Luca są i pozostaną dla wszystkich żonami bossów.

Na koniec mojego przemówienia prefekt przekazał mi medal prezydenta Republiki, don Pino poświęcił budynek Matce Boskiej Górskiej i natychmiast po błogosławieństwie mnie zaskoczył: „Były chwile, kiedy szarpaliśmy się za włosy”, przyznał, „ale dziś muszę ci powiedzieć: brawo Rosy. Zrealizowałaś to, o czym mówiłaś”. Pierwszy raz proboszcz San Luca uprawomocnił moje zaangażowanie w miejscu publicznym. A ja chciałam odczytać jego słowa jako autentyczne wsparcie.

Przecieliśmy wstęgę i zaczęło się przyjęcie.

Bufet, jak zawsze, był dziełem *Spadolini*, który tego dnia wznosił toasty i chciał zadedykować jeden z nich mnie: „Za każdym razem, kiedy ktoś o pani mówił, *dotturessa*, odpowiadałem: w moim barze mówi się o niej *sulu beni*⁵, kto mówi źle, niech wyjdzie, bo ta dziewczyna dużo robi dla naszego miasteczka. W San Luca wszyscy chcą być solistami, a tymczasem trzeba *fare gruppu*⁶, jak nas uczy

dotturessa Canale, która dla mnie jest królową świętej Marii!". Królową świętej Marii, królową San Luca. Jeden z najbardziej dziwnych i cudownych komplementów, jakimi kiedykolwiek mnie obdarzono.

Od momentu, gdy je sobie wyobraziłam, w miejscu tym dobro miało wywoływać w innych dobro. Panie miały przejść szkolenie jako pracownice świetlicy – cztery z nich w kolejnych miesiącach naprawdę pojechały do Turynu, żeby się uczyć. Dzieci, z których wiele to ich własne pociechy, będą miały do dyspozycji ośrodek do zabawy i nauki, znikną wreszcie z ulicy i będą miały zajęte popołudnia. Przewidziane były kursy tańca, lepienia z masy kukurydzianej, rysunku i malarstwa, haftu, kurs komputerowy, gimnastyka, a latem gra w siatkówkę i koszykówkę. Wystarczyłaby mała składka miesięczna od tych, którzy chcieli z tego wszystkiego korzystać, a dzięki pieniądзом projekt stałby się dla pań wyważony i sprawiedliwy. Dla kobiet zwrot kosztów, dla dzieci przestrzeń do dobrego dorastania. A dla dziennikarzy nowy powód, żeby pisać o San Luca, ale inaczej niż zawsze.

Ośrodek miał się stać punktem odniesienia także dla pobliskich miasteczek. A socjalizacja, proces już rozpoczęty od momentu powstania Ruchu Kobiet, miała się rozwijać niemal fizjologicznie.

Wyobrażałam sobie organizowane w willi przyjęcia urodzinowe dla dzieci, z watą cukrową o smaku truskawkowym, imprezy w letnie wieczory z muzyką i karaoke, konferencje z kobietami w mundurach przy pracy. Kolejny raz składniki były podane na tacy: skonfiskowane dobra, San Luca, kobiety, dzieci i mała szalona marzycielka.

Powierzyłam prowadzenie świetlicy Teresie G., która tymczasem została moją wiceprzewodniczącą. Ślepo jej ufałam, chociaż rozumiałam, że przejęcie kluczy do takiego ośrodka, tak jak zresztą ich otrzymanie, mogło się okazać niewygodną odpowiedzialnością. Chodziło w każdym razie o skonfiskowany majątek, miejsce drażliwe zarówno dla państwa, jak i dla tych, którzy je stracili. Prawdę mówiąc, żeby powiedzieć już wszystko do końca, w akcie konfiskaty państwo nie pofatygowało się nawet, żeby zweryfikować wpis rejestracyjny w biurze katastru miejskiego. Podczas gdy rodzina Pelle, przeciwnie do tego, co wiele osób insynuowało, nigdy nie okazywała niezadowolenia, ani tym bardziej nie wysuwała grózb.

W Ruchu były kobiety związane z rodziną Pelle. Zwłaszcza o jednej z nich

dotarły do mnie głosy, że jakoby relacjonowała byłym właścicielom, co dokładnie robiłyśmy w środku. Pracowała tak jak wszystkie, czasem więcej niż inne, a Pelle mogli stwierdzić bez cienia wątpliwości, że willa nie tylko nie miała nic wspólnego z policją czy tajnymi służbami, ale nawet nie przekształciła się w jakieś bezużyteczne biuro od papierkowej roboty. Przeciwnie – to miejsce teraz należało do wszystkich dzieci w miasteczku.

Ale zdaje się, że bardziej niż rodzina *'Ntoniego Gambazzy* sami mieszkańcy miasteczka upominali się o własność nieruchomości, uważając ją nadal za „dobro skonfiskowane”, czyli czyjś prywatny dom. *Ieu i me figghi ne mandu mi iocanu 'nta casa di cristiani*⁷ – zdanie, które niektórzy powtarzali wiele razy.

To ja pierwsza przejęłam skonfiskowaną nieruchomość w San Luca i coś w niej zbudowałam. Ale dla ludzi był to nadal dom Antonia Pellego. I rzeczywiście, wielu nie wzięło udziału w inauguracji. Były kobiety z Ruchu, a mężczyźni wznoszący toasty byli przyjaciółmi *Spadoliniego* i Fundacji Corrada Alvaro. Innym mieszkańcom San Luca wydało się natomiast niewłaściwe świętować w domu mężczyzny, który umarł kilka dni wcześniej. Rozmawiałam o tym z moimi kobietami w kolejnych dniach. Wytłumaczyły mi, że to nie był brak szacunku dla mnie czy Ruchu, ale okazanie szacunku zmarłemu bez względu na to, że był bossem. Miasteczkowa logika ludzi, którzy widzieli, jak tamci się rodzą i rosą; boss czy nie – to był zawsze człowiek, którego wielu znało od ponad pięćdziesięciu lat.

Teresa G. była najbardziej narażona, to do niej ludzie przychodzili ze skargami, od niej wymagali, często ją krytykowali. Kochała ten projekt i ciężko pracowała. Ale presja społeczności, ciągle wicie się, unikanie okruchów zazdrości i podejrzeń sprawiała, że entuzjizm przygasał. Teresa opowiadała mi o wrogich i prowokacyjnych spojrzeniach, o ludziach, którzy bezczelnie wyśmiewali ją za jej „pracę-nie-pracę”, za jej dni spędzone jako baby-sitter, gratis *p'i figghi di genti*⁸. Ona godziła życie rodzinne z zaangażowaniem w Ruch, co sprawiało, że czuła się potrzebna i inna od tych kobiet, które spędzały dni w domu, plotkując.

Przy całej dobrej woli i pragnieniu odkupienia, które znalazłam w San Luca u niektórych kobiet, była też część zupełnie niezainteresowana tworzeniem czegoś nowego. Inne typy kobiet, które wolałyby męża, jeśli były jeszcze młode

i niezameżne, i klejnot Damiani na szyi czy na palcu, którym można by chwalić się przed sąsiadką. A jeśli narzeczony czy mąż kradł czy sprzedawał narkotyki, żeby to wszystko kupić, jakie to miało znaczenie? Liczyło się, żeby go mieć – ten klejnot. Kropka.

To była ta niebudząca zaufania i sympatii część kobiecej społeczności. Modnie ubrane dziewczyny, łudzące się, że o ich wartości świadczą drogie ubrania i krzycząca biżuteria. Fundamentalistki znikąd, ponad wszelką epoką, ale uważne na modę danej chwili. Te, które gorszyły się, widząc odważną minispódniczkę, ale odwracały się w drugą stronę, kiedy w miasteczku działo się coś poważnego. Te, które patrzyły na ciebie z wyższością, chcąc, żebyś poczuła się malutka. Te, w których oczach czytałaś: „Tu i tak nic się nie zmieni”.

Świetlica działała przez cały rok. Kobiety precyzyjnie wykonywały opracowany przez nas program, a dzieci licznie pukały do drzwi, przywiedzione zaraźliwym „podaj dalej”. Ale nikt nie był skłonny zapłacić składki. Ludzie przychodzili i odchodzili, kiedy tylko przypominałyśmy, że należy uiścić opłatę, choć była ona śmieszna – dziesięć euro miesięcznie, jedyny sposób, żeby projekt mógł stać się samowystarczalny. Wkład *Enel Cuore* był faktycznie przeznaczony na restrukturyzację i urządzenie wnętrza, później miałyśmy już działać o własnych siłach.

W swoich szczerych telefonach Teresa G. opowiadała mi, że nawet o zapłacenie obowiązkowego ubezpieczenia dla dzieci trzeba toczyć bitwy. Gratis zaczynało kosztować zbyt dużo. Nic nie należało się San Luca jako San Luca. Nie było zniżek ani udogodnień dla tych, którzy myśleli, że coś im się prawnie należy tylko dlatego, że urodzili się i żyją na ziemi wendety. Ludzie musieli porzucić roszczeniową postawę, podwinąć rękawy i zacząć od własnego zaangażowania. Jasne, niektórzy żyli w warunkach autentycznej biedy, znałam te przypadki i poszłabym wszystkim na rękę, ale nie chciałam uwierzyć, że żadna rodzina nie może pozwolić sobie na zainwestowanie dziesięciu euro miesięcznie, żeby ich dzieci mogły inteligentnie spędzać czas wolny.

Zastanawiałam się nad przyczyną takiego zamknięcia. Zaczynałam myśleć, że może naprawdę istnieją miejsca i społeczności nieruchome jak góry.

Było oczywiste, że pomysł świetlicy jest jedyny w swoim rodzaju i niezwykle

piękny, ale to też wydawało się schodzić na drugi plan. Wiele dzieciaków jeździło na siłownię za miasteczko, wyjazdy te kosztowały o wiele więcej niż dziesięć euro, nie licząc benzyny i kłopotu poruszania się tam i z powrotem po Aspromonte.

Aż w pewnym momencie zrozumiałam, że nie chodzi o pieniądze, ale o zasadę: płacić oznaczało legitymizować istnienie Ruchu, przyznać tak krytykowanym kobietom, że jednak wykonały świetną pracę. Oznaczało zaakceptować ich samorealizację, emancypację, a nawet zapewnić zarobek; te same możliwości, jakich wiele kobiet wyrzekło się przez ignorancję.

To była zemsta. Silniejsza od nich samych, jak demon, który wszedł w ciało i kusił je, aby stały się nasieniem niezgody. To kwestia kulturowa, zakorzeniona i pulsująca w życiu tych kobiet, które miały skłonność do zamykania się bez próby skonfrontowania się ze światem i nie zamierzały poddawać pod dyskusję archaicznego, smutnego stylu przetrwania na siłę.

Dowiedziałam się, że moje panie – według nich – nie nadają się do tego, aby być „nauczycielkami”. W każdym razie nie odpłatnie. Zadekretował to sobór ludowy miasteczkowych *comari*.

Teraz już moja obecność w San Luca ograniczała się do comiesięcznych wizyt, podczas których monitorowałam działalność świetlicy. Może gdybym znów się tam przeprowadziła, wydarzenia potoczyłyby się inaczej. Ale ten ogromny wysiłek podjęłam dla nich i słuszne było, żeby wzbily się do lotu na własnych skrzydłach. Prowadzone, kierowane, ale zdobywające własną autonomię. Tylko że niestety moje słowa, chociaż identyczne ze słowami Teresy, były inaczej odbierane i cieszyły się innym autorytetem. Ona cierpiała z tego powodu, często o tym rozmawiałyśmy. Była liderką lokalną, a przez to mniej uznawaną.

Razem zadecydowałyśmy, że będziemy kontynuować pracę nieodpłatnie, aby mimo wszystko pomagać rodzinom i pokazać im, jak ważne jest, i jak wygodne, istnienie w miasteczku ośrodka, gdzie młodzież może się spotykać. To był także sposób, aby przypomnieć lokalnym władzom o wartości naszego projektu.

Z upływem czasu górę wzięły jednak roszczenia i panie z coraz większym uporem pytały, kiedy otrzymają wynagrodzenie, tych kilka drobniaków, o których zawsze się mówiło. Nie potrafiłam już odpowiedzieć. Po części mocno je wspierałam, w końcu

projekt był pomyślany także po to, żeby dać im możliwość drobnego zarobku oprócz możliwości codziennego spędzania czasu poza domem. Obrona prawa obejmowała także tych dwieście pięćdziesiąt euro, które kobiety schowałyby uczciwie do kieszeni, byłyby to symboliczna nagroda za zaangażowanie i wartościowy przykład dla tych, którzy jeszcze stali, patrzyli i plotkowali. Jednak jakaś część we mnie buntowała się przed takim myśleniem, ja pracuję, a ty mi płacisz. Co jakiś czas słyszałam powtarzane przez kobiety zdanie: „Co my jesteśmy, służące dla ludzi? Za darmo?”.

Tak naprawdę myślałam, że można by popracować nieodpłatnie jeszcze przez jakiś czas, aby wzbudzić zainteresowanie jakiegoś zewnętrznego pożyczkodawcy, świetlica musiała najpierw wystartować, a żeby to się udało, potrzebny był wkład wszystkich. Tymczasem padało tysiąc wymówek. Najczęstsza była ta, że willa jest za miasteczkiem, że trzeba zejść aż na dół i „kiedy nastaje wieczór, pada błądy strach, to przecież wieś”. Ale niektórzy mówili z zaciśniętymi zębami: „Już nie chcą świetlicy. Niczego nie zrozumieli”.

Nagle panie przestały się czuć jak bohaterki wielkiej zmiany, czuły się raczej jak nieopłacane robotnice za darmo pilnujące cudzych dzieci, nie bez wysiłku, w imię uczciwości, której znaczenia w ich życiu nie dawało się jeszcze dobrze ocenić.

Napisałam do wszystkich, do których mogłam napisać – od prezydenta Republiki w dół. List był zawsze taki sam: świetlicy nie można zamknąć, pomóżcie nam. Nikt nie odpisał. Tylko ktoś z regionu kalabryjskiego zachęcił mnie do wzięcia udziału w konkursach europejskich, których wymogi z tego czy innego powodu są dla nas nie do przeskoczenia.

Tak to właśnie wielu ideom w Kalabrii pozwala umrzeć. Nasza ziemia jest spuchnięta od zabitych idei, pochowanych obok prawdziwych zmarłych, bez których San Luca nie stanowi już żadnej ciekawej historii, jakby zabici przez 'ndranghetę byli jedyną racją bytu dla miasteczka w Aspromonte.

Po przeniesieniu Francesca Musolino do Genui, a doktora Priolo do Rzymu nowy prefekt Reggio Calabria nawet mnie nie przyjął.

Aż pewnego dnia przyszły rachunki. Opłaciłam z własnej kieszeni jeden z nich, opiewający na sumę trzystu trzech euro. Aby zapłacić kolejny, panie zrobiły zrzutkę. Później powiedziałam dość. Ja też. Czułam się winna wobec mojej córki, której

odbierałam środki do życia, ponieważ upierałam się jak osioł, że będę dalej prowadzić coś, co już stawało się utopią.

W krótkim czasie pogaszono światła i założono ręce.

Mój sen wyrzeźbiony chwila po chwili w materii, którą uważałam za wystarczająco solidną, aby na długo pozostał rzeczywistością – ulotnił się.

Myliłam się.

Świetlica „Isola Rosa” jest zamknięta od października 2010 roku. Na podwórzu trawa wysoka na dwa metry przesłania serca cyklamenów, które teraz są już pewnie suche jak moje oczy. Patrząc na nią z oddali, gdy nadjeżdżam prostą drogą pośród drzew oliwnych i owiec.

Przerażające.

Plac zabaw pożera górski szron. Pod prawym balkonem leży maszyna do haftowania sfinansowana przez prefekturę; pokryta jest zielonym płótnem kupionym przez Saverię. Cenna i porzucona maszyna. Jak siedziba Ruchu Kobiet, jak maszyny do wyrobu mydła.

W tej chwili nie ma żadnej pilnej sprawy do podrzucenia Rosy Canale. Więc narzędzia nadal gniją, czekając aż zmieni się przeznaczenie skonfiskowanego mienia, które jeszcze do niedawna nawet nie istniało na mapach katastralnych. A administracja prefektury prosi o wyjaśnienia. Nikt nie ma tu już ochoty angażować się w projekty dla mieszkańców, odpowiadam.

I jeszcze dzisiaj, po tak długim czasie, który wydaje mi się nieruchomy i wieczny, spleciony z pytań i refleksji, nie rozumiem dlaczego. Dlaczego nam się nie udało.

Ale dojrzała we mnie świadomość: 'ndrangheta nie jest powodem. Najwyżej konsekwencją.

¹ Bracia krwi.

² Różowa Wyspa (wł.).

³ *Federalcio* (wł.) – Włoska Federacja Piłki Nożnej.

⁴ Tatuś (wł.).

⁵ Tylko dobrze (dial. kalabr.).

⁶ Stworzyć grupę (dial. kalabr.).

⁷ Nie posłę swoich dzieci, żeby bawiły się w domu dobrych ludzi (dial. kalabr.).

⁸ Dla dzieci innych ludzi (dial. kalabr.).

IV

MOJE SERCE PŁONIE

Marco w dniu swoich pierwszych urodzin. Pyszoty, zachwycony wielkim tortem ze świeczkami. Marco jako mały chłopiec podczas karnawału, kostium arlekina i czerwona maska zsunięta na czoło. Takie samo zdjęcie wielkości plakatu wisi nad kanapą w salonie. Marco podczas pierwszej komunii z młodym, ale zawsze identycznym don Pinem Strangio, podającym mu świętą hostię.

Ostatnie zdjęcie zostało zrobione w sanktuarium w Polsi podczas chrztu bratanicy – rodzina jest w komplecie, Marco zachował wyraz twarzy naburmuszonego dziecka. Kilka tygodni później wyjedzie do Duisburga.

Antonia wycięła z grupy twarz syna, aby ją powiększyć i wstawić w owalną ramkę ustawioną na kredensie z czarnego lakierowanego drewna obok lustra, bukietu sztucznych orchidei i zdjęcia zmarłego dawno temu męża.

Album życia Marca Marmo przerwany został nagle dwiema napisanymi ręcznie linijkami: „Kto żyje w sercu tych, co zostają, nigdy nie umiera”.

„Miał dwadzieścia pięć lat i jeszcze tyle stron do zapisania”, szepcze matka. „A one zostaną na zawsze puste”.

Znam od dawna Antonię Giorgi Marmo. Jest siostrą Saverii. W przeszłości zajmowała mieszkanie naprzeciwko tego, w którym Saveria trzyma swoje cenne krosna, w tych samych pomieszczeniach gościł Ruch Kobiet po wyrzuceniu z placyku Tripodiego. Marco Marmo dorastał w tych pokojach, bawił się w tych kamienistych i nieregularnych zaułkach. Kiedy miał jedenaście lat, jego rodzina przeniosła się do kamienicy w Benestare, miasteczku pod San Luca. Krótco później Mario Marmo, ojciec, zginął w wypadku drogowym.

Na parterze znajduje się minimarket Antonii. Na górze mieszkania dwóch córek i jej własne na ostatnim piętrze, z szerokim i nagim tarasem, z którego widać kawałek Morza Jońskiego z wyłaniającymi się zielonymi górami.

Antonia jest trochę podobna do Saverii. Ma bardziej miękkie rysy, drobniejszą figurę, a czerń żałoby, którą nosi od śmierci męża, sprawia, że wydaje się jeszcze

mniejsza. Krótkie włosy, orzechowe oczy. Szttywna, udręczona gniewem twarz.

Czas dla tej kobiety zatrzymał się 15 sierpnia 2007 roku, kiedy najmłodszy z jej czterech synów został zabity bardzo daleko od niej. A ona jest jedyną z matek sześciu ofiar, która nigdy nie uciekała przed wywiadami. Rozmawiała z gazetami i telewizjami z połowy świata, nawet napisała i opublikowała własnym kosztem książkę, aby wykrzyczeć wszystkim, że Marco Marmo z 'ndranghetą nie miał nic wspólnego. A już na pewno nie był zabójcą Marii Strangio.

„Proszę, *dottorressa*” . Zapytałam, czy mogę zobaczyć pokój Marco. Wiem, że dla Antonii jest wyzwoleniem mówić o synu, pokazywać jego zdjęcia z dzieciństwa i jego ubrania, które po latach nadal przechowuje ułożone porządnie w szafie, jakby Marco miał lada moment zapukać do drzwi. Dżinsy poplamione silikonem trzymającym się uparcie razem ze smarem samochodowym. Szerokie i kolorowe koszule. Białe koszulki. „Gdyby mój syn był przestępcą, czy nie miałby raczej markowych ubrań?”.

Małe radio z napisem „Charleston” stoi na komódce koło łóża małżeńskiego, postawione na chusteczce. I biała narzuta obramowana tiulem jak kołderka dopiero co ochrzczonego dziecka. Antonia ułożyła ją tam w dniu wyjazdu jej syna do Niemiec i nigdy jej już nie zdjęła. „Jest częścią posagu, tego na użytek codzienny. Nie lubię koloru białego, ale ta narzuta znalazła się wśród tkanin, które moja matka zostawiła mi w posagu. Proszę sobie wyobrazić, że nigdy nie kładłam jej na moim łóżku, nie podobała mi się. Tamtego sierpniowego ranka położyłam ją na łóżku Marca. Tak się złożyło. Kilka dni temu wyprałam ją pierwszy raz po latach i położyłam ją znów na łóżku małżeńskim, gdzie mój syn bawił się z bratankami, a ja się śmiałam i mówiłam mu: „Dla mnie ty też jesteś dzieckiem”.

I tak, niezamierzenie, Antonia przybrała w biel łóżko swojego syna na krótko, zanim został zabity.

Ta biel jest jak mnich, który ukazał jej się we śnie. Trzy dni przed rzezią, „ktoś chciał zabić trzech niewinnych ludzi, a ja biegłam, biegłam... trzech niewinnych ludzi, jak trzy ofiary z San Luca, trzy trumny, które przywieziono na pogrzeb do kościoła Santa Maria...”

Antonina przysięgła sobie, że póki jej życia starczy, będzie zapewniać

o niewinności Marca i walczyć o przywrócenie honoru rodzinie straszliwie splamionej nie tylko przez nieprzejednaną żałobę, ale przez oszczerstwa rzucone pod adresem syna. Jedno okropne nade wszystko – że to on strzelił do Marii Strangio 25 grudnia 2006 roku.

„Telewizja zaczęła powtarzać to kłamstwo zaledwie kilka godzin po strzelaninie w Duisburgu”, syczy. „U nas zwyczaj jest taki, że kiedy jest żałoba w rodzinie, nie włącza się telewizji przez miesiąc, a jeśli zmarli są młodzi, to nawet przez rok. A więc ja nie oglądałam. Dopiero moja córka Mirella powiedziała mi, co się mówi o Marcu, a ja nie wierzyłam własnym uszom. Uczestniczyłam w pogrzebie tej biednej kobiety, to byli ludzie z miasteczka, znamy się wszyscy. Gdyby mój syn zrobił tak okrutną rzecz, czy pani myśli, że ja bym była bezczelna do tego stopnia, żeby składać kondolencje rodzinie? A gdyby Marco Marmo naprawdę był zabójcą Marii, dlaczego jej krewni nie zabili go wcześniej w San Luca? Musieli jechać aż do Duisburga i zmasakrować sześciu ludzi? A jeśli wymiar sprawiedliwości wiedział, że mój syn jest winien, dlaczego go nie aresztowano? Nikt nigdy nie odpowiedział na te pytania, tym bardziej państwo”.

Antonia dodaje jedną rzecz, którą często słyszałam w San Luca, chociaż wypowiedaną jedynie w półzdaniach: zarówno siły porządkowe, jak i ludzie dobrze wiedzą, że w Boże Narodzenie 2006 roku Marca nie było przed domem Gianluiki Nirty. „Mój syn był cały czas ze mną, w tej kuchni”, upiera się. „Wstał w południe, bo to było święto, inne dzieci przyjechały na obiad, później wszyscy rozjechali się do teściów i zostaliśmy ja, Marco i moja rumuńska przyjaciółka. Ją też cały czas złości słuchanie tych rzeczy, bo była tu z nami i wie, że Marco tego dnia nic nie zrobił”.

Ta kobieta przechowuje wszelkiego rodzaju dokumenty, nowe i dawne, w teczkach z brązowego, granatowego i żółtego kartonu: dokumenty prawne, artykuły z gazet, nawet stare umowy robotników męża. Pokazuje mi tłumaczenie wywiadu z Gianluca Nirtą opublikowanego przez dziennik niemiecki *Bild* krótko po rzezi w Niemczech, nawet on oczyszczał Marca Marmo z zarzutu o zabójstwo żony: „Nie wiem, kim są zabójcy z Duisburga”, deklarował, „wiem tylko, że Marco nie zabił mojej żony. To był dobry chłopak, dałem mu nawet samochód, żeby zabrał go do myjni. Gdybym chciał, zabiłbym go tu, w San Luca”.

W innym dzienniku niemieckim, *Der Spiegel*, stwierdzono coś zupełnie innego. Napisano, że Marco Marmo był bossem robiącym karierę, a jatka przed restauracją *Da Bruno* została przeprowadzona według precyzyjnego planu mającego powstrzymać jego pięcie się do władzy. *Der Spiegel* opierał się na zeznaniach anonimowego skruszonego z 'ndranghety, który kazał na siebie mówić don Fedele i snuł teorie – delikatnie mówiąc – niespójne, konkludując: „My nie popełniamy błędów, dlatego w San Luca znów panuje pokój”.

„Rozumie pani, *dottorressa*? Wymalowali go jako bossa San Luca i całej Kalabrii”, gniewa się Antonia, a jej głos zaostrza się i zaczyna łamać. Zakłada okulary i wyjmuje z jednej z teczek kopię listu napisanego do niemieckiego dziennika, na który nigdy nie otrzymała odpowiedzi, ani sprostowania. „Łatwo oskarżać martwego, można zrzucić na niego wszystko i uniewinnić innych. Wylali na mojego syna całą 'ndranghetę Kalabrii, ponieważ on nie może się już bronić; był sierotą, jego brat już był w więzieniu, ja jestem samotną kobietą... Pomyśleli sobie – zrzucmy wszystko na niego i sprawa załatwiona”.

Według śledczych Marco Marmo był rusznikarzem klanu Pelle-Vottari. Według jego matki „mówią tak tylko dlatego, że znaleźli broń w restauracji, ale czy tam na tych pistoletach była może karteczka z jego nazwiskiem? Pech w tym, że moje dzieci pracowały w domu rodziny Pelle, ale żadna gazeta nie wspomniała o pracy. Tylko o powiązaniach, o broni. Tylko o 'ndranghecie. Marco nie był mafiosem, nie odziedziczył żadnej roli po ojcu, bo ojciec pochodził z zewnątrz, z Sala Consilina w prowincji Salerno, nie był spokrewniony z nikim w San Luca. My zawsze byliśmy przeciwni mafii, szanowaliśmy wszystkich, dla nas nie ma tak, że ktoś nosi znak na czole i wiadomo, że trzeba go unikać, bo on jest mafiosem... To policja ma się tym zajmować, a jeśli wie, że ktoś jest przestępcą, to dlaczego go nie aresztuje? Proszę pomyśleć, *dottorressa*, że tu mieliśmy nawet alarm połączony z policją z Bovalino, bo wiele razy próbowano kraść w minimarkecie. Czy pani sądzi, że gdyby moje dzieci były mafiosami, to pozwoliłyby mi być pod stałą kontrolą sił porządkowych?”.

Prawdą Antonii jest to, że Marco znalazł się w nieodpowiedniej chwili w nieodpowiednim miejscu. Że uzbrojony oddział szukał kogoś innego i nie znalazłszy go, wyładował całą swoją złość na sześciu ludziach, którzy w tym

momencie tam się znajdowali. „Gdyby ich było stu, mężczyzn i kobiet, to zmasakrowaliby ich wszystkich”.

Marco dobrze znał Sebastiana Strangio, kierownika restauracji *Da Bruno*. Bracia Marmo odziedziczyli po ojcu firmę stolarską, a w lokalu w Duisburgu wykonywali prace w drewnie. „Wówczas został w Niemczech przez miesiąc”, wspomina Antonia. „Tu w warsztacie on i Achille wykonali drzwi, pocięli je, pomalowali i wykończyli, a później wynajęli vana, żeby je tam zawieźć. Pamiętam, że Marco przygotował sobie torbę z mnóstwem ubrań, nie wiedział, jaką pogodę zostanie”. Chłopak dorabiał sobie, kupując samochody, także po wypadkach, później je naprawiał i sprzedawał. „Mówił mi, że w Niemczech rynek jest lepszy, marzył o otwarciu w San Luca salonu samochodowego...” I tym razem matka bierze dokument datowany 8 marca 2007 roku, który zaświadcza o zakupie przez Marca używanego samochodu w cenie dwudziestu jeden tysięcy euro. Sprzedawcą jest Marco Pergola, inna z ofiar. „Chciał przywieźć samochód także dla mnie, spłacałabym go na raty. Nie chciałam dużego samochodu, co bym z nim zrobiła?”, „Oj, daj spokój, ja ci go kupię”, odpowiadał, i kupił mi forda fiestę”.

W podsłuchanej rozmowie telefonicznej Marco i jego brat Achille wspominają o samochodzie kupionym „dla *mammy*”. Według śledczych *mamma* to Antonio Pelle *Vanchelli*. Według Antonii synowie mówili o samochodzie, który Marco zdobył właśnie dla niej.

Trzynastego sierpnia 2007 roku chłopak miał wrócić do Kalabrii, ale w ostatniej chwili postanowił zatrzymać się dłużej w Niemczech. „Tommaso Venturi zaprosił go na swoje urodziny”, tłumaczy Antonia, „on przyjął zaproszenie i powiadomił o tym brata Achille, jako że ja nie mam komórki”.

W dniu *Ferragosto* Antonia pracowała w swoim sklepie. „Od kiedy jestem wdową, nie obchodzę już świąt. Kiedyś jeździło się w góry z przyjaciółmi, to był miły dzień, od śmierci mojego męża wszystko stało się ciemne. Wolałam pracować, żeby nie odczuwać samotności... Koło dwunastej trzydzieści słyszę, jak moje dzieci krzyczą coś na górnym piętrze i biegnę do nich w obawie, że jedno z wnucząt spadło ze schodów. Staje przede mną Achille. Mówi: zabili Marca”.

Antonia nagle przerywa. Wydaje się, że dokonuje wysiłku, żeby zwerbalizować

coś, w co jeszcze nie może uwierzyć. Pamięta tylko, że w tamtej chwili przestała myśleć. Pamięta rozpacz wykręcającą jej tak mocno wnętrzności, że przyćmiła jej wzrok.

„Teresa Strangio rozpoznała syna w telewizji po butach. Tak mi powiedzieli. Nie wiedziałam, że jej syn tam był. Jasne, że ich znałam, a także rodzinę Sebastiana Strangio: ludzie uczciwi, pracowici. Panią Pergolę natomiast spotkałam w sądzie, jako jedyne uczestniczyłyśmy we wszystkich przesłuchaniach, stałyśmy się przyjaciółkami... Dowiedziałam się o tragedii, kiedy brat Sebastiana, Giovanni, zadzwonił do mojego syna Achillego i powiedział, że wszyscy zginęli”.

Giovanni cudem uciekł przed ostrzałem, opuścił przed innymi restaurację, którą prowadził razem z Sebastianem. Rano w *Ferragosto* zadzwonił z Niemiec do przyjaciela Achille Marmo. Kolejna podsłuchana rozmowa, w której Giovanni spytał: „Och, Achi, jest tam gdzieś mama?”. Achille odpowiedział: „Nie, dlaczego? Co się stało?”.

„Idź jej to powiedz...”, i Giovanni wybuchnął płaczem.

„Co się dzieje?”, nalegał podekscytowany Achille.

„Zginął mój brat, zginął mój bratanek, zginął twój brat. Wszyscy zginęli...”

Dla śledczych jest to znów jasne odniesienie do Antonia Pellego *la Mamma*, dialog ten był jednym z elementów, które doprowadziły do aresztowania Achillego Marmo i Giovanniego Strangio 30 sierpnia 2007 roku w San Luca podczas wielkiej operacji *Fehida*. Obydwaj zostali skazani za powiązania mafijne w apelacji w lipcu 2011 roku.

Przyjechałam odwiedzić Antonię kilka dni po wyroku. Pragnęłam być w tej chwili razem z nią, wysłuchać przemyśleń. Podzielić się z nią bólem noszonym tak długo, że staje się on z czasem niemal krystaliczny.

W związku ze zbyt długim okresem aresztowania jej syn Achille właśnie wyszedł z więzienia – razem z innymi jedenastoma skazanymi w tym samym procesie. Uwolnieni 13 lipca, dzień po tym, jak sąd przysięgłych w Locri wydał wyrok dożywocia w pierwszej instancji innemu Giovanniemu Strangio, domniemanemu zabójcy z Duisburga, i siedmiu innym członkom rodzin zamieszanych w wendetę.

Na tym pierwszym etapie toczącego się procesu Antonia woli niczego nie

komentować i oczekuje na kolejne rozprawy. „Ale wyznam pani, że odczuwam trochę ulgi”, mówi. „Teraz zobaczymy, jak się potoczy drugi proces, ten w sprawie rzekomych współników Giovanniego Strangio. Poddaliśmy się wymiarowi sprawiedliwości, ja jestem świadkiem, ponieważ wiem, że mój syn był niewinny, chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość, ale nigdy nie prosiłam o zemstę. To musi być jasne”.

W końcu zaczynamy mówić o rodzicach Giovanniego Strangio, oni także zawsze przekonywali o niewinności swojego syna, tak jak Antonia broni swojego. Oni także mówią, że są prześladowani przez sędziów i prasę. „Ja wiem, że jego ojciec zawsze ciężko pracował, nie chcę o nikim źle mówić, ale kiedy spotykam ich w miasteczku, nie mogę im się kłaniać, skręcam w inną ulicę. Nie jestem w stanie na nich patrzeć... Złości mnie najbardziej to, że wymiar sprawiedliwości nie ukarał najpierw zabójców Marii Strangio, gdyby ich złapali, dziś nie mielibyśmy tych sześciu niewinnych ofiar. Państwo w San Luca nigdy nie interweniowało przed rzezią, mieliśmy tu uprowadzenia, zabitych, narkotyki. Dlaczego to wszystko? A płacimy za to zawsze my, niewinni, a nie prawdziwi przestępcy”.

Do domu rodziny Marmo nigdy nikt nie zadzwonił, aby powiadomić oficjalnie przez telefon o śmierci Marca. „Czy to możliwe, żeby matka musiała dowiadywać się o śmierci syna pocztą pantoflową albo z telewizji? Jakby w Duisburgu zginęło sześć psów”. Nie widziała zwłok swojego Marca: „Achille pojechał do Niemiec z żoną, ja nie. Nie miałam siły, żeby zobaczyć mojego syna po śmierci, chociaż powiedzieli mi, że Marco nie był oszpecony na twarzy, nie otrzymał wielu strzałów... Nie poszłam nawet zobaczyć mojego męża, ponieważ przekazano mi, że jego ciało było w żalonym stanie. Widziałam jedynie trumnę Marca, można ją było otworzyć, wstawili szkło, żeby pozwolić nam się z nim pożegnać, ale tego też nie chciałam. Muszę zapamiętać Marca takiego, jak na zdjęciu przy wejściu: żywego, zadowolonego, dowcipnego... Pogrzeb był rozdzierający, godziny oczekiwania przed kościołem, bo przyjazd trumien opóźniał się, i kolejne godziny na cmentarzu, aż do jedenastej trzydzięści wieczorem, a i tak nie zdążyli pochować mojego syna. Mieli go złożyć w *loculum*¹ na czwartym piętrze, był zbyt ciężki i woleli poczekać do następnego dnia. Kolejny dzień cierpień nie do zniesienia. A teraz po Marcu został mi

tylko nagrobek i wspomnienia..."

Piętnastego sierpnia 2007 roku, zaledwie kilka godzin po otrzymaniu wiadomości, Antonia musiała zebrać się w sobie, aby przyjąć siły porządkowe, które przybyły przeszukać jej dom: „Przesuwali nas z pokoju do pokoju, a w tym czasie przesiewali wszystko. Pozakładali nieskończoną ilość podsłuchów, niektóre odkryli moi synowie, były bardzo duże. Ale niczego tu nie znaleźli: ani broni, ani narkotyków, ani podrabianych pieniędzy, ani nawet prawdziwych". Jakiś czas potem dobra Antonii zostały jednak zajęte: „Działania prewencyjne po aresztowaniu Achille. Dla nich tutaj wszystko było nielegalne, kiedy ja mam regularny spadek po mężu, który wybudował ten dom i sklep wylewając litry potu. Tym zajęciem dóbr jakby zabili go drugi raz... Trwało to dwa lata, na początku chcieli, żebym zakończyła działalność, ale ja nalegałam i pozwolili mi kontynuować pod ich kontrolą. Ryzykowałam bankructwo, ludzie niechętnie przychodzili, poniosłam stratę, miałam problemy w banku. Już jestem splamiona".

Opowiada mi później, że także ona i jej córka Mirella były oskarżone po Duisburgu o powiązania kryminalne o charakterze mafijnym, „ale już więcej nic o tym nie słyszałam. Ja wiem tylko, że my nie jesteśmy częścią żadnej 'ndranghety", ciągnie zdecydowana. „'Ndrangheta istnieje i jest obecna wszędzie, począwszy od Rzymu. Ja wiem tylko, że im przynosi bogactwo, a niewinnym będę".

Przerywamy. Pijemy dwa łyki oranżady, dajemy odetchnąć wilgotnym oczom, spoglądając w kierunku odległego morza. Na tarasie bryza niesie orzeźwienie od tego palącego lipca.

Zmieniamy temat.

Córka Mirella przygotowuje się do ochrzczenia dwóch synów – jeden ma już pięć lat, a drugi dwa. Musiała poczekać, aż żałoba trochę złagodnieje i duch odnajdzie siłę, aby od nowa żyć i się cieszyć. Wkrótce dom, schody i piętra zapełnią się białymi kokardami.

Wchodzimy do salonu. Naprzeciwko plakatu pięknego Marca-arlekina wisi ślubne zdjęcie Antonii. Trzyma teraz w ręku artykuł mówiący o śmierci męża, stało się to w piątek 28 lipca 1995 roku. Motor Maria Marmo zderzył się czołowo z golfem rozpędzonym w szalonym manewrze wyprzedzania, prowadzonym przez

trzydziestojednoletniego Domenica S. „Był nafaszerowany narkotykami”, precyzuje sina na twarzy. „Krótko później umarł z przedawkowania”. Jej mąż zginął na miejscu na *provinciale* Bovalino-San Luca około trzystu metrów od skrzyżowania na drogę krajową 106. Miał czterdzieści dziewięć lat, jej syn Marco trzynastoletni.

Mario Marmo przyjechał do San Luca w 1973 roku, aby poślubić dziewczynę o radosnej twarzy, żywym spojrzeniu i zgrabnej sylwetce, w której zakochał się, patrząc na zdjęcie, jak to kiedyś było w zwyczaju. Poznał jej rodziców w Niemczech, gdzie on również wtedy pracował. „Mój ojciec był straszliwie zazdrosny”, uśmiecha się Antonia, „wyszłam z moim mężem dopiero w dzień ślubu, zawiózł mnie do Bovalino autokarem do fryzjera, później wzięliśmy samochód wynajęty na uroczystość i wróciliśmy do San Luca, żeby się przygotować, on w jednym pokoju, ja w drugim. Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia, on naprawdę mnie pragnął. To był rok powodzi, proszę tylko pomyśleć, urodziłam się w roku pierwszej powodzi w San Luca – w 1951, a wyszłam za mąż w roku drugiej powodzi – w 1973... Tak naprawdę krewni męża nie chcieli, żeby przyjeżdżał do tak nieszczęśliwego miasteczka, ale nieszczęściem wówczas była tylko powódź, a nie 'ndrangheta, tu się spało z kluczem w drzwiach, szacunek był zupełnie inny... I Mario przyjechał, widywaliśmy się przez miesiąc przed ślubem, dostosowaliśmy się do zachowania i obowiązków, jakie niesie ze sobą założenie rodziny, i podeszliśmy do życia z pogodą ducha. Miałam do niego szczęście, to był dobry człowiek, jego utrata była całkowitym zniszczeniem, nie wierzyłam, że może się zdarzyć coś gorszego, a jednak...”

Antonia nie wybacza. Na pogrzebie syna była ubrana na czarno i już zawsze będzie nosić żałobę. „Nie jestem zdolna, żeby przebaczyć”, tłumaczy mi, „przebaczenie musi dać Jezus Chrystus, ale myślę, że nawet Bóg nie może przebaczyć takiej krzywdy...” I powtarza niebezpiecznym cudzym uszom jak w mantrze, która ma ją chronić przed pomówieniami: „Nie chcę zemsty za niewinną krew mojego syna, chcę jedynie prawdy i sprawiedliwości”.

W sądzie przysięgłych w Locri 12 lipca 2011 roku ona i pani Pergola trzymały w dłoniach zdjęcia synów podczas odczytywania wyroku. Marianna Carlino Pergola pokazywała twarze swojego Marca i Francesca w ramce z kości słoniowej z brzegami

udekorowanymi srebrzystymi spiralkami. „Sprawiedliwość się dokonała”, deklarowała dziennikarzom. „Zrujnowali nam życie, odbierając nam najbliższych. Raz jeszcze chcę powtórzyć, że moi synowie byli w Niemczech w pracy i zostali zabici, ponieważ znaleźli się w nieodpowiedniej chwili w nieodpowiednim miejscu. Zabili ich, żeby nie zostawiać świadków. Władze niemieckie dobrze wiedziały, że mają u siebie 'ndranghetę i nie musiały z pewnością czekać na śmierć sześciu osób, żeby interweniować”. Także młodzi bracia Pergola zostali nazwani mafiosami, „ale w rzeczywistości są niewinnymi ofiarami mafii. Podłości tych ludzi”, powtarzała Marianna, a Antonia stała koło niej.

Często radziłam jej, żeby skończyła z wywiadami i skoncentrowała się na wewnętrznym wytchnieniu. Zrobiła dla swojego syna to, co uważała za słuszne, zrobiła to aż do samego dna. Walczyła jak lwica, żeby go zrehabilitować. Teraz wydarzenia potoczą się własnym rytmem. Ale ona nie jest w stanie się uspokoić, jeszcze nie teraz: „Moje serce płonie”, wybucha na koniec, skandując każdą sylabę. „Gdyby moje serce było na zewnątrz, widać byłoby, jak się skrzy. Co jakiś czas myślę o Marcu dzisiaj, gdyby żył... Może byłby żonaty i nie mieszkałby już ze mną... Jak byłoby pięknie, gdyby mieszkał w Ameryce, niechby nawet się nie odzywał, ale żeby żył. A tymczasem jest kilka kilometrów stąd, na cmentarzu”.

Podnosi się silny wiatr, jest prawie wieczór.

Nie wiem, kim był Marco Marmo. Na jego temat przelały się mętne i pełne wirów rzeki słów. Ale wiem, i to wie również całe miasteczko, że jego dłonie nie splamiły się krwią Marii Strangio. A spotkanie z jego matką przyprawia mnie za każdym razem o bolesne zawroty głowy, pod uderzeniem grudek wrzącego bólu promieniującego z jej duszy, która szuka pokoju.

¹ *Loculum* (łac.) – miejsce na cmentarzu w szeregu piętrowych kapliczek, gdzie chowa się prochy albo ciało zmarłego.

V

MATKA WIE WSZYSTKO

Na niższym piętrze świetlicy kurz dokucza zabawkom i wyłączonym komputerom, a pająki w każdym rogu tkają swoje pajęczyny.

Już od tak dawna nie wracam do San Luca. Nadal wytrwale poszukuję sponsorów i zwolenników Ruchu Kobiet, starając się razem z prefekturą w Reggio Calabria znaleźć sposób na uruchomienie porzuconych maszyn, przykrytych zielonym płótnem Saverii. Męczę burmistrza, żeby wygrzebał gdzieś w miasteczku lokal, w którym można by je ustawić i ochronić przed niszczącym działaniem pór roku. Nie chcę, żeby wymknęła mi się z rąk nadzieja, że mogą żyć na nowo, że mogą dać pracę ludziom z San Luca.

Teresa G. przekazała mi list z dymisją z funkcji wiceprzewodniczącej. Zielone oczy, które tyle razy widziałam, jak skrzą się entuzjazmem, teraz uciekały przed moimi, mówiąc mi bez słów, że nic innego nie mogła zrobić.

W ów lipcowy czwartek, kiedy słońce pali bezlitośnie, wchodzę do baru przy placyku, aby ugasić pragnienie sokiem brzoskwiniowym i powitać *Spadoliniego*. Przy całym łagodnym smutku, jaki odczuwam, gdy odwiedzam miasteczko, które kiedyś było moim domem, wiem, że on jeden może przywrócić mi uśmiech. Dopiero wrócił ze swojej wsi. Ma wypieki na policzkach i szorstkie dłonie. Jest zaskoczony i zadowolony, że mnie widzi. „*Dotturessa*, niech pani wejdzie, czym mogę panią poczęstować?”.

Na zewnątrz, przy czerwonych stolikach z plastiku ustawionych w cieniu kościoła, pięciu mężczyzn sący piwo *Peroni* z butelki, kłaniają mi się na dzień dobry, ledwo schylając głowy.

Z głębi miasteczka z ogromną prędkością nadjeżdża dżip, hamuje, zatrzymuje się przy placyku. Widzę, jak don Pino otwiera pośpiesznie drzwiczki pasażera, z ciemną kurtką przewieszoną przez ramię. Dla niego jest to okres intensywnej pracy w sanktuarium w Polsi, z którego nie może się ruszyć, bo przyjmuje tłumy pielgrzymów zaczynających napływać latem, ale dziś jest szczególnie dzień w San

Luca i musi tu być obecny.

Dziś ślub bierze Elisa Giorgi, jedna z trzech córek jego kuzynki Teresy Strangio, dziewczyna, która od zawsze gra na organach podczas mszy. Ludzie w barze mi o tym mówią. Don Pino wita się ze mną uprzejmie i formalnie i szybko się oddala, żeby nie kazać dłużej czekać młodej parze i gościom.

Ja jestem zaprzeczeniem elegancji – krótkie džinsy, byle jaka koszulka, zgrzana, bez makijażu, z włosami spiętymi byle jak dużą klamrą. Nie chcę tak się pokazywać Teresie w dniu ślubu jej córki, chociaż bardzo pragnę ją zobaczyć, nacieszyć się jej matczynym uśmiechem i oczami niosącymi pociechę.

Wycofuję się w głąb kościoła. Widzę Elisę jaśniejącą w białej, prostej, eleganckiej sukni. Widzę Tanię, która kiedyś była moją małą siostrzyczką, wyrosła z niej młoda kobieta, jest nadal prześliczna. Obok niej widzę Teresę, ubrana jest w niebieski jedwab, włosy świeżo od fryzjera, ma gładką i bladą skórę, jako że nigdy nie lubiła makijażu. Obserwuję je z daleka i słucham ceremonii przez jakieś dziesięć minut, później wolę odejść w ciszy. Nie chcę, żeby mieszkańcy miasteczka obecni w kościele zaczęli się odwracać w moim kierunku i szeptać sobie coś do ucha. Nie chciałabym za nic w świecie wprowadzić Elisy w zakłopotanie w jej najpiękniejszym dniu.

Wychodzę przez otwartą na oścież bramę, nie robiąc hałasu, zjeżdżam samochodem wzdłuż corso Corrada Alvaro i zatrzymuję się przy placyku z parkingiem, żeby wypić kilka łyków chłodnej wody, która tryska z publicznej fontanienki. Raz jeszcze spoglądam na panoramę z tarasu zawieszzonego nad rozległą połącią drzew – Aspromonte i stara część San Luca, potok Buona mico i na samym szczycie kościół Santa Maria.

I nadchodzi wrzesień – bez uprzedzenia.

Lato na wybrzeżu jońskim nie ma odcieni. Od końca maja do pierwszych dni października ciągnie się jeden rozżarzony dzień, który daje wytchnienie jedynie nad brzegiem morza o zimnych prądach, a sięga szczytu po *Ferragosto*, kiedy z południowego wschodu zaczyna dmuchać *scirocco*¹. Można poznać, że sezon chyli się ku jesieni po tym, że zachody słońca stają się pośpieszne, ich zapadanie poprzedzają długie cienie, kąpielowicze są coraz rzadziej widywani na plaży.

A wraz z wrześniem nadchodzi melancholia. Świadomość kolejnego roku, który zaraz się zacznie, kiedy ty chciałbyś jedynie zatrzymać dni, przewinąć je w tył jak taśmę, znów zacząć zszywać rozdarcia i spokojnie odczytać na nowo wszystkie wcześniej niezrozumiane gesty i słowa .

Punktualnie o czwartej po południu dzwonię do bramki w dolnej, wąskiej części corso Corrada Alvaro. Otwiera mi Tania. Teresa i Giovanni czekają na mnie. Ona mnie przytula. Ma promienną twarz spełnionej kobiety, jakby życie nigdy nie rzuciło ani jednym kamieniem w jej serce. Długa, szeroka spódnica, jasna koszulka, dźwięczny głos jak u nastolatki. Teresa jest zawsze taka sama. Dziewczyna ponad czasem.

„Dlaczego nie przyszłaś się ze mną przywitać na ślubie Elisy?“, sztorcuje mnie natychmiast. „Dowiedziałam się, że byłaś w kościele!“.

Tłumaczę, a jej wystarczy kilka słów. Tania opowiada mi o wysiłku wkładanym w poszukiwanie pracy. Ma dyplom księgowej: „Nie chcę jechać na Północ, nie mam tam nikogo“. Opowiadam jej o Micol, która wkrótce skończy osiemnaście lat, choć jeszcze w to nie mogę uwierzyć, i o moich dniach, które też nie układają się najlepiej, jeśli chodzi o pracę.

Siadamy z Teresą na miękkiej beżowej kanapie, której oparcie zdobią jej szydełkowe prace. Słońce ledwie prześwituje przez białe zasłony w salonie.

Dobrze się tu czuję. Aż w pewnym momencie mój wzrok błędzący po pokoju trafia na róg komody z ciemnego drewna, na blat, na którym Teresa i Giovanni próbują opisać swoją tragedię. Jest tam Francesco – dziecięca twarz, okulary, lekki zez. Jest uśmiechnięty Sebastiano. Są obrazki świętych i figurki Matki Boskiej, którzy nad nimi czuwają, i kwiaty, które ich pieszczą.

Giovanni zauważa, że moje spojrzenie przylepiło się do tych zdjęć. „Wiesz, Rosy“, odciąga moją uwagę, „wiadomości nadal pokazują zdjęcia Francesca z Duisburga. Kilka dni temu w materiale na temat 'ndranghety w Crotono, które leży dwieście kilometrów stąd, pojawili się mój syn i Sebastiano leżący zabici na ziemi... Aresztują kogoś w San Luca, a w telewizji pokazują mojego syna i mojego szwagra. Jakakolwiek zbrodnia zostaje popełniona w Kalabrii, powracają te zdjęcia z Duisburga. Nikt się nie martwi o szkody, jakie to wywołuje u rodziców, u sióstr...

Ale dlaczego?"

Właśnie, dlaczego?

Zadałam sobie to pytanie również w Dniu Żółtej Gerbery, kiedy dziennikarka Rai wchodziła na cmentarz, żeby filmować groby ofiar wendety. Jaką rolę odgrywa to wszystko w odbiorze zjawiska przestępczości przez widza? Co wnosi do dokumentacji dziennikarskiej?

„Te obrazy przenoszą nas do pierwszego dnia, jakby za każdym razem telewizja zabijała ich na nowo. To taki straszny ból...”

„Nad bólem umiemy zapanować”, przerywa mu siedząca nieruchomo Teresa. On próbuje skończyć zdanie: „Ale jest w nas zawsze. Straszliwy ból... Pytałem adwokata, powiedział, że nic nie możemy zrobić”.

„Nikt nam nie pomógł, teraz już nas to nie interesuje”, ciągnie dalej, spokojna i wierna swojemu postanowieniu o życiu w pokoju. Z miasteczkiem, z resztą świata. Z sobą samą.

„A wiesz, co o nas powiedzieli?”, dodaje Giovanni. „Że jesteśmy dobrymi aktorami. Sędzia tak powiedział. Że jesteśmy aktorami, bo mówimy, że przebaczyliśmy, a tak naprawdę kryjemy wewnątrz nienawiść, chęć zemsty”.

„Giovanni”, koi go słowami Teresa, „nie możesz oczekiwać, że wszyscy uwierzą w nasze dobre intencje, to naturalne”.

Dwa miesiące temu sąd pierwszej instancji wydał wyrok w procesie dotyczącym rzezi w Duisburgu i wendety w San Luca. Małżonkowie Giorgi nie byli obecni na ani jednej rozprawie. Aby nikt ich nie wykorzystywał do swoich celów, powiedzieli mi. Aby nikt ich nie zmuszał do wysłuchiwanie wniosków rozdrapujących ból. „Czasem podczas rozpraw wysłuchuje się tylu kłamstw...”, ucina krótko Teresa. A on opowiada o tym, jak obrońca Giovanniego Strangio, adwokat Carlo Taormina, mówił podczas rozprawy, że jego klient to najuczciwszy chłopak w miasteczku: „Pani Pergola w tym momencie zaczęła się instynktownie śmiać, a dzień później wiadomość o jej śmiechu pojawiła się we wszystkich gazetach. Właśnie, my nie chcieliśmy, żeby o naszych stanach ducha i naszych spontanicznych reakcjach napisano choćby jedną linijkę, a później snuto wokół tego opowieści”.

Nie poszli nawet do sądu w Locri, żeby wysłuchać wyroku. „Miałam ważniejsze

sprawy", uśmiecha się Teresa, „przygotowanie ślubu Elisy”. Wielu dziennikarzy próbowało wyciągnąć od nich komentarze na temat wyroków, ale małżeństwo zawsze odmawiało. „Po co komentować? I tak mój syn już nie wróci...”, szepcze Giovanni, zacina się. Natychmiast się otrząsa: „Nie interesuje nas to, czy są skazani, czy też krążą na wolności, my już im przebaczyliśmy. A sprawiedliwość zostawmy swojemu biegowi”.

Słuchałam Teresy przy licznych okazjach. W telewizji, kiedy przebaczała zabójcom syna i żądała publicznego pogrzebu. W prefekturze, gdy pierwszy raz uścisnęłam jej dłoń. W naszej codzienności w San Luca, kiedy zbliżyła się do Ruchu pchnięta entuzjazmem córki Tani. A jednak pozostaje wśród nielicznych istot ludzkich, które umieją mnie jeszcze zaskoczyć. Jak teraz, kiedy mówi: „Nasze drzwi są otwarte także dla tych, którzy dokonali rzezi niewinątek, jeśli się nawrócą i przestaną czynić zło, mogą wejść. Nie chcę już słyszeć o nienawiści i zemście. Przestałam chodzić na pogrzeby, ponieważ źle się czuję, słysząc pewne bluźnierstwa. Najpiękniejszą rzeczą jest serce wolne od żalu, a zło musi się siłą rzeczy skończyć, niech sobie to wbiją do głowy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety”.

Zawsze lubiłam słuchać wypowiedzianej jej głosem myśli, która w głębi jest także moja – w San Luca, jak wszędzie indziej, autentyczna zmiana może nadejść tylko od kobiet. Kobieta kształtuje uczucia i zasady całej rodziny, te pisane i te niepisane, prowadzi dzieci w kierunku, który sama najpierw wyznacza.

„Gdybym dała się ponieść rozpacz, zniszczyłabym swoją rodzinę”, tłumaczy i podnosi trochę głos, żeby podkreślić to, co jej naprawdę leży na sercu. „Gdybym wołała o sprawiedliwość i zemstę, ile wytrzymałaby moja dusza? Bóg daje nam siłę, żebyśmy znaleźli wewnętrzną pogodę ducha, jeśli oddalimy się od Boga, znajdziemy tylko zamieszanie i wściekłość i wpadniemy w jeszcze gorsze sytuacje. Jeśli będziemy nadal czynili zło i karmili nienawiść, my pierwsi siebie zniszczymy. Gina zawsze niewinni, a my kobiety także jesteśmy winne tej sytuacji, ponieważ to kobiety wychowują dzieci”.

„Matka wie wszystko”, dodaje Giovanni. „Gdyby widząc, że syn przynosi do domu pięćdziesiąt, sto czy tysiąc euro zapytała: *kto ci je dał?*, gdyby naprawdę uświadomiła sobie pewne sprawy, powstrzymałaby syna od pójścia złą drogą. Gdyby

tylko kobieta chciała, w San Luca nie zdarzyłoby się wiele rzeczy... Tymczasem matka, która milczy, kiedy jej to nie dotyczy, sprawia, że te rzeczy się dzieją".

I nadchodzi chwila, żeby wspomnieć Francesca, to nieuniknione. Był jedynym synem Teresy i Giovanniego, najmłodszym, rozpieszczanym przez trzy siostry. Nie udaje mi się nie spoglądać na zdjęcie na blacie komody. Przygotowuję moje serce na słowa, które ścisną mnie za gardło i każą płakać – jak za pierwszym razem. Tymczasem Teresa uśmiecha się, jest spokojna, dłonie splotła na podołku, nie roni ani jednej dławiącej łzy. Jakby chłopiec nadal tu z nią był.

„Chowałam go jak dziecko, stawiałam na prostej drodze, pozwalałam także na małe luksusy za cenę wielu wyrzeczeń, ale lubiłam to. Nie interesowały go markowe ubrania, ale lubił kupować sobie ładne buty za pieniądze, które sam oszczędził, chociaż ja mu je wydzielałam".

Francesco Giorgi skończyłby siedemnaście lat 25 sierpnia 2007 roku, dziesięć dni po strzelaninie, która przerwała mu oddech. Kiedy pierwszy raz pojechał do Duisburga do wujka Sebastiana, był sześciolatkiem. Od tamtej pory obiecywał, że zostanie kucharzem. Od trzech lat, odkąd uczęszczał do szkoły średniej, każdego lata wyjeżdżał do Niemiec i pracował w restauracji *Da Bruno*, otrzymując regularną sezonową pensję. W 2007 roku pieniądze miały mu posłużyć także na zakup ślubnego prezentu dla siostry Diany, której ślub wyznaczony był na 6 września.

To było piękne lato dla Francesca. Stawał się doświadczonym *pizzaiolo*², rodzicom obwieścił z triumfem: „Wiecie? Teraz ciasto na pizzę będę robić po swojemu, a wujkowi napiszę, jakie ma kupić składniki".

Był wysokim chłopakiem o twarzy dziecka i ciele mężczyzny. Zawsze w dobrym humorze. Uwielbiał jeździć na skuterze, jak wszyscy miejscowi chłopcy, ale umiał też naprawiać silniki, a mechanika była jego wielką pasją. Jego pierwszym pragnieniem było jednak pozbycie się okularów noszonych od małego i przeprowadzenie laserowej operacji korygującej krótkowzroczność. Miał to zrobić tuż po ukończeniu osiemnastu lat u pani doktor w Reggio Calabria.

Gazety miały o nim niewiele do powiedzenia: „Jednak powiedzieli, że był pracownikiem 'ndranghety", śmieje się Teresa i przerywa. Wyobraża go sobie dzisiaj, gdyby tu był: „Byłby nadal pieszczochem. Przychodził do mnie, prosił o całusy

i mówił: *Mamo, kocham cię*. Ale nie tylko: zwierzał się, rozmawialiśmy, kłóciliśmy się również, ponieważ każde z nas obstawało przy swoim. Nie miał jeszcze dziewczyny, nie. Zawsze go o to pytałam, ale on żartował, mówiąc, że jego dziewczyną jestem ja..."

Teresa znów przerywa. Taka właśnie jest – rzeka słów, a potem nagle cisza. Wpatruje się w punkt na białej zasłonie, która trzepocze w ukośnym świetle późnego popołudnia. Otrząsa się, znów się uśmiecha: „Przykro mi, że go nie poznałaś, Rosy, to był wyjątkowy chłopak. A pośród czterech kobiet naprawdę dobrze się bawił”, i wybucha dźwięcznym śmiechem. „Z siostrami robili sobie różne złośliwości, żartowali jak dzieci. Cudownie było na to patrzeć”.

Także Sebastiano Strangio był najmłodszy w rodzinie, najmłodszy z pięciorga rodzeństwa – czterech synów i Teresa w środku. „O moim bracie napisali wszystko, nawet to, że był aresztowany w Holandii za posiadanie narkotyków. Tymczasem nigdy nie było nawet żadnego dochodzenia w jego sprawie”. Kiedy został zabity, jego partnerka była w piątym tygodniu ciąży, on dowiedział się o tym dopiero dwa dni wcześniej. Jego córce nadali imię Sebastiana. Od czasu do czasu matka, kobieta pochodzenia serbskiego, przywozi małą do San Luca, aby odwiedzić krewnych. „Ta dziewczynka to cukiereczek”, mówi Teresa.

Ta kobieta pochłania mnie i porywa aż do bólu. Nauczyłam się tego z czasem. Tyle wiary skoncentrowanej w jednym tylko spojrzeniu nie jest z tego świata. Biel na pogrzebie to był jej pomysł. „Tak, członkom mojej rodziny powiedziałam – musimy pokonać zło. Zło oślepia. Biel jest czystością. Niewinnością. Głęboki ból zostaje w środku na zawsze, ale my musimy umieć go przekształcić w nadzieję i przebaczenie. Przyszliśmy do kościoła ubrani na biało, aby zło nie trwało ani chwili dłużej. W Duisburgu padło sześciu niewinnych. I słusznie jest powiedzieć dość. Słuszne jest, żebyśmy my, kobiety, również znalazły siłę do powstrzymania zła. Dla mnie pierwszą rzeczą jest wiara w Boga; moją siłą była wiara, wszyscy musimy obudzić nasze wewnętrzne uczucia. Od pierwszej chwili modliłam się także za zabójców, ponieważ dobro musi zatriumfować nad złem”.

Teresa wie, że zakłóciła starodawne kodeksy zachowania kobiet z Aspromonte. Począwszy od chwili, kiedy nie zgodziła się by płakać, krzyczeć i uderzać się

w twarz, żeby publicznie wyrazić ból. „Ból nosimy w sobie. W tamtej chwili nie chciałam go uzewnętrzniać, musiałam pozostać pogodna i przytomna, aby dać się innym i mojemu zdruzgotanemu mężowi. A osobom przychodzącym do domu z kondolencjami, mówiłam: kto chce zostać, niech milczy i modli się albo niech odejdzie. Wielu wyszło, ale rozumiałam ich, nie są przyzwyczajeni do tego, żeby nie móc wyrzucić z siebie cierpienia”.

Po śmierci Francesca drzwi do domu Giorgich pozostały otwarte przez dwa dni i dwie noce. Taki jest zwyczaj w San Luca: trzeba ugościć każdego, kto przyjdzie złożyć kondolencje. „Ale zamiast oczekiwać pocieszenia od innych”, opowiada Giovanni, „to ona wszystkich pocieszała”. Teresa przekonała także mężczyzn z rodziny, aby ogolili się na pogrzeb, łamiąc inną tradycję, według której w żałobie zapuszcza się brodę. I powoli, z biegiem czasu, spotykała matki innych ofiar: „Powoli, nie wszystko od razu. To normalne, że między nami istnieje szczególne porozumienie. Tak naprawdę nie mówimy sobie wiele. Razem płacemy, a są to łyzy pocieszenia i nadziei”.

Rankiem w *Ferragosto* 2007 roku Teresa wstaje jak zwykle wcześnie, włącza telegazetę, czyta o rzezi w niemieckim mieście Duisburgu. Brzmi to jak „jakaś” wiadomość, nie łączy jej z synem i bratem. I wychodzi na mszę o ósmej.

Budzi się córka Diana, jej wzrok pada na tę samą wiadomość, woła ojca.

„Pokazywali zdjęcia”, przypomina sobie Giovanni, „ale postaci były nie do rozpoznania. Później powiedzieli o restauracji blisko dworca, o nieletnim wśród ofiar... Robiłem wszystko, żeby zachować spokój, i czekałem na bardziej szczegółowe informacje. Zadzwoiłem do syna, potem zadzwoniłem do Sebastiana i drugiego brata Teresy w Niemczech. Nikt nie odbierał. Więc poszedłem po nią do kościoła, a potem mój szwagier Giovanni oddzwonił. I nam powiedział...”

Następnego dnia przyjeżdża do domu Giorgich policja z Bovalino i zaczyna zadawać pytania. „Chcieli się dowiedzieć, czy byliśmy z kimś w jakichś układach”, tłumaczy Giovanni. „Ale my nie mamy z nikim nic wspólnego. Kiedy miała miejsce ta historia z panią Marią Strangio w Boże Narodzenie, poszedłem do ich domu złożyć kondolencje, byliśmy też na pogrzebie...”

Teresa chciała pojechać do Duisburga złożyć ostatni pocałunek Francescowi

i Sebastianowi, „ale on mi nie pozwolił”, i znów udaje jej się rozbroić męża, kiedy spogląda na niego z czułym wyrzutem. „Umarłabyś”, odpowiada jej szeptem. „Nie. Ja chciałam zobaczyć mojego Francesca...”

Nazajutrz po rzezi miasteczko obawia się reakcji mężczyzn z rodzin ofiar. Bardziej niż zemsty obawia się wybuchu rozpacz. „Wszyscy bali się, że mnie i innym strzeli coś do głowy”, zwierza się podekscytowany Giovanni, „ale ja zrobiłem sobie rachunek sumienia. Gdybym zwariował i zabił zabójców mojego syna, ktoś inny zabiłby mnie i moje córki, i zrujnowałbym całą rodzinę. Mam trzy dziewczyny, o których muszę myśleć, i żonę. To byłby niekończący się łańcuch zła. I tak właśnie my, niemający nic wspólnego z tym złem, oddaliśmy się w ręce Boga i wybraliśmy przebaczenie. Oni zaczęli, my zakończyliśmy”.

Słowa się liczą. I mają swoją wagę. Powiedziano, że małżonkowie Giorgi oferując to autentyczne przebaczenie, zatrzymali wendetę. Że założywszy białe ubrania, posłali sygnał 'ndranghecie, przesłanie. A im te słowa się nie podobają. „Jedynе przesłanie jest takie”. Giovanniemu zależy, żeby to doprecyzować: „Przebaczyć jest trudno, zwłaszcza kiedy jesteś pogrążony w rozpacz, ale trzeba to zrobić, żeby iść naprzód, aby zaprowadzić w społeczności pokój. Jeśli pozwolimy tamtym wejść do naszych serc, Bóg nam nigdy tego nie wybaczy. Kto wie, może Bóg nas wybrał i jesteśmy narzędziami w jego dłoniach, żeby dokonać zmian w miasteczku i pokazać ludziom światło. Nienawiść niesie nienawiść, natomiast teraz w San Luca chodzi się spokojnie po ulicy i już nikt nikogo nie zabija. Ale my nigdy nie przyzywaliśmy sprawiedliwości, tym bardziej zemsty. Te słowa nigdy nie padły z naszych ust”.

Teresa i Giovanni pobrali się w 1980 roku. Nad kanapą wisi ich ślubne zdjęcie: ona była drobniejsza, a w jej oczach wyczytać można radość. Tylko z tej szczególnej okazji pozwoliła sobie na odrobinę jasnego cienia na powiekach.

Jak wielu mężczyzn w San Luca, Giovanni pracował w Niemczech – w firmie budowlanej. Po ślubie zabrał Teresę do Hanoweru, gdzie ona też znalazła pracę w wytwórni mrożonek. To rzadkość w tamtych latach, żeby kobieta z Aspromonte pracowała poza domem. Później pojechali do Monachium, zatrudnili się w szwalni krewnych, a tymczasem rodziły się dzieci. Gospodarka na północy nie kręciła się już tak dobrze jak wcześniej, więc wrócili do miasteczka i Giovanni wstąpił do *Guardia*

Forestale.

Są parą ze stali. Z gatunku tych rzadkich par, u których nie wiadomo, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Szanują się nawzajem i po ponad dwudziestu latach nadal patrzą na siebie z miłością i zaskoczeniem w oczach. Teresa podejmuje decyzje tylko wspólnie z Giovannim, a on ją czci jak boginię z niebios.

Nasuwa mi się pytanie, czy tragedia bardziej ich zjednoczyła, a on odpowiada bez wahania: „Zawsze byliśmy zjednoczeni”. „I nadal się czubimy!”, przerywa mu Teresa ze śmiechem. „Jesteśmy normalną rodziną”.

Obok zdjęcia pary młodej pergamin w ramce głosi: „Międzynarodowe wyróżnienie w 2008 roku. Teresa Strangio, oddana świętej Ricie, miała siłę publicznie przebaczyć zabójcom swojego syna i swojego brata w pokojowej chrześcijańskiej próbie odepchnięcia siły nienawiści i przemocy ewangeliczną bronią przebaczenia i pokoju”. Nagroda została jej przyznana w bazylice w Cascia, a oklaski publiczności trwały długo.

Muszę iść. Jest już siódma, nie zauważyłam, że siedziałam na tej beżowej kanapie trzy godziny, a moja matka czeka na mnie z kolacją w Marina di San Lorenzo. Teresa potrafi mnie uspokoić, odprężyć całe ciało, aby minutę później znów mnie zaskoczyć, poruszyć i spustoszyć.

Dopiero w drzwiach przypominam sobie, dlaczego tu przyszłam. Mówię jej o tym z wahaniem: „Kiedy uda nam się znów otworzyć świetlicę, chciałabym, żebyś to ty nią kierowała”.

Ona uśmiecha się do mnie dobrotliwie, kiwa głową. Odpowiada: „Tak, zabierz mnie tam jutro”. Ale wypowiada słowa, które grzęzną gdzieś pomiędzy moją nieoczekiwaną radością, a jej zawieszonym zwątpieniem: „Rosy, już to wiesz... W San Luca trzeba zacząć zmieniać sposób myślenia kamień po kamieniu. Tutaj mentalność jest zbyt zacietrzewiona...”

¹ *Scirocco* (wł.) – gorący i suchy wiatr wiejący znad Afryki, niosący tumany piaszczystego pyłu.

² Pizzer.

VI

MATKA BOSKA GÓRSKA

Ścieżka bez nazwy, która prowadzi na zachód do samego brzucha gór, między starym cmentarzem a belwederem *du pettu*, najwyższym punktem miasteczka. Która otwiera się, zamyka i skręca jak akordeon w najżywszej taranteli na jasnym asfalcie, ubogim w smołę, wyniszczonym przez sierpniowe słońce i powodzie skrajnych pór roku Aspromonte, z pochylonymi nad drogą gałęziami dzikich *limunari* i *muredda*. Ścieżka, która zdaje się nigdy nie kończyć. Wiedzie pośród przepaści i stwardniałych krajobrazów rozsiewających niepokój, rosnący w miarę, jak idzie się pod górę, natychmiast nachyla się wzdłuż spadzistych kamiennych wzgórz, które pną się pod górę jak rampy, nigdy nie odsłaniając jej szczytu.

Po drodze spojrzenie przykuwa ten nagły i wąski widok, ale kilka metrów dalej wzrok gubi się z ulgą w zielonych przestrzeniach lasu, które nie akceptują horyzontu.

Wielowiekowe kasztanowce, pełne otwartych kasztanów-uśmiechów o każdej porze roku, podnoszą się z ziemi do nieba w lesie mirtów i dębów, ubarwionym przez krzewy o błyszczących jagodach. Powyżej oregano i mięta, kilka kolonii białych grzybów nie wyższych niż kciuk i powietrze pachnące matką naturą.

To jest dolina wielkich kamieni. Brzuch masywu Aspromonte. Leśna połać podtrzymywana przez ogromne monolity, która ucieka z wnętrzości ziemi, by zanurzyć się w morzu Ulissesa. Olimp z wyprostowanymi i niedostępnymi bóstwami z kamienia – ponadczasowymi strażnikami ekosystemu, którego trzeba bronić – obecnymi już zanim narodził się nasz półwysep.

Pełna autorytetu Pietra Cappa trzyma straż nad krajobrazem, monument widzialny z każdego kąta nachylenia, uosobienie naturalnego piękna i starożytnej historii. Z nostalgicznym wrzosowiskiem z epoki kamienia.

Placyk prowadzący do nieforemnego głazu w kształcie odwróconego pucharu, od którego wziął nazwę, nigdy nie pustoszeje – są tu turyści ustawiający się do zdjęcia, śpiące krowy. Dookoła tylko zielen w każdym możliwym do wyobrażenia odcieniu.

W to popołudnie na początku września słońce praży jak szalone, jadę w kierunku

sanktuarium w Polsi do miasteczka Matki Boskiej Górskiej. Esencji Aspromonte. Epicentrum kalabryjskiej pobożności maryjnej. Pulsującego serca San Luca.

Dziś wieczorem czeka nas czuwanie ku czci Najświętszej Marii Panny. Jutro msza, procesja, święto. Jadę z trzema towarzyszkami podróży: Stefanią, Emanuela i Martiną. Każda ze swoją własną historią i motywacją, aby pójść stromą ścieżką w kierunku duszy mojej ziemi.

Stefania o wyrazistych zielonych oczach – rozświetlonych blond lokami – jedyna, z którą czas nigdy nie płynie tak samo i zawsze jest go za mało. Emanuela, dla wszystkich *a ggiornalista*¹, dla mnie jest przyjaciółką od pisania i pomysłów, zna już każdą historię, każdą postać mieszkającą w mojej przeszłości i moją teraźniejszość, a dziś jest tutaj, żeby połączyć moje opowieści z rzeczywistymi twarzami i głosami. Martina to nowa znajomość, zachowuję dla niej najpiękniejsze słowa. Wreszcie ja: obca, subretka, gliniara, szpieg upierający się, żeby nazywać góry swoim domem, mój zdyszany i niekończący się bieg ku sercu San Luca.

Polisi oznacza męczącą pielgrzymkę w głąb terytorium, która nikogo nie oszczędza – na niektórych odcinkach plemienną, ale w przedziwny sposób duchową. Jej ostateczny cel pozostaje odległą ideą, mirażem lśniąącym pośród kamieni, czymś, o czym słyszałaś tysiąc razy jak o raj. Ale trasa jest ciężka, stroma, poprzecinana nieoznaczonymi przepaściami i robi się nie do przejścia na uśmiechniętych wyżynach, wielu ludziom nieznanym, kryjących strefy gęstego mroku, kiedy słońce stoi w zenicie.

Każda dróżka może okazać się drogą bez powrotu.

Asfalt jest sprawą umowną. Bruk, szachownica dziur różnej głębokości w zależności od tego, jak intensywne były ostatnie deszcze. Nie możesz ich wszystkich ominąć, więc starasz się dostrzec je z oddali, ocenić, zmierzyć się z tymi, które wydają się mniej ryzykowne. I czujesz się trochę jak kapitan, trochę jak majtek i trochę jak jasnowidz.

W połowie trasy, kiedy stopniowo zanika niestały welon szarości koryta drogi, pochłonięty przez odłamki i obsunięcia zbocza, rozumiesz, że to właśnie tu rozpoczyna się twoja przeprawa. Polecasz duszę Bogu i jedziesz dalej.

Kto zapuszcza się do Polsi, wychodząc z San Luca, dociera do rozstaju dróg

w Montalto już zmęczony. Twarze zdradzają zaniepokojenie z powodu wrogości trasy i braku sygnału w telefonach komórkowych, które tracą tu swoją potencjalnie zbawczą moc.

Ta podróż to cofanie się w czasie. Człowiek zaczyna majaczyć, chce się odwrócić i zobaczyć, jak pojawiają się przed nim literackie czy dawne postacie, na przykład *bravi* Manzoniego czy jakiś epigon zbójnika Musolino w sycylijskiej czapce *coppola*² i ze strzelbą w dłoni.

My stanęliśmy na rozstaju w Montalto krótko przed zachodem słońca. Poprzednio za każdym razem jechałam do Polski samochodem, ale zawsze w towarzystwie jakiegoś mieszkańca miasteczka, który wskazywał mi kierunek, bez wahania, na bieżąco.

Tego popołudnia – nie wiem, czy instynktownie, czy dziwnym zbiegiem okoliczności – zaskoczyło mnie to, że zgubiłam gdzieś drogę asfaltową, dłuższą, ale wygodną i otwartą, i musiałam nagle zmierzyć się ze stokiem, na który pnie się zwirowy wąż o tej samej nazwie co kościół główny w San Luca, Santa Maria – to absolutnie najtrudniejsza z tras prowadzących do sanktuarium. W niektórych miejscach gęste pnie i liście paproci, rozpięte jak żagle zaciemniające niebo, były tak uroczyście, że przywoływały mi na myśl krąg dantejski pełen gwałtowników przemienionych na wieczność w bolejące krzewy. „Gdyśmy się w leśne dostali gęstwiny, gdzie żadna ścieżka nie świtała oku³”, pisał poeta.

A ja czułam się odpowiedzialna za przyjaciółki, które zawierzyły mojemu przewodnictwu. Na perfidnie nachylonych odcinkach, wśród zapachu gór pomieszanego ze smrodem rozgrzanych hamulców samochodu mojego ojca, Emanuela mruzczała: „Ja nie patrzę, umieram ze strachu, mam lęk wysokości”. We wstecznym lusterku widziałam zamknięte oczy Stefanii za ciemnymi okularami, podczas gdy Martina uczepiona podgłówek próbowała robić za nawigatora. W niewielkiej odległości za mną jechało granatowe punto prowadzone przez szwedzkiego dziennikarza Petera Loewe, który pisał reportaż o 'ndranghecie i o mojej historii, obok niego siedział fotograf.

Zaczynała się karuzela podskoków i wątpliwości. Skały unosiły samochód i natychmiast pozwalały mu się wyślizgnąć jak łódeczce na wzburzonych falach, a my

zataczałyśmy się między głazami i kępami jałowców ubogich w kwiaty, aż zaczęły pojawiać się maleńkie kolorowe poruszające się punkciki, które układały się w niekończącą się procesję. Mężczyźni i kobiety sunęli, modląc się, w kierunku Pięknej Panienki, a ja pomyślałam o mojej babci Marii; to były właśnie te pobożne tłumy, które mi opisywała, nocą ciągnące w kierunku świątyni, krok za krokiem, z błaganem na ustach. Obraz wymalowany we mnie już w dzieciństwie. Prawdziwa bajka, którą moja babcia zwykła mi opowiadać w najchłodniejsze wieczory.

Posuwałyśmy się powoli, napotykając maszerujących mieszkańców miasteczka. Dzieci mnie rozpoznawały i słyszałam, jak szepczą do matek: *A vidisti a Rosci Canali?*⁴. Pozdrawiałam je, zwalniając tempo jazdy, podczas gdy samochód unosił się na kolejnej skale.

Trasa zniknęła. Przede mną były tylko kamienie. We mnie niezbędna potrzeba orientacji i nadzieja na odrobinę szczęścia. Moje towarzyszki przygody zawierały się świętym i Matce Boskiej, składając śluby i ofiary, żeby tylko dotrzeć cało do celu. Tymczasem za nami granatowe punto rozpląnęło się wśród drzew. Przyjaciel Peter zrezygnował wobec tak silnej natury.

Dochodzi się zawsze do punktu, gdzie nagle zaczyna się czuć na sobie całą przebytą odległość i całą ziemię, która zabłociła buty. Kondycja fizyczna, która potrafi wyjawić ci w jednej chwili, niespodziewanie, co to znaczy być córką Kalabrii. To znaczy poruszać się po stromej powierzchni, której struktury nie przeczujesz, dopóki jej nie odkryjesz, kalecząc sobie skórę. Przenikać z uporem glebę oporną na wszelką sprężystość i pojmować w swego rodzaju ekstatycznym uniesieniu, że jej opór nie odpycha cię w tył, przeciwnie jest zachętą, żeby wciąż próbować się w niej zanurzyć.

Później, rzucając spojrzenie w dół, nie dostrzegasz ani pustki, ani głębiny. Tam w dole widać tylko sanktuarium Maryi, białe i rozświetlone jak kamea pośród bezgranicznych ukwieconych szczytów. Miniatura, która powiększa się w miarę, jak się zbliżasz.

Mieć cel przed oczami to już jest podbój. Umysł ustępuje fizjologicznemu ośpieniu, a widok celu, choćby w oddali, przynosi pokój i wytchnienie temu, kto brnął w tym ciężkim marszu, żeby móc go dotknąć.

Nieskończony ogon zaparkowanych samochodów ciągnął się wzdłuż grzbietu jak wąż o tysiącu barw, dając nam długo wyczekiwane potwierdzenie, że znajdujemy się blisko celu. Ludzie rozkładali się wzdłuż brzegów drogi, na krawędzi skarpy, w zaimprovizowanych namiotach, czasem nieprawdopodobnych, zahaczonych o samochody, na dachach których widniały wizerunki Matki Boskiej obramowane migającymi światełkami i splecionymi gałązkami palmowymi. Radyjka samochodowe, jakby połączone w stereofonii, transmitowały tarantele w różnych wersjach, poświęcone Najświętszej Pani: *Supra l'altari c'è na grandi Signura. Maria della Muntagna idda si chiama... Lu toru 'nginocchiatu davanti na cruci, e Maria chi compari' ntala luci...*⁵.

Plastikowe stoły, krzesła, kanistry zabarwione cynobrowym winem, przerobione barbecue i pojemniki termiczne rozmaitej wielkości pozwalały przeczuwać niekończące się obżarstwo. Z założonymi plecakami ruszałyśmy w kierunku centrum miasteczka w towarzystwie taranteli, która przesuwiała się w nieprzerwanej sztafecie, od samochodu do samochodu, aż wreszcie przekazywała pałeczkę młodym z akordeonami i tamburynami – widziałyśmy ich w każdym kącie Polski. Te odświętne nuty, dla niektórych pretensjonalne, dla innych melancholijne, nie opuściły nas ani na chwilę podczas nocy i kolejnego dnia, stając się oficjalną ścieżką dźwiękową tego niecodziennego doświadczenia. Muzycy wymieniali się zwinnie, nie przerywając w ten sposób nigdy muzyki. Zdaje się, że pecha przynosi nawet bardzo krótka przerwa, jakby to było preludium nieszczęśliwego roku.

Ogromne drzewo orzechowca o bujnych liściach witało nas przy wejściu, oto w końcu Polski przyjmowało nas swoim wiejskim językiem, widokami z innych epok, niemal chwytającymi za serce, i ładunkiem poezji zdolnej przegnać truciznę.

Ekspres do kawy za ladą ustawioną na schodach nadawał barowego tonu staremu mieszkaniu po lewej stronie. Lodówka pękała od butelek piwa rolniczego, a na półkach paczki tanich przekąsek leżały przygotowane na śniadanie następnego ranka – jedyne kolorowe plamy w nagim lokalu. Naprzeciwko barku zaczynała się stroma uliczka prowadząca prosto do białej bazyliki. Po lewej stołówka, a niżej wejście do pomieszczeń, które rektor sanktuarium oferuje bezpłatnie każdemu pragnącemu złożyć wizytę Matce Boskiej.

Domy z kamienia, odbudowane w poszanowaniu dla ich dawnej architektury, wyznaczały szlak wielkimi głazami jak starożytne drogi chrześcijańskiej pobożności. Po zejściu otwierał się balkon ze szkarłatnymi pelargoniami, które pełniły rolę przewodników.

Rzeka dobrych ludzi w każdym wieku płynęła na dół, w kierunku kościoła i jeszcze niżej, na placyk ze stoiskami i kioskami gastronomicznymi.

Spotkałyśmy burmistrza San Luca, a z nim don Pina Strangio, który zaprosił nas, byśmy pobiegły z nim szybko do stołówki na kubek rosółu z makaronem, talerz salcesonu i szklankę ziemistego wina, zanim zamkną kuchnię. Moje trzy przyjaciółki były oczarowane tą nieodgadnioną atmosferą, zawieszoną w pół drogi między krainą zabawek, gdzie mieszkańcy jedzą, śmieją się i grają muzykę, a małymi fascynującymi i uduchowionymi miasteczkami Bliskiego Wschodu.

Przed skrętem na placyk przed kościołem płaska latarnia z żarówką rozżarzoną jak sto świec rozsiewała blask na grupę młodych, którzy stojąc w kole grali w *murra*.

Zachowałam mętne wspomnienie tej gry związanej z moim dzieciństwem w Fiumarze di Muro, ale teraz, w półcieniu, który już zaczynał owijać głosy i tarantele, zapalały się w moim umyśle jak nagłe wspomnienie twarze ludzi z przeszłości i odnajdywałam je na nowo w tych chłopcach. Żywiłowo wykrzykiwane liczby, szybka i zapalczywa taktyka głów i rąk: *Dui, tri, setti, a murra!* Wybuch adrenaliny, w którym sprawność i pomysłowość były godne wielkich potyczek szachowych. Gracze patrzyli sobie nieruchomo w oczy, podczas gdy dłońmi wyrzucali liczby, wykrzykując je na całe gardło, jakby to były rozkazy wojskowe. Kto przegrywał, przekazywał kolejkę innemu uczestnikowi, który już niecierpliwie przebierał nogami. W kole stało tylko dwóch bohaterów toczącej się rozgrywki, szybkiej i ciętej przez napięte ramiona, ruchliwe palce i twarze skurczone wolą zwycięstwa w tych antycznych zawodach, które nadal figurują w tabeli gier zakazanych, sporządzonej w latach trzydziestych. *Murra* była kiedyś grą hazardową, ale dziś zakładano się jedynie o hojne porcje piwa rolniczego. Powoli zapadał wieczór, a ja widziałam, jak ludzie się mnożą w zaułkach niczym w ewangelicznym cudzie. Docierali pielgrzymi z ogromnymi świecami wotywnymi, pasterze ogromnej żywej szopki. Nadchodzili stopniowo ci z procesji i ci, którzy na ciężarówkach

tańczyli tarantelę.

Obchodziłyśmy sanktuarium z jedynej możliwej strony, gdyż jest ono otoczone domami z małymi drzwiczkami umiejscowionymi na szczycie trzech wysokich schodków; szłyśmy uliczką zwężającą się na wysokości placyku i prowadzącą do kościoła, która później znów rozszerza się w części absydy i otwiera na wciśnięty między budynki plac z amfiteatrem.

Czuwanie modlitewne, rozpoczęte ostatnią mszą popołudniową, było odmierzane przez kobiece śpiewy, które unosiły się w powietrzu, nakładając się na obsesyjne tarantele. A wszystko wokół wibrowało.

Osoby siedzące w amfiteatrze mocno przylegały jedna do drugiej tworząc niezwykłą mozaikę, obfity tłum starych i młodych odmawiających różaniec z litaniami i błaganiami do swojej opiekunki. Niedaleko, jeszcze kawałek niżej, naprzeciwko białej figury Matki Boskiej Górskiej postawionej na wysokiej kolumnie i otoczonej świecami wotywnymi, muzyce towarzyszyli dudziarze, którzy tworzyli uspokajające jednorodne tło.

Kto tylko się zbliżył do tańczącego koła, zaczynał śpiewać, zapisywał się na listę do tańców lub tylko się przyglądał, pozostając z boku. My spacerowałyśmy oczarowane widowiskiem, które miało jednocześnie posmak ascetyczny i dionizyjski, mistyczny i majaczący, religijny i plemienny. Delikatny i gwałtowny. Rozbrzmiewający echem wydarzeń legendarnych i rzeczywistych.

Przed białą Matką Boską, wyprostowaną na kolumnie, we wrześniu 2009 roku ukryta kamera sfilmowała grupę mężczyzn stojących wokół starszego mężczyzny z laską i w kapeluszu. Według śledczych mężczyźni ci spotykali się z postacią do tamtej pory nieznaną kronikom sądowym. Domenico Oppedisano z Rosarno, urodzony w 1930 roku, tego dnia w Polsi przejmował najwyższą funkcję: *capocrimine* – wielkiego starca 'ndranghety, który wytycza linie działania, udziela rad, rozwiązuje spory, podczas gdy *capilocale* rozsiani po świecie czynnie prowadzą interesy. W świętej obecności Pięknnej Paniienki, z okazji Jej uroczystości, odbywał się bluźnierczy pogański rytuał 'ndranghety, który według śledczych nadal obchodzony jest w Polsi corocznie.

To nagranie z 2009 roku stanowiło przełom w operacji *Crimine* zakończonej

wielkim procesem w Reggio, który w marcu 2012 roku skazał dziewięćdziesięciu trzech domniemych członków z klanów kalabryjskich. Ponad osiemdziesięcioletni Oppedisano otrzymał dziesięć lat i osiem miesięcy, nie licząc hańby, że to właśnie on, podsłuchany także w czasie innych rozmów w Rosarno, doprowadził siły porządkowe prosto do serca klanowej liturgii.

Matka Boska z Polsi jest wskazywana jako Matka Boska 'ndranghety, patronka frakcji kalabryjskiej, obok męznego świętego Michała Archaniola. Panienska, która błogosławi afiliacjom i najwyższym *capi*. Długoletni południowowłoski zgrzyt między religią a światem przestępczym, między pobożnością duchową a posłuszeństwem kryminalnym, który wypływał w raportach policyjnych już od początku dwudziestego wieku. Ale dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych, na drodze do Polsi, naradzający się bossowie zostają zaskoczeni *in flagranti* po raz pierwszy.

W niedzielę 26 października 1969 roku, zaledwie kilka kilometrów od sanktuarium, policjanci i karabinierzy zaskakują stu pięćdziesięciu mężczyzn zebranych na polanie w lasku Serro Juncari pod Montalto. Ukrytych, pilnowanych przez młode straże. To osławiony szczyt w Montalto, któremu przewodniczy ojciec chrzestny Peppe Zappia, kiedy stara 'ndrangheta 'Ntoniego Macrì i Mica Tripodo szuka porozumienia z nowymi, działającymi bez skrupułów pokoleniami. A mężczyźni są tak zajęci dyskusją i kłótniami, że nie zauważają nadchodzących agentów. Siedemdziesięciu dwóch z nich wylądowało przed sądem.

„To było tylko pokojowe zebranie uczciwych obywateli”, powiedzą ich adwokaci podczas procesu. Dobrzy ludzie, którzy zamierzali szukać grzybów i polować na ptaki. Ale tamtego ranka w Serro Juncari wielu z tych uczciwych obywateli rzuciło się do ucieczki, niektórzy otworzyli ogień do policjantów.

Pielgrzymi, którzy nadchodzą trochę lepszą drogą z Montalto, wchodzą do miasteczka przez furtkę, obok której napis głosi: „Sanktuarium w Polsi, symboliczne miejsce odkupienia i odrodzenia Aspromonte”. Logo Parku Narodowego, instytucji, której funkcjonalności jeszcze do końca nie zrozumiano, firmuje głębię myśli.

Przeszliśmy przez furtkę i zeszliśmy w kierunku placyku ze stoiskami – dwa nieprzerwane, równoległe rzędy drewnianych, uporządkowanych, bardzo charakterystycznych domków. Doktor Priolo opowiadał mi, że w latach

siedemdziesiątych Polscy stanowiło chaotyczną geometrię blaszanych baraków skupionych wokół kościoła, w których sprzedawano wszystko – od jedzenia po święte obrazki. Kozy były ubijane na świeżym powietrzu na ulicach – straszliwe starożytne ofiary dla Pięknej Pani, a świeża krew spływała wzdłuż stoków. Później praktyka ta została zakazana z przyczyn higienicznych, a komisarze prefektury w 2001 roku zdecydowali się przeprowadzić pierwszą wielką rekultywację terenu – mieli poparcie biskupa. Ludzie, którzy liczyli na jakieś obroty handlowe, nie byli oczywiście zadowoleni, ale w końcu musieli się dostosować. Potrzeba było dwóch tygodni, żeby oczyścić plac z baraków, które wypluwały przedmioty wszelkiego typu: pralki, grzejniki, stare materace. I Polscy mogli przyjąć swój dzisiejszy czysty i uporządkowany wygląd.

Była już dziesiąta wieczorem, ale uroczystość trwała w najlepsze, a kioski gastronomiczne były oświetlone i otoczone białym cieniem dymu zmieszanego z aromatem świeżo przyrządzonej kiełbasy, która gotowała się w kotłach karmionych pachnącym górskim drewnem.

Stoliki na dworze, krzesła, siedzący i rozkrzyczani chłopcy. Byłyśmy jedynymi kobietami w okolicy barów i restauracji, pozostałe przebywały w kościele albo w amfiteatrze na modlitwie. Dołączyli do nas burmistrz Sebastiano Giorgi oraz adwokat Giuseppe Strangio z rady Fundacji Corrada Alvaro. Kuzyn Marii i Giovanniego Strangio. Znałam go od dawna, miał wielkopańskie maniery. Zaprosił nas do stolika, bo chciał nam coś postawić.

Rozglądałam się dookoła, poznawałam niektóre twarze. Wylądował przed nami talerz z dymiącą kiełbasą, gorącym chlebem i chłodnym piwem. Piwem rolniczym, naturalnie. Próbowałam pić, nie upijając się, z każdym łykiem odrywając kęs pachnącego chleba, a tymczasem Stefania ściągała na siebie wszystkie spojrzenia: jasnowłosa i pięknie opalona, ubrana na biało. Obca przybyszka, którą należało obserwować, choćby tylko dla małej przyjemności estetycznej.

Nie miałyśmy gdzie spać, ale nie byłyśmy z tego powodu specjalnie zmartwione. Gdy schodziłyśmy do sanktuarium, spotkałyśmy po drodze wiele ludzi leżących przy drodze, owiniętych w prześcieradła czy lekkie koce. Leżeli w szeregu jeden obok drugiego, zamykając obwód wokół domostw i samego kościoła, i cieszyli się snem,

nie bacząc na muzykę zdającą się nie mieć końca.

Na kościelnym placyku stała najgęstsza grupa grajków. Mężczyzna otoczony widzami decydował, kto może się przyłączyć do taranteli i kiedy ma zejść ze sceny. To był *mastro da bballo*⁶, ważna postać w lokalnej tradycji, która szczyli się pewnym prestiżem. Był to na ogół szanowany mężczyzna, który ponad wszelkimi podziałami kierował udziałem w taranteli. Znakiem rozpoznawczym tej roli była zawiązana na szyi chustka.

Jeśli *mastro da bballo* w pewnym momencie spogląda właśnie na ciebie, zapraszając cię do występu w kole, nie możesz odmówić. To byłaby obraza.

Burmistrz mu nas polecił, prosząc, by udzielił nam małego pierwszeństwa w tańcu, jako że lista zgłoszonych oczekujących była dość długa. I ja pierwsza zostałam zaproszona na parkiet, byłam potwornie zażenowana, cały czas się śmiałam, z trudem łapałam oddech. Wokół mnie ludzie, którzy nagle jakby się rozmnożyli. *Mastro da bballo* wykonywał swoje układy, które wcielały uwodzicielską i prowokacyjną męskość, tańczył wokół mnie, krążył i jakby muskał otaczające powietrze, nigdy mnie jednak nie dotknął. Wijące się uwodzenie, przychyłne i intrygujące.

Później z galanterią zaprosił Stefanię. Ja skakałam bezładnie, w szale, który mnie wykańczał, ale był w stanie uwolnić mój umysł. Przyjaciółka chwyciła mnie za rękę, poprowadziła, i razem zaczęłyśmy szybko wirować, aż zostałam grzecznie poproszona ruchem dłoni o zejście z parkietu. Także Emanuela i Martina nie mogły wymigać się od występu, a ja patrzyłam na przyjaciółki, które tańczyły, jakby od zawsze znały kroki i rytm tej muzyki.

Taranteli nie można się nauczyć, odbiera się ją ciałem. To instynkt mięśni, wyładowanie tłumionej energii, zbiorowy rytuał, przed którym nie możesz uciec, kiedy już raz postawisz stopę w świątyni tańca. Prędko wir, który na koniec zostawia cię bez tchu i wypełnia pragnieniem, żeby wsiąść jeszcze raz, i jeszcze raz, na tę zaczarowaną karuzelę.

Sanktuarium rozjaśniało miasteczko swoim białym blaskiem jak najczystsza lampa na wsi. Białe było też jego wnętrze, podkreślone zimnym światłem nadającym mu siną poświatę, przerywaną gdzieniegdzie ciepłym żółtym złotem wplecionego

w barokowe gryzmoły ozdób, które nie wyrażały bogactwa – raczej zakłócały skupienie.

Historia Najświętszej Paniienki Górskiej powielona była w marmurowych płaskorzeźbach tuż pod sklepieniem sufitu wysadzanego rozetami i kwiatami. Na ołtarzu między dwiema kolumnami z alabastru błękitna nisza ze złożonymi gwiazdami strzegła tufowej figury Marii. Granitowa, imponująca siła kamienia.

Tradycja chciała, żeby ten święty posąg wychodził z kościoła i był niesiony w procesji co pięćdziesiąt lat. To zbyt długo, by każdy miał możliwość zobaczyć Ją przynajmniej raz w życiu. Tak więc za biskupstwa Giancarla Bregantiniego przerwa została skrócona do dwudziestu pięciu lat. Giovanni, mąż Teresy Strangio, był częścią grupy *portatori*^Z i opowiadał mi, że jest to rola przekazywana z ojca na syna, przynosząca świetność rodzinie tego, kto zostanie wybrany do niesienia bardzo ciężkiego posągu Matki Boskiej.

Nie pokrywa jej złoto, jedynie drewniany różaniec wisi na rączce Dzieciątka. Klęcząc u jej stóp tamtej nocy, zastanawiałam się nad moją dziwną relacją z posągiem, który towarzyszy mi od zawsze. Kiedy byłam dziewczynką, lękałam się surowej Pani. A teraz, z ciężarem swojego życia na plecach, stawałam przed nią, patrzyłam na nią i prosiłam, by czuwała nade mną, wspierała mnie i kobiety z miasteczka w naszej trudnej wędrówce.

Nawa po lewej stronie prowadzi na wewnętrzny dziedziniec, na który wychodzą liczne mieszkania przeznaczone dla gości. Schody, korytarze wokół centralnego kwadratu, woda tryskająca z małej fontanienki. Z jednej ze ścian zwisają setki sukni ślubnych jak kaskada światła w półmroku, niektóre wyraźnie starej daty – to dary przynieszone przez dziewczęta *ex voto* dla Najświętszej Matki, której wszyscy składają hołd wszelkiego rodzaju podziękowaniami. Corrado Alvaro opisywał świece wysokie jak ludzi, pary wołów, owiec i ludzi pokryte gałązkami od stóp do głów, „cierniami długimi i twardymi jak te, co rosną w naszym ciernistym miasteczku, które na każdym kroku kłują tych, co między nimi się znajdują”.

W kościele trwała spowiedź, a kobiety siedzące w pierwszych rzędach kołysały głowami, odmawiając szeptem różaniec, w ich oczach malowało się zmęczenie po gorącym dniu.

O północy podłoga katedry zmieniała się w dywan z ciał poszukujących ciszy. W tym domu nie istniał wstyd ani żadna dyskryminacja. Mężczyźni leżeli obok kobiet – gołe stopy, odkryte twarze, torebki zamiast poduszek. Trudno było się przemieszczać, a zapach był kłujący. Poruszający widok: starzy i młodzi w skromnych ubraniach, śpiący na lodowatym marmurze.

Drugi posąg Maryi, gotowy do procesji następnego poranka, został ustawiony na drewnianym ołtarzu, którego inkrustowana podstawa opowiadała jego legendę: w jedenastym wieku pasterz Italico zgubił się w lesie, szukając swojego wołu, a gdy go znalazł, ten próbował wykopać spod ziemi żelazny krzyż. W tym momencie Matka Boska ukazała się młodemu chłopakowi w świetlistej chmurze i poprosiła go, żeby wzniósł właśnie w tym miejscu kościół, aby rozpowszechnić Jej łaski wśród wiernych.

Ustawiona obok tufowego posągu, wyrażającego wszechmoc bezpośrednim, bezzwłocznym spojrzeniem, ta druga figura wydawała się ikoną popkultury twarz zwykłej kobiety, bardziej krzykliwe kolory. Kto wie, ile widziały oczy tych obydwu postaci w kościelnych nawach. Kto wie, jakich ziemskich tajemnic są strażniczkami i ile łez wypłakałyby za ludzkość, gdyby były ludźmi.

Krokiem starych żółwi wchodziłyśmy pod górę szeroką ulicą, która wiedzie za kościół, a w połowie trasy grupa pielgrzymów nadal tańczyła tarantelę pod przewodnictwem rozszalałego kapłana. Niedaleko w ciemności przed wejściem do stołówki, kobiety z różnych pokoleń tańczyły ze sobą w rytm skrzypiących nut magnetofonu, który nadawał cały repertuar folkowy Mimma Cavallaro⁸. Nie było żadnego *mastro da bballo* wśród tych pań, ale spontaniczne i radosne samozarządzanie. Babcie wirowały razem z wnuczkami, małe dziewczynki podskakiwały dookoła, klaszcząc w rączki, matki śpiewały piosenki z pamięci. To było ich osobiste, intymne święto. Ich kobiece skupienie osadzone jak klejnot wewnątrz wielkiego czuwania.

Ja też z nimi zatańczyłam, zaprosiły mnie, a właśnie tym kobietom nie mogłam odmówić, chociaż byłam ledwie żywa o trzeciej nad ranem.

Wiele godzin wcześniej burmistrz powiedział nam: „Nie martwcie się, znajdziemy wam miejsce do spania, znajdźcie mnie, kiedy będziecie zmęczone i zobaczymy”.

Tak więc nic sobie nie robiąc z dalszych grzeczności, zdecydowałyśmy jednogłośnie, że zapukamy do drzwi domu gminnego, który w Polsce jest zarezerwowany dla pracowników Urzędu Miejskiego z San Luca. Otworzył nam zmieszany Totò Signati z urzędu protokolowego, który, głęboko zaspanym głosem powiedział nam: *Non ci su letti*⁹.

„Nie szkodzi, prześpimy się na podłodze, wystarczy nam dach nad głową”, powiedziała. Na dworze zimne już teraz powietrze przenikało nas do kości.

Burmistrz usłyszał, że wchodzimy, zerwał się z łóżka i nie wiedział, co zrobić, żeby nas ugościć, a przede wszystkim nie wiedział gdzie mogłybyśmy się położyć. Chciał zrezygnować ze swojego łóżka i nam je odstąpić. Ale byłyśmy we cztery. W końcu dał nam kołdrę i ułożyłyśmy ją na podłodze, żeby się na niej wyciągnąć – w ubraniach, jedna obok drugiej; w środku nocy poczułyśmy, jak spada na nas druga kołdra rzucona przez pełnomocnika do spraw kultury w urzędzie miasta, który spał w łóżku obok burmistrza i zorientował się, że jesteśmy zziębnięte.

Pod oknem tarantela trwała do upadłego. Ale koło szóstej rano ja, która nie zmrużyłam oka, usłyszałam przerwę w muzyce i nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Faktycznie było to tylko złudzenie, chwilę potem rozległy się krzyki *murra*, które w moim bezsensnym otępieniu zdawały się przekraczać sto decybeli. Chwila ciszy między muzyką a *tri, quettru, cinco!* była tak niewyczuwalna, że przeskok wydawał się wykonany przez doświadczonego didżeja. Ze dwie godziny męskich krzyków i znów było słycać akordeon i tamburyn.

Cisza podczas czuwania w Polsce nie jest brana pod uwagę.

O ósmej rano byłyśmy wszystkie cztery już umyte i uczesane, i oczekiwałyśmy na nieprawdopodobne śniadanie w barze na dole: kawę i zwykłe przekąski. Na kościelnym placu czekał na mnie Peter, szwedzki dziennikarz, który tym razem wjechał do miasteczka z miejscowym chłopakiem – przewodnikiem po Aspromonte.

Poznałam Petera Loewe w Rzymie, przeprowadził ze mną wywiad do swojego reportażu o Kalabrii, długi, podzielony na wiele spotkań, ciągnący się wiele miesięcy; bardziej niż dziennikarzem Peter był człowiekiem głębokiej kultury i żywej ciekawości. Dla niego zasadniczą sprawą było wdrzeć się pod powierzchnię, zrozumieć dynamikę tak obcą północnoeuropejskiej mentalności i zdołać ją

przetłumaczyć swoim rodakom jak najodpowiedniejszymi słowami.

Stałam więc oparta plecami o ścianę obok stacji drogi krzyżowej, a fotograf – kolega Petera – przytykał obiektyw do mojego nosa. Robił mi portretowe zdjęcia, pierwsze i średnie plany. Skupiałam na sobie uwagę wszystkich pielgrzymów w Polsi.

Zbliżała się godzina procesji, figura Matki Boskiej, ta lżejsza, obchodziła całe miasteczko, aby na koniec dotrzeć do amfiteatru, gdzie odprawiona została msza, która miała się zakończyć ukoronowaniem Maryi. Biskup Locri-Gerace, Giuseppe Fiorini Morosini prowadził orszak, a za nim kroczyli don Pino i burmistrz Sebastiano Giorgi w trójkolorowej szarfi. Młodzi mieszkańcy San Luca z niebieskimi chusteczkami na szyjach podtrzymywali figurę i odwracali ją w kierunku schodków, na których setki osób prażyły się pod słońcem południa. Starsi chronili się pod dużym figowcem, inni wytrzymywali uderzające promienie, kładąc zmoczone serwetki na głowy.

Nabożeństwo było długie i męczące z powodu parnego powietrza. A w homilii biskup Morosini mówił o 'ndranghecie. W takim sensie, że wiele razy o niej wspomniał. Rok wcześniej był bardzo krytykowany przez gazety – powtórzył z mocą, że sanktuarium w Polsi pozostaje miejscem autentycznej religijności, chociaż profanowane „przez ziomków i braci w wierze, którzy zdradzili prawdziwą wiarę, w sposób absurdalny oczekując od Najświętszej Marii Panny błogosławieństwa dla swoich nielegalnych interesów”. Ale w swojej przynajmniej półgodzinnej przemowie udało mu się ani razu nie wymówić słowa 'ndrangheta. Dziennikarze zauważyli to i podkreślili, przytaczając też dość zgrzytliwy fragment homilii: „Jeśli inni przychodzą tu łudząc się, że mogą nadać religijnego znaczenia swoim nielegalnym działaniom, które nie mają nic wspólnego z naszą wiarą chrześcijańską, czy żeby przekazywać władzę, która nie jest wyrazem miłości Boga, to jest to ich problem, a nie nasz: niech to będzie jasne raz na zawsze”.

Ich problem, nie nasz. To zdanie szczególnie zostało podkreślone przez niektóre ogólnokrajowe dzienniki. Które przypomniały, jak poprzedni biskup, Giancarlo Bregantini, przeniesiony tymczasem do Campobasso, wysłał list do wszystkich proboszczów w Locride i nałożył wyraźną ekskomunikę na 'ndranghetistów, którzy wywołują „aborcję życia naszej młodzieży”, pisał. Papież Wojtyła 9 maja 1993 roku

w Agrigento, ścisnąwszy krucyfiks i podniósłszy palec do nieba, rzucił anatemę Kościoła katolickiego na mafiosów. Pierwszy raz papież z podniesioną przyłbicą stawiał czoło mafii.

I tak w 2011 roku w Polsce biskup Morosini odpowiedział na krytykę, wielokrotnie wspominając 'ndranghetę. Mówił o „chorym chrześcijaństwie”, o pobożności ludowej, którą „należy oczyścić”, ale później zapuścił się w sylogizm, który nie był dla mnie zupełnie jasny. „To dziwne, że tak trudno zrozumieć”, powiedział, „że właśnie oczyszczając uroczystość z tego wszystkiego, co konsumpcyjne, zwracając jej religijne oblicze, skróci się drogę eliminacji perwersyjnego związku między przestępczością a religijnością”. Aby wyrzucić wierzchołki 'ndranghety z błogosławionego terytorium, nie trzeba więc przeganiać jawnych mafiosów z uroczystości. Nie należy odsyłać z powrotem ich hojnych ofiar dla sanktuarium. Nie, wystarczy usunąć z uroczystości Matki Boskiej Górskiej konsumpcyjne i pogańskie nurty, skoncentrować się na wierze czystej, wolnej od świeckich pokus, a mafiosi oddalą się sami.

Nie mogło tak być. Z pewnością upał mnie rozproszył i przeoczyłam jakiś kluczowy fragment.

Postanowiłyśmy obejść stoiska. Wiedziałam, że znajdę tam twarze osób, które pragnęłam znów zobaczyć, a poza tym nie mogłam wrócić do domu z pustymi rękoma: moja matka czekała na obrazek swojej Pięknej Panienci.

Po kilku postojach między domkami z drewna dostrzegłam jakieś dziesięć kroków przede mną znajomy profil. To była Lisa Nirta. Przyjaciółka, która źle się poczuła w ten już zasnuty mgłą poranek zimowy w prefekturze Reggio Calabria, kiedy Ruch Kobiet był tylko ideą, a ona tryskała entuzjazmem.

Lisa o oczach zielonych jak las, drobna kobieta, esencja wdzięku i czystości.

*Oh bella mia, ma tu cca eri*¹⁰, wykrzyknęła, i objęłyśmy się czule jak zawsze. Lisa jest jedną z tych nielicznych osób, które dają ci ukojenie, kiedy stoją przed tobą i na ciebie patrzą. Z tych kobiet, które nie są zdolne się uśmiechać, jeśli uśmiech nie wydostaje się szczerze z ich serca, a kiedy cię nim obdarowują, przenika cię autentyczne światło.

Latem prowadzi w Polsce kiosk ze świeżymi kwiatami i podróżuje między

wzgórzami każdego ranka o świcie, żeby uniknąć upału, samochodem załadowanym pachnącymi różami. Lisa długo cierpiała z powodu sprawy sądowej syna Domenica, aresztowanego pięć miesięcy po rzezi w Duisburgu i oskarżonego o powiązania mafijne. Jego wina? Pracował w jednej z restauracji Giovanniego Strangio w Kaarst. Lisa spędziła grudniowe dni i noce przykuta łańcuchem w kościele Santa Maria, z mężem Sebastianem, w proteście złożonym z łez i modlitwy. Aby uznano niewinność jej chłopca.

Kolejna kobieta z San Luca, która ma odwagę przerwać milczenie kobiet z Aspromonte, która nie waha się głośno wołać swoim obolałym głosem matki. Jej walka to kolejna rewolucja.

„To były dni przed Bożym Narodzeniem, na dworze padał śnieg, było potwornie zimno”, opowiadała mi Lisa w Polsi, i zaprowadziła mnie na zaplecze kiosku, żeby się schronić i koniecznie poczęstować mnie chłodnym napojem.

Ciągnęła dalej: „Kościół był *nu pezzu i ghiacciu*¹¹, ale czułam, jakby dmuchał na mnie gorący wiatr od strony Dzieciątka Jezus. Modliłam się, nic innego nie mogłam zrobić. Wiedziałam, że mój syn płaci jedynie za to, że nosi nazwisko Nirta. Gazety go zmasakrowały, pisząc o nim Domenico Nirta zwany *il Rosso*¹² z San Luca i *disseru chi è nu delinquente*¹³, żołnierz mafii, nie zdając sobie sprawy, jak wielkie zło mu wyrządzają. Spalili wokół niego ziemię: stracił pracę, zostawiła go narzeczona. Ja i jego ojciec wypłakaliśmy wszystkie łzy, jakie w sobie mieliśmy, ale się nie poddaliśmy. Domenico dodawał nam otuchy w tych trudnych chwilach, później jednak zaczął pisać z więzienia listy, które mnie niszczyły: *Umieram z każdą przemijającą godziną, siedzę tu zamknięty i nie wiem dlaczego*. Kiedyś podczas rozmowy *mi dessi nu fogghiu*¹⁴ i powiedział: spójrz na to, jak już będziesz w domu. To był rysunek: *na cruci*¹⁵, bo on tak właśnie się czuł, powieszony na krzyżu. Zaczęłam płakać i krzyczeć, czułam, że mój syn się załamuje. Później spotkałam prokuratora Nicolę Gratteriego, zaniiosłam mu plik zdjęć Domenica z dzieciństwa, całą jego historię odtworzoną minuta po minucie, także listy z więzienia. „*Dottore*, niech pan spojrzy, to jest Domenico jako mały chłopiec, zawsze był taką rudą marchewką jak jego ojciec”. Sędzia powiedział mi: „Musimy przeczytać dokumenty, jeśli wasz syn jest niewinny, wkrótce go pani uściśnie”. Domenico przesiedział

dziewięć miesięcy w więzieniu. Został uniewinniony w sądzie pierwszej i drugiej instancji. Teraz wrócił do Niemiec, zaczął od zera, pełen odwagi. Pracuje, zaręczył się z tamtejszą dziewczyną. Koszmar się skończył..."

W tym momencie Lisa i jej rodzina czekali na wyrok Sądu Najwyższego z nadzieją, że będą mogli wreszcie zapomnieć o całej tej historii i wspominać ją jedynie jako smutny epizod w ich życiu.

Po przejściu obok innych stoisk pełnych świętych obrazków, wchodząc pod górę za murkiem, dostrzegłam kobietę stojącą obok skutera i podtrzymującą dziecko na siodełku. To była Caterina Strangio, siostra Marii, kuzynka Giovanniego Strangio. Uśmiechnęłam się do niej z daleka. Przepiękna Caterina. Wyniosła, o jasnych oczach kontrastujących z czarnymi włosami i żałobnym strojem. Patrzyłam na nią i kiedy podchodziłam, wydało mi się przez chwilę, że widzę Marię, którą znałam tylko ze zdjęć w gazetach.

Caterina żyła podwójnie, prowadziła własne życie i życie swojej siostry, opiekując się trójką osieroconych dzieci, które zabrała do siebie bez zastrzeżeń, bez narzekania.

Teraz trzymała na ręku nowego członka rodziny, najmłodszego ze swoich czterech synów, ośmiomiesięczną lalkę o skórze jasnej jak jedwab. Na imię ma Giovanni. Ale Caterina jest kobietą hardą, nie lubi opowiadać o smutnych wydarzeniach i mówi zawsze, że ma się dobrze, ponieważ niezwykła się skarżyć. Przyjmuje z mocą to, co jest jej przeznaczone i próbuje odgrywać jak najlepiej rolę, która jej została powierzona, czyli rolę podwójnej matki. Tylko jej mąż tego ranka trochę się rozgadał, mówiąc o dzieciach Marii, wspominając, że jest „strasznie trudno”, i wyczułam ślad wzruszenia w mowie tego mężczyzny.

Podczas gdy wierni tłoczyli się gdzie popadło w trattoriach, żeby zjeść obiad złożony z wielkich porcji makaronu z sosem z koziego mięsa i grillowanej kiełbasy, my ruszyliśmy pod prąd do kościoła, i jeszcze wyżej, do drzwi prowadzących do labiryntu korytarzy noclegowni.

Chciałam pożegnać się z don Pinem Strangio. Powiedzieć mu, że wyjeżdżam. Odjeżdżałam z uroczystości Matki Boskiej z Polsi, z Kalabrii, przynajmniej tego lata. Ale nie odjeżdżałam z San Luca, jeszcze nie.

Świetlica – gdzie zastygł nasz pot i walka – będąca nadal strażniczką marzeń moich kobiet, choć wśród pajęczyn i kurzu, zasługiwała na to, by znaleźć jej nowe źródło tlenu i znów ją ożywić. Nie mogłam się zgodzić na to, żeby te marzenia, te myśli po raz pierwszy uskrzydłone, nagle zostały znów uwięzione w pułapce bezruchu, który ja też próbowałam kiedyś przezwyciężyć, w pewnym okresie nawet zniszczyć, a który teraz powrócił jak skalisty głaz zastawiający drogę ucieczki.

Nie było winnych, wobec których przynajmniej można by wyrzucić z siebie wściekłość i uwolnić się od niej. Nie było złych, których można by wytknąć palcem za niesprawiedliwy koniec naszego projektu. Tylko poczucie pustki i paraliżu.

Chciałam pożegnać don Pina. Miałam nadzieję, że znajdę w nim przyczółek nowego początku, siłę na podjęcie drogi, którą przemierzałam z wszystkimi kobietami etap po etapie. Tym razem z jego autentycznym błogosławieństwem.

Na sam koniec uświadomiłam sobie jasno i wyraźnie, że poparcie prefektury nie było wystarczające, przyjaźń burmistrza też nie, tak jak i sympatia okazana mi przez wielu mieszkańców miasteczka podczas uroczystości w sanktuarium. Aby kontynuować nasz marsz, brakowało nam niezbędnego paliwa – zaufania don Pina Strangio.

Istnieje bezsprzecznie jeden wspólny mianownik w życiu każdego mieszkańca San Luca, i nie jest to 'ndrangheta. To proboszcz miasteczka i rektor sanktuarium w Polsi. Prezes lokalnej drużyny piłki nożnej i wiceprzewodniczący Fundacji Corrada Alvaro. Członek krajowego związku zawodowego dziennikarzy i profesor uniwersytecki. Mówca na zjazdach, pisarz, aktor i człowiek. Don Pino robi wszystko, robi za dużo, a może i to nie wystarczy. Chciałby robić więcej. W każdym domu miasteczka, w którym powstała moja noga, wisiały zawsze jego zdjęcia zrobione podczas chrztów, komunii i ślubów. Mężczyzna o kruczoczarnych włosach, nienaznaczony upływem czasu, z charakterystycznym pieprzykiem koło jednego oka. Wydaje się, że San Luca urodziło się razem z nim, jakby miasteczko i jego kapłan byli dwiema tak symbiotycznymi istotami, że nie można pojąć jednej bez drugiej.

Tyle rzeczy powiedziano i napisano o proboszczu kościoła Santa Maria. Pochwały, oskarżenia, oszczerstwa, półprawdy. Ale na dobre i na złe, przy swojej ponad trzydziestoletniej posłudze w San Luca, to on jest najbardziej celebrowanym

człowiekiem ze społeczności, jedynym żyjącym obok dwóch nieżyjących bohaterów: Corrada Alvaro i brygadiera Carmine Tripodiego.

Don Pino zawsze przyjmował ciosy w milczeniu, nie wiem, czy przez cnotę, czy z konieczności. I na ogół nie zniżał się do opowiadania męczącym go dziennikarzom o najgorszych, złych mieszkańcach miasteczka. Ma jasne poglądy, właściwe słowa. Zna każdy kamień, każdy krok, każdy strumień swojej ziemi. I zna dobrze swoich ludzi. Ochrzcił dwa pokolenia mieszkańców San Luca, widział, jak dorastali jako mężczyźni i kobiety. Ratowali się albo grzeszyli.

Po ukończeniu dziesiątego roku kapłaństwa w San Luca, w 1990 roku don Pino pewnej nocy znalazł swój spalony samochód. To było święto patrona, 18 października. Dla niego była to jasna próba zastraszenia. Odpowiedział swoim zamachowcom z ołtarza podczas mszy, dziękując „braciom, którzy uwzięli się na samochód, a jemu pozwolili żyć”. W kolejnych latach wielokrotnie prosił o przeniesienie: biskup się godził, ale kiedy tylko nadchodził moment wyjazdu, błagał go, żeby jeszcze wszystko przemyślał i został. A on był posłuszny.

Później krajowa i międzynarodowa prasa zaczęła go definiować jako księdza 'ndranghety, takiego don Abbondio, który nie mówi i nie donosi, żeby ocalić siebie samego. „Każdy może twierdzić to, co chce”, powiedział nam tego popołudnia w Polsce, „ale ja w sobie samym odczytuję losy mojego ludu. Całego ludu, który razem z proboszczem jest naznaczony piętnem 'ndranghety”.

Don Pino odrzuca etykietkę księdza antymafijnego i wydaje mi się, że rozumiem dlaczego. On twierdzi, że jest przeciw mafii i 'ndranghecie, ale przede wszystkim „jestem księdzem”, tłumaczy, „który głosi Jezusa Chrystusa Zmartwychwstałego. Gdybym został członkiem mafii, straciłbym kontakt z ludźmi, unikaliby mnie, nie przychodziliby już ze mną rozmawiać, zwłaszcza ci, którzy naprawdę potrzebują pomocy. Gdybym się określił jako ksiądz antymafijny, gdyby mi przydzielono obstawę, byłbym zmuszony przenieść się w inną okolicę i nie mógłbym już być księdzem w mojej wspólnoty. A więc lepiej by było, gdybym wówczas został komisarzem policji, śledczym, karabinierem. Ja zaś czuję, że chcę być księdzem”.

Nie potrafiłam pojąć, co chce powiedzieć przez to „pomaganie ludziom”, ale wiedziałam, że jego słowa mogły wydawać się fałszywe i tchórzliwe dla większości

uszu. Ponieważ od tego, kto pełni szczytną rolę wychowawcy i ma na co dzień do czynienia z młodzieżą oczekuje się, że oprócz homilii i konfesjonau weźmie na siebie odpowiedzialność poprowadzenia ich czy wręcz zmuszenia do pójścia innymi drogami niż ich ojcowie.

Zresztą tak naprawdę ja też działałam jak don Pino, gdybym na samym początku przykleiła Ruchowi Kobiet etykietkę stowarzyszenia antymafijnego, zastałabym pustkę wokół San Luca. Nie zdobyłabym zaufania, nic byśmy razem nie zbudowały.

Aby pogrzebać kulturę bezprawia i dominacji, nie można rozpoczynać od przypięcia sobie na piersi antymafijnego znaczka. Ja próbowałam dotrzeć do ludzkich serc innym sposobem, niż wygłaszanie wytartych sloganów i składanie pustych deklaracji. Ktoś, kto nie pragnie od razu przypisać rzeczom ich rzeczywistej etymologii ani powoływać się na dowody historii czy policyjne statystyki. Ktoś, kto nie wytyka palcem i nie spisuje listy złych. Kto milczy, zatrzymuje się i słucha, uwalniając umysł od wszystkiego, o czym już zdaje się wiedzieć.

Stosując taką taktykę, można zrozumieć i zdusić chorobę w zarodku.

Reszta, faktycznie, to praca śledczych. Ale także wychowawców. I całego społeczeństwa, które stanowczo musi przeciwstawić się wszechwładnej mafii, wymagać uczciwości od najniższego do najwyższego szczebla życia społecznego. A często przychodzi to z trudem, jeśli brak jest solidnych punktów odniesienia, wiarygodnych i pozbawionych dwuznaczności, oraz ludzi, którzy naprawdę poświęcają swoje życie, angażując się w tę chorą rzeczywistość.

„Świat przestępczy zawsze był i zawsze będzie”, ciągnął don Pino tego dnia, „my nie przeczymy, że istnieją problemy z narkotykami, że miały miejsce uprowadzenia i zabójstwa, że istnieją sytuacje, które oszpeciły urodę miasteczka, czyniąc z niego miasteczko 'ndranghety. A przecież to my sami prowokujemy zło, o czym mówię w moich homiliach. Ale żeby zrozumieć rzeczywistość San Luca, trzeba w nią wejść, wdrzeć się w serca ludzi, w ich mentalność, zrozumieć, co odczuwają. Czasem nawet ja nie jestem w stanie zbudować z nimi relacji, żeby wychwycić to, co kryje się w sercu danego człowieka. Jesteśmy naukowcami, antropologami, a nie docieramy nigdy do sedna”.

Ktoś zapukał do drzwi biura. To pielgrzymi wraz z kilkoma osobistościami,

którzy również przyszli pożegnać się z kapłanem,. Musiałyśmy się więc pożegnać i zostawić don Pina z jego licznymi obowiązkami, związanymi z długą uroczystością poświęconą Matce Boskiej Górskiej, która nie miała się jeszcze wcale ku końcowi.

Ksiądz pożegnał mnie czułym słowem, jakie rzadko wypowiadał pod moim adresem: „Przyjdź do mnie, Rosy, nie potrzebujemy nikogo więcej”, powiedział, „razem otworzymy świetlicę”.

A ja ruszyłam w drogę powrotną do San Luca, nie wiedząc, czy tym razem o zachodzie, który zapadał za moimi plecami, skręcę we właściwą ścieżkę. Tę, która oszczędza męczarni spiczastych głązów i straszliwego niepokoju. Na której nie twardnieją ci kończymy z wysiłku, kiedy próbujesz utrzymać ster. Która każe ci myśleć o kimś, kto na ciebie czeka na dole u stóp zbocza, z kim razem wyruszysz w kierunku morza. Która odsuwa od ciebie lepkie podejrzenie, że ty także staniesz się donicą z terakoty zmuszoną podróżować w towarzystwie wielu donic z żelaza.

1 Dziennikarka (wł.).

2 *Coppola* (wł.) – charakterystyczna czapka sycylijska, rodzaj beretu z daszkiem.

3 Dante, *Pieśń XIII*, tłum. Edward Porębowicz.

4 Widziałaś Rosy Canale? (dial. kalabr.).

5 Na ołtarzu stoi wielka Pani. Maria z Gór się nazywa... Byk klęka przed krzyżem, a Maria pojawia się w łunie światła (dial. kalabr.).

6 Mistrz tańca (dial. kalabr.).

7 Noszących (dial. kalabr.).

8 Mimma Cavallaro –kalabryjski piosenkarz, badacz i wykonawca tradycyjnych melodii ludowych.

9 Nie ma łóżek (dial. kalabr.).

10 Moja droga, ty tutaj? (dial. kalabr.).

11 Jak kawałek lodu (dial. kalabr.).

12 Szkarłatny kwiat (dial. kalabr.).

13 Powiedzieli, że to przestępca (dial. kalabr.).

14 Dał mi kartkę (dial. kalabr.).

15 Krzyż (dial. kalabr.).

UWAGI KOŃCOWE

Chciałam napisać tę książkę, aby zwrócić kobietom z mojej ziemi zbyt często odmawiane im człowieczeństwo.

Przy wielu okazjach wydarzenia, osądy, sensacje przeważały nawet nad znaczeniem życia, spychając na drugi plan podstawowe stwierdzenie, według którego wszyscy jesteśmy istotami ludzkimi.

Człowiek jest osobą. Osoba jest kimś.

Przepadło wszelkie zainteresowanie ludzkim wnętrzem. Któremu ja natomiast przypisuję wagę nadrzędną, jak uczy nas święty Augustyn.

Starałam się spisać historie nieznanymi i ignorowanymi mężczyzn i kobiet. Będę to dalej robić, coraz bardziej przekonana, że zło nie jest wyborem, ale konsekwencją, i że każde stworzenie na tym świecie potrzebuje miłości innych ludzi.

Książka ta nie zawiera uderzających rewelacji czy przemilczanych sekretów, jedyną prawdą na tych stronach są historie bohaterki. Dziennikarskie fakty, często okrutne, posłużyły, żeby przedstawić kontekst narracji, która rozwija się w sposób równoległy. Ale to mimo wszystko nie jest banalna książka o 'ndranghecie. Kto ją za taką uważa, zaciemnia jedynie obraz, zaprzeczając, że można zobaczyć co innego w San Luca, w Kalabrii, na świecie. Jest to natomiast opowieść o nadziei mająca nagrodzić chęć i wiarę tych, którzy stali się udziałem tego jedyne w swoim rodzaju niezwykle doświadczenia – Ruchu Kobiet z San Luca.

Dziękuję więc wszystkim moim paniom.

Stoję nad brzegiem oceanu i patrzę na horyzont. Wiem, że za tą linią znajduje się moje morze, które sprawia, że śpiewają kamienie, i moje kobiety, które widziały, jak rodzą się na nowo. I moja matka, i mój ojciec.

Jest Micol. Jest państwo, Włochy, które odwróciło się do mnie plecami i zdradziło mnie, ze swoimi ludźmi, kłamcami i schizofrenikami, chorymi na władzę i kobiety. Postanowiłam dać sobie kolejną szansę, postanowiłam wyjechać. I tu zaczyna się kolejna historia.

Pragnę podziękować mojej cudownej rodzinie, która zawsze stała przy mnie. Emanueli Zuccalà, teraz dla mnie „Zucchi”, że przyjęła bez lęku zaproszenie do tej przygody. Z całego serca Paoline. Yamirze Santieli i Giancarlovi Ioppolo, mojemu rodzeństwu. Marcowi *Huge*, małym Brooke i Harrisonowi – mojej nowej rodzinie nad brzegiem oceanu.

Rosy Canale

Kiedy spotkałam po raz pierwszy Rosy Canale, paliła papierosa za papierosem i dreptała na straszliwych trzynastocentymetrowych obcasach po kamieniach starej części San Luca, drwiąc sobie ze swojej chorej nogi.

Świetlica „Isola Rosa” w willi skonfiskowanej ’ndranghecie została właśnie otwarta. Ruch Kobiet z San Luca wart był artykułu w moim piśmie *Io donna* (dodatku do gazety *Corriere della Sera*).

Czasami więc, jaką odczuwam z osobami, z którymi przeprowadzam wywiad, wykracza poza krótki okres reportażu. I tak było z nią. Ja – Sycylijka, ona – Kalabryjka. Ja zakochana w Sciasci i wybrzeżu tyrreńskim, ona w wybrzeżu jońskim i w Alvaro. Ja – zbieraczka historii, ona historia z krwi i kości.

Uderzyła mnie jej głęboka znajomość duszy swoich ziomków, którą zawsze uważałam za nieprzeniknioną. Tej kalabryjskości, która oprócz wielu wartościowych rzeczy spłodziła także haniebną i potężną organizację przestępczą. Tak jak moja Sycylia wyprodukowała mafię.

Odbyłyśmy razem liczne podróże do San Luca, ona próbowała wskrzesić swoje stowarzyszenie, a ja w tym czasie myślałam, żeby napisać jakiś artykuł pięć lat po rzezi w Duisburgu. Ale w pewnym momencie zorientowałyśmy się, że świadectwa kobiet z Aspromonte, tych, które zgodziły się ze mną rozmawiać, ze mną – *ggiornalista*, oprócz pasjonującej historii osobistej Rosy warte były czegoś więcej. Książki. Z głosem bohaterki przeplatanych wiadomościami z gazet, które wdarły się w jej życie i w życie jej kobiet, i które w rezultacie pokazują nam przekrój Włoch.

W tym czasie ona rzuciła palenie i przeprowadziła się za granicę, aby spróbować zacząć wszystko od nowa, daleko od miejsc i twarzy, które nadal ją prześladowały. Skończyłyśmy tę książkę w jej nowym mieście, a gdy tam przebywałyśmy, tak daleko od Kalabrii i Włoch, zaczęto nam grozić.

Ktoś namierzył jej rodziców w Rzymie, próbował zastraszyć i przesłał pozbawioną dwuznaczności wiadomość: „Powiedzcie swojej córce i dziennikarce, że jeśli książka wyjdzie, Rosy zostanie zabita, a jej zwłokami nakarmimy świnie”.

Zastanawiałyśmy się. Cierpiałymy. Ona nieskończenie bardziej niż ja.

Doszłyśmy do wniosku, że ja nie chcę stać się naśladowczynią Roberta Saviano¹, a Rosy nie chce być bohaterką. Już nie.

Wstrzymałyśmy publikację, spotykając się z bezwarunkową solidarnością wydawcy. W końcu jednak wygrało co innego: miłość do długiej, wspólnie podjętej pracy i odrzucenie – etyczne, wewnętrzne, kulturowe – biernego poddawania się prawu silniejszego.

Nie stawiamy na tych stronach żadnych tez. Źli pozostaną złymi. Mafie pozostaną hańbą Włoch – nie tylko Południa. Szare strefy współpracy i milczącej omerty pozostaną najbardziej podstępny i trudny do ugaszenia zarzewiami. Ale opisanie pewnych realiów od środka, jak to tutaj czynimy, może przyczynić się do ich zrozumienia.

Niestety wielu rzeczy, o których nasza bohaterka wie, nie można opisać. Ponieważ ona o tym dobrze pamięta: 'ndrangheta nie wybacza.

Dziękuję więc Rosy, która wypełniła nową treścią moje życie.

Salvatore, który jest moim domem i moim krytycznym sumieniem.

Przyjaciołom, którzy w tych miesiącach dodawali mi otuchy, radzili i bawili, łagodząc moją wędrówkę.

Nieopisanej cioci Enzy.

Lilianie Segre, która nauczyła mnie, żeby nigdy nie mówić: „Już nie dam rady”.

Z myślą, jak zawsze, o moich rodzicach.

Emanuela Zuccalà

¹ Roberto Saviano (ur. 1979) – włoski pisarz, od czasu publikacji powieści „Gomorra” żyje pod ciągłą ochroną policji. Zajmuje go badanie obecności i wpływu mafii i innych organizacji przestępczych na życie włoskiego społeczeństwa.